
THE LIBRARY OF CONGRESS
1800

Nedrs...

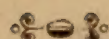
KIRDŻALI

POWIEŚĆ NADDUNAJSKA

PRZEZ

Michał Czajkowski

MICHAŁA CZAYKOWSKIEGO.



TOM I.



PARYŻ I LIPSK.

W KSIĘGARNI BROCKHAUS I AVENARIUS.

—

1839.



JAŚNIE OŚWIECONÉJ XIĘŻNIE MARJI

Z XIĄŻĄT CZARTORYSKICH

WIRTEMBERGSKIÉJ

AUTORCE MALWINY

W HOŁDZIE CZCI I UWIELBIENIA

JÉJ CNOT, PATRIJOTYZMU I WYSOKICH ZDOLNOŚCI

OWOC TEN SWOJÉJ PRACY

POŚWIĘCA

PISARZ POWIEŚCI KOZACKICH.

I.

Stary Dunaju! sławiańska rzeko! — powiedz, czyś na twym grzbiecie zaniosł i zatopił w bezdnie Czarnego morza, sławę i imię plemion sławiańskiego i dackiego rodów? Czyś wiarę Chrystusa zanurtował w głębie swojego koryta? Powiedz, patrz jak w nadbrzeżnych miastach wznoszą się kopuły minaretów i błyszczą półksiężyce Mahometa — Niewidać tam ani rozramienionych wież kościoła bożego, ani krzyża, godła Zbawiciela świata, upominku danego przez syna Twórcy, człowieczemu plemieniowi. — Patrz, po nadbrzeżnych polach i wzgórzach, konno i pieszo snują się Muzułmanie, jakby ta ziemia była kolebką ich rodu,

spuścizną ich ojców.— Wołoch i Mołdawianin zmienił rzymskie szaty na Alego stroje; Serb i Bulgarczyk zawojem okręcają sławiańskie skronie, na znak, że wprzęgli wolne karki w jarzmo niewoli; a nawet syn Polski, dziki mołodziec Zaporoża, pomiotłszy w oczy potężnym carom Moskwy i ich obietnice, i ich podarki, rzuciwszy brzegi siniego Dniepru i pohoże Ukrainy pola, choć wolny i bezpański, na sromotę kozaczemu imieniowi, kontusz Sahajdacznego pstrzy barwidłami otomańskiemi, kołpak Szacha owija kaszemirskim szalem.— Dunaju, ty to widzisz i płyniesz spokojnie, tak jak bywało za dobrych, za dawnych czasów! Hańba tobie! hańba słońcu, że ciebie i ten kraj ogrzewa; hańba księżycowi że wam przyświeca.— Stary Dunaju rozsierdź się! niechaj twoje wody aż do dna zakipią, z gniewu trysną pod obłoki, wyprą się z łożyska i zaleją ten kraj potopem. — Bóg potopem pokarał świat cały za to, że ludzie przekroczyli jego przykazania; i ty pokarz plemiona które nie poszanowały wiary przodków, zrzekły się i zaparły narodowości swoich rodów.

Tak dumał młodzieniec sławiańskiéj duszy, choć przybrany w strój turecki. Na wierzchniéj wardze młodociany mech ledwo mu porosł, a już ciemne oko pobłyskuje ogniem męża; jeszcze liczko gładkie jak u dziewicy, a już wysokie czoło, jakby w takt grze uczucia, marszczy się w poprzeczne fałdy. Kibić wzniosła, smukła, choć z pod szerokiego kaftana maluje się kształtnemi składy ciała; ciemny włos wymyka się z pod białego zawoju, jakby się wstydził niewolniczego znaku. — Kto jest ten młodzieniec? — Sługa, niewolnik Mehemeda Baszy, Seraskiera Izmajłowa, pokrewnego Sułtana, pana zamożnych skarbów, szerokiéj sławy, twardéj woli i dumnego serca.— Kirdżali imie młodzieńca. Imie to w bulgarskim języku znaczy odrzutka od ludzi, włoczęgę bez rodu. Miejsce jego urodzenia, grod Sylistryi. Matka Bulgarka dając mu życie, sama się z życiem rozbratała: ojca niezapamiętał, ani o nim nigdy niezasłyszał: czte[illegible]tniego sierotę doreszty osierociła dżuma grasująca po naddunajskich krajach. Za kawałek chleba z serem, dnie całe pasał gęsi; za nocleg[illegible]ołéj

ziemi, wieczorami skubał pierze, i słuchał babskich powieści, o starych, uroczych czasach, albo pieśni wojennych dawnych Sławian. Jałmużną dobrych ludzi wykarmiło się jego ciało; podaniami i pieśnią ludu wyhodowała się i wybujała jego dusza. Nie w smak mu były rolnicze prace i błoga strzecha wioski; myślą i sercem dyszał do dziwnych przygod, do niepokoju życia: na miejscu nie posiedział, włóczył się od chaty do chaty, od wioski do wioki, i wszędzie i zawsze powtarzał: « Sławianie drzemią, ale Turcy żyją »— Dwunasty rok kończył kiedy stawił się w zamku Mehemeda Baszy, błagał o broń i konia. Dumny Basza, śmiał się z dziecka, kazał przynieść broń. Kirdżali chwytał attagan, gładził rękojeść krzywéj szabli, przyglądał się srebrzystym bułatom, i tulił do łona pistolety, jak kochanek kochankę, jak matka pierworodne niemowlę. Basza kazał przyprowadzić rumaka: mały Kirdżali oburacz zawisł mu na szyi, a ustami przykleił się do ognistéj jego chrapy. Wojenne serce Mehemeda pokochało Kirdżalego; polecił Bim-baszy Spahow, przybrać go w otomańską

barwę i uczyć rzemiosła najezdnika.— W szesnastym roku Kirdżali harcował rumakiem jak jezdziec czerkieski: w czwale konia ciskał dziryt i o zakład nizał na niego kółko zawieszone na kruku; w czwale konia z pistoletu o zakład trafiał piastr wyrzucony w powietrze; polotem błyskawicy siekł szablą w lewo i w prawo; attaganem i do siebie i na odlew jednym machem ucinał szyję wypchanego *maniaka*, a sztyletem w skokach trafiał w złotą *lewę*.— Mehemed przeznaczył go do przybocznéj straży Albańczyków i mianował swoim ulubieńcem. Kirdżali mimo łaski pana Muzułmanina, mimo otwartéj drogi do znaczenia, nie chce się zaprzeć wiary Chrystusa: o wschodzie i zachodzie słońca chwali pacierzem Boga Chrześcian, a na piersiach nosi wizerunek Matki Dziewicy, jedyną spuściznę po odumarłéj matce. Pod wizerunkiem popisane sławiańskie litery, ale nie bulgarskiéj, nie serbskiéj mowy. — Turecka barwa i rynsztunek wojenny nie stłumiły w nim uczucia wolności, i śni, i marzy o sławiańskim rodzie, jednym migiem chciałby zdeptać i zdławić potęgę synów mekańskiego

proroka, a niepodobieństwa nie zna jego młoda głowa.

Już i słońce ma się ku zachodowi, błyszczy jak wygładzona blacha rodzimego złota i nieznacznie, zwolna, po błękitném niebie ku dołowi się osuwa.— Kirdżali jak marzy tak marzy, i patrzy na szerokie wody Dunaju: tam w rzece wesołe ryby się pluszczą, a ponad rzeką morskie wrony polatują; pomyślał: ptak drapieżny złowi jednę rybę, ale nie ujarzmi reszty, a ludzie ludziom i śmierć i niewolę razem niosą. Spójrzał na baszty Izmajłowa: tam kawki stadami na nocleg się zlatują; Kirdżalemu gorzko w myśli, zawołał:— «one wszystkie jednego rodu, mają rodziców, mają pokrewnych; a ja ani ojca, ani matki, ani rodziny, ani chaty.—» Łzawo mu w oku, a tęskno na sercu. W tém orzeł przeleciał szeroki Dunaj, wzbił się pod obłoki, i silném skrzydłem wiosłował ku Bałkanom. Kirdżali patrzy i myśli: jam orzeł. On sam, i ja sam— on ma Bałkany, ja mam Ojczyznę— on szybkim lotem wzbija się pod obłoki, i ja myślą na skrzydłach wiary lecę do Boga.— I dumny swoim uczuciem wracał do miasta.

Pod samą bramą zdybał się z towarzyszem broni, z Arnautą Michajlakim.

— « Ha , Kirdżali, czyś biegał za wołoską dziewicą; czy, co lepsza, czatowałeś w krzakach na Żyda albo Ormianina wracającego ze złotem z Istambułu ? »

Kirdżali spójrzał na Arnautę litośnie, pogardliwo, i nic nieodpowiedział. Michajlaki pokręcał czarny wąs.— « Młody zapaleńcze, patrzysz na mnie jak niewiniątko, a z twego oka i z twojéj twarzy widać żeś ty ptaszek do zbrodni zrodzony. Niedarmo stary Albańczyk Kordaki ciągle nam powiada : Kirdżali będzie zbójcą, jakich na świecie mało. »

Rozśmiał się Kirdżali — « No, to Michajlaki będzie moim przyjacielem. Stare przysłowie sławiańskie mówi : kruk krukowi oka nie wykole; wilk wilkowi drogi niezajdzie. »

— « Nie od dziś Michajlakiego ramię gotowe na skinienie Kirdżalego. Mógłbyś bydź moim synem; jednak ja ciebie szanuję jak przyszłego wodza. »

— « Arnauto, twój język pochlebstwem przesiąkł ; ale wiedz że moje ucho głuche na nie. »

— «Pochlebstwo tak dalekie od mojéj myśli, jak Izmajłów od Meki i Medyny; ale przyszła chwila w któréj chciałbym z tobą pomówić jak z mężem, nie jak z młokosem.»

— «Mów, ja słucham.»

— «Kirdżali, kochasz ty złoto i dostatki?»

— «Pogardzam niemi, bom nawykł do ubóztwa: nie znam i znać nie chcę zbytku.»

— «Miłujesz ty roskosze?»

— «Nie znam ich smaku.»

— «Czy lubisz wolność i sławę?»

— «Nad życie.»

— «Kirdżali, tyś nasz brat. Chodź za mną.»

— «Dokąd? po co?»

— «Nie pytaj, zobaczysz» — I szli wzdłuż wałow do Benderskiéj bramy. Na Michajlakiego śniadéj twarzy iskrzy się szatańskie uczucie; Kirdżali, jakby czarodziejską mocą ciągniony, krok w krok za nim idzie. Chciałby sam sobie rachunek zdać ze swoich myśli, a tak w nich się mąci i wikła, że ani rady ich rozplątać. Zgrzytnął zębami, machnął ręką i mruknął: «zobaczymy.» Weszli do miasta właśnie w chwili, kiedy straż miała zamykać bramy, a muezyni

rozchodzili się po wałach i na kopuły meczetów, aby cichobrzmiącym izanem powoływać do wieczornych modłów wiernych wyznawców Proroka, pokornych wielbicieli Ałłacha. Kirdżali i Michajlaki idą ciasnemi ulicami, nic nie mówią, nawet nie patrzą na siebie. Nareszcie stanęli w Karawan-Seraju albańskiéj straży. W izbie gruba mgła od tytuniowego dymu, na środku lampa bladem światełkiem się słania, w około siedzą z splecionémi nogami pod siebie Arnauci, Bulgarowie, Albańczycy, i Bóg wie jakich ludów motłoch. Dzikie ich ubiory, dzikie twarze, a dziksze jeszcze spójrzenia. Kirdżali przestąpił nogą za próg i chciał się cofnąć; ale Michajlaki gwałtem wciągnął go do izby, a stary Kordaki się odezwał :— « Nie wstydź się, tyś nie dziewica, a my nie zalotnicy »— I wnet mu podano lulkę na długim cybuchu i czarę z kawą; Kirdżali zaciągnął dymu, łyknął kawy, i słuchał gwarliwéj rozmowy, z któréj zaledwo mógł łapać uchem brzmienie słów odrębnych, bez żadnego związku. Tymczasem Michajlaki cóś rozmawiał na stronie z Kordakim. Skończyli : stary Albańczyk zbliżył się i oparł swą

rękę na ramieniu Kirdżalego tak silnie, że młodzieniec aż się ugiął, a dreszcz mu przebiegł po całem ciele.— «Tyś sławiańskiego rodu, chrześciańskiéj wiary; nie wstyd-że tobie bić czołem przed muzułmańskim panem, przyodziewać się w muzułmańskie stroje!» Kirdżali zerwał zawoj z głowy i rzucił go pod nogi.— «Dziecko z ciebie! Zrzuciłeś płachtę, ale nie jarzmo niewoli. Chcesz-że bydź wolnym?» — «Chcę» — i oczy Kirdżalego błysnęły jak przelotne gwiazdy.

— «Smierci się nie lękasz?»

— «Nie.»

— «A więc gotowyś zamordować naszego ciemiężcę?»

— «Kogo?»

— «Mehemeda Baszę, pana i władzcę naszego.»

Zadumał się Kirdżali, ręce krzyżem zaplotł na piersi, oczy w dół spuścił, westchnął— «Nie mogę; on mnie kocha, on mój dobroczyńca.»

— «Dobroczyńca! że cię karmi i stroi? Wszak w jego stajniach koniom owies dają i na ich grzbiety bogate rzędy kładą, wszak

gładzi i kocha swoje psy; idź więc i dziel z niemi łaski pańskie. Idź, odkryj Baszy nasze zamiary: powiedz, że za godzinę uderzy hasło, jego, albo naszéj śmierci; że czeka naddunajskie ludy, albo święta wolność, albo wieczna niewola; spiesz się, czas drogi. Basza ciebie sowicie nagrodzi, użyje do posług haremu. »

Kirdżali bladł i czerwieniał się, nogi pod nim klękną w kolanach, a serce dopieka ogień piekła.— «Nie, ja was nie zdradzę, z wami za wolność walczyć będę, niebezpieczeństwa podzielę, ale Baszy nie zamorduję.»

— «Idż precz włoczęgo bez rodu! Tyś syn niewolnika poczęty w wolnéj matki łonie. Idź się czołgać przed panem, jak się czołgał, a może się i czołga twój ojciec.»

— «Kłamiesz, przedawaczu płuc ludzkich! Jam Sławianin, jam wolny» — i chwycił dłonią za rękojeść attagana; ale Michajlaki żylastą ręką osadził zapał młodzieńca, a stary Albańczyk uśmiechnął się: — «Nie słowem, nie pogróżką, ale czynem dowiedź nam żeś Sławianin» — i wszyscy poczęli wołać: — «Kirdżali,

tyś Sławianin, skrusz jarzmo niewoli, w twojém ręku nasz los. »

Na Kirdżalego twarzy maluje się gwałtowne pasowanie się duszy; ale w oczach widać że słabnie pierwsze postanowienie. Towarzysze naglą, on chwieje się, waha, nareszcie rzekł przerywanym głosem: — « Puszczaj Michajlaki, zamorduję Baszę. »

Kordaki natychmiast podchwycił: — « Przysięgnij na Boga Chrześcian, na wolność sławiańską, że dotrzymasz przyrzeczenia. »

— « Przysięgam » rzekł słabym głosem Kirdżali.

— « Kirdżali, jeśli ci brak na twardéj woli, cofnij się; bo pomnij że biada temu, kto krzywoprzysięży imieniowi Boga, imieniowi wolności. Hańba i przeklęstwo na niego za życia, hańba i przeklęstwo jego kościom po śmierci! »

— « Przysięgam, zamorduję » zawołał silnym i donośnym głosem, i wszyscy poczęli go oburącz ściskać.

— « Kirdżali nasz! Smierć Baszy, wolność nam! » a stary Kordaki tak mówił: — « Nie sądź ażeby nam brakło śmiałego serca, pewnego

ramienia. Każdy z nas gotów zamordować Mehemeda; ale to trzeba spełnić dziś, albo nigdy: jutro byłoby zapóźno. Basza o wszystkiém by się dowiedział, i wolnośćby gorzko nad naszym losem zapłakała. O téj porze żaden z nas do Baszy zbliżyć się nie może, oprócz ciebie. Dziś Basza obchodzi rocznicę urodzin swojéj córki. Ty masz grać na szezdarze i śpiewać ciemiężcy pieśń bulgarską, jak na pośmiewisko sławiańskiéj wolności. Zagrajże mu sztyletem w chwili, kiedy posłyszysz strzał na dziedzińcu zamkowym. Lud Izmajłowa z nami; janczarów niewiele: zwyciężymy. W Bogu i w naszéj szabli nadzieja. Zwyciężymy i zaśpiewamy pieśń wolności.»

Kirdżali i z nim wszyscy zawołali: — «Zwyciężymy i zaśpiewamy pieśń wolności!»

— «Teraz rozejdźmy się po swoich stanowiskach; a ty Kirdżali idź stroj szezdar i ostrz sztylet» — Dzika tłuszcza pjana zapałem, dysząca zemstą, opuściła Karawan-Seraj.

Kirdżali przyszedłszy do swojéj izby, podstraja stróny szezdaru, i poostrza sztylet na kamieniu. Bohaterską pieśnią dawnych Sławian

upaja do reszty młodzieńczy zapał, tłumi głos sumienia i ostatki wdzięczności zaciera, a imieniem wiary i wolności, i serce i rękę hartuje do zbrodni.



II.

2

Na dziedzińcach zamkowych beczki smolne sutym ogniem płoną, a w haremowym budynku, rzęsiste światło jasném łunem zazłociło kryształowe szyby. Chwila uroczysta w zamku, chwila uroczysta w Izmajłowie. Basza obchodzi urodziny córki jedynaczki, ukochanego dziecka. Łaski, podarki, jadła, napoje, wszystko to kazał Basza lać ryczałtem między służbę swoję i mieszkańców miasta.

Dziwny to człowiek ten Kiaja Mehemed. Sława, dostatki, zaszczyty, potęga, pod nogi mu się ścielą; a on je depce obojętnie. Szczęście, miłość, roskosze, z uśmiechem garną się w jego objęcia; a on je odtrąca z odrazą. Jeśli się uśmiechnie, to jakby z niechcenia; jeśli roz-

jaśni czoło, to jakby z przymusu. W czasie bojowym mężny, okrutny; w pokoju surowy, nieprzystępny. Wiek nie mógł w nim spopielić żaru uczuć, bo ledwie przeszedł połowę czwartego krzyżyka; a jednak jak człowiek z tamtego świata, przeżuwa tylko życie, nie smakuje, nie pije w jego roskoszach. Takim jest Mehemed jako Basza, jako wódz, jako pan. Ale jako ojciec! — Lwica nie tak kocha jedyne lwiątko, młoda klacz nowo narodzone źrzebię, jak on swoję Selimę. Oddalony, o niéj myśli, za nią tęskni; przytomny, przy niéj z radości i smieje się i płacze jak dziecko, jak szalony. Ona mu życiem, światem, ona mu wszystkiem. Stary Hakim czarny rzezaniec Baszy, piastun, jak pies wierny sługa, powiada że nie takim był Kiaja Mehemed przed laty: ognisty, namiętny, wesoły, wyuzdany na roskosze, żądny dostatkow i zaszczytow, dyszący za sławą. W dwudziestym roku pokochał niewolnicę Gruziankę, Sarę Michaellę, i kochał ją jak swoję duszę, jak Mahometa, jak Boga. W kilka niedziel po narodzeniu się Selimy, śmierć nielitościwa wydarła kochankę Mehemedowi. Od téj chwili

namiętny Turczyn obumarł dla świata, a czułość i miłość jakie żywił dla matki, przeniosł całkowicie na córkę. Stary Hakim przysięga na Ałłacha, na proroka, że Basza od lat czternastu nie rzucił chustki na żadną odaliskę, ani nawet obdarzył przyjaznėm spójrzeniem, chociaż co rok najpiękniejsze niewiasty Wschodu i Zachodu, za pieniądze, w daninach i w sułtańskich podarkach przybywają zwiększać harem Mehemeda. Stary rzezaniec nie kłamie, musi świętą prawdę mówić; bo on jeden powiernik haremowych tajemnic pana.

W obszernėj komnacie, skarbcu wschodniego zbytku, rzęsiste światło jasnemi potokami przelewa się po złoto i srebrno-litych makatach, i darzy jaskrawym ogniem życia pstre barwy perskich kobierców, kaszemirskich tyftyków. W alabastrowych urnach burzą się sorbety z rozmaitych owoców Wschodu: dym kadzideł arabskich lekkiemi smużki mgli się po rogach komnaty i szczodrze wydziela czarowną wonię roskoszy. Na miękkiem węzgłowiu siedzi Mehemed Basza, a obok niego młoda Selima. Basza odrzucił zasłonę z twarzy dziewicy, i

szorstką ręką gładzi piękne lice, muska mszącą się brew i włos lskniący kruczym połyskiem na lekko śniadawéj skroni. Pląsają i pieją odaliski, skaczą rzezańcy, w bębenki brzęczą, a za ścianą muzykanci brzmią w janczarskie rogi, dzwięczą w trąby, tarabanią w kotły. Selima raduje się: jéj oko tańczy w wirze tańcu, jéj ucho łakomie chwyta rozgłos muzyki, a dusza rośnie i poi się hucznėm weselem. Basza nic nie słucha, na nic nie patrzy: utopił wzrok w obliczu córki, raduje się jéj radością, żyje jéj życiem.

Ustała muzyka, ustały tany. Mehemed rzekł: — « Moja Hurysko, lubisz ty dzwięki szezdaru? Twoja matka, ona to lubiła » — Uciął mowę, a dumne jego oko łzą zapłynęło: chciał ją strząsnąć, ale nie może. Selima drobną rączką otarła łzę ojca, i słodkim głosem lała pociechę do serca: — « Jakeś ty dobry Ojcze; co ty lubisz i ja lubię » — Basza się rozczulił, przytulił swe usta do jéj czoła. — « Kochane dziecię: taka była twoja matka » — potém klasnął w dłonie, i stary Hakim stanął przed nim, chyląc czoło ku ziemi. — « Niech przyjdzie Kirdżali z szezdarem. » Wyszedł Hakim i nie-

bawem wrócił z bulgarskim młodzieńcem. Selima chciała twarz obrzucić zasłoną, Mehemed z lekka odtrącił jéj rękę: — «to sługa.»

Choć cicho wymówił to słowo, jednak doleciało ucha Kirdżalego, i jak sztyletem zapruło po jego sercu: spójrzał dziko, hardo, i ręką w miejscu chwycić za stróny szezdaru, macnął rękojeść attagana. Dziewica zadrżała uczuciem trwogi, sam Basza nie mógł patrzyć oko w oko Bulgarczykowi, spuścił czoło w ziemię, a łagodząc głos powiedział: — «Młody mój najezdniku, zadzwięcz strónami szezdaru, zabrzmij bulgarską pieśnią.»

Kirdżali nie zmienił wzroku, suchą i ucinkową mową odrzekł:— «Ty pan, ja sługa; ty każesz, ja słuchać muszę»— i nie czekając dalszych rozkazów uderzył w stróny szezdaru. Po mistrzowsku palcami przebiega po nich, a harmonijne dzwięki po dzwiękach leją się z pod jego ręki. Głosem zawodzi starą pieśń wojny dawnych Sławian, a okiem rzuca to na Mehemeda, to na Selimę. Po raz pierwszy widzi córkę Baszy, po raz pierwszy uroda niewiasty podziwienie w nim wzbudza. Dla niego

ciemne oko Selimy błysnęło jak gwiazda zbawienia; w wyrazistych rysach dziewicy, w śniadawéj twarzy, w słabym rumieńcu, w ustach dumy, jakby w zwierciadle odbija się zamożny skarb gwałtownych namiętności wschodniego serca. Kirdżali zapomniał w téj chwili o przysiędze, o gorżkiéj obeldze przypomnieniem stanu sługi : zapomniał że on Sławianin ujarzmiony, a ona Muzułmanka córka ujarzmiciela, — pokochał ją całemi oczyma, całem sercem. W człowieku ognistéj wyobraźni, miłość, nienawiść, przyjaźń, zemsta, wszystkie uczucia, tak prędko jak grom po błyskawicy migną przed jego myślą i wnet uderzą w jego duszę. Cudna była Selima, w białéj szacie złotem naszywanéj, w białym zawoju przewijanym złotem, w czyżmach białych, w bransoletkach z amuletami i drogiemi kamieniami, w perłach na szyi. Kiedy siedziała, każdyby ją wziął za najpiękniejszą dziewicę Gruzii, za najozdobniejszą Huryskę mahometańskiego Edenu ; ale kiedy wstała z miejsca i powiodła do koła wzrokiem pani świata, kiedy przeszła się po komnacie okazałym krokiem władczyni ziemi, wtenczas, hołd,

korony, Eden, wszystko dla niéj za mało, wtenczas sam Bóg poklaskiwał swemu dziełu, a człowiek padał na kolana i czcił piękność— utwor boży, jak samego Boga. Kirdżalemu ręka zadrętwiała na strónach, a śpiew przymarł na ustach. Basza tego nie dojrzał; ale dziewica spostrzegła i zapłoniła się rumieńcem wstydu czy innego jakiego uczucia, niewiadomo. Kobiéta od najmłodszych lat ma dar przenikliwy zgadywania uczuć, które wzbudza. Po jednem spójrzeniu tak jasno czyta w sercu swego wielbiciela, jak Bóg w sumieniu każdego człowieka. Selima siadła, Kirdżali wzdymał pierś i podnosił rękę na nową pieśń, kiedy pistoletowy strzał huknął na dziedzińcu.

Odaliski wrzasnęły z przestrachu, Basza skoczył: — « To nic, przypadek, nieostróżność. »

Selima powstała i bez trwogi spojrzała na Kirdżalego, a Kirdżali jakby skamieniały ani kroku naprzód nie postąpił. Nowe strzały na dziedzińcu, szczęk broni i tłumne krzyki. Wpadł stary rzezaniec: — « Baszo! Albańczycy zbuntowani domagają się twego życia, twoich skarbów. » — Mehemed odpowiedział spokoj-

nie:— «Hakimie, bronić haremu. Ja im zaraz dam odpowiedź.»— Uściskał, ucałował córkę, i porwał w dłonie miecz obnażony z pochew. Kirdżali dziko zatoczył wzrokiem na oblicze Baszy i ręką chwycił za attagan. Selima w zapale ze łzami zawołała:— «Ojcze szanuj drogie życie! Kirdżali zasłaniaj mego ojca!»— I Basza wychodząc otarł się ramieniem o piersi Kirdżalego, a Kirdżali dobył attagana i za nim wyskoczył.

Janczarowie mężnie się bronią, Albańczycy nacierają i wrzeszczą: «Oddajcie się! wasz Basza nie żyje.» W tém odezwał się głos gromki, surowy: — «Psy niewierne! żyje na wasze nieszczęście.» — Mehemeda to głos dobrze znany. Janczarom przybyło odwagi, Albańczycy nowéj wściekłości dobyli i silnie natarli. Już z nich jeden natężył cięcie na Mehemeda, kiedy Kirdżali tylcem attagana odbił raz od głowy Baszy, a ostrzem jednym machem odmiotł z karku głowę Albańczyka, jak żniwiarż odmiata sierpem makówkę z łodygi. Albańczycy krzyczą: «zdrada! zdrada!» i pierzchają w różne strony. Janczarowie wściekle gonią, i

którego dościgną to trupem kładą. Przy czerwoném płomieniu smolnego łuczywa, widać jak Basza walczy, a Kirdżali mieczem odgania od niego cięcia, zasłania go swojém ciałem, i w jego obronie śmierć zadaje swoim dawnym towarzyszom.

Nareszcie uspokoiło się wszystko. Albańczycy jedni trupem leżą, drugich Janczarowie krępują sznurami. Mieszkańcy Izmajłowa nim broń do ręki wziąść zdołali, już ich uszu doleciała wieść klęski; zamknęli się po domach i błagali Boga, aby wieczném milczeniem pokrył ich chęć odzyskania wolności: jak gdyby to zbrodnią nie cnotą było targać się na skruszenie jarżma niewoli.

W pośrod trupow Basza wziął za ramię młodego Bulgarczyka: — « Kirdżali, tu na tém miejscu mianuję ciebie agą mojéj nowéj straży » — a głos jakiś pogrobowy dodał: — « zdrajcą, odszczepieńcem, a kiedyś zbójcą » — Basza kopnął nogą i pchnął mieczem trupa, ale już w nim życia nie było. Stary Kordaki skonał domawiając słowo: » zbójcą »

Mehemed rozkazał, aby pozaciągano do

rzeki trupy, jeńcow do więzienia wtrącono: — «Jutro im będzie sprawa i rozprawa» — i sam odszedł do haremu.

Kirdżali w miejscu stoi i duma: — jam zdrajca, krzywoprzysiężca, odszczepieniec — Teraz jestem prawdziwy odrzutek bez rodu — bez wiary — bez czci — Ale Selima, jaka piękna — to anioł! Ona rzekła: Kirdżali broń mego ojca.— I jakże było nie słuchać? — Długi czas pasował się sam z sobą młodzieniec, nareszcie padł na ziemię pjany rozpaczą, pjany miłością i nadzieją.



III.

Nie śpi Kirdżali : rozpacz i miłość palą jego duszę, jak gorączka wnętrzności człowieka tkniętego dżumą. Noc zimna, rosa bujna, a jednak krew warem kipi w żyłach młodzieńca. Na niebie cicho, i na ziemi cicho, ale w myślach Kirdżalego gwarno i huczno, jak w powietrzu podczas burzy morskiéj. Usiadł, przeciera oczy, wzrusza ramionami na zapewnienie się że nie drzémie. Dziwne mary snują się przed nim. Stary Kordaki ze skrwawioną piersią, z dzikim wzrokiem, konwulsyjném skrzywieniem ust rzuca na niego słowami : zdrajca! — odszczepieniec! Dzieci i niewiasty bulgarskie i wołoskie, naigrawając się, palcami na niego wskazują i wrzeszczą : odrzutek bez czci i wia-

ry! — Zamknął powiekę Kirdżali, ale mary ciągłym ruchem wiją się w około niego. Zatęsknił za jutrznią, bo wierzy że z dniem białym mary uciekną, zaprzepadną. Westchnął żałośnie i rzucił wzrok na budynek haremowy. Tam, zda mu się że zajrzał w oknie białą szatę i postać niewiasty: to Selima, mili się okiem wdzięczności, uśmiecha się ustami roskoszy. Zapomniał Kirdżali o męczarniach; szczęśliwy, szeroką piersią chwyta powietrze, co od ulubionéj leci, rozwartą źrzenicą przygląda się wdziękom boskiéj dziewicy, u Boga błaga o przedłużenie nocy, bo z białym dniem trzeba będzie opuścić to miejsce szczęścia. Tak to lada wrażenie, jednéj i téjże saméj prawie chwili gnie na opak myśl, zmienia uczucie człowieka; a serce jako gąbka nasiąka jedno, oddaje drugie, i żyje tém ciągłem przeobrażaniem się uczucia.

Jeszcze Kirdżali trzymał wzrok wlepiony w postać Selimy, ułudną czy prawdziwą, jak gdyby to była tęcza jego zbawienia; kiedy głos jakiś cichy, jak z pod ziemi odezwał się: — « Kirdżali, Kirdżali. » — Ocknął się bulgarski

młodzieniec, okręcił wzrokiem w koło siebie. Nic nie widać; ale głos znowu powtórzył: — «Kirdżali, Kirdżali.» — Zerwał się, patrzy; jeszcze kilka trupów leży; potrącił nogą jednego — nie żyje, i drugi zastygł śmiercią; ale kiedy zbliżył się do trzeciego, ten wyrzekł: — «Kirdżali, ocal mi życie, ja ci wdzięczność przysięgam.»

— «To ty Michajlaki, czy ciebie po raz drugi zły duch ze mną styka?»

— «Tą razą żyj Mahometaninem, zostań Baszą, ją cię z drogi nie sprowadzę, ocal mi tylko życie.»

— «Chodź za mną.» — Michajlaki podniosł się żywo, a ruch ciała pełne zdrowie objawił. — «Arnauto, tyś nieranny.»

— «Ani mnie tknął żaden miecz; ale wolałem aby mnie wlekli do Dunaju niżeli do więzienia, a jutro na pal.» — I szli przez dziedziniec, kiedy Janczarowie wracali po resztę trupów. Janczarowie poznali nowego agę, i ani słowa nie rzekli, a tak bezpiecznie wyszli za bramę zamkową. W środku miasta Michajlaki zatrzymał Kirdżalego: — «Tyś nas zawiodł, miałbym

chwilę pomścić się; ale tyś mnie życie ocalił, jam ci zaprzysiągł wdzięczność. Michajlaki Arnauta umie dochować przysięgi. Gdybyś potrzebował ramienia, na którembyś mógł więcéj rachować jak my na twojém, powiedz słowo naszéj Arnautce Fariki, a Michajlaki natychmiast stanie spełnić twoję wolą.» — Skończył i znikł między zaułki domów. Kirdżali inną razą mieczem pokarałby obraźliwe słowa, ale teraz połknął gorzką obelgę i wrócił do zamku.

Nazajutrz dzień równo ze wschodem słońca, śmiercią pokarano buntowniczych Albańczyków, a Kirdżali z rąk samego Baszy dostał w upominku czerwony tarbusz ze złotym kutasem, biały zawoj z kaszemirskiego tyftyku, i czerwoną szubę podbitą popielicami: znaki godności i zaszczytu w oczach Muzułmanów, piętno spodlenia się w oczach Chrześcian.

Młody aga ma pod rozkazami pięć-set raźnych najezdników, posłusznych jego skinieniu. Mógłby pokusić się o skruszenie jarzma otomańskiego, o wezwanie na ucztę wolności dackich i sławiańskich plemion; ale on o tém

ani myśli : on kocha Selimę, trwogą nie chciałby zmącić jéj pokoju ; na grę losu stawiłby swoje życie, zą jedno miłe spojrzenie ciemnego oka córki Mehemeda ; dla niéj zapomniał marzeń o staréj sławiańskiéj wolności, dla niéj przygniata muzułmańską szubą wizerunek Matki Dziewicy ; gotowby się zaprzeć wiary Chrystusa, chwalić duszą i ustami fałszywego proroka, byle Selima wyrzekła : «ja tak chcę» bo słowo «chcę» w ustach kochanki, dla zakochanego jest przykazaniem wiary, słowem bożém.

Toczy się koło roku, nowe miesiące, nowe tygodnie, nowe dni na jego obręczu błyszczą; zmianą się obraca, zmianą żyje, — a w Kirdżalego sercu i losie żadnéj zmiany. Kocha jak kochał, harcuje koniem, rzuca dzirytem, szermierzy, jak bywało dawniéj. Wnijście haremu zamknięte dla Kirdżalego, a oblicze Selimy niewidzialne. Niepodobna samym tylko wiatrem pokarmić życie; niepodobna samą tylko nadzieją nasycić serce. Złote sny, nadpowietrzne zamki, do czasu myśl wiążą w czarodziejskiéj ułudzie. Przyjdzie chwila, kiedy rozpierzchną

się i zikną, jak mgła poranku, jak bęble wzruszonéj wody, jak bańki mydlane. Już Kirdżali zżymał się i niecierpliwił tym jednostajnym biegiem życia, tą ciągłą męczarnią duchowéj miłości; już kiedy niekiedy powracała do głowy dawna, znajoma myśl o wolności, a duma słodko szeptała w ucho: « bądź mężem. » Będę, rzekł Kirdżali, i począł słowem i datkiem kłonić ku sobie przychylność Albańczyków przybocznéj Mehemeda straży.

Dnia jednego nad wieczorem, przyskakał goniec tatarski na spienionym bachmacie, stanął przed zamkową bramą Izmajłowa; szkapa rozparła się w miejscu, a opar potu do koła ją omglił. Tatar wzdyma piersią, kilka razy łakomie powietrza zachwycił, zeskoczył z siodła, poprawił żołty zawoj, przeciągnął się aż kości w wstawach zaklaskały, i wprost do Baszy iść żąda. Obstąpili go ciekawi, pytają skąd jedzie, po co przyjechał; on jakby niemy rzuci wzrokiem, potrząśnie głową, i nic nie odpowiada. Taka powinność muzułmańskiego gońca: rozkaz pana tajemnicą świętą; tam go złożyć gdzie pan rozkazał. Przestępnego gońca

Mahomet wykląłby z grona wiernych dzieci Iślamizmu, a po śmierci nieujrzałby siódmego nieba i Hurysek; dusza by jego dostała się na wieczne posługi Iblisa. -- Niebawem przyszedł czarny rzezaniec, stary Hakim, skinął ręką na Tatara i poprowadził go wprost do haremu. Jak psy myśliwskie kiedy zajrzą osiodłanego konia, surmę albo strzelbę, kupią się, skaczą, tarzają po ziemi, skomlą i poszczekują z radości, bo to dobrowieszcze znaki łowu; tak muzułmańskie żołdactwo gromadzi się, rozmawia z cicha, potakuje sobie, wypatruje bystrem okiem do koła i pogładza rękojeści attaganow i szabel, bo goniec tatarski to wieść wojny, a przynajmniéj obłownéj wyprawy.

W haremie sam na sam Mehemed rozmawiał z Tatarem, a potém kazał przywołać Kirdżałego. Przyszedł młody aga, pokłonił się z poszanowaniem, ale hardo, po niewolniczemu nie spuścił wzroku w ziemię, ale wodził nim po twarzy Baszy.

— « Kirdżali, znam twoję wierność dla mnie, nie braknie ci na męztwie, masz przed sobą otwartą drogę do sławy i znaczenia. Psy bul-

garskie podniosły bunt przeciw władzy Padyszacha świata. Jutro o wschodzie słońca na czele całéj straży albańskiéj wyruszysz z Izmajłowa, Tatar będzie ci przewodnikiem, wskaże gdzie wróg. Lotem błyskawicy wpadnij na niego, a zniszcz go siłą gromu. Jak będzie potrzeba, ja podążę za tobą. Jutro o wschodzie słońca z całym orszakiem staw się na dziedzińcu zamkowym. » — Aga pokłonił się i wyszedł, a Basza kolejno kazał przywoływać innych przywódzcow swego wojska, i dawał każdemu stosowne rozkazy.

Kirdżali krótko zapowiedział Albańczykom: — « Jutro przed wschodem słońca konie niech będą posiodłane, broń narychtowana. Na trzy dni wziąść jadła dla siebie i koni. O wschodzie słońca wyruszymy w pochód. »— Żaden ust nie otworzył, ani przez myśl mu nie przeszło zapytać gdzie pójdą, po co pójdą; ale wszyscy żywo i z ochotą jęli się do wypełnienia rozkazów. Powinnością żołnierza słuchać, a nie rozważać; wykonywać a nie pytać. Z takiem wojskiem można świat zawojować, jak długi, jak szeroki. Stokroć biada i przeklęstwo temu wojsku gdzie

żołnierz rozważa, a przywódzca przedstawia.— Kirdżali wszedł do swojéj izby, opatrzył broń, przybory wojenne, słudze niewolnikowi kazał wronego konia okuć, a sam jął przechadzać się szerokim krokiem i dumać rozhukaną myślą: Basza jak psa wysyła mnie na łowy. Tatar pokaże ci zwierzynę, a ty tylko bij i morduj. Ludzie co chcą wolności, to psy bulgarskie. Kirdżali tyś zdrajca, odszczepieniec! godzieneś swoję rękę umoczyć we krwi bratniéj, godzieneś pod sztandarem Mahometa walczyć twoich jednowierców, prawowiernych Chrześcian. Poczekaj Baszo. Pole boju, nie twój harem; tam nie masz szatana kusiciela, piękno-licéj niewiasty, tam nie zabłyśnie ciemne oko Selimy, nie ocali ciebie Muzułmaninie. — Zgrzytnął zębem i dziko się uśmiechnął. — Kirdżali ma wąs pod nosem, ma attagan, ma ramię dla wolności, a serce dla wiary. Kiedy trwoga to się modlą, i Selima kiedyś rzekła: «Kirdżali zasłaniaj mego ojca» a potém zapomniała czy żyje jaki Kirdżali na świecie. — Westchnął. — I czemuż ja nie mogę wymazać jéj postaci z pamięci? — Przeszedł się kilka razy, — Wymażę.

Poczekaj dumny Baszo, tyś za moją pomocą zrobił z Albańczykami sprawę i rozprawę; ja teraz za twoją pomocą zrobię sprawę i rozprawę z tobą i z twoimi Muzułmanami. — Już zabierał się wychodzić do miasta, aby porozumieć się z Michajlakim i Wołochami Izmajłowa, kiedy wszedł do izby gość nadzwyczajny, niespodziewany, stary Hakim. Kirdżali zdziwiony roztworzył usta jak do głośnego wykrzyku, rzezaniec przytulił palec do swoich na znak milczenia, a zbliżywszy się oddechem do ucha agi, z cicha mu rzekł: — « Moja pani, piękna Selima, życzy ci zwycięztwa, tęskni za twoim powrótem, przysyła ci podarek: noś pierścień na szyi, on od ciebie niebezpieczeństwo odgoni: noś chustkę na twéj piersi, abyś nie zapomniał o ręce, co ją haftowała. Jeśli ci życie miłe, jeśli chcesz światło dzienne oglądać, to milcz; inaczéj biada mnie, biada tobie. » — Złożył w ręce agi upominek obwinięty w cienką płachtę, i tak szybko wyszedł, że Kirdżali nie zdołał ust otworzyć, ręką sięgnąć, aby go zatrzymać. W osłupieniu stoi, sam niepewny czy to był rzezaniec Hakim, czy widziadło omamienia. Rozwinął płachtę:

złoty pierścień z bagdadzkim szafirem, malowany w czerkieskie amulety, na złotym łańcuchu: biała chustka z delijskiego muślinu, napstrzona złotym haftem misternéj roboty. Patrzy Kirdżali: szlaki obrzucone zwojem róż, po rogach złote słowiki, kochanki wschodniéj róży; we środku dwa serca zetknięte z sobą, pod niemi litery ormiańskie S. M. K; u spodu haftowany napis: « Bóg stworzył miłość dla ludzi,— wielki poeta Sady powiedział. — Serce serca szuka, jak się znajdą to się spoją siłą dijamentu. Ogień śmierci bezskutecznie na nie działa; do Edenu zaniosą miłość, bo to najpiękniejszy dar Boży. » Kirdżali namiętnie całował szyty napis, całował hafty, całował muślin; bo tam wszędzie była ręka Selimy. Zawiesił pierścień na szyi, przyłożył chustkę do serca, i nie poszedł szukać Michajlakiego. Jeszcze w jego duszy grały resztki przedgodzinnego postanowienia, pomyślił sobie: jutro zobaczę co zrobić wypadnie. Tak to zawsze do jutra odkładamy rzecz któréj nie chcemy, albo nie mamy dosyć odwagi wykonać. Młody aga zbywszy wyrzuty sumienia odłożeniem do

jutra, szczęśliwy jak słowik, kochanek róży, kiedy na jéj kwiecie usiędzie i jéj wonią oddycha, siadł myślą i uczuciem na kwiecie miłości, całą noc snił i marzył o ciemnookiéj Muzułmance, o pieknolicéj Selimie.

Od spodu ziemi słońce krwawo wzeszło i rozstrzeliło jaskrawe promienie po nad ziemią. Na obłokach jeszcze księżyc błyszczy, blednie, słania się, kryje zadarte rożki, chciałby wytrzymać blask słonecznego oblicza, a nie może; wstydzi się i do ucieczki zabiera. Na dziedzińcu haremowym albańscy jezdzcy rotami uszykowani stoją, młody aga na czarnym arabczyku w dziwnych skokach przebiega szeregi. Rumak, to zadniemi kopytami ryje ziemię i w górę jak sparzony w szczupakach chlusta, to znowu w skocznym kłusie, nogami z igraszki na wiatr wyrzuca i pląsa jak dziewczę w tańcu. Stanie, grzebie kopytem, podsadza się w miejscu. Wiatr drze na drobne nitki jedwabną grzywę, ogon nastuburczył się jak pioropusz strusi, a z oczu i nozdrzy żar tryska. Kirdżali, choć niby z niechcenia na koniu siedzi, jednak jakby przykuty w siodle, ani na cal nie odskoczy, ani się za

chwieje; niby z niechcenia cuglem kieruje, ale mistrzowską ręką. Na koniu bogate przybory, na Kirdżalim bogate stroje, a w twarzy jego stokroć większe bogactwo namiętności. Albańczycy, janczarowie, rzezancy, wszyscy oczy wytrzeszczyli na młodego agę; a on choć szeregi przebiega, nie patrzy na nie, ciągle strzela okiem na okna haremowego budynku. U niego wzrok sokoli: przez grubą szybę, za odwiniętą zasłoną zajrzał twarz Selimy. Szybko, nagle, rozmówili się z sobą oczyma, i jednem ognistém spójrzeniem zaprzysięgli sobie wieczną miłość. Wyszedł dumny Mehemed na ganek zamkowy, okiem doświadczenia przejrzał szereg po szeregu, jedzca po jedzcu, i kazał poruszyć się. Aga zawinął orszakiem, w kłus, w czwał, w lewo, w prawo; a pięćset jezdzców wykonało te poruszenia tak jednoczasowie, tak szybko, jak gdyby zgryść orzech. Ponury Basza uśmiechnął się nawet tą razą i zawołał: — « Kirdżali, pierwsze to twoje pole w szrankach sławy, pamiętaj abyś nie splamił sławy moich najezdników! » — Aga podniosł miecz do góry na znak że zwycięży, albo zginie, schylił czoło ku grzy-

wie, czy przed Baszą, czy przed dziewicą patrzącą z haremowego okna — niewiadomo, zawrócił konia na zadzie w miejscu jak na talerzu, wjechał na czoło orszaku, jeszcze raz rzucił wzrokiem w tył, i wyruszyli Albańczycy za bramę, a aga na ich czele.

Coż to za roskosz w Kirdżalego sercu! Wie że jest kochanym, a nad to szczęście nie masz większego szczęścia na ziemi. Minęli Izmajłow. Tatar przodem bieży, ku Dunajowi drogę znaczy. Kirdżalego dusza kipi warem niecierpliwości; jednym migiem chciałby dopaść, zwyciężyć wroga, wrócić i złożyć znaki zwycięztwa pod nogi Selimy.

Wiatr wieje od północy ku południowi; ciemno-siny Dunaj pomarszczył swoje wody gęstemi fałdami, zabielił opoczyste brzegi pianą gniewu. Szerokiem korytem na statkach płynie albańska jazda, płynie po krew chrześciańską, po sławiańską wolność; a sławiańscy i daccy wioślarze statkami kierują, i stary Dunaj na swym grzbiecie je niesie — i nie zatopi! Widać że w księdze przeznaczenia napisano:

« Nie wybiła jeszcze godzina zwycięztwa dla wolności i świętéj wiary Chrystusa. »

Statki przyparły do brzegu, jezdzcy na ląd wyskoczyli, uszykowali się w szeregi, i pobiegli brzegiem Dunaju, sylistryjskim szlakiem. Przed sobą miotą kurzawę i za nimi pociągnął się długi tuman kurzu. Trzeciego dnia usłyszeli strzały armatnie, i niebawem ujrzeli kłęby dymu i gorejący grod Sylistryi. Zamek jeszcze stoi, a do niego szturmują zajadłe kupy Bulgarczyków, a w nim się bronią Muzułmanie. Kirdżali przypomniał miejsce swego urodzenia, tęskno mu na sercu. Tatar przewodnik wskazał mu ręką: — « Ago, to wróg naciera, tam bronią się nasi. » — Kirdżali zadrżał, zatrzymał się, już miał na języku słowa: « za wolność bulgarską! za wiarę chrześciańską! » kiedy koń poruszył się pod nim, haft chustki załoskotał go po lewym boku, złoty łańcuch pocisnął w szyję, a postać Selimy w całym blasku piękności, wymalowała się przed oczyma jego duszy. Podniosł szablę nad głowę, krzyknął « Ałłach! Ałłach! Za mną! » i z kopyta kopnął koniem na Bulgarczyków. Albańscy jezdzcy, jak trzoda

djabłów zawrzeszczeli: Ałłach! Ałłach! mieczami błysnęli — cisną boki końskie i w przegony mkną czwałem za agą. Ciemno, mglisto od kurzu, szumno, huczno od tętnienia ziemi, od poświstu powietrza. Bulgarczycy z tyłu z nienacka napadnięci, zmięszali się i poczęli uciekać; oswobodzona załoga wypadła z zamku i połączyła się z Albańczykami Kirdżalego: gonitwa i rzeź trwała aż do ciemnéj nocy. Każdy Albańczyk i za pas i do troków siodła, dziesiątkami nawiązał głów bulgarskich. Basza Sylistryi sowicie okupił pozrębywane głowy: Kirdżalemu dał w podarku dwa ogiery arabskie z sutemi rzędami, dwa tysiące złotych *lewów*, łańcuch z drogich kamieni, i szubę z zielonego axamitu podszytą sobolami.

Dziesięć dni palono i rabowano bulgarskie wioski, a Kirdżali wszędzie i zawsze przewodził słowem i czynem. Skończona wyprawa, sto wiosek w perzynę obrócono, dziesięć worów uszu bulgarskich posłano do Istambułu w darze Sułtanowi. Basza Izmajłowa dostał za przysłaną pomoc dwadzieścia wozów bogatych łupów i dwa tysiące sztuk rozmaitego bydła. Albańczy-

kowie obłowili się w złoto i grabieże; a Kirdżali oprócz darów, okrył się szeroką sławą między Muzułmanami, a u Chrześcian dokupił sobie nową zniewagę i ohydę do dawnych.

Kiedy wracał, w samym Izmajłowie zdybał go jakiś człowiek w łachmanach i zatrzymał, a odwiodłszy na stronę rzekł: — «Stary Kordaki prawdę przepowiedział; dwa razy stałeś się zdrajcą, odszczepieńcem, za trzecim będziesz zbójcą. Zobaczémy się — rachuj na mnie» — i poszedł w swoję stronę. Kirdżali kiwnął głową, ruszył ramionami: «czego ten przeklęty Michajlaki chce ode mnie?» — Wjechał do zamku. Mehemed jak syna go przyjął, do uczty z sobą zasadził, kazał mu podać swój cybuch, i obok siebie pozwolił tytuń palić. Wielka to łaska dumnego Baszy, wielki zaszczyt dla dumnego agi. Inny Turczyn dałby za to swoje życie; ale Kirdżali?.. co mu tam po tém — on nie widział Selimy.



IV.

Goście w Izmajłowskim zamku. Stary Hadży Achmet Basza *Widynia*, przyjechał w odwiedziny do Kiaja Mehemeda. Niegdyś Mehemed na jego dworze, pod jego okiem, ćwiczył się w sztuce wojennéj; teraz on wymaga tejże posługi od Mehemeda dla swego siódmego syna, dwudziestoletniego Hussejna. Rzecz godziwa oddać chleb za chleb. Basza hojnie uracza dawnego swego opiekuna, i uroczyście przyrzekł synowi Achmeta opiekę, córkę jedynaczkę w małżeństwo, i zamożne dostatki na dziedzictwo. Przyrzeczenie chociaż się odbyło między czterema ścianami izby Baszy, jednak doleciało ucha Kirdżalego; bo dobrze mówi stara gadka: że mąż ostatni się dowie o myślach, o zamiarach swojéj żony, ale kochanek pierwszy

dośledzi, co ulubiona knuje, albo co o niéj knują ludzie.

Co się dzieje w Kirdżalego sercu. — Piekło. Sam na sam z sobą, puszcza wolne cugle rozpaczy, nieszczęśliwy dręczy się i trapi, aż od zmysłów odchodzi. Klnie Baszę, sławę, wiarę, ojczyznę, Boga, a nawet Selimę, i to niesie chwilową ulgę jego sercu. W obec ludzi musi taić cierpienie i udawaniem rozdrażniać rozpacz. Dla zakochanego człowieka, który mniema się widzieć nad grobem nadziei, uśmiech ludzki, albo swój własny zmuszony, jest jak powiercenie ostrzem gwoździa w ranie serca.

Daléj wytrzymać aga nie może, lata, szuka Hakima. Szczęściem czy nieszczęściem, o zmroku przydybał go koło haremowych murów ogrodu. Złapał rzezańca za ramię i palce wpoił w zwiędłe ciało: — « Stary! dziś muszę widzieć Selimę, bo inaczéj » — prawą ręką wskazał na attagan. Hakim drży i klęknie ku ziemi: — « To bydź nie może. »

— « Bydź może! Odrzucisz moję prosbę: żelazem poprobuję utorować sobie drogę do niéj. »

— « Szalony! zgubisz siebie, ją, i mnie. »

— « Mniejsza o to, ale zrobię co chcę. »

— « Ago, imieniem Selimy zaklinam ciebie, zatrzymaj się trochę. »

— « Nie. Słuchaj stary, do północy na ciebie czekam, a potém na nic rachować nie będę, tylko na moje ramię i na moje żelazo » — Nagle zdjął rękę z ramienia rzezańca i nagle odszedł, a Hakim oparł się o mur i myślał.

Jutro Ramazan, dzień muzułmańskiego postu, jutro żaden wierny wyznawca Proroka przy blasku dziennym nie wezmie pokarmu w usta; dziś wszyscy karmią się sutą wieczerzą, a po wieczerzy połykają potężne gałki opium owinięte w liść srebrny, aby upojeniem duszy zahartować ciało na głód. Kirdżali ani je wieczerzy, ani opium używa; ze swojéj izby na krok niewychodzi, niecierpliwie liczy chwile do północy, a już spokojniejszy, bo postanowił co ma zrobić. Na pomoc rzezańca nie rachuje, dobrze wyostrzył attagan i czeka. Przygotowywać się na śmierć, rachować się z sumieniem, to rzeczy niepotrzebne dla niego: życia nie kocha, śmierci się nie lęka, — a po

rachunki sumienia od czasu sylistryjskiéj wyprawy zakończył i zapieczętował na wieczne czasy. — Właśnie w chwili kiedy mu na myśl przyszedł Michajlaki i powziął zamiar zasiągnąć jego rady i pomocy, otworzyły się drzwi z cicha i wszedł rzezaniec ze zwiniątkiem pod pachą. Zamknął drzwi, obejrzał wzrokiem po izbie i rzekł: — «Hakim mnie przysyła, przybieraj się ago i chodź ze inną» — i rozrzucił suknie rzezańca. Kirdżali migiem rozbierał się i ubierał, rzezaniec jak na szpilkach stał na podsłuchach. Skończył ubior aga, ale attagan przycisnął pod kaftanem. Rzezaniec błagał: — « tylko cicho, tylko ostrożnie » — i wyszli. Idą dziedzińcem straży: żywéj duszy nie masz; wszyscy na wieczerzy. W bramie haremowéj przechadzał się janczar, popatrzył, poznał rzezańca ogrodnika, i przepuścił o nic nie pytając. Na haremowym dziedzińcu także pustki. Rzezaniec pilnie obrzucał wzrokiem na wszystkie strony, czy nikt nie widzi, otworzył furtkę ogrodu: — «czekaj na mnie; tylko bez szmeru» — i wepchnął Kirdżalego do ogrodu, zatrzasnął furtkę i sam poszedł do haremu.

Swiatło z okien haremowych migoce w oczach Kirdżalego; za mgłą białych obslon, jak cienie przesuwają się postacie ludzkie: czy mężczyzni czy niewiasty, niepodobna rozeznać. Może tam i nie raz Selima się przesunęła, ale przeklęte muśliny zaćmiły przezroczystość szklannych szyb. Noc chłodna, wiatr ostry; ale Kirdżalemu nie zimno, tylko nudno, tylko długo czekać. Padnie liść z drzewa wiatrem strącony, zaszeleści trawa poczesana wiatrem, — dreszcz po żyłach jego przebiegnie i podciśnie pod serce. I znowu się niecierpliwi; bo zawsze czas tak jak żołw lezie dla człowieka dręczonego gorączką oczekiwania. Nareszcie ruch począł ustawać w haremie, i światła jedne po drugich przygasały. Kirdżali postanawia: rzucę się na szyję Selimie, zatopię moje usta w jéj ustach, oddechem zionę w nią moję miłość i z niéj wyssę jéj miłość. Ja umrę w rozkoszy, ale i ona z rozkoszy umrze; a potém...... niech się co chce dzieje. Krew warem przez skórę zda się dobywać, a serce dygocze przyśpieszonym taktem. Klucz głucho zawiercił, furtka z cicha rypnęła, ktoś wszedł i chrząknął; Kirdżali

migiem stanął obok niego. Rzezaniec, bo to był on, ujął agę za rękę na znak aby milczał, i wilczym krokiem weszli do haremu. Drzwi były otworzone: czy izba, czy sień, czy kurytarz, niewiadomo, bo ciemno. Rzezaniec zna drogę, omackiem prowadzi. Kirdżalego jakaś nieznana trwoga przejęła: może rzezaniec go zdradza i jak w sidła prowadzi w ręce Baszy, albo pod miecz szczęśliwego Hussejna? Założył rękę za kaftan, i zapewnił się dłonią że jest attagan. W tém dały się słyszeć głosy męzkie i suwania nóg przywdzianych w papucie. Zatrzymał się Kirdżali i już żelaza dobywał; rzezaniec przycisnął się do niego i szepnął: — « Nie lękaj się, to za scianą, w izbie Baszy; drzwi od haremu już zamknięte » — i prowadził go daléj. Drapali się na wschody i znowu szli po równéj podłodze. Czasem zabłysło ze szpary światło, czasem murkotanie muzułmańskiego pacierza zaleciało do ucha. Adze zdaje się że wiek idzie; a jednak tak mu dziwno na sercu, tak mu tęskno i miło naprzemiany, że chce i nie chce dojść kresu podróży. Stanęli przed jakiemiś drzwiami, bo szparą złote światło błysnęło

w oczy, a wonia drogich kadzideł roskoszą wionęła na zmysły. Rzezaniec drapnął paznogciem trzy razy, drzwi trochę się rozwarły, ukazała się stara niewiasta, wzięła za rękę Kirdżalego, wciągnęła do izby, drzwi zamknęła i zasunęła ryglem.

Kirdżali ów śmiałek miłości, stoi przed Selimą, a trzech zliczyć nie umie, oniemiał, zatrętwiał: I Selima rumieni się, spuszcza w ziemię oczy, i nic nie mówi. Stara Zulma, piastunka córki Mehemeda złośliwie się uśmiecha, patrzy, rusza ramionami i myśli: czy na tośmy ich sprowadzili kosztem tylu trudów, z obawą wielkich niebezpieczeństw, żeby popatrzali na siebie i rozeszli się. Już chciała wyrzec słowo, kiedy Selima odezwała się: — «Kirdżali, czegoś żądał ode mnie?» — Kobiéta mimo wiek młodociany, mimo niedoświadczenie, prędzéj zdobędzie się na śmiałość, znajdzie na podorędziu słówko, uśmiech, ruch twarzy, aby ośmielić mężczyznę, rozplątać splątany język, i przetorować otwor wybuchowi uczuć serca. Kirdżali padł na kolana przed muzułmańską dziewicą, całował jéj nogi, kolana, ręce, i z zapałem po-

wtarzał: — «Selimo, ja ciebie kocham nad życie, nad świat, nad Boga, nad wszystko!» — Dla Selimy słodkie te słowa, słodkie pieszczoty; głosem szemrzącego strumyka rzecze: — «Kirdżali wstań, usiądź obok mnie.» — Kirdżali zerwał się, chciał w pół objąć kibić Selimy, i ogniem swoich ust spalić jéj lica. Zmięszana dziewica wstała z miejsca. — «Kirdżali, co ty robisz! na Boga ciebie zaklinam, uspokoj się.» — Dziko się zaśmiał aga: — «uspokoj się, opamiętaj się! prawdę mówisz córo Baszy. Jam niewolnik, sługa twego ojca, ośmielił się kochać ciebie, przeznaczoną Hussejnowi synowi Baszy. — Uspokoj się!... tak, uspokoję się po mojéj śmierci» — i sięgnął ręką za kaftan. Selima zadumała się, zarumieniła, a potém podniosła dumne czoło. — «Kirdżali, ja ciebie kocham, tajemnicy z tego nie robię; ale ani twoją, ani Hussejna, nigdy bydź nie mogę» — Aga rzucił się jéj do nóg. — «Aniele pocieszycielu! tyś moją, ty moją będziesz na wieki!»

— «Słuchaj Kirdżali, Selimą jestem tylko dla ojca, dla Mehemeda Baszy; ale dla ciebie, dla Boga, Sarą Michaelą, Chrześcianką. Po

narodzeniu się mojem, w oczach matki byłam ochrzczoną, i jéj imiona przy chrzcie mnie dano; po jéj śmierci Zulma mnie wychowała w wierze Chrystusa; zważ czy mogę bydź twoją bez krzywoprzysięztwa Bogu.»

Kirdżali patrzy na nią, — nagle rozpiął kaftan, wydobył wizerunek Matki Dziewicy — «Saro Michaelo, i jam Chrześcianin! Dla ciebie stałem się krzywoprzysiężcą, potępieńcem bożym; ty mnie zbaw!»

Selima krzyknęła: — «Zulmo, Kirdżali Chrześcianin!» — i rzuciła się w jego objęcia. Młodzieniec zacałował usta, oczy, lice i czoło dziewicy; a wiotką kibić tak cisnął do siebie, jak gdyby ją chciał wcisnąć całkiem w swoje serce.

Zulma załamywała ręce: — «Niech was Pan Bóg błogosławi! Niech was Pan Bóg błogosławi!» — W tém otworzyły się drzwi i wszedł rzezaniec: — «Selimo! Kirdżali, już dzień biały.» — Dziewica wyrwała się z objęć kochanka i odskoczyła na bok: — «Uciekaj mój miły!»

— « Saro Michaelo, przysięgaszże mi wieczną miłość ? »

— «Przysięgam» —rzekła Sara Michaela zcicha, i Kirdżali wyszedł z rzezańcem. Zeszli do ogrodu; już dobrze świta; rzezaniec zostawił Kirdżalego w gęstym krzaku i rzekł : — « Siedź tu dobrze ukryty, niepokazuj się, bo zwyczajnie zrana Basza albo jego goście przechadzają się po ogrodzie, póki nadejdzie godzina wolnego wnijścia do ogrodu dla kobiét. Ja pojdę po klucze. » — Odszedł rzezaniec i wrócił w pół godziny, zastał agę w krzaku, otworzył furtkę, przeprowadził szczęśliwie przez dziedziniec haremowy. Aga poszedł do swojéj izby, a rzezaudał się do ogrodowéj roboty.

Już do południowéj modlitwy pienie muezzyna wzywa, Mehemed i stary Achmet padli na kolana, ustami ruszają, pacierze mruczą, i czołami biją na chwałę Prorokowi, na chwałę Ałłachowi. Dziwno wszystkim że do téj pory Hussejna nie widać. Czy na przechadzkę wyszedł ? Czy choroba złożyła go w izbie ? Stary ojciec wszedł do izby : łoże wsunięte w framugę oddawna zastygło. Mehemed kazał szukać przyszłego zięcia; ale

nikt go nie widział. Stary Hakim chodzi po gęszczach i zakrętach haremowego ogrodu i sledzi, czy nie dójrzy gdzie Hussejna.

Leniwo upływała godzina niespokojności dla ojca i dla gospodarza, kiedy wszedł stary Hakim. Przestrach w jego oczach a drzączka na ustach; — « Nieszczęście, biada nam Mehemedzie, potężny Panie; twój gość nie żyje, zamordowany leży w haremowym sadzie, i obok niego zamordowany Hopur rzezaniec, ogrodnik. » — Smutna wieść piorunem raziła Achmeta i Mehemeda. Obadwa wstali i krzyknęli : « Wiedź nas ! » Idą, a raczéj biegną; zapomnieli na ten raz powagi muzułmańskiéj. Nad ruczajem między krzewami jaźminu, leży wznakiem trup Hussejna. Achmet dopadł do niego, podnosi, obraca, i przeraźliwie ryczy; starzec załamuje ręce, targa siwy wąs i brodę, a łza ledwie się wycisnąć może z zaschłego wiekiem oka. Mehemed choć boleśnie, ale spokojniéj rozważa. Widzi w lewym boku Hussejna głęboką ranę pchnięciem zadaną, ale nie sztyletem, bo kaftan i pas poprzeczném natężeniem szeroko przedarte : musi bydź krzywą szablą albo atta-

ganem. Doświadczona to i wprawna ręka zadała cios: od razu do serca dosięgnął; nie długo się męczył Hussejn! Ręce opadłe, usta na pół otwarte, jakby w poczęciu wykrzyku skonał. Czoło jego już zakrzepłe; i krew nawet zaschła na ranie. O trzy kroki od niego leżał Hopur rzezaniec, twarzą do ziemi, zwinięty w kłębek. Ziemia pazurami zdrapana, sześć ran w piersiach i w boku, krew z nich cieknie, a ciało jeszcze przechowało trochę ciepła życia. W podle sztylet skrwawiony — sztylet Hussejna. Mehemed myśli, wnioskuje, a nic wywnioskować nie może. Oprócz Hopura nikt nie miał kluczów do ogrodu; nikt wnijść tam nie mógł: mury wysokie, furta na trzy zamki zawarta. Zbrodzień, musiał zamordować Hussejna, a potém sam się przebił z rozpaczy, ze strachu. Ale gdzie attagan? Szukają, znaleść nie mogą żadnéj broni. Musiał zarzucić gdzie daleko, albo w ziemię zakopać. — Stało się! Tak było napisano w księdze przeznaczenia. — Oderwano rozpaczającego Achmeta od ciała syna, a trupy zaniesiono do komnaty śmierci i przybrano w szaty śmierci.

Okropna wieść doszła do haremu, do uszu Selimy. Biedna dziewica płacze i mozoli się; mówi piastunce: — «Jam przyczyną ich śmierci. Hussejn musiał zejrzeć przyjście Kirdżalego, albo domyślić się: Hopur jego śmiercią kupił wieczną tajemnicę, i sam siebie zamordował. Nieszczęśliwa ja jestem! Ja temu wszystkiemu przyczyną.» — Żulma ją cieszy: — «Nie smuć się moja rybko, nie tyś temu winna; nie nam sądzić boże wyroki. Tak się stać musiało. Zmówmy pacierz, a pociecha wejdzie w twoje serce.» — I uklękły obie, złożyły ręce dłoniami, i poczęły modlić się do Boga Chrześcian, za dusze niewiernych.

Kiedy Kirdżalemu powiedziano o śmierci Hussejna i Hopura, on ani słowa nie rzekł, tylko ostrzył i czyścił swoję broń, zwyczajnie jak dobry żołnierz. W dzień zdybał Hakima, chciał z nim pomówić; ale ten jak od czarta uciekał. Pomyślał sobie aga: Bóg wie co przystąpiło do starca.

Pogrzebiono ciała dwóch Muzułmanów. We trzy dni po ramazanie, Achmet Basza odjeżdżał do Widynia. Przy pożegnaniu rzekł do Mehe-

meda: — «Bóg nie chciał, aby Hussejn był twoim zięciem; przyszlę tobie mojego szóstego syna Abdalę: może jest napisano w księdze przeznaczenia, że twoja Selima będzie moją synową.» — Mehemed skinął głową, przyłożył rękę do serca: — «Hadży Achmecie, co tylko zechcesz, wszystko uczynię.»

Sam Mehemed konno przeprowadzał aż za miasto Baszę Widynia, a Kirdżali aga towarzyszył mu aż do Dunaju. W drodze aga zawodził koniem po swojemu. Achmet patrzył, serce mu się krajało ze smutku, pomyślił sobie: i mój Hussejn tak kiedyś hasał na koniu. On jeden mógłby i w zręczności i w sile wyrównać adze. Potém zbliżył się do harcownika: — «Młody rycerzu, ja ciebie kocham; ty mnie przypominasz syna. Słuchaj, ty byś go kochał, żebyś go znał» — tu westchnął — «i onby ciebie pokochał.. Inaczéj chciały losy! Przyjmij ode mnie w darze jego siwego konia: prawdziwy perski z Kurdystanu. Daj cekina za jego zbroję, żeby ci nieszczęścia ten dar nie przyniosł.» — Kirdżalego twarz dziwnie się mieni, to czerwieni się, to blednie. Podziękował Baszy, dobył i dał

mu cekina, a Basza dodał: — «Ago, proszę cię o przyjaźń dla mego syna Abdali; on wkrótce między was przybędzie. Ago bądź mu przyjacielem.»

— «Będę Baszo, masz moje słowo» — i w téj chwili twarz mu się rozjaśniała promykiem błogiéj ulgi serca. Niebawem przybyli nad Dunaj, aga pożegnał Baszę i wrócił nazad z oddziałem albańskiéj straży.

Wiedzie Albańczyk do Izmajłowa siwego ogiera Hussejna, a na nim przywiązana złocista broń zamordowanego rycerza. Kirdżali ani rzucił okiem na dar, poprawił zawoj, ścisnął boki czarnego konia i mknął go czwałem ku miastu, jakby w przegony leciał z wiatrem. Albańczykowie spójrzeli po sobie i rzekli między sobą: «Opętany to człowiek, młody nasz aga!»



V.

We dwa dni po odjezdzie Achmeta, Kirdżali udał się do mieszkania staréj Arnautki Fariki. Stara Arnautka znana była od wszystkich jezdzców albańskiéj straży. U niéj smaczne jadła, u niéj mocne trunki zakazane alkoranem wiernym synom Mahometa; ona była powiernicą tajemnic, a często bardzo rozstrzygaczką sporów między albańskimi jezdzcami. Wiedziała gdzie się który obraca i co robi po porzuceniu służby u Baszy. Każdy Albańczyk przynosił jéj w daninie dary z łupów nabytych w wojnie; ale ona sowicie to nagradzała. Każdy kupiec Armianin czy Żyd, Fanoriota czy Dak, błagał babę aby uzyskać bezpieczeństwo w czasie podróży. Arnautka odpowiadała: «będę się modlić» — i pewnie wy-

modliła co przyrzekła. Nie była to jednak ani czarownica, ani wróżka; zapierała się porozumień z djabłem, a ciągle powtarzała, że modłami potrafiła sobie zaskarbić wielką łaskę u Boga. Nieszczęście, bieda, nigdy nie zakołotały darmo do jéj drzwi: stara choć napozor uboga, i niemiła z twarzy, zawsze jednak pierwsze słowem pociechy, dobréj rady, drugą hojną jałmużną opatrzyła. Zawistne sąsiadki, jak to zawsze bywa na tym bożym świecie, szkalowały Arnautkę siejąc z cicha wieści, jakoby ona żywiła w swym domu rozpustę, i dawała przytułek zbrodni. Bądź co bądź, te szkalowania nie zrodziły pożądanego owocu; bo jedni bali się staréj, drudzy ją szanowali, a wszyscy zwali ją poczciwą staruchą, matką albańskiéj straży.

Mrok szary już dawno zapadł, ani xiężyca, ani gwiazd nie widać. Pan xiężyc musiał tam gdzieś zahulać na biesiadzie z pannami gwiazdami: im dobrze, wesoło na pohulance, a ludziom i ziemi tęskno, markotno bez nich. Gdzie niegdzie z budynków, przez wązkie okna, ciekawe światełka wyzierają. I one teraz ładne, wdzięczne; bo dobrze to stare przysłowie mówi: na

bezrybiu i rak rybą. — Kirdżali minął cerkiew Swiętego Jana, przybytek wiary, gdzie niegdyś Chrześcianie przychodzili kłonić czoła, pokorzyć dusze przed Bogiem, Chrystusem, Matką Dziewicą i Swiętemi Pańskiemi, a gdzie dziś Muzułmanie składają jęczmień i słomę dla wojennych rumaków. Przed laty Kirdżali sarkałby gniewem na tę obelgę wyrządzoną świętéj wierze Chrystusa; teraz ani pomyślał o tém: zwrócił się w ciasną uliczkę, i niebawem stanął przed ubogą chatką, mieszkaniem staréj Fariki. Zakołatał pięścią, raz, drugi, za trzecim tak silnie palnął nogą, że aż zawiasy kraknęły. Już zabierał się do wysadzenia drzwi, kiedy usłyszał stąpanie w sieni, i przez szparę mignęło zbliżające się światło. Stara Arnautka zgarbiona, z latarką w ręku, otworzyła drzwi. — «To ty, młody ago, tak się niecierpliwisz!»

— «Stara matko, nie godzi się swoje dzieci jak psy przede drzwiami trzymać.»

— «Chodź panie ago,» i brzdąknęła pod nosem: «bogdajbyś ty był mojem dzieckiem» — i weszli do izby. Ubogo, żadnéj ozdoby na ścianach. W miejscu dywanów radna na podłodze;

ale ciepło: w kominie silny ogień jak w hucie płonie. — «Usiądź, zagrzéj się panie ago,» rzekła stara siadając po muzułmańsku koło komina. «Cóż tam słychać w zamku Baszy, jakieś zabójstwa, dziwne przygody?» — i oczyma głęboko zatopionemi między kości głowy spójrzała na agę tak bystro, tak przenikliwie, jak gdyby chciała na wskróś przewiercić jego myśli, i wyrzucić na jaw najskrytsze tajnie jego serca. Potém szyderczy uśmiech zawałęsał się po fałdzistych zmarszczkach twarzy. «Cóż to za przygoda wprowadziła cię w moje progi? Gość z ciebie rzadki, niewidziany. Czy można ci służyć jadłem, napojem?»

Kirdżali badawczy wzrok Arnautki powstrzymał na wodzy dumą swojego wzroku; nie zmięszał się, nie spuścił czoła, ale obejrzał okiem po izbie: — «Fariko, nie masz u ciebie nikogo w chacie?»

— «Panie ago, czy kogo z rozkazu Baszy przyszedłeś szukać u mnie?»

— «Nie, z własnéj woli.»

— «No kiedy tak, to ci powiem że żywéj duszy tu nie masz, oprócz Cyganki Dżengi, i

ta jak zabita śpi, napracowawszy się nad kądzielą.»

— «Ty wiesz gdzie Michajlaki?»

— «Wiem, albo nie wiem.»

— «Michajlaki mówił, że u ciebie się o nim dowiem.»

— «Kiedy tak, to mów czego chcesz.»

— «Widzieć się z nim, i to natychmiast.»

— «To bydź nie może, on ztąd daléj jak do waszego zamku.»

— «On przyrzekł przybydź na moje zawołanie.»

— «I przybędzie.»

— «Kiedy?»

— «Czekaj» — i tu poczęła zaginać palce, cóś pomrókiwać i łypać oczyma, jakby tych wszystkich ruchow potrzebowała do ulżenia pracy umysłowi — «dwa.... trzy.... dwa.... za siedém dni o téj porze tu go zastaniesz.»

— «Za siedém, jeszcze czas. Dziękuję ci matko Fariko.» Wstał i zabierał się wyjśdź. Stara ciekawie mu się przyglądnęła: «i nic więcéj nie żądasz?»

— «Nic. Dobranoc ci matko.» Otworzył

drzwi, stara się podniosła, wzięła latarkę, przyświeciła drogę, a zamykając drzwi od podwórza pomyślała: zrobił krok naprzód, nie czas się już cofać: on z tych ludzi, co coraz daléj brną. — Dumny, ale my go ujeździmy. I koń tatarski dziki, a jednak Tatar i z uzdeczką i z siodłem go oswoi. Im rzecz trudniejsza, tém skutek pożądańszy i milszy.

W zamku Baszy smutno, głucho, jednostajnie. Mehemed jeszcze nieznośniejszy jak był dawniéj: ludzi nienawidzi, nawet od Selimy stroni. Podwładnym da rozkaz, skinie ręką, i patrzy aby wykonana była jego wola. Jak nie; — u niego jest bułatny miecz dobrze wyostrzony, u przestępcy szyja na ramionach. — Stary Hakim nawet sponurzał, zodludniał: ile razy Kirdżalego zobaczy, to odwraca oczy; ile razy spotka, to wstecz się cofa, albo w stronę odskakuje jak od psa wściekłego, jak od djabła. — Co się dzieje z Selimą, trudno wiedzieć. Od czasu śmierci Hussejna, furtka ogrodowa na wieki zabita, a okna haremowe od dziedzińca zamurowane cegłą. Żadnym słówkiem Mehemed ani córki, ani żadnéj z odalisek o nic nie posądził;

ale tak kazał, i tak się stać musiało: pewnie i mnogie wiekiby przeszły, i świat by się skończył, a niktby nie śmiał zapytać Baszy o przyczynę ostróżności. — Młody aga jak gdyby chciał czas zabić, niecierpliwość duszy upoić szałem zmysłów, ciągle harcuje na swoich koniach. Albańscy jezdzcy zauważali, że kiedy dosiada siwego persa, dar Achmeta, to zadrży i zczerwieni się nim włoży nogę w strzemię, a dosiadłszy ciągle bodzie boki kolcami strzemion, choć rumak i tak z natury ognisty jak w ukropie skąpany; targa munsztukiem aż podniebienie łamie, choć rumak tak wyrobiony w pysku, iż dałby się snadnie powodować na nitce jedwabiu; dopóty zaś z niego nie zsiądzie, dopóki koń i on sam nie zhasają się do upadłego. Jedni mówią: kochał Hussejna jak przyszłego towarzysza, przypomnienie serce mu rozkrwawia, a rozkrwawione serce w niedostatku innéj pomsty, pobudza gwałtownego agę do pastwienia się nad koniem zamordowanego pana. Drudzy powtarzają: Kirdżali nienawidził Hussejna, jako współzalotnika do łask Mehemeda, do sławy wojennéj, w gorącem jego sercu namię-

tność żadnych nie ma granic, nienawiść jaką wykarmił dla pana, przelał i na jego konia. Przyczyna tego znęcania się najlepiéj Kirdżalemu wiadoma, ale on o niéj nikomu nigdy nie powiedział. Stary-Hakim może także cóś wiedział, bo ile razy ujrzał męczarnie siwego rumaka, to choć rzezaniec, gniewem się zapalał, iskrzył oczyma, trząsł głową, zżymał ramionami, ale ani słowa nie rzekł — tajemnicy nie wydał.

Siedm dni upłynęło nareszcie, przyszedł szary wieczor, Kirdżali śpiesznie się udał do chaty staréj Fariki. Tą razą nie stał przede drzwiami, nie stukał długo; nie stara je otworzyła, ale Michajlaki uściskał agę oburącz i wprowadził do izby. Nikogo w niéj nie było: — «a co Kirdżali, umiem dotrzymać słowa? Czy do reszty sprawdziła się przepowiednia Kordakiego; to djabeł był nie stary.»

Zrumienił się Kirdżali, zająknął się: — «Arnauto, jam nie zbójca.»

— «Ja ciebie nie oskarżam; tak to sobie powiedziałem. Ale czego ty chcesz, mów, czas drogi.»

— « Michajlaki, ja kocham córkę Mehemeda, Selimę. »

— « To proś Baszy aby ci ją dał za żonę. »

— « On nie da: obiecał jéj rękę Abdali, szóstemu synowi Achmeta. »

— « Abdalę można tam posłać gdzie posłano Hussejna; niech się bawią z Huryskami, a ty weźmiesz Selimę. »

— « Achmetowi zostanie jeszcze pięciu synów. »

— « Przy dobréj woli i tych pięciu można posłać do Edenu, albo do Dżehemenu, tam gdzie się któremu powędrować podoba. Życie ludzkie nie kosztuje więcéj jak jeden mach, jeden sztych. Wszak prawda Kirdżali? »

— « Prawda » — tu się zamyślił. — « Ale inni Baszowie mają synów. »

— « A my mamy attagany, kindżały i ręce; a kiedy trzeba to i janczarka albo pistolet ołowiem plunie w oczy. »

— « Michajlaki, ty ze mnie żartujesz, to długa droga. »

— « Wskaż krótszą. »

— « Ja zbuntuję albańską straż, ty porozu-

miéj się z ludem: uderzymy na zamek, zamordujemy Baszę, a potém.... »

— « Dosyć panie ago, do razu sztuka; nie złapać starego wróbla dwa razy w samotrzask. My się zbuntujemy, do ciebie Basza przemówi, Selima się powdzięczy, i ty pójdziesz nas bić. Zresztą ja znam twoich Albańczyków, na pole bitwy pójdą za tobą, do spisku wciągnąć się nie dadzą: rzecz wiadoma żeś bez czci, bez wiary. — Nie gniewaj się, ja twój przyjaciel, służyć ci gotowém. »

Kirdżali zgrzytnął zębem: — « Znajdź sposob abym ja miał Selimę. »

— « Poczekaj, poradzę się ze starą; ona rozumniejsza jak ja. »

— « Radź się i z djabłem, wszystko zrobię co zechcesz. »

— « Co temu to wierzę, » — uśmiechnął się szyderczo i wyszedł do drugiéj izby. Kirdżali stał przed kominem i wlepił wzrok w płomień ognia, a myśli buchają do głowy jak płomień w wylot komina.

Wszedł Michajlaki: — « Bądź spokojny, Fariki obiecuje ci usłużyć. Trzeba abyś tu do północy

został : chodź ze mną do téj izdebki; nie znudzimy się » — Wprowadził go do maleńkiéj izdebki będącéj naprzeciw téj, gdzie się znajdowała stara Fariki z służącą Cyganką; a nim Kirdżali usta otworzył, już on postawił stół na środku, przykrył obrusem, z zapieca wyciągnął pieczone prosię na glinianéj misie, z kąta flaszę z wołoskim winem, i szklanki : — «to najlepsi swiadkowie tajemnicy, bo nieciekawi i niegadatliwi» — Nalał wina w szklanki : — «Twoje zdrowie Kirdżali, niech się święci pamięć Kordakiego i jego słowa» — Kirdżali wziął szklankę — «za twoje zdrowie Michajlaki, powiedz mi kto jest ta stara Fariki, czarownica czy szatan?»

— «Kobiéta z ciała i kości, jak ty i ja, ale ma rozum : Pana Boga chwali, a z djabłem się nie wadzi. Zobaczysz to zaraz. » — Ani słowa więcéj nie można było wyciągnąć z ust Arnauty o staréj. Kirdżali pił i niecierpliwił się. Kiedy drzwi rypnęły w drugiéj izbie, Michajlaki wskazał na szparę : — «Patrz tam, więcéj zobaczysz jakbym ja ci powiedział» — Kirdżali przyłożył oko do szpary, i jakież nie było jego podziwienie, gdy zobaczył siedzących koło

pieca, starą Arnautkę z rzezańcem Hakimem. Zmienił oko na ucho, ale nie mógł dosłyszeć, tylko brzmienia niewyraźne: rozróżnił jednak z pomiędzy nich imiona . Hussejn, Hopur, Kirdżali, Selima. Po półgodzinnéj gadance wyszedł rzezaniec, Arnautka wyprowadziwszy go wróciła, pochodziła po izbie, potém otworzyła drzwi do izdebki: — «Panie ago, będziesz miał twoją Selimę, ale wynoś się z nią daleko, bo gniewowi Mehemeda ja zapory nie żdołam postawić. Michajlaki znajdzie ci schronienie.»

— «Matko, jakim sposobem, ja osiągnę szczęście!» i chciał uściskać starą.

— «Nie tak gwałtownie, mój panie ago. Zostaw nam całą rzecz. Ty o zmroku bądź z dwoma końmi naprzeciw wielkiéj wyspy; tylko dobrze zbrojny i dobre miéj konie, bo będzie pogoń. My z Michajlakim resztę ułożymy.»

— «Chciałbym bydź w niebezpieczeństwie.»

— «Nie minie to ciebie, doznasz go wraz z Selimą: wiedz zaś o tém, że kto chce abym mu podała rękę pomocy, trzeba żeby zupełnie zdał się na mnie i słuchał: inaczéj ja mu ją cofam.» — Zgryzł wargi Kirdżali, pomyślał

sobie : stara djablico nauczyłbym ja ciebie, gdyby to nie szło o Selimę, — i nic nie rzekł; stara zaś daléj mówiła : — «Teraz panie ago, ruszaj do siebie, bo nie trzeba aby ciebie widziano wychodzącego z mojéj chaty. O świcie spij spokojnie, a o zmroku pamiętaj.»

Dumnie wzniosł czoło Kirdżali : — «Arnautko ja ci nagrodzę złotem twoję posługę.»

— «Schowaj je dla siebie, ja i sama sobie potrafię nagrodzić, znajdę sposoby; a teraz idź, bo już dawno kury przepiały północ.»

Kirdżali kiwnął głową zniechcenia na znak pożegnania, i wyszedł. Stara się rozśmiała : — «Patrz Michajlaki, sroży się jak byk, kiedy mają na niego wkładać jarzmo; przyjdą czasy że mu szyja wyprzeje pod jarzmem.»

— «Matko, wątpię abyśmy go mogli zaprządz do jarzma; on nie zrodzony do słuchania rozkazów.»

— «Niech wam rozkazuje, niechaj was słucha, to mnie wszystko jedno, byle był z nami, byle się sprawdziły słowa Iwoniego. A teraz dobranoc Michajlaki, spocznijmy przed pracą,

o świcie trzeba się wziąść do roboty» — i oboje poszli na spoczynek.

Kirdżali do świtu przechadzał się pod murami zamku, o świcie wszedł w bramę, nikt nie śmiał zapytać zkąd wraca młody aga. Gdzie mu tam w głowie spoczynek! Na jedném miejscu ani ustać, ani usiedzieć nie może, ciągle się przechadza. Zdybał Hakima, chciał z nim mówić, ale rzezaniec odwrócił się ze wstrętem i natychmiast wszedł do haremu. Aga rzekł do siebie: pojąć nie mogę tego człowieka, tych ludzi. Ale niech się dzieje wola losu; brnijmy póki czas nie przyjdzie powiedzieć, dosyć.—Zawołano go do Baszy. Mehemed ponuro, ale łagodnie mu powiedział: — «Kirdżali, po południu wyszlesz poczty albańskie o cztéry mile na szlak ku Widyniowi. Jutro rano niechaj spotykają ze czcią należną Abdalę syna Achmetowego, przyszłego mojego zięcia.» — Kirdżali skłonił czołem i wyszedł. Gdyby Basza w téj chwili podniosł był wzrok na agę, aga nie uniosłby życia za prog haremowy; bo kiedy Mehemed mówił o zięciu Abdali, na twarzy Kirdżalego nagłym odblaskiem skrzyżowały się gniew, nienawiść i zaprzy-

siężenie zemsty, a z oczu jego strzeliło naigrawanie się chełpliwéj dumy. Szczęściem dla kochanka, nieszczęściem dla ojca, Mehemed tą razą po dawnemu trzymał wnurzone oczy w ziemię, a Kirdżali wyszedł gotować podarek wdzięczności swojemu muzułmańskiemu dobroczyńcy.



VI.

Czekać — złowieszcze słowo zakochanemu sercu. Czekać i wszystko wiedzieć, i bydź pewnym, a jeszcze nudno i smutno, zwłaszcza w przybliżaniu się chwili stania się; bo wtedy czas najleniwszy, a chęci najgorętsze. Ale czekać, nic nie wiedzieć, na ludzi, na grę wypadku wszystko spuścić, ślepemu losowi w ręce się powierzyć, i na omac grać myślą z tém co za kilka godzin będzie, co nagłą zmianę losu zrządzi, co szczęście albo nieszczęście w podziale przyniesie — to męczarnia! od któréj sroższéj trudno wymyślić na ziemi.

Kirdżali daje rozkazy albańskim jezdzcom: kazał obadwa konie swoje osiodłać, niby przez troskliwość aby rumaków nie zmęczyć i wszyst-

kie poczty obiedz raz jeden i drugi. Patrzy na słońce: jeszcze wysoko! Wpadł do izby, broń opatrzył, co miał najdroższego wszystko na siebie przywdział, trzos złotem naładował, w kieszenie szarawarów prochu i kul nakładł, przez plecy przewiesił burkę, i wyszedł. Niepokoj duszy ciężarem ołowiu ciśnie mu na serce, myśl dręczy się między obawą a nadzieją; jednak czoło jego ani na włos z dawnéj dumy nie spuściło, hardem okiem po orlemu rzuca, a piękną postawą panoszy się przed ludźmi i przed słońcem. Niedługie lata młody aga przeżył; ale nie leniwym haustem pił z kielicha czasu trunek doświadczenia: wie że kto chce swoje zrobić, motłochowi rozkazywać, najczęściéj powinien nakazać barwie twarzy, dzwiękowi słów, iść na opak uczuciom serca. — Popatrzył na słońce: już na południu stanęło. Krzyknął na albańskich jezdzców na koń, i sam dosiadł czarnego rumaka. Arnauta służby wiodł za nim luzem siwego persa w całym przyborze. Rzecz dziwna! tą razą aga nie poharcował koniem ani na dziedzińcu, ani w bramie. Stępo przejechał miasto, a uszedłszy ćwierć

mili, siwego rumaka zostawił koło chaty rybackiéj, po nad Kulugiery jeziorem, Arnautę przeznaczył do jednéj z poczt, i co żywiéj z oddziałem kopnął wzdłuż Dunaju szlakiem ku Galacowi, rozstawił poczty aż do Kislicza, i sam jeden wrócił na powrót.

Już słońce zasunęło się za ziemię, tylko czubem jasnego oblicza jeszcze złoci od zachodu buro sine krawędzie nieba. Kirdżali wziął za cugle luźnego rumaka i pokłusował po nad Dunaj. Nad miastem jak opar wiosenny wila się mrok wieczoru, a powietrze dźwięczy rozgłosem pieśni izanu. Stanął Kirdżali po nad samą wodą naprzeciw wyspy, skrył konie za krzakami gęstéj łozy, owinął się w burkę, prawą rękę do rękojeści attaganu przyłożył, a wzrokiem zarzucił ku miastu. Jeszcze widno, rybacy z sieciami od rzeki wracają, Tatar dzikim krzykiem popędza tabun koni od wodopoju, a Mołdawianie jak mrówki z obłowem, z plecami obładowanemi chmyzem spiesznie dążą ku miastu. Gdyby mógł aga, żelazemby wyplenił snującą się gromadę niepotrzebnych świadków. Złorzeczy rodowi ludzkiemu czemu się już nie

układł snem spoczynku, złorzeczy niebu czemu się ze zmierzchem opóźnia. Nadarmo złość, nikt go nie usłucha, i niebo i ludzie nieprzekraczają porządku czasu. Nareszcie zmierzchło: kopuły minaretów, dachy budynków, i wały miasta poczęły tonąć w ciemnych warstwach widokręgu. U Kirdżalego w łonie, serce kołace przysporzonym ruchem, a krew jakby dreszczem zacierpa po żyłach. Téj jednéj chwili przeliczył i przebolał wszystkie dolegliwości oczekiwania. Już pomyślał sobie: nic z tego nie będzie, — kiedy ujrzał jakąś kupkę ludzi. Biegną od murów miasta i cóś niosą — to oni. — Poskoczył żywo, gwizdnął z cicha — odgwizdnięto: to oni! Michajlaki. — Zbliżyli się, złożyli ciężar na ziemi i uciekli ku Dunajowi; jeden pozostał: to Michajlaki. — «Kirdżali bierz ją — żywo do koni — uciekajmy!»

Aga porwał na ręce Selimę i ciśnie ją do łona: — «Aniele mój, uspokoj się.» Ona osłabła, omdlona, na wpół otworzyła oczy: — «ratuj mnie!» -- i znowu zwarła powieki. Kirdżali wkleił swoje usta w usta dziewicy, chciałby bezprzerwanym pocałunkiem przestrach wygo-

nić z jéj serca. Michajlaki za burkę go pociągnął: — «gdzie konie? Uciekajmy, za chwilę nie będzie już czas.»

Ocknął się aga, skoczyli za krzaki i migiem dosiedli koni. Kirdżali przed sobą na siodle trzyma Selimę: prawą rękę oplotł dokoła gibkiéj kibici, burką ją okrył, a twarz dziewicy ciśnie i grzeje swojemi ustami; lewą ręką ujął cugle: — «Michajlaki wiedź nas» — i pomknęli z miejsca. Michajlaki przodem bieży, a Kirdżali za nim tuż tuż sadzi. — «Saro Michaelo, moje niebo, mój świecie, przebacz mi!» — Ona już przyszła do siebie, drży i tuli się do piersi swego porywcy. Poznała go po głosie, po twarzy, oczyma, sercem: — «Kirdżali ratuj mię; oni mi życie chcieli wydrzeć.»

— «Uspokoj się o luba, Kirdżali twój z tobą; ani włos ci z głowy nie spadnie. Saro Michaelo, ja cię kocham nad życie.»

— «Kirdżali, ja ciebie kocham, wróć mię ojcu» — On jéj odpowiada gorącemi pocałunkami, a wronego konia bodzie kolcami strzemion, bo Michajlaki przyśpieszył biegu, a siwy pers ma chyży i szeroki skok. Ciemno, xiężyc i

gwiazdy jakby w zmowie z Kirdżalim, nie pokazały się na niebie. Po szerkotaniu szuwaru poznać można że bez drogi pędzą, a po ostrym wietrze od wschodu że kołują zachodnim brzegiem jeziora. Przestraszone gęsi na gwałt gęgają po oparzeliskach, a wilcy powykując uciekają w step, bo mroźna ziemia huczno tętni pod kopytami rumaków, szumny, huczny a dziki rozgłos hula po powietrzu. Wiatr poświstuje podle uszu jezdzcom, burzany chrupoczą i łamią się pod kopytami końskiemi. Dziewicy i straszno i miło. Dokąd pędzi? tego nie wie; w czyjem objęciu? — w kochanka. Nic nie mówi, a co myśli nie wie sama: porwanie, pęd konia, pieszczoty kochanka, splątały osnowę myśli tak, iż w głowie i sercu wszystko szaleje bezładnie, namiętnie. Skokami sadzą ogniste rumaki, jakby djabeł im po krzyżach łoskotał. Kirdżalego myśl płomieniem miłości bucha, jak gdyby serce zajęło się pożarem: szczęśliwy, chciałby tak całe życie lecieć, bynajmniéj się tém nie frasuje co kiedyś będzie, co dziś jeszcze stać się może. Michajlaki za niego i nad niemi czuwa, a wrony koń ich niesie; czyż nie dość

tego upojonemu szczęściem adze? — Pędzą i pędzą, zwrócili się w lewo, jeszcze czas jakiś stepem biegli, mijali drogi i parowy, kopali orném polem, nareszcie wpadli w las. Tu Michajlaki ścieszkami w zygzak się wywijał, a zawsze czwałem. Pies zaszczekał, maleńkie światełko w dali błysnęło, Arnauta zawołał: «tu spoczniemy» — przybiegł, zlazł z konia, otworzył wrota, i wjechali na dziedziniec. Zastukał do drzwi, wyszła stara besarabska niewiasta.

— «A gdzie bojar?» zapytał Michajlaki.

— «Jeszcze nie wrócił, panie Arnauto.»

— «Przywożę wam gości, daj nam ognia i czém się posilić, o reszcie ja pomyślę.»

— «Wszystko gotowe, wejdźcie do izby.»

— «Wejdź Kirdżali, ja konie zaprowadzę.» — Kirdżali wniosł do izby Sarę Michaelę i złożył ją na ubogiem, ale chędogiem łożu. Dziewica miłośnie patrzy na kochanka — «Kirdżali wróć mię ojcu: on mnie jednę tylko miał na świecie.»

— «I ja ciebie tylko jednę a jednę mam na świecie. Chyba ciebie z życiem mojem mi wy-

drą. Saro Michaelo nie żądaj mojéj śmierci: ja ciebie kocham jak nigdy człowiek nie kochał» — i kląkł koło łoża, całował nogi, ręce, szaty, a twarzy dotknąć nie śmiał. Jéj żal, i smutno i rozkoszno widzieć tyle cierpień, tyle miłości zarazem.

— «Kirdżali, wstań, nie lękaj się; padnę do nóg ojcu, u niego serce nie z kamienia, on nas połączy.»

Dziko rozśmiał się aga: — ciebie z Abdalą, a mnie ze śmiercią. Chcesz? — jedziemy natychmiast do Izmajłowa, moja głowa gotowa spaśdź na twoje skinienie. Co mi po niéj bez twojéj miłości, bez ciebie.» — Powstał, a gwałtowna rozpacz jeszcze więcéj blasku dodała jego krasie w oczach kochanki.

— «Nie Kirdżali, nie rozpaczaj; ja ciebie kocham, za tobą i na kraj świata pójdę» — Łza błysnęła w jéj czarném oku. Kirdżali otarł łzę swojemi ustami, i pieścił lubą jak matka dziecko. I ona go pieściła. Serca dwojga kochanków, nie słowami, ale pocałunkami i oczami rozmawiały z sobą, tak długo póki dziewica zmożona trudem i uczuciem nie usnęła słodkim i czys-

tym snem anioła. Kirdżali przykląkł przy łożu, zwieszony nad jéj twarzą poruszyć się nie śmiał, oddech nawet wstrzymywał. Besarabka wyszła, a Michajlaki siadł przy kominie i patrzył to na kochanków, to na ogień, kiwał głową i zżymał ramionami; czy sen odpędzał, czyli też z litości nad agą, że w jednéj chwili tak zmarniał, zniewieściał, jak gdyby całe życie w haremie na posługach odalisek, nie zaś na koniu i z bronią w ręku przepędził.

W zamku izmajłowskim trwoga, zamieszanie, popłoch. Basza to rozpacza, to się sierdzi, a cała czereda służalców i niewolników drży, aż krew w piętach zastyga. O samym zmroku Selima w lektyce udała się do łaźni, z nią było sześć niewiast służebnic i dwunastu rzezańców zbrojnych. Już ku nocy się zbliża, a nie powraca. Posłał Basza starego Hakina do łaźni: tam ani słychu, ani wieści o Mehemedowéj córce. — Janczarowie z pochodniami po mieście się rozbiegli, sam Basza dosiadł rumaka, i na czele spahów przebiega ulice. Koło kościoła Swiętego Jana znaleziono lektykę próżną, a

wkrótce po zaułkach i po pod domami pozbierano na pół umarłych ze strachu rzezańców, i niewiasty nierade że ich nikt nie porwał. Wszyscy zgodnie mówią: jacyś zbrojni ludzie na nas nagle wpadli, pobili, rozpędzili, i porwali Selimę naszę panią. Co z nią zrobili, gdzie zanieśli, tego nie wiemy. Mehemed w pierwszym poskoku gniewu, kazał wszystkim rzezańcom łby pościnać, a niewiasty zaszyć w wory i w wielkiéj rzece potopić. Rzekł — i stało się — a po tém żałował; bo kto wie czy po ochłonięciu z przestrachu nie wskazaliby gdzie i jak szukać porwanéj: a teraz ani weź, gdzie się podziała i kto ją porwał. — Hakim pobiegł do staréj Arnautki, łaskę Baszy obiecywał, pieniądze, podarki dawał, byle powiedziała, czy nie wie czego o porwaniu. Prosił by się modliła o wyszukanie dziewicy Mehemedowéj. Stara klęła się że o niczém nie wie, ani wiedzieć może; modlić się przyrzekła. Wrócił smutny Hakim, a Mehemed rzekł z gniewu: — « Nie masz mego Kirdżalego, onby i z piekła dostał moją dziewicę. » — Nakazał szukać jeszcze po mieście, i za miasto na wszystkie szlaki wysłał oddziały spahow. Ta-

tarów w gońce pchnięto do sąsiednich Baszów z doniesieniem o nieszczęściu, z prośbą o pomoc.

Nazajutrz dzień rozwiązała się torba z wieściami. Jedni mówią: widzieli ludzi przeprawiających się w czółnach na prawy brzeg Dunaju. Basza zaraz tam rotę janczarów posłał z rozkazem, ażeby bej dowódzca Tulczy, rozesłał spahów na bulgarskie szlaki w pogoń za porwaną dziewicą. Drudzy widzieli jezdzców pędzących ku Tobakowi. I tam posłano spahów. Nareszcie byli tacy, co słyszeli tętent w stronę Kilii, i co widzieli statek szparko pędzący z ujściem Dunaju. Basza wysłał trzech Tatarów do Kilii z rozkazem, aby jak wiatr tam lecieli, a który pierwszy z nich dopadnie, ten dostanie sto lewów złotych i dwa najdzielniejsze bachmaty ze stad Mehemedowych; kto zaś zgubę znajdzie, będzie miał co tylko od Baszy zażąda, choćby wszystkich jego dostatków. Przed południem przybył Abdala i z nim cały oddział albańskiéj straży. Abdala w oczy nie widział agi, i nikt z jezdzców albańskich nie umie powiedzieć gdzie się podział. Stary Hakim będąc sam na sam z Mehemedem, rzekł: — «Panie, mówiłem

ci, karmisz gadzinę w swoim domu.» Mehemed kiwnął głową: — «Kochałem go jak syna. Hakimie, i tyś go dawniéj kochał: od śmierci Hussejna pokłóciłeś się z rodem ludzkim» — zamyślił się. Człowiekowi dumnemu i w największéj zgryzocie bolesno przyznać, że się zmylił w swojém zdaniu. — «Hakimie, nie sądźmy przed czasem, nie potępiajmy bez winy. Ja jednę córkę miałem, jedno szczęście na świecie, i tę mi wydarto» — Tu dumny Basza stał się ojcem i zaczął płakać. I stary Hakim płacze, bo w téj chwili przypomniał sobie, że Mehemeda dziecko przez niego wypiastowane: — «Wszemmocny Ałłachu! Wielki proroku! daj aby zbrodzień co nas osierocił, tyle lat w zgryzocie sumienia przeżył, ile kropel łez oba w téj chwili wylewamy.» — Mehemed porwał się: — «Hakimie, nie klnij: nieszczęście zbrodniarza będzie nieszczęściem mojego dziecka.» — Otarł łzy, kazał konie kulbaczyć i razem z Abdalą na czele mnogich najezdników wyjechali z Izmajłowa: Mehemed szukać córki, Abdala gonić za oblubienicą; ojciec odzyskać stracone szczęście, narzeczony schwytać zbiegłą nadzieję.

VII.

Ledwie parę godzin spoczęła Sara Michaela, a już dzień zabielał, i słońce rano wstało, i blaskiem cisnęło się na izbę, a złote promienie na obmarzniętych szybach drżą i migocą żywem światłem jak na wyszlifowanych krawędziach brylantu. Przebudziła się dziewica, patrzy — nie poznaje — marzy — przeciera oczy — Spojrzała do koła siebie : Kirdżali na klęczkach, nie zdrzémał nawet ani chwili ; czuwał nad nią.

— « Gdzie ja jestem ? »

— « Tu, z twoim kochankiem, z twoim niewolnikiem, z twoim sługą. » Powstał i chciał ją ująć w uściski.

— « Kirdżali, gdzie mój ojciec ? » i taką czułością zabłysły ciemne jéj oczy, że Kirdżalemu zabrakło odwagi do uścisku, opuścił ręce.

— « On żyje i zdrów. »

— « Wróć mnie jemu. »

Zczerwienił się młodzieniec. — « Przysiągłem ci wczoraj, że jak zechcesz, zawiozę ciebie do Izmajłowa i oddam moję głowę pod miecz katowski — Albo nie! tu, w tém miejscu umrę » — i chwycił za attagan.

— «Kirdżali! uspokoj się. Modlmy się.» Wstała z łoża, klękła i w głos zaczęła się modlić za ojca, za Zulmę, a nawet za starego Hakima. I Kirdżali kląkł, żegnął się krzyżem świętym, bił się w piersi. Po trzech latach zaniedbania świętéj wiary, z całą szczerotą serca modlił się słowami chrześciańskiémi do Boga Chrześcian; bo dziewica anioł jego zbawienia, miłością wskazała mu drogę prawdy. Przez czas téj uroczéj chwili dla dusz kochanków, Michajlaki spał pod piecem gdyby zabity : czy sumienie u niego tak czyste, czy zbrodnia przepełniła miarę — Bogu to tylko i jemu samemu wiadomo; bo na tym świecie niewinność dziecięcia i zbrodnia zbójcy, nieznają zgryzoty, frasunku, i śpią jednym i tymże samym snem twardego spokoju.

Skończyli modły i wstali. Sara Michaela rze-

kła: «już ja teraz twoją» — i rzuciła się w jego objęcia; on ją uścisnął: — «moją, moją na wieki.» — W tém pies zaszczekał na dworze, Kirdżali za broń porwał, Michajlaki się ocknął i nagle stanął na nogi, oczy otworzył, ręką za attagan chwytał, jak gdyby nigdy nie spał. Oj to nie obudzenie się niewinności; tak czutko się budzi albo młody żołnierz, albo stary zbójca:— «Pies czujny zdaleka zawietrzył. Kirdżali, gdyby to była pogoń, tu się schroń z Selimą;» — uderzył silnie w czaunową blachę koło pieca: szerokie wieko odskoczyło, tam otwor i schody — «ja zaraz zobaczę» — i wyskoczył za drzwi. Po Kirdżalego twarzy przewałęsał się uśmiech pogardy, pchnął nogą i zatrzasnął wieko: — «Arnauto, dla ciebie kryjówki, ale nie dla Kirdżalego.» — uścisnął, ucałował Sarę Michaelę, dobył attagan: — «niech przyjdą!»

Sara Michaela patrzała na kochanka, lękliwość niewiasty precz uciekła z jéj serca, we wzroku duma, na twarzy śmiałość: — «brońmy się» — i roskoszną dłonią ujęła za kindżał, nieodstępny towarzysz niewiast wschodu.

Wrócił Michajlaki: — «to nasi jadą,» —

spójrzał na przymknięte wieko, potrząsł głową: — « Ago, tyś zawsze szalony, czasby też abyś powiedział sobie: gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleść. Kirdżali schował żelazo: — « nigdy ani powiem tego, ani to zrobię. »

W tém zajechał wóz jednokonny, z niego wysiadły dwie niewiasty i prosto weszły do izby, wóz natychmiast odjechał. Pierwsza była stara Fariki: Kirdżali pokłonił się jéj przyjaźnie, a Michajlaki rękę ucałował; druga weszła, i Sara Michaela rzuciła się w jéj objęcia wołając: — « Zulma, moja droga Zulma! » — Piastunka tuliła ją do siebie: — « mój aniele drogi, moja perło, przecież ciebie znachodzę. »

— « Jedźmy Michajlaki » — zawołał Kirdżali, — « czas nie stoi. » — Ukradkiem zaśmiał się Arnauta: — « dobrze panie ago, zaraz; ale niech konie popasą, drugich nie mamy, droga daleka, a Bóg wie gdzie znajdziemy spoczynek. » — Kirdżali namarszczył czoło, ale nic nie rzekł; stara zaś Fariki tak w głos opowiadała o przygodach nocy: — « W chwilę po porwaniu pięknéj córy Mehemeda, przed moję chatę, przyszła ta niewiasta, szukała schronienia, opowiedziała

wszystko co się stało, i wyznała że jest piastunką Selimy. Skryłam ją. Niebawem janczarowie przetrzęsali domy, spahowie przelatywali ulice. Poznachodzono i służebnice i rzezańców, nie było już im po co wracać do haremu: Basza kazał wszystkich śmiercią pokarać, a oprawcy nie doliczyli się, że w miejsce sześciu, stracili tylko pięć niewiast. Hakim przychodził do mnie trzy razy, podejrzenie nawet na nas nie pada; z niego wyrozumiałam że Basza nie wie o zniknięciu Arnautów ze straży benderskiéj bramy. Miralaj uląkł się śmierci, inną straż zaciągnął, a o ucieczce ani wzmianki nie zrobił. Za pomocą zgiełku, pod zasłoną nocy i myśmy się wymknęły z miasta, a za Bożą opieką tuśmy przybyły.»

Kirdżali się zbliżył: — «matko Fariki powiedz, Hakim wiedział o wszystkiém.?»

— «Na Boga się klnę, o niczém nie wiedział; a gdyby wiedział, byłby wszystko wydał przed Mehemedem.»

— «Ja go jednak widziałem u ciebie matko.»

— «Widziałeś, on mi przyszedł powiedzieć o przyjeździe Abdali, o tém że Selima czwartkowego wieczora ma się udać do łaźni. Tudor,

Michajlaki i nasi byli w Izmajłowie, mogłam ci tedy szczęście przyrzec. Zresztą Hakim gadał o śmierci Hussejna i Hopura, to jego gadka zwyczajna.»

Kirdżali daléj nie pytał, zwrócił oczy na ogień i coś dumał. W tém weszła sługa Besarabka:— «Bojar jedzie, a czwałem pędzi konia; musi mu bydź pilno.» — Michajlaki wyszedł przed chatę, Bojar przypędził, osadził konia i skoczył na ziemię: — «Ha, Michajlaki, czy dobrze się udało?»

— «Dobrze, panie bojarze, tuśmy teraz bezpieczniejsi jak w drodze, bo i djabełby nas nie dostrzegł; ale wy jakeście zboczyli pogoń? musiała ona za wami wylecieć.»

— «Ty wiesz kiedy Tudor wskoczy na szkapę wołoską, to się i arabskiéj pogoni nie boi. A muzułmańska dziewica i wasz bohatér, jakże tam?»

– «Kochają się i całują. Ale jest i matka Fariki.»

Bojar żywo wszedł do izby i rzucił się w objęcia staréj Fariki: ta go po macierzyńsku ściska. Sara Michaela chciała skryć twarz zasłoną, ale

na nieszczęście zasłony nie było, i krew wystąpiła na lice, na czoło, na uszy dziewicy, i kraśną barwą wstydu zajęła miejsce białego muślinu. Bojar to postrzegł, skłonił się : — «nie płoń się nadobna dziewico, nie bazyliszka wzrok u Wołocha, umie on oddawać hołd i cześć piękności» — Oko Wołocha tak zabłysło że aż ćmi połysk kruczych jego włosów. Kirdżali zczerwienił się — nie rumieńcem wstydu, ale obrażonéj dumy, że obcy człowiek śmie podziwiać wdzięki którym on hołduje, które do niego należą. Michajlaki zrozumiał co się dzieje w sercu agi, i rzekł : — «Kirdżali, bojarowi Tudorowi winieneś twoje szczęście; gdyby nie on z swoimi ludźmi, mybyśmy nic nie dokazali.» — Aga zimno skinął głową: — «dziękuję, chciałbym się odwdzięczyć.» — Tudor włożył rękę za pas : — «potém o tém, a teraz myślmy aby doprowadzić dzieło do końca, bo niedarmo nasi przodkowie Rzymianie powiadali: jeśli koniec dobry, dzieło całe chwalebne» — Obracając się do staréj Fariki : — «Słońce z rana się schwyciło, burzę zapowiada: już śnieg zaczął polatywać; gdyby Bóg dał zawieję, zarazbyśmy ruszyli, inączéj

musimy czekać aż do nocy, bo wszędzie wałęsają się Muzułmanie, a tu nie zajadą, a gdyby i zajechali, mamy schronienie. Byleśmy się dostali za Prut i Pudnę, bezpiecznie śmiać się możemy z gniewu i pogoni Mehemeda.»

Kirdżali wzniosł czoło: — «Bojarze, ja ci ciężarem bydź nie chcę, mam konie z lotnemi nogi, potrafię doskoczyć ruskiéj granicy; mam dobrą broń, pewne oko i silne ramię, odeprę pogoń albo sam zginę. Ja was zaraz opuszczę z moją oblubienicą; dziękuję wam za waszą pomoc, przyjmcie ten dar wdzięczności» — i sięgnął ręką do trzosa.

Bojar spłonił się gniewem, ale stara Fariki okiem prośby powstrzymała jego wybuch. Michajlaki naprzód postąpił: — «Nie o twoję tu tylko całość chodzi ago, ale i o naszą. Myśmy dla ciebie na niebezpieczeństwo się narazili, a ty w niebezpieczeństwie chcesz nas opuścić; czy powtórzysz dzień Izmajłowa? Pamiętasz Kordakiego.» — Wiedział Arnauta jak trzeba trącić w strony serca agi. Kirdżali zgrzytnął zębem, odjął rękę od pasa: — «Zostanę — O! dajcie

mi niebezpieczeństwo, zobaczycie czy was opuszczę. »

Sara Michaela w oczach ludzi zwyciężyła lękliwość dziewicy i rzuciła się mu na szyję : — « O luby nie szukaj niebezpieczeństwa ! W cóż się ja obrócę, tyś mi teraz wszystkiem na świecie. » Kirdżali ją pocałował w czoło : — « Mój aniele, i tybyś przestała kochać Kirdżalego gdyby się on zaparł męztwa. O nigdy tego nie zrobię. Szczęście, bogactwa, sława, twoja miłość nawet, mogą mnie odbiedz, ale męztwo nigdy, tchórzem nie zostanę. » — Dziewica spuściła oczy, a ustami szepnęła z cicha : — « Kirdżali nie bluźń, ja ciebie zawsze kochać będę. »

W téj chwili kochankowie chcieliby zacząć życie pieszczot, pocałunków; bo kobiéta w niewoli wychowana, dostawszy się do wolności, z całym zapałem, z całą roskoszą leci za namiętnością serca ; bo mężczyzna co po raz pierwszy miłość poznał, hamulca na uczucia nie zna, puszcza im wodze i woła : bieżcie i robcie gdzie i co serce wam każe — ale zabrzmiał głos Mi-

chajlakiego: — »Bojarze opowiedz jakeś się wydostał z Izmajłowa.»

— «Wiesz jak rzezańcy po swojemu się znaleźli, stchórzyli, uciekli; żelazaśmy na nich nie użyli. Arnauci strzegący benderskiéj bramy, słowa dotrzymali: was przepuścili, nam przytrzymali konie, a potém z nami uciekli. Z połową orszaku puściłem się ku Tobakowi; druga połowa popędziła do Staréj Kilii: ztamtąd albo z nami się połączą, albo znajdą gościnność w ruskiéj ziemi. Moim ludziom kazałem pędzić przez Batymir ku Berłatowi; jeżeli z twoich Basza żadnego nie złapał, to nie tak prędko poszlak za nami znajdzie.»

— «I u moich towarzyszy jest spryt w głowie. Dunaj szybko pędzi ku Czarnemu morzu, nie zabraknie krytych ścieżek w bulgarskiéj krainie: nie boj się o nich bojarze.»

Spójrzał bojar w okno: — «Bogu chwała, zawieja się zrywa. Michajlaki, żywo gotujmy się w drogę; Turczyn nie lubi myć twarzy śniegiem.» Michajlaki wyszedł.

Rozmawiają, gotują się do podróży; ale harmonija zgody, ta córa nieba, ta czarowna nić co

wiąże współczucia ludzkie, nie wkradła się do serc Tudora i Kirdżalego. Jest cóś dziwnego, niezrozumiałego w uczuciu człowieka, że kiedy dwaj ludzie po raz pierwszy się zejdą i spójrzą w oczy sobie, — polubią się albo znienawidzą od razu. Ciężko potém, a częstokroć niepodobna, przekuć na inny kształt pierwiastkowe wrażenie. Kirdżali młody i Tudor młody, i jeden i drugi mężny, obadwa kochają sławę. Tudor za ojczyznę, za wolność, ostatnią kroplę krwi by przelał, duszę zapisałby na najsroższe męczarnie; i Kirdżali był takim nim pokochał Sarę Michaelę: podobne uczucia mają albo mieli, powinniby się lubić. Ale Tudorowi nie w smak duma Kirdżalego. Uśmiecha się z przymusem, z przymusem cedzi słówka przez zęby do gościa: ciężki to obowiązek gospodarza. Kirdżalemu nie podoba się śmiałość bojara, że ciągle rzuca wzrokiem na Sarę Michaelę. Dobrowolnie otworzył drogę do swojego serca zawiści, i twarzą nie silił się przeczyć poczętemu uczuciu. Mehemedowa córa spuszcza czoło przed wzrokiem Tudora, zwraca oczy i miłośnie niemi igra po twarzy Kirdżalego. Ile razy na

Kirdżalego obliczu objawi się dzika duma, to lękliwa dziewica zadrży i wnet usiłuje wzrokiem albo słowem zetrzeć niemiłe piętno, a rada kiedy dokaże swego, myśli: jakżem ja wszemwładna pani. — Kobiéta zakochana, jak dziecko panoszy się ze swojéj władzy, i jak dziecko jéj używa.

Stara Fariki wzrokiem śledzi uczucia wszystkich, a na jéj twarzy widać pracę myśli, aby wynaleść sposób rządzenia wszystkimi. Skinęła na Tudora, wyszła z nim do drugiéj izby, i z cicha mówiła: — «Synu, mamy czegośmy chcieli. Kirdżali z nami; wszystko pójdzie dobrze.»

Bojar nie rozjaśnił czoła: — «Dałby to Bóg żeby twoja prawda była matko, ale cóś temu Kirdżalemu więcéj z oczu patrzy na zbójcę, jak na obrońcę wolności i wiary Chrystusa.»

— «Słuchaj luby synu, dawna to przepowiednia jeszcze hospodara Iwoni (niechaj Bóg świeci nad jego duszą), kiedy umierał w męczarniach rzekł niewiernym te słowa: Psy Mahometa, skończy się kiedyś wasze panowanie na téj ziemi, krew lacka zbawi dacką wolność. —

Kirdżali lacką krew ma w swoich żyłach, ja to wiem. Narażałam moje życie, złota nie żałowałam, dobrą cześć moję pozwalałam okrywać ohydnemi obelgami, aby ojczyznie służyć, aby Kirdżalego wciągnąć między nas; teraz ty mnie wspieraj.»

— «Ty wiesz matko, że ja i djabłowi służyć będę, jak ty każesz; ale ci wyznaję że Kirdżalego nie cierpię: jego dusza z moją iść w parze nie mogą.»

— «Nie cierp, ale znoś: idzie tu o wolność dackiéj krainy.»

— «Będę znosił. Teraz matko w drogę. Bogdajbyśmy szczęśliwie się dostali do Kampo-lungi: tam w górach zobaczymy jak to będzie.» Bojar przykazał Besarabce staréj słudze ojca, aby zachowała milczenie kamienia o tém, co widziała, co słyszała. Besarabka dawno przyzwyczajona odbierać i spełniać podobne rozkazy.

Z góry snieg miecie, ziemia jak puchem białym się potrząsa, wiatr wieje i płatami śniegu w powietrzu dziwne koła kręci. Dziedziniec bojarowego dworku niewielki, drzewa tuż za

płotem; a jednak i one i płot tylko majaczeją bezładnemi kształty. Coraz się silniejsza zawieja zrywa, już ani ziemi, ani nieba nie widać. Sikory do okien przyleciały, pazurami czepiają się na ramach, dzióbami w szyby stukają, jakby gościnności żebrały u człowieka. Kuropatwy i trznadle pod przyzby się cisną, sama nawet wrona, przyjaciółka burzy, szuka strzechy. Nielitośnieby było psa wygonić na podwórze, a jednak trzy konie osiodłane stoją przed gankiem. Kirdżali dosiadł wronego, przed sobą trzyma Sarę Michaelę, tuli ją i osłania od śniegu, jak piastunka małe dziecko. Bojar wskoczył na gniadego, wziął starą Fariki i objął ją rękoma z troskliwością syna. Arnauta siedzi na siwym persie, i jak niepotrzebny ciężar trzyma przed sobą Zulmę. Wyjechali za wrota w las, a stara Besarabka szczęśliwéj podróży im życzy, i trzykrotnym znakiem krzyża świętego błogosławi na drogę.

Kiedy tak kochankowie uciekają ku siedmiogrodzkim górom, Mehemed Basza z dziką rospaczą w sercu, z groźnym smutkiem na twarzy, wrócił do Izmajłowskiego zamku. Przechadza

się po pustych komnatach i ciągle powtarza: już ja teraz sam jeden tylko na świecie, — a łza po łzie kapią z napuszczonych ku ziemi powiek. Abdala choć nie znał narzeczonéj, tęskni i smuci się. Basza mianował go agą albańskiéj straży i rzekł: «on się pocieszy.»

Przyszedł Mirałaj Arnautów: — «Możny Baszo, władzco naszego życia, czterech Arnautów biegąc w pogoń za porywcami twojéj córki, życie utraciło w wodach Dunaju.» Basza ani spójrzał na Mirałaja: — «Dać ich żonom i dzieciom po trzysta lewów złotych. Złotem niech się pocieszą.» — i odwrócił się z pogardą, a Mirałaj odszedł.

Dumny Baszo, i ty masz złoto! czemu się nie ucieszysz? Czyż ty myślisz że możni tylko dostojeństwami albo bogactwem, mają serca? że im tylko wolno smucić się i rospaczać, ubogiemu zaś zakazano mieć serce, zakazano cierpieć nawet. Czyż za kawał kruszcu ma on przedawać najświętszą rospacz, najdolegliwszą zgryzotę?— Bluźnierco! wiedz o tém że nieszczęście wciska się pod łachmany żebraka, jak pod płaszcz monarchy, że jeden i drugi zarówno cierpią i ros-

paczają. Nie w ludzkiéj mocy dać ulgę ich sercom, Bogu to tylko zostawiono — On wszystko może.



VIII.

Na pograniczu siedmiogrodzkiéj ziemi, gdzie Karpaty piętrząc się w coraz wyższe a wyższe garby, rosną na olbrzymy i długim łańcuchem ciągną się ku węgierskim i polskim krainom, nad rzeką Ardżys, na wysokiéj górze, stały warowne mury królewskiego zamku. Lud go zowie dworem Ardżysa. Nad bramą w kamieniu ryty napis sławiańskiémi i rzymskiémi literami poświadcza, że ten gmach wzniesiony był na rozkaz i pod panowaniem Niagula Bassaraby hospodara Multan roku pańskiego 1518. Dwa wieki był on siedzibą multańskich władzców, przez dwa wieki tam się przechowywał skarbiec sławy i wolności dackich i sławiańskich plemion, rozsianych po multańskiéj ziemicy. Ztam-

tąd brzmiała trąba wojny, ztamtąd biegły raźne hufce na boje przeciw najezdniczéj szarańczy Mahometa. Nareszcie półxiężyc fałszywego proroka ujął chwilowo ziemską władzę nad krzyżem Syna Bożego. Bisurmanie stali się pełnymi panami dackiego państwa. Hospodar Brankowan, jego czteréj synowie i dzielny bojar Wakareskulo, ostatni z obrońców wolności multańskiéj w ośmnastym wieku, w Istambule stracili głowy pod katowskim mieczem. Odtąd sułtani nasyłali Fanariotów hospodarzyć multańskim ziemiom. Przedajni Grecy, podli służalcy, niepamiętni z jak wielkiego narodu początek swój wiodą, zbluzgawszy nikczemnością serca i dusze, nie śmieli wstąpić nogą do ardżysowego dworu, mnichom go oddali na klasztor. Mnichy, słudzy prawego kościoła, z taką pieczołowitością przechowywali zabytki starożytnéj sławy, jak relikwie świętych pańskich; z takim zapałem sieli między lud Boży słowa wolności, jak słowa świętéj wiary: bo nauka Chrystusa jest nauką wolności, a wolność nie z innego źródła tryśnie i rozleje się po świecie, jak ze źródła chrześciańskiéj wiary.

Monastér ardżysowego dworu stał się świętém miejscem odpustu. Lud różny językiem, różny rodem, a związany tylko chrztem Chrystusowym, ciągnął tam tłumami. Co dzień cerkiew zapchana tłokiem pobożnych: jedni znoszą ofiary na jakie im możności staje, drudzy przychodzą wyciągać rękę prośby o jałmużnę; tamci dusze posilić albo sumienie oczyścić, ci i duszę i ciało pokarmić; a mnichy, namiestnicy Boga na téj ziemi, z czułością rodziców dla dzieci obdzielają między prawowiernych, pociechy świętéj wiary, odpuszczenie grzechów, zbawienne przestrogi, jadło, napoje, i jałmużny. Sotkami ubodzy i prześladowani, różnego wieku, różnéj płci, znajdują schronienie, przytułek w obszernych gmachach wspaniałego niegdyś zamku. Muzułmanin zdaleka objeżdżał monastér ardżysowego dworu; bo boi się aby kamień oberwany z przybytku chrześciańskiego Boga, nie spadł i nie zmiażdżył jego niewiernéj głowy. Nie zawita tam Fanariota; bo mury gmachu wspomnieniami, mieszkańcy cnotą, wyrzucaliby mu bezprzestannie jego nikczemność: a człowiekowi który zaprzedał nawet resztki

swojego wstydu, jeszcze niemiło kiedy co krok rzucają mu w oczy, nagi obraz jego spodlenia się.

Była to sobota — dzień Maryi Panny. Po siedmiu dniach zawiei rozchmurzyło się niebo; słońce, oko Boże jaskrawem obliczem błyszczy na czystém tle bladego błękitu, a miotłami jasnych promieni brylantuje białą powierzchnią śniegu. Góry, doliny, lasy, wioski i ogrody, wszystko się przyoblekło w szatę zimy. Na polach niewidać srzebrzystych wstęg wody, ani szklannych powierzchni jezior, wszystko białe a białe, równe a równe. Gmach monastéru, wieże i kopuły gotyckiego porządku, mury i baszty, posępnie nawisły śniegiem. Spiż dzwonów jęczy chrapliwym dzwiękiem, leci rozgłosem na pola, na lasy, a im daléj kto go słyszy, tém dziwniejsza harmonija téj podzwonnéj muzyki. Lud gromadzi się do cerkwi, bo msza zaczęła się prawie. Kapłan sławiańskim językiem śpiewa na chwałę Bogu, mnichy pieją hymn pobożny Sławian mową, i lud hucznym chórem odpowiada sławiańskiemi słowy. Skończyła się msza, a lud chrześciański posiliwszy

dusze modłami, porozchodził się posilać ciała jadłem i napojem. Przełożony monastéru, wielebny Eugieni, pacierzami i litaniami odliczywszy sześćdziesiąt ziarnek rożańca, szedł opatrywać czy nie braknie czego gościom monastéru; bo mnichy greckiego wyznania, do cnót chrześciańskich łączą szczerą i otwartą hojność sławiańskiéj gościnności. Już zwiedził refektarze, kiedy mu dano znać, że jakiś człowiek przybył konno i chce z nim sam na sam mówić. Zaraz wrócił do swojéj celi i kazał wprowadzić nowo przybyłego. Sługa który drzwi otwierał przyjezdnemu, powiadał, że ten całował pokilkakrotnie ręce ojca Eugieniego, i przełożony ściskał go jak syna, a łza radośnego powitania błyszczała w oczach obudwóch. Po tém zamknęli się w drugiéj izbie. Ciekawość przynęciła sługę do drzwi; na przemiany, to oko, to ucho przykładał do szpary. Obadwa stali pod piecem; przyjezdny cóś długo a długo opowiadał, ale cichym głosem; raz tylko twarz jego zaiskrzyła się zapałem, a mowa w takt wtórowała twarzy, i ciekawy sługa dosłyszał te słowa : « To anioł nie dziewica : słodka, cnotliwa, pokorna,

czysta, jak wiara Chrystusa; piękna jak samo niebo. Chrześcianką jest bezzawodnie, bo w tak pięknem ciele niechrześciańska dusza ostaćby się nie mogła. On... » Tu zniżył głos, brew napuścił na oczy, czoło zmarszczył i twarz dziko nachmurzył. Przełożony słuchał i ramionami ruszał, po tém mówił; ale sługa uchem tylko te słowa zachwycił: « Matka Eudoxia tak chce, ja zrobię. Cnotliwéj, świętobliwéj niewieście nic odmówić nie mogę.... Jéj piosnka ulubiona to Iwoniego przepowiednia.... Inna nam dziś ręka pomoc podaje, przemożniejsza, nie tajemnicza ale jawna... Ale synu, zostawmy matce zabawkę: to nagroda jéj poświęcenia się, jéj ofiar. Ja wszystko zrobię. » W końcu rozmawiając tak się skryli za piec, że sługi oko w bok się kosi i natęża, a nic nie widzi; zdał wszystko na ucho, ale i to napróżno : szmer tylko dolatuje, ale żadne słowo nie zatoczy się do słuchu odrębnem brzmieniem. Niecierpliwił się, stał czas niejaki, a nareszcie wyszedł. Mszcząc się że ciekawość podłechtał tylko ale nie zadowolnił do sytu, jął wszystkim opowiadać co widział, co słyszał.

Dziwne zmiany dziwnemi kolejami przewę-

drowały po téj ziemi, tysiące lat minęły od stworzenia świata, a jednak ludzie czynem nie zaparli się że ród swój wiodą z łona matki Ewy; ciekawość zawsze i wszędzie nęci ich dusze, a pod jakiemikolwiek znakami się objawia, do jednego i tego samego celu prowadzi: wiedzieć co się stało, domniemywać się co się stanie. Jedni wołają: przeklęty wąż co w nas ciekawość zaszczepił — ona najczęściéj do złego wiedzie. Drudzy krzyczą: błogosławiony wąż co nam w darze ciekawość przyniosł — ona bardzo często dobre odkrywa. A jedni i drudzy hołd oddają wężowi, bo wszyscy ciekawi. Mieszkańcy monastéru, nie mogąc przejrzeć do celi przełożonego, biegną do stajni opatrzyć konia, na którym przyjechał ten człowiek, cel poszukiwań ich myśli. Byli tam Wołochy i Siedmiogrodzianie, co w okolicy znali wszystkich jezdzców i wszystkie konie, a nawet znali i za okolicą. Górale Karpatów, lubią puszczać się na chwilową włoczęgę po świecie, a cnota nie zawsze im siostrą: bystre mają oko, dobrą pamięć, bo to nieraz środki zbawienia dla włoczęgi. Patrzą, jednak żaden konia nie poznaje:

siwy, wschodniego rodu, szlachetnéj krwi, zadnie i przednie uda popiętnowane w zygzaki — herby i pargaminy końskiego szlachectwa; siodło i rząd mołdawski, ale na prędce przypasowane. Tak rozpoznawali i gwarzą i wnioskują, co to za jezdziec, od kogo i z jakiem poselstwem przyjechał. W tém wszedł sługa przełożonego, zakiełznał konia i wyprowadził pode drzwi monastéru: ciekawy lud w kupki się pogromadził i patrzył. Wyszedł człowiek w besarabskiéj świcie, kapuszon nasunięty na czapkę, twarz zakryta; wskoczył na siodło, zebrał cugle, nogami boki konia ścisnął i z miejsca w czwał pomknął. Za bramą wziął się drogą ku północnemu wschodowi, spuścił się w dolinę, wybiegł pod wzgórek. Koń kopytami gęsto i raźnie kopał się w śniegu, nareszcie zakołował się za zubocz, jeszcze czas jakiś bryzgi śniegu wirem się kręciły nad białą powierzchnią ziemi, w końcu i to znikło z oczu. — Ludzie zżymali ramionami, wytrzészczali oczy i otwierali gęby, a każdy mówił samemu sobie i drugim: « nie widziałem go nigdy, nie znam. » Jeden tylko stary Wołoch bywalec, pokręcił nosem i rzekł podle siebie

stojącemu Siedmiogrodzianinowi: znam gdzieś tego jezdzca; czy nie nasz młody bojar? — Cóś będzie»... Tajemnica migiem przelatywała z ust do uszu i wkrótce przeszła na własność wszystkich, a «cóś będzie» stało się pastwą i zatrudnieniem niespokojnéj myśli ciekawego tłumu.

Wieczor, mrok szary oddawna już zapadł, dzwony uderzyły do pacierza i do spoczynku; mnichy i mieszkańcy monastéru dziękczynili Bogu za przebyty jeden dzień jeszcze, o szczęśliwą noc błagali, i spać się pokładli. Przełożony nie śpi, naradza się o czémś z dwoma mnichami najpoufalszymi powiernikami swoich myśli, i dwóch posługaczy na straży przy bramie monastérowéj czuwa. Kury po raz drugi na północ zapiały, psy pastusze poczęły skowytać i naszczekiwać jak gdyby wilka czuły, śnieg zaskrzypiał po drodze, kopyta końskie z głucha zatętniły, parskanie gęsto się słyszeć dawało, sanie parokonne i dwóch jezdzców zajechało przed bramę. Straż miała rozkaz puścić i o nic nie pytać. Choć to mnisi słudzy, ślepo, po żołniersku rozkaz wykonali. Wrzeciądze skrzy-

pnęły, podwoje bramy się rozwarły, a sanie i jezdzcy wprost się udali pod cerkiew. W cerkwi carskie wrota otwarte na rozcież, na ołtarzu dwie gromnice płoną i srébrne tace błyszczą; w spowiedniach dwóch mnichów siedzi, a przełożony przybrany w ornat jaskrawy złotem lamowany, złotem naszyty, stał obok ołtarza. Sługa cerkiewny wprowadził przybyłych gości. Stara Fariki wspierała się na ramieniu mehemedowéj dziewicy, Zulma szła za niemi; Kirdżali, Tudor i Michajlaki w mołdawskich strojach razem postępowali. Wszyscy po trzykroć żegnali się znakiem krzyża świętego i po trzykroć wybili pokłon przed ołtarzem. Matka Fariki zawołała: — «Ojcze Eugieni, błogosław nas» — i przełożony przeżegnał krzyżem świętym wiernych, i kropił wodą święconą: — «Błogosławieństwo na ciebie Eudoxio, błogosławieństwo na was wyznawcy prawowiernéj Chrystusa wiary» — i natychmiast Eudoxia zaprowadziła Sarę Michaelę do jednéj spowiedni, a Kirdżali ukląkł przy drugiéj, i poczęli wyznawać swoje grzéchy, zdawać rachunek z sumienia, i godzić się z długo zaniedbaną wiarą. Krótko trwała

spowiedź Sary Michaeli, bo jéj sumienie zapewne musi bydź czyste jak dziecka: największe przestępstwo że opuściła ojca; ale to w oczach wiary cnotą, bo wyrwała się z rąk Islamizmu, powróciła na łono prawego kościoła. Kirdżali długo się spowiadał, ale nie słychać słów wyznania, ani napomnienia, nie widać twarzy skruchy lub żalu grzesznika, ani też spowiednika oblicza gniewu; trudno tedy zgadywać, a jeszcze trudniéj wiedzieć jak wiele nagrzeszył i jak wielkiéj wagi jego grzechy. Wstał, pociągnął ręką po czole, jak gdyby chciał z myśli wszystko precz strącić, i spójrzał dumnie jak to było jego zwyczajem. Zbliżył się do oblubienicy, wziął ją za rękę i poprowadził do ołtarza, na pogardę zwyczajowi który chce aby inny młodzieniec wolny prowadził do ślubu pannę młodą, na pokazanie że nikt niegodzien dotknąć téj, którą on pokochał i obiera za żonę. Tudor założył ręce na piersi i stał zamyślony, a nikt nie śmiał przestrzedz Kirdżalego że przekracza zwyczajowi, bo w jego oczach była silna wola pana. Uklękli przed ołtarzem. Kirdżali swoją ręką odchylił srebrno-litą zasłonę z twarzy Sary Mi-

chaeli: krasa lica i blask ciemnych oczu zaćmiły światło gromnic, srebra kościelne, złocone ozdoby carskich podwoi i drogie kamienie powszywane na ślubnym obrusie. Ojciec Eugieni na chwilę zaniemiał, bo myślał że to święta pańska stanęła przed nim; Kirdżali do koła powiodł chełpliwym wzrokiem, jakby chciał mówić: bijcie pokłony podziwienia — ona moja! Tudor odwrócił oczy, po raz pierwszy może w świątyni Bożéj pozazdrościł swojemu jednowiercy, a może go i przeklął w téj chwili; matka Eudoxia modliła się z całym zapałem duszy, a reszta przytomnych zwyczajnie jak gawiedź ludzka, okiem i uchem śledziła powierzchownych obrzędów uroczystości. Już było po północy: ojciec Eugieni dał im do spożycia ciało i krew Pańską pod postaciami chleba i wina, a potém czytał rotę przysięgi małżeńskiéj; oboje młodzi odpowiadali wyraźnym i pewnym głosem. Po skończonéj przysiędze kapłan zdjął obrączki z palców nowopoślubionym, trzykroć one mieniał i trzykroć nakładał na ich palce: « W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Swiętego, wiążę was małżeństwem » — potém wziął dwa wianki ze

srebrnéj tacy, trzykroć mieniał i kładł na głowy małżonków: « W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Swiętego, wkładam wieniec małżeński na wasze skronie, bogdaj się on z niemi nie rozstał aż ze śmiercią razem» — potém wziął ich za ręce i trzykroć oprowadził w koło ołtarza: « W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Swiętego, przebiegnijcie życie tego świata w zgodzie i jedności, niechaj na was spływa łaska Boża, miłość bliźnich» — w końcu kiedy stanęli przed ołtarzem, kapłan wziął z półmiska ciasto z miodem, i drażnił się niém z ustami poślubionych, to przysuwał je do nich, to odciągał nagle: «To słodycz małżeńskiego stanu, to roskosz życia; prędko błyska, prędko ucieka, chwytajcie ją póki czas, bo przemija, zginie.» — Kirdżali chciał ciasto chciwie zachwycić zębami, złamał je, ale słodyczy podniebieniem nie skosztował, bo złamany kawał upadł na ziemię. Kapłan przyłożył ciasto do ust Sary Michaeli, chciała go dotknąć z lekka, trąciła ustami, ciasto upadło, a słodyczy nie skosztowała. Wszyscy oprócz Tudora przeżegnali się i modlili się myślą, aby ta zła wróżba nie sprawdziła się na losie małżonków.

Tudorowi lżéj na sercu, uśmiechnął się nawet i pomyślał: oni nie zakosztują słodyczy miłości. Kapłan wziął drugie ciasto i obojgu dał zakosztować słodyczy; ale Sarze Michaeli tęskno na sercu, i na pociechę popatrzyła miłośnie na lubego. On, choć i jemu zła wróżba targnęła sercem, wypogodził wzniosłe czoło, sięgnął ręką do kieszeni trzy razy, i trzy razy pełnémi garściami sypnął złote dukaty na tacę: «Ojcze, to na potrzeby kościoła» — i oboje ucałowali ręce kapłana i przyklęknęli: on ich pobłogosławił. Przyklęknęli przed matką Eudoxią, ona ich ucałowała; całowali się ze wszystkimi. Kiedy Sara Michaela przyłożyła swe policzki do ust Tudora, zdało mu się że jest w niebie, ucałował anielskie lice, słodko mu, roskosznie; ale kiedy Kirdżali pocałunkiem powinności z nim się zetknął, zdało mu się że go djabeł uściskał, o ledwie wstecz nie odskoczył, jednak spojrzał na matkę Eudoxią, wstrzymał się, i oddał pocałunek za pocałunek. Eugieni chciałby biesiadą uraczyć małżonków, matkę Eudoxią i wszystkich; ale strach aby Muzułmanie się nie dowiedzieli że ślubem chrześciańskim z Chrześciani-

nem związał córkę możnego Baszy, stanął na zawadzie gościnności. Pożegnali się z dobrymi mnichami i udali się do sani. Kirdżali przywiązał wronego konia; a sam siadł i burką otulił swoję młodą żonę. Eudoxia rzekła :—«Tudorze, ty nie siadasz na konia?» — «Nie, matko; Michajlaki wie drogę, weźcie siwego konia, mnie da innego ojciec Eugieni. Jutro, po jutrze, albo po po jutrze przyjadę: bądźcie zdrowi.» — Sanie ruszyły, już za bramę wyjechały i brama się zamknęła, a Tudor stoi jeszcze i patrzy. Ojciec Eugieni wziął go za rękę : — «chodź synu» — i bojar jak posłuszne dziecko za nim poszedł, ani słowa nie rzekł.

Nazajutrz dzień, i mnichy i mieszkańcy monastéru z weselem myśli, z radością serca bojara witali. Młody bojar od dawna im znany, to ulubieniec mnichów, nadzieja multańskich górali, bo nie uznawał Fanariotów za panów, ani razu nie pokłonił czołem przed Muzułmaninem. Dzieckiem, z matką rzucił naddunajskie równiny, bo tam niewola snadniéj się przyjęła; w górach się chował, i tam z latami i wzrostem karmiła się i rosła w duszy jego

nieuhamowana żądza wolności. Matka Eudoxia, to była jego matka, między ludem uchodziła za świątobliwą niewiastę, ale jakaś czarodziejska tajemniczość omgliwała jéj czyny; biskupi, przełożeni, mnichy, czcili ją gdyby świętą pańską, a lud ją i czcził i bał się, bo według jego mniemania ona wszystko wiedziała, ona wszystko mogła. Od sześciu lat nie wiedzieć gdzie się była podziała, i to jeszcze więcéj uroku dodało tajemniczości. Młody bojar po oddaleniu się matki, zawsze w górach mieszkał, ale często robił dalekie podróże, może na korzyść wiary świętéj, bo starszyzna greckiéj cerkwi ciągle a ciągle miewała z nim przehowory, narady — może na korzyść niepodległości multańskiéj ziemi, bo ze wszystkimi naczelnikami górali dackich i sławiańskich plemion zamieszkałych w przeddunajskich i zadunajskich krainach, zostawał w dobrem zachowaniu i żywił braterską jedność i zgodę, a co większa, powiadano że mocarstwo sławiańskie wspiera jego zamiary. Tudor miał hukiem złota i dostatków, ale też ręka jego i serce nieskąpe: gdzie mógł, gdzie potrzeba, to siał niémi hojnie między lud Boży.

Darmo Muzułmanie i Fanarioci czyhali na jego życie, na jego skarby, nie mogli przydysać ani jednego ani drugich; a jeśli który śmielszy kapudży albo poborca Fanariota, ośmielił się z orszakiem zapuścić w góry i szukać Tudora, to znalazły się dobroczynne ręce, co im prędko i gładko zdjęły niepotrzebny ciężar życia. Nikt się już z nimi na tym świecie nie zdybał, a gdyby kto chciał ich szukać, to pewnieby koście jego wiatrem wybielały na zuboczach, albo zczerniały i zgniły w przepaściach gór Karpackich, a dusze poleciałyby na wieczną wędrówkę w nadpowietrzne, albo w podziemne kraje. W Jassach i w Bukareście wyrok śmierci napisany na Tudora. Fanarioci, Muzułmanie, i znikczemnieni bojarowie, zowią go zbójcą, przywodzcą łotrów. W górach lud prosty, niezaprzedany, niespodlony, mianuje go multańskim Banem, Hospodarem, a nawet Carem dackim.

Ukazał się Tudor, i wszystko w monastérze jakby nowém życiem się odrodziło. Starcy i dzieci biegną witać Bana, Hospodara, Cara. Bojar zawsze bywał wesoł, pogodnéj twarzy;

teraz cóś smutny, ponury: szczérze od serca wita serdecznych ludzi, ale się nie uśmiecha, nie rozjaśnia czoła. Ludzie doświadczenia spojrzeli po sobie, szepcą jeden drugiemu: « to przepowiednia wojny, i niebo się chmurzy przed burzą. » Choć nikt im nie mówił, każdy udał się do siebie i pilnie ostrzył i opatrywał broń. Dziwnie to się działo w monastérze ardżysowego dworu, żebracy i goście, gotowi nagle zamienić się w lud wojenny, a mnichy, słudzy wiary, ludzie pokoju, żywią dusze i ciała tego tłumu na to, aby niosł śmierć ciemiężcom wiary, ciemiężcom wolności.

Głucha radość we wszystkich serca wstąpiła, myślą: będziemy się bili. Tąrazą, biedni ludzie, wasz sąd was zmylił; widzieliście twarz bojara, ale nie przejrzeliście co się dzieje w jego sercu.



IX.

Jakaż to rozkosz w pierwszych chwilach małżeństwa, kielich żywota słodyczą się przepełnia, nić żywota gładko i szybko się snuje, piorunem czas leci, a szczęśliwe stadło nie pamięta co było, nie biedzi się nad tém co będzie, a widzi i żyje tém co jest! Jeśli czasem słowa małżonków w przeszłość się zbłąkają, to dla tego, aby przypomnieniem okrasić terazniejszość; jeśli myśl ich przypadkiem zawędruje w odmęt przyszłości, to dla tego, aby wyobraźnią nowe roskosze rodzić. Takie życie, jest życiem raju, życiem nieba. Lud go zowie miodowym miesiącem małżeństwa: o bogdajby pieprzowy miesiąc nie nastąpił po nim! a jednak to taka koléj na tym świecie.

Niedaleko ciaśniny Czerwoną wieżą zwanéj,

między szpiczastémi górami i niedostępnémi przepaściami, w wianku tysiąca ruczajów i potoków, w bukowym gaju, było mieszkanie bojara. Turcy zowią to miejsce Iblisa jaskinią, a Górale hospodarskim grobem. Stara wieść opowiada, że sługa Brankowana, złotem i prośbą wymógł od janczarów kości pana i czterech jego synów, cichaczem przeniosł między góry i tam je pogrzebał; a mogiła, święte miejsce dla dzieci multańskiéj ziemi, świadczy prawdę wieści. Wązka ścieżka kręci się między skały i rysuje dziwne a dziwne zygzaki. Drapiąc się tam, trzeba wprawnéj nogi aby nie zadrżała, i śmiałego oka aby się w głowie niezakręciło. Dwór bojara, powierzchownością nie wabi oka: lichy, stary, pokrzywiony, z dachem zapadłym; dziedziniec ciasny, niekształtny, w około warstwami olbrzymie głazy leżą na głazach, gdzie niegdzie szczeliny przezierają, jakoby strzelnice w opasaniu twierdzy; ale we środku dworu bogactwa, przepych, dostatki po wszystkich komnatach nawałem rozsypane. Rzecz dziwna, nie w górę mieszkanie piętrzy się ale w ziemię lézie, a im bardziéj w dół się zschodzi,

tém piękniéjsze komnaty, tém większe bogactwa. Przez wązkie otwory w szczelinach skał wykute, światło kryjomo tam się wkrada, ale raz wcisnąwszy się, jakby mściło się zmuszonego przejścia, pieści się z pstrémi barwami kobierców, igra złotemi promieniami pozłocie, srebrze i kosztownych sprzętach. Podziemnego mieszkania lochy i jaskinie odstrzelają się w mnogie ramiona i ciągną się bez końca. Lud mówi że niemi zajść można aż w Siedmiogrodzką krainę; są tam składy rozmaitéj broni, a nawet stajnie podziemne pełne dziarskich rumaków; ludzi zaś tam różnego rodu, a może różnéj wiary co nie miara: dzień i noc się snują, i pilnie strzegą jak oka w głowie aby kto się nie podkradł i dopatrzył przejścia, które oni zawłaszczyli dla siebie; biada temu ktoby chciał podejść ich czujność. Zgoła że mieszkanie bojarskie wyglądało jak warowny zamek baszy zbuntowanego przeciw władzy sułtańskiéj, jak jaskinia herszta zbójców skłóconego z rodem ludzkim.

Stara Fariki, uboga nędzna Arnautka, jakby cudem przemieniła się w możną bojarynię Wo-

łoszczyzny. Na miejsce dawnych łachmanów przywdziała pyszne szaty; dawną uniżoną pokorę zmieniła na powagę nakazującą cześć. Nie masz dnia, żeby który ze starszyzny greckiéj cerkwi, albo z multańskich bojarów, nie zawitał do niéj potajemnie po rady, albo po rozkazy; a kiedy się ukaże licznym mieszkańcom Hospodarskiego grobu, mężny Multańczyk, silny Siedmiogrodzianin, szlachetny Serb, dziki Arnauta i wściekły Bulgarczyk, wszyscy wołają: długie lata naszéj matce! niech żyje i króluje nasza bojaryni! — Dla niéj Kirdżali i Sara Michaela jak jéj własne dzieci, kocha ich jak swego Tudora. Słodkie te pieszczoty sercu Sary Michaeli, bo jéj dusza anielska rozkochana w mężu, miłością czystego uczucia zieje na wszystkich, i od wszystkich takąż samą miłość radaby odbierać w hołdzie. Kirdżali nawet oswoił się z przywiązaniem staréj bojaryni, często nazywa ją: dobra matko, a czasem jak z matką z nią się popieści. Tudor przyjeżdża do matki, do swego dworu, do swoich ludzi, jak po ogień: chwilkę zabawi i zaraz odjeżdża. Kiedy Sara Michaela bratem go naźwie, słodkie

słówko mu powie, nagle jego twarz zajaśnieje radością jakby dusza zachwyciła trunku roskoszy; ale wnet zachmurzy się ponuro i stroni od młodéj niewiasty, a myślą zdaje się pisać na swojém czole: nie dla mnie szczęście, nie dla mnie błogi pokoj tego świata. Kiedy się zdybią z Kirdżalim, zimne ich powitanie, i pożegnanie zimne. Wzrok matki najczęściéj zamglony zbytnią troskliwością, nie umie przeczytać co się dzieje w sercu dziecięcia; i bojaryni myśli: syn mój żąda sławy, boju za ojczyznę, za wolność. Mówi: «Tudorze, czas się zbliża, bądź cierpliwym, będziesz miał i boje i sławę, będziemy mieli i wolność i ojczyznę.» — Tudor ucałuje jéj ręce, uśmiechnie się smutniéj jak gdyby płakał, i nic nie powie.

Co się zrobiło z Kirdżalim? Zniewieściał. Duch miłości go owiał i zaczarował wzrokiem swojéj wszechmocnéj władzy. Drogie chwile życia trawi przy żonie; dwa, trzy, a nawet i więcej dni nie zajrzy do wronego konia. Michajlaki nie może go wyciągnąć na łowy. Zawsze powiada: jutro pójdziemy; a to jutro Bóg wie kiedy nastąpi. Nic dziwnego że dziki,

dumny aga tak się zmienił — on kocha. Sara Michaela rozwinęła się w krasę i wdzięki. Dawniéj twarzą i wzrokiem ciskała na ludzi dumę piękności, nakazując : podziwiajcie mnie; a teraz płonie w ciemnych oczach, na wschodniéj twarzy, roskosz miłości i mówi : kochajcie mnie. Piękna dziewica, kiedy odgaduje licem tajnie miłości; ale stokroć piękniéjsza niewiasta, kiedy wybrylantuje swoje oczy śladem że już dusza jéj piła słodycz miłości. Tamta, słońce za lekką chmurką w przyćmionym blasku; ta, słońce na czystem niebie w całem świetle swéj okazałości. Dziewicę podziwiamy odgadywaniem, czy jest skarb roskoszy w jéj sercu; niewiastę kochamy pewnością, że jéj serce żywi zamożny skarb roskoszy. Sara Michaela kocha męża, życie słodko, lubo, im płynie. Każdą godzinę znaczą nowemi roskoszami serca; a ludzie dziwni, niedobrzy, chcieliby żeby Kirdżali myślał o bojach, kiedy miłość tka mu do ust pełny puhar roskoszy i woła : pij! pij! póki wiek, póki czas.

W wielki czwartek, po wieczerzy pańskiéj, wieczorem, zwyczajem dawnych Sławian, i

słudzy i panowie zasiedli w obszernéj komnacie. Koleją, starszeństwem wieku, prawią powieści o bohatérach, o strachach, o zbójcach; albo też zanucą brzmiącą pieśń wojny na cześć sławy przodków, lub smutną dumkę na pogrzeb straconéj wolności, ujarzmionéj ojczyznie. Tudor śpiewał pieśń tegoczesną o Jerzym Czarnym, o serbskiéj bitwie pod Sabaczem. Przyszła koléj na Kirdżałego, Michajlaki złośliwie spójrzał:— «nasz aga zanuci nam pieśń miłości; bo on zapomniał w Izmajłowie i szezdar i wojenne dumki Bulgarów.» Kirdżali odrzekł żywo: — «Arnauto, szezdar zapomniałem, ale attagan mam.» — «Ale przyrdzawiał do pochew.» — «Zobaczysz!» i migiem błysnął gołem żelazem. Sara Michaela chwyciła go za ramię: — «przez miłość ciebie zaklinam, hamuj twój gniew.» Bojaryni z miejsca wstała, a Tudor zasłonił sobą Michajlakiego, i zdawał się okiem wyzywać dzikiego agę w zapasy. Michajlaki się nie zmięszał: — «Panie ago, schowaj attagan, na niewiernych go dobędziesz. Wiem że go użyć umiesz, a widzę że masz serce. Jam twój sługa, twój najlepszy przyjaciel.» Kirdżali jeszcze

przed słowami Michajlakiego schował attagan do pochew, i zarumienił się swojéj popędliwości. Sara Michaela przytuliła się do męża, i ustami igrała po jego twarzy: on po raz pierwszy nie odcałował żony, i ponuro siedział aż do końca.

W nocy żona go ściska, całuje, pieści. — «Mój skarbie, mój miły, co ci ciężv na duszy? Ty mnie nie kochasz, źli ludzie na ciebie czary nasłali.» Kirdżali pocałował ją: — «ja ciebie kocham jak zawsze;» — zadumał się — ale oni myślą żem ja zniewieściał, żem męztwo stracił. Niech przyjdą, niech sprobują!» — porwał się i siadł na łożu. Sara Michaela gładzi dłonią rozognione skronie męża, a z ust jego chciałaby wyssać gorączkę co mu dręczy duszę. Sorbetu mu dała; uspokoił się, położył, ale nie śpi. Powieści i pieśni rozburzyły błogi spokoj jego duszy, i silnie trącają w strónv uśpionéj na czas dumy; słowa Michajlakiego gorzko mu zatruły serce, ciągle powtarza: «oni myślą żem ja zniewieściał—zobaczemy.» Uściskał serdecznie żonę: — «ja ciebie kocham Saro Michaelo, ale kocham i sławę. Bez ciebie nie miałbym

szczęścia na ziemi; ale bez męztwa nie miałbym dobrego imienia między ludźmi. » Takto słowo, jedno nic, rzucone w porę na namiętność człowieka, w płomienie ją zamienia, jak olej wylany na w pół przygasły węgiel. To co było żarem przypopielałym, rozedmie się w silny ogień; to co było przyśpionem w namiętności człowieka, odżyje w całéj sile. Sara Michaela łzy ma w oczach, a lęka się przerwać marzeń męża, aby znowu nie wpadł w gorączkę. Pocichu, myślą modli się do Boga, aby nad mężem i nad nią się zmiłował: to najlepsza ucieczka czystego sumienia, pobożnéj duszy.

Nazajutrz Kirdżali wstał zrana, ucałował żonę i wyszedł. Dokąd? — do wronego konia. Pieścił go po dawnemu, i po dawnemu broń opatrywał i ostrzył, jak gdyby był izmajłowskim agą, dowódzcą albańskiéj straży Mehemeda. Przed południem wszedł do bojaryni, skłonił się: — « Matko, dosyć u ciebie chleba gościnności jadłem; teraz trzeba abym sam na siebie pracował. Mam serce, mam szablę, pojadą służyć ruskiemu Carowi, albo Arcyxięciu rudnickiemu. Jak słyszałem, Car prowadzi liczne

wojny, i Miłosz Obernowicz do wojny się gotuje. Jeszcze jeden żołnierz nie będzie im nadto.» Bojaryni go posadziła obok siebie: — «Orzeł służyć nie będzie jastrzębiom i szulakom, ma on swoje gniazdo do obrony, swoje orlęta na których czele stanie. Kirdżali, nie tobie służyć Carowi, choć on potężny między monarchami; Arcyxięciu Miłoszowi, choć on dzielny między ludźmi. Niezadługo będziesz przywodzić licznym wojownikom, niezadługo staniesz się zbawcą dackiéj i sławiańskiéj wolności.»

Kirdżalemu dusza rośnie w dumę, po raz pierwszy słyszy słodko brzmiące słowa; ale jemu niedość na przepowiedniach, na obietnicach: — «Matko, Bóg wie czy to kiedy się stanie, a mnie lata płyną, mnie czas ucieka; jak podstarzeję, dusza mi się zmitręży i ramię nadchełta.»

— «Nie lękaj się, przyjdzie pożądana chwila; a teraz słuchaj, chcę ci otworzyć najdroższą tajemnicę mojéj duszy. Nie obwiniaj żem tego dawniéj nie zrobiła, bo jeszcze nie był czas: chciałam abyś sam o nię pytał. Z mojéj to na-

mowy wczoraj Michajlaki szukał rozdrażnić twoję dumę: na pociechę memu sercu pokazałeś, że chęć kochasz anioła niewiastę, jednak nad nię kochasz sławę.»

— «Bojaryni, tyś mi ubliżyła, Kirdżali nigdy nie zniewieścieje. Póki życia kochać nie przestanę Sary Michaeli: ale nie zapomnę że jestem wojennym mężem.»

— «Przebacz mi synu, już się stało, a teraz słuchaj.» Wzięła wielką xięgę oprawną w pargamin, przerzucała kartami: — «to drogi skarb, kronika multańska przechowana w Ardżysowym dworze.» Znalazła ulubione miejsce, przepowiednię hospodara Iwoni, opowiedziała życie tego nieszczęśliwego xięcia, a skończyła czytaniem przepowiedni: — «Krew lacka zbawi dacką wolność.» Kirdżali błąka się w odmęcie myśli, nie wie co to znaczy, czy bojaryni gadkę mu prawi, czy wpadła w obłąkanie? Patrzy jéj w oczy: twarz staréj rozjaśniona prawdą i wiarą. — «Kirdżali, tyś potomek lackiego rodu, w tobie płynie czysta krew lacka.»

On się zasmucił: — «Matko, ty nie wiesz,

ja jestem odrzutek bez rodu. Zapamiętam że matka moja była Bulgarką. »

— « Ale ojciec twój Lach. Masz na piersiach wizerunek Matki Dziewicy.? »

— « Mam. Ale skądże o nim wiesz Matko? » i tu go wydobył. Bajaryni ucałowała obraz, i przeczytała napis: « Z Poczajowa. » To święte miejsce Maryi Panny w lackiéj ziemi. Stary Kordaki mnie nie zawiodł. On znał twoję matkę, twego ojca, twoj ród; ale nikomu o tém nie mówił. A teraz słuchaj całéj rzeczy. Nieszczęścia srodze gniotły multańską ziemię; ale serca wszystkich bojarów jeszcze nie przestały bić dla wolności. Ja bojaryni z Brankowanow rodu, powiedziałam sobie: i słaba niewiasta może służyć ojczyznie; od niéj wszystko mamy, dla niéj wszystko poświęćmy. Od czasu pokoju w Kuczuk-Kajnardży, na tułactwie wzrosłam i poszłam za mąż, tu w tém miejscu. Mąż mi umarł, jedyne dziecko wychowałam, miałam bogate skarby, byli mnodzy słudzy, przyjaciele, stronnicy naszéj rodziny. W Ardżysowym dworze mnichy żywili licznych wrogów niewiernym bisurmanom, Car Moskwy obiecywał po-

tężną pomoc, byle się wojna u nas zaczęła. Besarabija najbliższa ruskiéj ziemi, tam chcieliśmy zacząć bój. Udałam się do Izmajłowa, przebrałam się za Arnautkę. Mój syn kupił las i dom niedaleko Kuligieny jeziora, nie żałowaliśmy złota, pozwalałam siebie okrywać obelgami, udawałam wróżkę. Moją piosnką ulubioną była podówczas jak teraz przepowiednia Iwoni. Razu jednego Kordaki mówił o tobie, o twojéj dumie, o namiętném sercu, a zawsze dodawał: to będzie zbójca, albo wielki bohatér. Pytałam go o twój ród, on mi opowiedział; resztę wiesz. Teraz zmieniły się okoliczności, tu zaczniemy wojnę, ty z nami.»

— «Matko ja zawsze z wami; ale na miłość Boga powiedz gdzie mój ojciec, co z nim się stało?»

— «Kordaki nigdy mi tego nie chciał powiedzieć. Złota mu dawałam, złota obiecywałam; zaklęcia, trunek nawet, nie wydobyły z ust jego tajemnicy. Zawsze powtarzał: dość wam na tém że Lach jego ojciec, lacka krew w nim płynie; więcéj się nie dowiecie, gdybyście nawet i po kawałku wnętrzności mi darli;

życiebym wyzionął a tajemnicy nie wyjawił — to moja własność. Przysiągłem na miecz przyjacielowi, zachować milczenie o jego imieniu i miejscu gdzie się podział, a żaden Albańczyk jeszcze takiéj przysięgi nie złamał: i nadto ani słowa nie można było się dowiedzieć.»

— «Matko, może ty domyślasz się, powiedz, na kraj świata pójdę go szukać. Jeśli on potężny, wielki, ja go nie powstydzę; jeśli ubogi, nie szczęśliwy, ja mu będę podporą, pociechą.»

Bojaryni serce rzewni czułość — «Na Boga ci się klnę, na miłość ojczyzny, na szczęście Tudora, że całą prawdę powiedziałam, ani jednego słówka przed tobą nie zakryłam.»

Kirdżali zasmucił się, ale widać że nie dowierza bojaryni, bo z innéj strony chce wybadywać tajemnicę: — «A Hakim, kto to był taki; on o niczém nie wiedział?»

— «Hakim był rzezaniec, sługa Mehemeda, najbliższy jego łask, i nic więcéj.»

— «Matko, jakież miałaś z nim stosunki, przehowory?»

— «Pod słońcem nie masz chciwszéj istoty na złoto jak rzezaniec; złotem kupiłam jego

przyjaźń i nie jednę tajemnicę. On mnie miał za wróżkę i wszystko mi powierzał. Wiedziałam o twojéj miłości ku Sarze Michaeli, wiedziałam.... » W tém drzwi się otworzyły i wszedł Tudor. Chciał wyjść, ale bojaryni rzekła — « Możesz mówić, Kirdżali wie o wszystkiem. »

Nie w smak to bojarowi, bo potarł ręką tęskne czoło: — « Ojciec Eugieni chce się z tobą widzieć, ma pilne rzeczy do powierzenia. »

Kirdżali wstał, poznał co się dzieje w myśli bojara, dumą wzroku odpowiedział jego niechęci: « ja wyjdę. » — Bojaryni wskazała ręką: — « Zostań Kirdżali, teraz przed tobą nic tajném bydź nie powinno. Tudorze wprowadź ojca Eugieniego. »

Wyszedł bojar i niebawem wrócił z przełożonym Ardżysowego monastéru. Bojaryni w rękę go pocałowała, i Kirdżali choć bez wielkiéj pokory toż uczynił. Eugieni przeżegnał krzyżem świętym: « niech was Bóg błogosławi; » a obracając się do bojaryni: — « Matko Eudoxio, mam ci ważne rzeczy do powierzenia. »

— « Mów ojcze; od dziś dnia Kirdżali podzie-

la władzę z moim synem, ja go przybieram za syna. Wszak przyzwolicie na to?»

Kiedy niewiasta poświęceniem i cnotą zyska przewagę nad ludźmi, panuje wszemwładnie: nikt nie zaprzeczy jéj władzy, nikt się nie sprzeciwi jéj rozkazom. I Tudor, i mnich, ani słowa przeciwko temu nie rzekli, a mnich mówił: — «Matko, zbliża się chwila porwania za broń; potężny Car Alexander na wiosnę wypowiada wojnę naszemu ciemiężcy. Podwojmy usilność aby co więcéj ludzi nagromadzić, a bacznie strzeżmy się aby kto nas nie wydał; bo choć Turcy spią na zdzierstwach, nie trzeba ich budzić przed czasem.»

Bojaryni wzniosła oczy ku niebu: — «Bogu chwała! nadchodzi oczekiwana chwila; ale teraz moje dzieci, o jednę łaskę was proszę: podajcie sobie ręce i zaprzysiężcie, że w zgodzie będziecie pracowali dla dobra wiary i wolności, że jeden drugiego nie zawiedzie, nie opuści; bądźcie braćmi broni.» Wstała, wzięła za ręce obudwóch młodzieńców, i dłoń jednego położyła na drugiego dłoni. Mnich w imie Boga pobłogosławił braterstwo, a oni ani się rękoma

ścisnęli, ani słowa do siebie rzekli. Tudor smutnie rzucał wzrokiem na stronę, a Kirdżali hardo patrzył na niego.

Kirdżalemu nowe życie przejrzało: ma ród, ma imie; sława, wielkość, gdzieś tam zdaleka do niego się smieją. Prawda że w około tego wszystkiego tajemnica jak pająk, jak jedwabnik, hojnie nasnuła dziwnéj, nierozwikłanéj tkanki; ale ta tajemnica więcéj uroku dodaje szkicom, obrazom myśli, silniejszą dumą rozdyma uczucia serca. On marzy: lackiego rodu jestem; dzielny to narod te Lachy! Słyszałem nie raz powieści o jego potędze, sam nie raz nuciłem pieśń na cześć sławy lackich wojaków. Może mój ojciec jaki hospodar potężny tamtéj krainy, albo sławny hetman bitnych szyków, co tu zawędrowały szukać wojny? Ja mam zdruzgotać jarzmo niewoli, co gniecie dackie i sławiańskie plemiona. Kto wie czém zostanę: wodzem, hospodarem, a może i Carem naddunajskich krajów. — Myśl Turczyna upiwszy się opjum, nie z taką słodyczą kąpie się w nieprzebranych nurtach bogactwa, zbytku, i rozkoszy; nie z takiém upojeniem dziki Arab zaszołomiw-

szy głowę Haszysz-Hindym, hasa duszą po szerokich obszarach namiętności życia; jak Kirdżali po obszarach marzenia o przyszłéj wielkości: bo trunek dumy, choć go szatan przyprawia i nalewa, namiętniéj poi myśl, jak opjum, jak Haszysz Hindy. — Czémże dla niego Sara Michaela, rozkosz miłości, ozdoba błogiego spokoju, prawdziwe szczęście życia? — On ją kocha, ale nie tak jak dawniéj. Dawniéj jak dziecko bawił się i pieścił z jéj nóżką małą, misterną, cudnie wytoczoną; lubił przedrzeźniać lekkie, nieśmiałe zająknienie jéj mowy, ustami bezprzestannie muskać gładkie czoło i mszącą się brew; blask ciemnych oczu żony, był zwierciadłem upragnioném dla jego oczu; przez nią tylko żył, i dla niéj. A teraz, rzadko pocałuje, mało do niéj mówi, prawie nigdy nie pieści, a ciągle duma; na miejscu nie posiedzi, to na łowy to na przejażdżki ciągle wybiega, z Michajlakim jakieś szepty, z ludźmi wojny bezustanne rozhowory; a jednak powinienby zdwoić swoję miłość ku Sarze Michaeli, ukołysać ją w pieszczotach, bo ona błogosławiona — nosi owoc miłości w swojém łonie.

Biedna Sara Michaela, łzy roni w ukryciu, westchnieniami smutku żywi pierś, a przed mężem lęka się okazać chmurne oblicze, gwałtem wypogadza czoło, gwałtem smutną twarz w uśmiech stroi. Kirdżali tego nie uważa, bo on czém inném zajęty; nawet na ten raz nadzieja potomstwa, luba nadzieja sercu ojca, nie wiele go obchodzi, bo ulubione dziecie brzemiennéj jego dumy — to przyszła wielkość i sława. Bojaryni takoż nie widzi cierpienia Sary Michaeli, bo ona zajęta myślą o wierze, o wolności; ale Tudor je widzi. Ile razy ujrzy chmurki smutku wałęsające się po twarzy pięknéj niewiasty, to mu się serce kraje z boleści: cieszy przybraną siostrę, smuci się jéj smutkiem, przy niéj i z nią razem tłumi westchnienia, przy niéj i z nią razem powstrzymuje łzę cisnącą się z oka. Miło jéj słuchać jego mowy pociechy, ale nigdy się nie skarży. Ona go lubi jak brata, jak przyjaciela, i on ją kocha jak siostrę, a może i inaczéj; ale nigdy tego nie pokazał, nie powiedział, nigdy słowa przeciw Kirdżalemu nie wyrzekł, a co więcéj, zapomniał w téj chwili nienawiści dawnéj: wita go po bratersku, szczerze, przy-

trzymuje w domu, jakby umyślnie do Sary Michaeli go przyprowadza, i chciałby dawną miłość w nim obudzić, poświęciłby życie, spokoj, szczęście, byle tylko wrócić dawne szczęście Sarze Michaeli. Póki Kirdżali kochał, a Sara Michaela szczęśliwą była, póty zawiścił losowi szczęśliwego, nienawidził kochającego kochanka; ale kiedy inna namiętność posiadła myśl Kirdżalego, a cierpienie poczęło toczyć serce Sary Michaeli, zazdrość, nienawiść, zamarły w jego myśli, on widział tylko zgryzoty i troski istoty czczonéj swojém sercem, czczonéj swoją duszą. Człowiek namiętności, nieba się zaprze, z piekłem zkojarzy, zbrodnię uszanuje, cnotę potępi, byle dogodzić rozhukanym chuciom serca; on kocha dla siebie tylko. Człowiek cnoty i serca, nie samolub miłości, zrzeknie się szczęścia, poświęci siebie, byle uszczęśliwić ukochaną istotę; bo on szczęsliwy szczęściem téj którą kocha.



X.

Z nowiem xiężycowym zawiał wiatr od południa, i wieje bez przestanku. Tają śniegi, topnieją lody, ziemia dla wiosny jak dla kochanka obnaża z szat swoje wdzięki. Wiosna niesie w darze światu wesele i ruch życia. Muzułmanin częściéj opuszcza haremowe komnaty, częściéj rozbrat robi z chłodnem obliczem przybranéj powagi, dosiada ognistego dżameta, i sam żywy, ognisty, pędzi albo na wyścigi końskie, albo na gonitwy w dziryty. Chrześcianie gonią trzody w góry, i sami z dobytkiem idą za niémi, czy żeby z wiosną uciec od zdzierstwa muzułmańskiego, czy też może inne jakie myśli po głowie im się snują.

Od północy, z nad Wołgi, z nad Donu, przyciągnęły potężne hufce białego Cara, przeszły

Prut, i poczęły się rozgaszczać w mołdawskiéj krainie. Hasłem ich powitania téj ziemi : «Za wiarę przeczystéj Cerkwi, za wolność chrześciańskich ludów, wojnę niesięmy Bisurmanom.» Dackie i sławiańskie plemiona wierzą carskim słowom; bo to pomazaniec Boży, a oni prości ludzie myślą, że obłuda przemawiać nie może pomazańca ustami. Biedni ludzie rzucają domy, żony, dzieci, dostatki, i biegną piersiami swojemi zasłaniać wojska potężnego Cara, i torować im drogę do zwycięztw. Muzułmanie gromadzą się nad Dunajem, stary Hadży-Achmet, basza Widynia, haty-szeryfem sułtańskim mianowany rządzcą multańskich ziem; a dzielny Kiaja Mehemed, niepocieszony w swym smutku po stracie córki, jedynego dziecka, objął dowództwo nad wojskami przeddunajskiémi. Na płaszczyznach adryanopolskich, krociami kupią się otomańskie wojska: różni barwą ciała, różni barwą stroju, różni językiem, a wszyscy wierzą w jednego Ałłacha, w jednego proroka Mahometa. W Babadadży, w starym odwiecznym grodzie, gromadzi się garstka chrześciańskiego rycerstwa — po co? na obronę Muzuł-

manów przeciw Carowi chrześciańskiemu! Kto są ci wojownicy? Dzielne ich postawy, ale stokroć dzielniejsze ich czyny – to lackie plemie, to wychodźcy Zaporoża. Oni, albo ich ojcowie przed laty, pod wodzą Nekrasy, szablą odparli szable moskiewskie, gorżko zapłakali rzucając ojczystą ziemię, ale rzekli sobie: lepsze tułactwo jak niewola, lepsza bieda i smutek jak spodlenie się; tamto przebędzie się jakoś, a to i z życiem się nie zatrze, skalana cześć przejdzie do wiecznéj pamięci. — Oni nie ufają słowom carskim i carskiéj przyjaźni, a za każdą wojną myślą: szablą dostaniemy ojczyzny i wolności. — Dalekim i szerokim rozgłosem trąba wojny brzmi po carogrodzkiém państwie, krocie głosów, krocie krzyków w jednę wielką wrzawę się wiążą, a powietrze przeraźliwym wrzaskiem dzwięczy: wojna! wojna!

Duch wojny owładał bojarskim dworem. Na Brankowana grobie zatknięta chorągiew Wołoszy: na złotym polu, na wzgórzu czarny kruk w dziobie trzyma krzyż święty, godło zbawiciela; nad głową ptaka promieniste słońce błyszczy, i srebrzy się xiężyc w pełni. — Ptaku!

ty siedzisz na mogile, na pomniku multańskiéj sławy; ty latasz gdzie oko ludzkie nie zajrzy, gdzie się nie wdrapie noga ludzka. Bogdaj tak wszędzie zaleciały słowa Chrystusowéj wiary, któréj godło niesiesz w swoim dziobie. Ty najdłuższe lata żyjesz z ptaków; bogdajby i wolność multańska najdłuższe lata żyć mogła. Nad tobą świecą słońce i xiężyc: słońce i xiężyc świecą nad multańską ziemią, świecą i jasnem okiem powołują lud chrześciański do broni za wolność, za świętą wiarę. — Już wojna nie tajemnicą, niewiasty, dzieci, o niéj wiedzą: kupami lud zbrojny włóczy się po Karpackich górach, i ściąga się do bojarskiego dworu. Stara bojaryni gorąco modli się do Boga, aby wybłagać wolność ojczyzny, a twarz jéj radośna, myśl wesoła. I Sara Michaela modli się, ale nie za ojczyznę, nie za wolność, tylko żeby Bóg uchował jéj męża od przypadków; zadumana twarzą, smutna myślą. Kirdżali wesoł dumą, niecierpliwy wojny, chciałby już zawładać przepowiedzianą wielkością. Może on jéj chce dla żony, anioła swojego życia; może dla zwiastowanego dziecięcia, potomka swojéj krwi, a

może dla siebie tylko. Tudor nawet weselszy będzie walczyć za ojczyznę — słodka myśl wyssana z mlekiem. Nie raz popatrzy na Sarę Michaelę i pomyśli: stracę nieznośne mi życie, a ona zapłacze po mnie, jak po bracie. A może: i tu wslizga się nadzieja, w stroskane jego serce: nie wiemy co jutro będzie -- może i dla mnie szczęście się rozjaśnieje. Szatan pokusą zbrodni nie otworzył przystępu do jego duszy, ale mało komu nie zdarzy się budować zamków nadziei na zwaliskach szczęścia drugich.

Szary zmrok zawitał na ziemię w wieczorne nawiedziny, a z nim rozlał się po duszach ludzkich tęskny niepokoj, uroczysta posępność. Jest cóś niezrozumiałego w naturze ludzkiéj, że z białym dniem człowiek nieszczęścia zaweseli się na chwilkę, jakby na powitanie jasności Bożéj; z szarym zaś wieczorem u człowieka wesela nawet, nieznana troska ściska serce, jakby na pożegnanie Bożego oblicza światła. W komnacie bojaryni, Sara Michaela, Kirdżali, Tudor, rozmawiają o wojnie, o przyszłych nadziejach, a niepokoj plącze się im po myślach, dzwięczy w mowie. Każde serce czegoś czeka,

czegoś się spodziewa, a samo nie wie czego. Już dobrze pod noc przyjechał przełożony Ardżysowego dworu, zaledwo wszedł, bojaryni się zapytała: — «Ojcze Eugieni, jakie nam wieści przynosisz?» — «Dobre wieści.» W oczach mnicha pokora wiary, na twarzy czystość sumienia, w brzmieniu słów pewność że święcie dopełnia obowiązku namiestnika Bożego na téj ziemi. Nie zważał tą razą na przytomność Sary Michaeli, bo potrzeba tajemnicy ustała: «Carskie wojska już zająć musiały Jasy, ku Ibraiłowi dążą. Car przyrzekł nam bydź zbawcą, opiekunem; ale nie dość na tém, trzeba abyśmy się stali godnymi téj opieki, trzeba czynem pokazać, że nie spuszczamy się aby za nas się bito, ale i sami bić się będziemy. Basza Widynia ciągnie ku Kampo-lundze, aby połączyć się z seraskierem Izmajłowa.» — Sara Michaela spłoniła się i zadrżała: ojciec stanął jéj przed oczyma, a wszystkie wyrzuty sumienia na raz wsunęły się do serca i poczęły je trapić. Sam Tudor to zauważał, ale mnich mówił daléj: «Nieliczny orszak Hadży-Achmeta, można go zwalczyć. My ludzie pokoju, z naszych przycho-

dów uzbroiliśmy trzystu jezdzców i tysiąc pieszego ludu; nasz monastér otwieramy na schronienie niewiast i dzieci: bierzcie lud zbrojny pod wasze dowództwo, niebawem tu nadejdzie.» Tak ofiara niesiona na ołtarz wolności, wskazywała jakie są obowiązki sługi Chrystusowego kościoła. Kirdżali pilnie słuchał, a jakby mu myśl zbawienna przeleciała po głowie, nagle zabłysnął okiem: — «Bojarze, ty tu zostań i zbieraj lud zbrojny, a ja z konnym hufcem zajdę drogę Achmetowi. Znam ja muzułmańskie wykręty.» Sara Michaela pobladła, Tudor zgadł jéj uczucie: — «Kirdżali ty zostań, ja pójdę, dla mnie niebezpieczeństwa — broń żony, twoje życie drogie, będziesz ojcem.» Szczerze od serca to mówił, tą razą gotówby swoją piersią zastawić Kirdżalego, śmierć ponieść w jego obronie; bo wzrok błagalny dziękczynienia nadobnéj niewiasty, sowitą mu staje nagrodą za poświęcenie się. I czegożby on nie spełnił, żeby uzyskać jéj uśmiech, czułe spójrzenie jéj ciemnego oka! Gdyby miał stokrotne życie, wszystkie sto na raz by poświęcił, żeby okupić jednę chwilkę szczęścia dla anioła swojego serca, swojéj duszy.

Kirdżali dziko się uśmiechnął: — «Czyż dla tego że mam żonę, że mnie Bóg potomstwem ma obdarzyć, mam się zrzec męztwa, sławy? O nie! Ja pójdę.»

Sara Michaela obróciła ku niemu oczy prośby i ręce znakiem prośby złożyła: — «Mężu, nie opuszczaj mnie, albo weź mnie z sobą.»

Kirdżali groźnie na nią spójrzał: — «Ty zostaniesz, ja pójdę.» Po raz pierwszy słyszy głos rozkazu z ust męża, i widzi w jego oczach groźną wolę pana; czy nagły przestrach uderzył w jéj serce, czy znieważona miłość obudziła w niéj uczucie dumy — dziedzictwo Mehemedowéj krwi, jedno z dwojga: wstała, odwróciła twarz i wyszła. Tudor chciał za nią iść, Kirdżali przytrzymał go za ramię: — «Zostaw ją, kobiéta się przeszlocha i wszystko przejdzie.» Bojar nic nie odpowiedział, ale pomyślał: człowieku kamiennéj duszy, tyś jéj niegodzien. — Staréj bojaryni nawet to dziwno. Lubi ona widzieć zapał do wojny, żądzę sławy w Kirdżalim; ale niemiło jéj że z żoną obszedł się jak z niewolnicą: to nie pochrześciańsku, nie poludzku. I mnich tak myśli, ale nikt nie śmiał słowa prze-

mówić; bo Kirdżali umiał wzrokiem powstrzymać języki drugich. O wojnie gadano, a potém Kirdżali wyszedł gotować się do wyprawy.

Wszystko opatrzył, rozporządził. Michajlakiemu kazał hufiec uszykować na dolinie, a sam wrócił pożegnać żonę, a jak dochodził do jéj komnaty, tęskno mu na sercu, ostre wyrzuty robi swemu sumieniowi, że ją znieważył słowem, wzrokiem; i myśli: ona płacze, rospacza. Otwierał drzwi i chciał się jéj do nóg rzucić, przebaczenia błagać; ale ona usłyszała jego kroki, z Zulmą sam na sam była, otarła łzy i obróciła twarz ku drzwiom, ale twarz obrażonéj dumy — to Mehemedowa córa! Kirdżali wszedł, spójrzał na żonę, i do nóg się nie rzucił: — « Saro Michaelo, ja ciebie obraziłem. »

— « Nie. » A widać że się sili i twarz i oczy przyoblec lodem obojętności.

— « Żono, przebacz mi. »

— « Ja się nie gniewałam. »

— « Bądź spokojną; ja szanować będę Mehemeda życie: gdyby wypadła potrzeba, zasłonię go swojém. »

— « Wydarłeś mu jedyną pociechę, wydrzyj mu i życie. »

Kirdżali już chciał się odwrócić, ale postrzegł kręcące się łzy w oczach żony; w dzikiéj jego duszy czułość spokorzyła dumę, rzucił się na kolana: — « Saro Michaelo, ja ciebie kocham. Jeśli sławy, wielkości szukam, to dla ciebie, dla mego dziecięcia, nie dla siebie. » i całował jéj nogi.

Ona go podnosi, rzuca się w objęcia męża, kochanka: — « Luby, wszystko zapomniałam. Zostań ze mną; ja nie chcę sławy, wielkości, tylko ciebie jednego. Co mi po tém, tyś dla mnie wszystkiém. Zostań! zostań! »

W uściskach miłości dusza jego słabła, serce miękniało, kiedy wszedł Michajlaki: — « Kirdżali, wszystko gotowe, czas w drogę. »

Jak grom gniewu Bożego, słowa te zabrzmiały w uszach małżonków. Sara Michaela zawołała: « zostań. » i na pół omdlała. Michajlaki brzęknął orężem: — « Kirdżali, czyś w Izmajłowie zapomniał męztwa? » Kirdżali złożył żonę na węzgłowiu, odrzucił jéj ręce z swoich ramion; ona z zająknieniem cichym głosem

rzekła : «zostań» on ucałował jéj czoło, oczy usta : — «Bądź zdrowa, bądź zdrowa,» i wybiegł za drzwi. Zdybał Tudora, gwałtownie ścisnął mu rękę, jak gdyby kości chciał połamać : — «Jeśli polegnę, bądź opiekunem Sarze Michaeli i memu dziecięciu.» Bojar odpowiedział : «będę,» a Kirdżali z Michajlakim wyszli ze dworu.

Zulma trzeźwi Sarę Michaelę — bojaryni, Tudor, weszli do jéj komnaty. Otworzyła oczy: — «On mnie porzucił? On mnie nie kocha.» Bojaryni ją cieszy, Tudor ukląkł przy niéj : — «Siostro, Kirdżali wróci.» Zulma podnosi jéj głowę : — «Moja droga, piękna między najpiękniejszemi, dobra między najlepszémi, uspokoj się! On wróci, jaśniejszy sławą, wielkością: wszystko to przyniesie dla ciebie w hołdzie.» Próżno trwoniono słowa pociechy, ona ani zważa na to : — «On mnie porzucił, on mnie niekocha» — i załamuje ręce, jak gdyby chciała je złamać, i płacze jak gdyby chciała wypłakać oczy. Biédna niewiasta! Boleść rozstania się rozdziera jéj serce, a obawa nieszczęścia dręczy jéj myśl.

Brzegiem Oltau z biegiem wody, idzie cicho,

idzie ponuro hufiec multański. Na wronym koniu Kirdżali po przed hufcem jedzie, nic nie mówi, o nic nie pyta. Gdzie idą? — ani Michajlaki, ani podrzędni przywodzcy, ani jezdzcy nie wiedzą; a wszyscy mówią: tylko Bóg święty wie co Kirdżali duma, co stanowi. — Szli noc całą, nade dniem w bór się skryli, spoczęli, popaśli, i znowu manowcami kierowali się ku południowi. — Wietrzyk wiosny rozwiał roskoszne tchnienie po powietrzu, ziemia zazieleniała, zaweselało niebo; a Kirdżalego twarz posępna, dzika. Konie dzwonią wędzidłami, kopytami tętnią; jasnym połyskiem świeci się stal broni, zapałem wojny iskrzą się oczy wojowników. Kirdżali słyszy to, widzi to; ucho jego głuche na miłe niegdyś dzwięki, oko nie patrzy na ulubione widowisko. Wrony koń rzesko pod nim kroczy; Michajlaki ciągle o sławie mu gada; chrześciańskimi wojownikami dowodzi, za wolność ma się bić: co tu na raz uroku dla młodéj i ognistéj jego duszy! Jednak on smutny, zadumany. Smutek, rospacz żony, przyszły los potomka nadziei, zakrwawiły jego serce, myśl zaprawiły goryczą. Duma sławy i

wielkości jakby kamieniem przywalona, mocuje się aby zrzucić ciężar co ją przygniata, i co prędzéj zapanować w sercu, raz sobie zapisaném na wieczne poddaństwo.— Już są niedaleko Slatiny. Kirdżali wysłał na wzwiady kilku jezdzców. Wrócili jezdzcy, przyprowadzili mieszkańców kraju; Kirdżali na stronie po cichu z nimi rozmawiał, każdego pod straż oddał i przykazał jezdzcom aby o nic nie pytali, mieszkańcom aby nic nie mówili. Pokazał na miecz, a to znaczyło że trzeba milczéć, bo inaczéj głowa z karkiem pożegnać się może; polecił wojownikom zachować milczenie głazu, czujność i ostróżność lisa; kazał siąść na koń, i poprowadził hufiec. Dobrze przede dniem, przeprawił się na lewy brzeg Oltau i ciągnął ku Slatinie.

Pod Slatiną wojsko Achmeta rozłożyło się obozem. W kraju podbitym otomańską Portą, daleko od nieprzyjaciela, wpośrodku ujarzmionych mieszkańców, stary Basza zaniedbał wysłać czaty i straże porozstawiać, pozwolił namioty rozbić i używać wywczasu, jak w chwili pokoju.

W stronie świtania, zaranna gwiazdka srebrnem oczkiem mignęła na dobrydzień ziemi, a multańscy wojownicy dzikiem hura — hura! zaśpiewali na izań Muzułmanom. — Muzułmanie ze snu się budzą, podnoszą się, a Multańczycy ostrzem pałaszów oczy im przecierają. Trwoga, popłoch w obozie: Ałłach! Besiuałłach! krzyczą, a sami nie wiedzą gdzie broni, gdzie koni szukać. Kirdżali ze swoimi wzdłuż i wpoprzek obozu przelata: dzwonią miecze i chlaszczą po łbach, po karkach muzułmańskich; z pistoletów palą, kule swiszczą. Napastnicy hucznie krzyczą, strwożeni przeraźliwie wrzeszczą, ranni jęczą, a konie tętnią i grasują kopytami po ciałach ludzkich, po przyborach wojennych, i po ziemi. — Pod samém miastem, za przekopem, stary Achmet zbiera janczarów i spahów. Trzech synów mu zginęło, ale on o tém nie wie. Kirdżali krzyknął na swoich: « za mną. » i pędził ku resztkom Achmetowego wojska. Dzień zabielał i wszystko widać. Bezładną kupą sadzą w czwał Multańczycy, Kirdżali po ich przedzie, a Michajlaki obok niego. Spahowie radzi pomścić zniewagi żołnierskiéj,

z zaokopów wyskoczyli i harc zawiedli. Dwóch zarazem na Kirdżalego naciera; to Izmaił i Ali, pierworodni synowie Achmeta. Kirdżali starszemu mieczem łeb rozpłatał, a Michajlaki kulką z pistoletu młodszego z konia zsadził. Stary Achmet to widzi, poznał siwego konia Hussejna a może i wiarołomnego agę: woła — «Dajcie mi konia» — a tu spahowie i janczarowie uciekają. Osierocony ojciec, darmo mieczem i słowem zatrzymuje, powódź popłochu z sobą go taszczy. Już Kirdżali ostatni cios miał zadać Muzułmanom, kiedy szlakiem od Ardżysowego dworu goniec spiesznie przybiegł, na całe gardło wołał: «Kirdżali! Kirdżali!» Dobiegł, cóś z cicha Kirdżalemu powiedział, a ten zatrzymał hufiec przed samym przekopem, w pogoń nie poszedł, zaniechał bogatych zdobyczy, i spiesznie nazad iść kazał. W obozie jeden z Arnautów multańskiego oddziału, z konia zlazł i zaczął obdzierać bogate szaty; Kirdżali się zwrócił, pistolet dobył, zmierzył, cyngiel ściągnął — zabłysło na panewce, proch huknął i Arnauta bez życia leżał: to zakaz wschodu. Po co trwonić słowa? kiedy jest

ołów i proch. Żaden nie zsiadł z konia, ani słowa przemówił, wszyscy odwracali oczy od łupów, i nie myślili nawet gdzie idą, po co idą; bo Kirdżali za nich myśli, a pokazał że nie ścierpi woli w podwładnym. — Długo a długo szli wstecz biegowi Oltau, a nic nie widać, nic nie słychać. I słońce zaszło, i xiężyc większą połowę drogi niebieskim szlakiem ubiegł, a oni jak idą tak idą. Kirdżali wybiegł na wzgórek, patrzy ku górom w stronę Brankowana grobu— tam jakaś łuna jaśnieje, czy nowy się xiężyc zrodził i bieży wojnę nieść dawnemu? Ale jakiż nieśmiały! to wyjrzy, to się schowa, ciągle drażni się z okiem. Kirdżali musiał poznać co to za xiężyc, bo pędem zbiegł ze wzgórza, machnął ręką na znak: za mną! i w czwał poskoczył koniem. Jak dziki tabun za ogierem stada, tak za nim tuż pędzi hufiec: wiatr świszcze, kopyta tętnią, ziemia jęczy. Michajlaki podjeżdża: — «Kirdżali, jeszcze daleko; konie zagonimy i dziesiątéj części hufca nie doprowadzisz.» Kirdżali spójrzał dziko, i na całą odpowiedź konia w bok ubodł; Michajlaki przyzostał, bo u Kirdżalego są pistolety

za pasem, a on swego żywota nie ma na zbyciu. — Zostają jezdzcy po drodze: temu koń się związał, pod tamtym się rozparł i bez czucia stoi w miejscu. Z jasnym dniem pobladł xiężyc dawny, a ten nowy z za gór, zniknął zupełnie, tylko dym czarniawy kręci się na tém miejscu. Jakaż niecierpliwość, jakiż niepokoj, odmalowały się na Kirdżalego obliczu! Czytać można było że chciałby lecieć ptakiem, ale w koniu już wątleją siły, mdło skacze, i głowę chyli ku ziemi. Wstrzymał Kirdżali rumaka i czeka na swoich jezdzców. Kupkami, pojedyńczo nadbiegają; stanęli i szykują się: ledwie ich jest połowa. Jeszcze nie wypoczęły konie, kiedy z za lasu ukazali się jacyś jezdzcy. Zabielały zawoje — Kirdżali wzrok na nich zarzucił, potrząsł głową: — «Michajlaki, to Albańczycy Mehemeda!» obrócił się do swoich: — «Tu trzeba zwyciężyć, albo zginąć.» Wszystkich szable błyskawicą mignęły w powietrzu, i jak promienie śmierci błyszczą nad głowami. Kirdżali dodał z cicha: — «Michajlaki, zasłaniaj życie Baszy, jam przyrzekł Sarze Michaeli.» — Pomknęli z miejsca Albańczycy: kłębiasty tuman kurzu

dokoła ich obwiał, a z tego tumanu tłumnym wrzaskiem imie Ałłacha wylatuje. Kirdżali stoi, patrzy: tuman leci, coraz się zbliża; już prąd powietrza prze na usta, już nawet kurz w oczy się ciśnie. Kirdżali odwrócił się: — «Już czas, w imie Boga!» z kopyta pomknął koniem, a za nim w czwał skoczyli multańscy jezdzcy. Zmięszali się jezdzcy z jezdzcami: z pistoletów palą, szablami dzwonią; wrzask, krzyk, zgiełk. Poznali Albańczycy dawnego Agę i krzyczą: «Abdala, to Kirdżali! uciekajmy, nic się jego ramieniowi nie ostoi» — i poczęli uciekać. Kirdżali dosłyszał te słowa właśnie w chwili, kiedy Abdala nacierał na niego, tylcem pałasza wytrącił miecz Muzułmaninowi, ręką porwał go za kaftan i z siodła wyrzucił: — «Żyj Abdalo, powiedz twemu ojcu, że mogłem a nie wziąłem ci życia» — i w pogoń poskoczył koniem. Zwycięztwo koniom siły dodało, zwycięztwo wlało zapał w dusze jezdzców; ale krótko trwała ta chwila szumu szczęścia wojennego. Zaledwie zaczęli go kosztować Multańczycy, aż tu nowe krzyki z przodu słyszeć się dały: «Ałłach! Ałłach!» nowe

zastępy się rozwinęły — to spahowie, a Mehemed na ich czele. Dziki Mehemed, hojny rozdawca śmierci, samowładny pan zwycięztwa, już krzywą szablą odmiata od karków głowy multańskie! Kirdżali krzyczy na swoich, chce ich zebrać, już oni jego głosu nie słuchają, a Basza tuż koło niego: — «Psie niewierny! gadzino chrześciańska! a gdzie moja córka?» i całą siłą ramienia spuszczał miecz na głowę Kirdżalego. Widać jakim pocałunkiem serce ojca chce powitać zięcia. Kirdżali odbił cięcie, mógłby ostrzem połoskotać Mehemeda po szyi, ale nagle odciągnął rękę, i chciał koniem w lewo się skręcić. W samym zwrócie, Mehemed tak silnie płatnął szablą, że wszystkie cugle jak brzytwą przeciął i ostrzem zapruł po szyi końskiéj. Wrony się skręcił, i jak wściekły rozbijał się pomiędzy tłumem jezdzców, i sadził w pole. Kirdżali rzemiona cuglów rzucił w górę, szablą jak błyskawicą macha w prawo i w lewo, i pędzi. Z początku brzęczały nad nim stale mieczów, potém koło uszu gwizdały kule i grzmiał głos Mehemeda: — «nie uwieziesz życia psie przeklęty» — potém tabunem

konie za nim tętniały, nareszcie pojedyńczo — co raz daléj — co raz daléj, w końcu nic już za sobą nie słyszy. Kirdżali chciałby się zatrzymać, ciągnie za grzywę, targa za naczołek, ręką probuje dostać wąsów munsztuka, nawet płazem szabli po pysku bije konia — napróżno; rozjuszony rumak wyciągnął szyję i taszczy, jak sarna skacze przez krzaki, krętemi drożynami wywija się po lesie, sadzi parowy, po zuboczach kopytami się czepia, a wszystko rozhukanym czwałem. Kirdżalemu w głowie się kręci, ćmi się w oczach, ale poznał okolicę, już blisko Brankowana grobu. Sara Michaela wymalowała się przed oczyma jego myśli, a serce mu tak gwałtownie skacze w łonie, jak gdyby chciało iść w przegony z koniem. Nie wstrzymuje rumaka, radby jednym skokiem stanąć w bojarskim dworze. Wbiegł w ostatnią dolinę: za skałami bojarskiego dworu nie widać; ale cóż to za dym snuje się nad skałami, owinął wiotką chmurką górę, i rozściela się na lasy, na doliny? Po dolinie walają się trupy multańskich górali, kruki i orły nad niemi kraczą, i bratają się po swojemu, dziobami i pazurami. Kirdżalemu

duszno na piersiach, boleśnie w sercu. I tu wojna była! co się stało z Sarą Michaelą? Ostatni parów koń przeskakiwał, na drugim brzegu utknął i na łeb się przewalił. Kirdżali żywo nogi ze strzemion wyrwał, konia nie podniosł, i z pośpiechem ścieszką w górę poskoczył. Ogorzelizna w powietrzu, a po ścieżce trupy. Wdrapał się na górę — tam resztki spalonego dworu! Załamal ręce: — «Saro Michaelo! żono, aniele mój, gdzie ty jesteś!» Rozgłos nawet nie odpowiedział głosowi żalu. Wszedł między zwaliska, biega po lochach, jękiem szakala płaczącego po stepach Wschodu, woła: — «Saro Michaelo, Eudoxio, Zulmo, Tudorze!» — i Bóg wie jakie imiona sług, górali; a nikt mu nie odpowiada. Ziemia uszu nie ma, i głazy głuche. Wszędzie widać ślady Muzułmanów, bo wszystko zrabowane. Już miał się daléj pieczarą zapuszczać, kiedy usłyszał jakiś jęk; zbliżył się: «kto tam?» — przerywany głos mu odpowiedział: — «To ja, stary Pandur Bukan.»

— «Gdzie bojar, gdzie moja żona, co tu się stało?» i ucho zbliżył do leżącego.

— «Bisurmanie pobili, zrabowali. — Boja-

ryni, bojar — w Ardżysowym dworze. — Daj mi wody.»

Kirdżali porwał go na ręce i wyniosł do światła; ręce otarły się o zaschłą krew, ledwo go wyniosł do powietrza, Pandur łypnął oczyma: «W Ardżysowym zamku wszyscy — już mi nic nie potrzeba» — i zamknął powieki. Kirdżali rzucił go na ziemię; bo już dusza Pandura powędrowała, a ciało dobre na pastwę robakom. — «W Ardżysowym dworze» powtórzył sobie Kirdżali, — «Oni tam. Wrony może już spoczął» — Słaby promyk nadziei zabłąkał się do jego serca. Poszedł na dolinę: Wrony leży nad parowem; Kirdżali zawołał po swojemu rumaka, a rumak głowy nie podniosł; trącił nogą — on nieruchomy; zbliżył rękę do chrapy — zimna; chciał pysk otworzyć — zęby zaciśnięte śmiercią. Kirdżali westchnął, gorzka łza zapłynęła harde oczy; myśli: — Zginąłeś towarzyszu sławy, a towarzyszka szczęścia nie wiem gdzie jest; Bóg mnie skarał! — a zmożony trudem ciała i rospaczą duszy, padł na ziemię, krzyżem splotł ręce nad głową, i zwiesił oczy ku śmiertelnym zwłokom konia.

XI.

Noc była — Kirdżali sam jeden, pieszo, szedł bukowym lasem, pomiędzy skały i urwiska. Zda mu się że jakiś głos woła: Kirdżali! Kirdżali! — Stanął, ciśnie się uchem do powietrza; — to wiatr między rozpadliny skał świszcze. Srebrny xiężyc, jasne gwiazdki, radośnie zeszły na niebiosa i myślą, że wieki tam będą panować; w tém tłumami nadeszła czarna jazda chmur, zaszumiała, rozwinęła się, i xiężyc znikł, i gwiazdy ponikły, a ciemność grobu rozlała się po sklepieniu nieba. Kirdżali! tak i tobie zabłysły szczęście, sława, wielkość; tyś myślał że zawsze błyszczeć będą. Dumny człowieku, przyszła niespodziana chmura trafu, i słodkie nadzieje, życie twoje, zaciemniła smutkiem grobu. Niebieskie chmury przejdą, a xiężyc i

gwiazdy znowu jaśnie zabłyszczą; bo ich jasność z czystego zródła początek bierze, i czystą chęcią na dobro światu świeci. Ale u ciebie Kirdżali, gdyby i chmura trafu przeszła, i niebo nadziei w około ciebie nanowo się rozjaśniło, czyby twoja dusza, tak jaśnie i tak czysto, na dalsze dni twego życia mogła błyszczeć? U ciebie myśl nadziei czerpie jasność w pokalanem źródle dumy, sumienie twoje o dobro świata się nie troszczy, jak bałwochwalca złotemu cielcowi, tak ty i słowem i czynem hołd niesiesz dumie, dziecku szatana. — Idzie Kirdżali i myśli: skoro żonę znajdę, nigdy się z nią nie rozłączę, na krok jéj nie opuszczę. Wydobył z za kaftana haftowaną chustkę i pierścień amuletowy, jeszcze dary Selimy muzułmańskiéj, całował je i cisnął do ust, jak w pierwszych dniach miłości; bo najdroższy ten skarb, który mamy za stracony. O jakże w téj chwili Kirdżali kochał Sarę Michaelę! Nadzieja że ją znajdzie, słodką ulgę niosła jego sercu; czemuż tą myślą dłużéj się nie bawił? — nie tyleby cierpiał. Szatan wróg szlachetnego wzruszenia, rospaczy, zemsty ustami do ucha mu szeptał:

po coś ocalił życie Abdali? czemuś nie przebił łona Mehemeda? Teraz może Mehemed godzi się ze swoją córką, a wkrótce na przebłaganie ojca, twoja żona odda serce i rękę Abdali. Twój ślub chrześciański niczem u Muzułmanów, a Sara Michaela kobiéta — Bolesne uczucie zwarzyło sercem Kirdżalego, zatoczył się po ścieszce pjany rospaczą: — Znajdę ludzi! Czekaj Mehemedzie, — czekaj i ty Abdalo, — pomszczę się nad wami. — Zemsta mu krew rozpaliła i przysporzył kroku.

W monastérze Ardżysowego dworu popłoch — Jeszcze tam Muzułmanie w gości nie zawitali, ale co godzina nowa wieść trwogi przylata: wiedzą już tam o spustoszeniu bojarskiego dworu, i o klęsce Kirdżalego hufca. — Jakiś szpieg, albo podły zdrajca, Mehemedowi musiał donieść o zbieraniu się Multańczyków w górach; bo basza w miejscu iść na spotkanie wojsk białego cara, jak w dym prosto poleciał do Brankowana grobu: powojował, poniszczył, popalił, porozpędzał, i nazad ciągnął ku Kampolundze. Czy na monastér uderzy, czy przeciw ruskim wrogom pójdzie, — nie wiadomo.

Carskie wojska nie śpieszą nieść pomocy Multańczykom, zagospodarowują się w mołdawskiéj i besarabskiéj ziemiach. Zajęli starą Kiliję, Izmajłow, Galacz; tam się gnieżdżą na panowanie, a zapomnieli że obiecali wrócić cześć świętéj wierze Chrystusa, wolność dackim i sławiańskim plemionom. — W monastérze mnóstwo ludu się nazwlekało, i co raz więcéj przybywa: to niedobitki górali Tudora, to rozproszeni jezdzcy Kirdżalego. Mnichy kryją zbiegów w podziemne pieczary, a jednak lud zbroją; radziby uniknąć boju, ale w potrzebie gotowi się zmierzyć z muzułmańskimi ciemiężcami. W dzień modlą się i śpiewają hymny na chwałę przedwiecznego, jak przystoi na namiestników Bożych, na wiernych sług świętego kościoła; w nocy wyruszają na jakieś wycieczki, podjazdy, jak przystoi na obrońców ojczyzny, na żołnierzy wolności. Wielebny Eugieni, to pisze listy i wysyła gońców, to się naradza ze starszyzną monastéru, albo z bywalcami gór Karpackich. Monastér stał się zarazem przybytkiem świętéj wiary i świętéj wolności.

Nad wieczorem, bez przypadku przyszedł

Kirdżali do monastéru. Czy niespokojność serca o los żony, czy wstyd dumy za przegraną bitwę, rozlały dziki wyraz smutku po chmurnéj jego twarzy; na nikogo nie patrzy, nikomu nie odpowiada, wprost idzie do przełożonego. Ojciec Eugieni jak go zobaczył, z radością serca objął go w swoje ramiona: — «Bogu chwała, że ciebie nam przysyła; nam trzeba wodza.»

Kirdżali wzdrygnął się, bo jego dumie, szczere powitania, słowa otwartego zaufania, zdają się bydź wymówką za straconych jezdzców; jednak nic o tém nie rzekł, tylko ponuro spojrzał: — «Ojcze, gdzie moja żona, gdzie bojaryni, gdzie Tudor?»

— «Synu, Bóg probuje naszą pokorę, nie sarkajmy przeciw jego wyrokom: on nas zasmuci, on nas pocieszy. Na drugi dzień po twojém wyjściu, dowiedzieliśmy się że Mehemed ciągnie prosto z Kampolungi ku Brankowana grobowi.. Natychmiast dałem znać Tudorowi. Bojar niecierpliwy spotkać się z wrogiem, część górali zostawił na obronę dworu, z drugą zaszedł drogę Mehemedowi, naprzeciw wąwozów czerwonéj wieży, pewny że w każdym

razie, czy zwycięży, czy zwyciężonym zostanie, zdała cofnąć się do swoich. Inaczéj się stało. Mehemed uwiadomiony o zamiarze bojara, sam z jazdą i bulgarską piechotą przeprawił się przez Oltau, i dolinami poszedł ku Brankowana grobowi; janczarom kazał uderzyć na Tudora. Bitwa była krwawa : nasi chcieli się cofać ku swoim, ale im drogi nie stało, Muzułmanie zajęli wszystkie ścieszki; Tudor chciał przebojem się dostać, ale górale nie złamali janczarów, pobici rozpierzchli się w góry. Bojar ranny tu został przyniesionym; on nic nie wiedział co się stało z jego matką, z twoją żoną; dzisiejszéj nocy pojechał z mnichem do Jass, do obozu moskiewskiego. Z górali co bronili Brankowana grobu, ani jeden tu nieprzyszedł; ale są ludzie co mówią, że widzieli twoją żonę i bojarynię w mocy Mehemeda. »

Kirdżali wysłuchał mowy, westchnął, potém skrzywił twarz jak do piekielnego uśmiechu : — « Dobrego opiekuna zostawiłem żonie! Tak to bojar dotrzymał słowa. »

— « Synu, nie bluźń na bojara; on chciał najlepiéj zrobić, inaczéj się stało. Tyś dzielnie

natarł na wojska Mehemeda, a jednak nie spełniłeś coś sobie obiecywał.»

Kirdżali podniosł dumne czoło, powiodł okiem po mnichu, wstrząsnął głową: — «Prawda Ojcze, gdzie są górale?, chciałbym z nimi się rozmówić.»

—«Oni w pieczarze odpoczywają, chodź ze mną» — Weszli do kościoła, w kaplicy pomoczyli palce w święconéj wodzie i przeżegnali się krzyżem świętym: ale żaden nie rzucił wzrokiem na dwa długie rzędy kolumn z białego marmuru, strojnych w bogate wieńce, arcydzieło rzeźbiarskiego dłuta; na sklepienie cerkwi upiękrzone malowidłem odgadującém tajemnice nieba, uroki raju, albo opowiadającém czasy męczeństwa chrześcijańskiego; nie spójrzeli na obrazy świętych pańskich jaśniejące złotem, srebrem, jaskrawemi kolorami farby, a rozjaśnione jeszcze mdlejącém promieniem zachodzącego słońca; na litery złotem natykane w czarny marmur, napisy grobow hospodarow multańskich, dawnych panów Ardżysowego dworu, albo przełożonych monasteru, dzisiéjszych dzierżawców miejsca wielkich pamiątek. Przeszli

koło carskich wrot : ojciec Eugieni pocisnął jakąś blaszkę w murze, i wśród marmurowéj posadzki odskoczyło marmurowe wieko. Po schodach zeszli na dół : wszędzie płoną lampy światłem umarłych, po framugach trumny, a po kątach błyszczą składy broni; tamte na cześć zmarłym sługom wiary i wolności, te do posługi żyjącym. Daléj, koło ognia kupami siedzą mnodzy ludzie : jedzą, piją, rozmawiają. Posępne ich twarze, jak upiorów wędrowców z tamtego świata; dziko i grobowie po sklepieniach i załomach pieczar odbija się szmer ich głosów. Zaledwie Kirdżali z przełożonym ukazali się z ciemności, głośno wszyscy zawołali : «Kirdzali, Kirdżali» i jakby na wtór powitaniu brzęknęli tłumnie orężem. Kirdżali wita, poznaje górali, swoich jezdzców, dziarskich Arnautów; ale co go najbardziéj dziwi, Michajlaki między nimi. Czarnowąsy Arnauta, cieszy się że znalazł wodza. Wór złota, nie tyleby go rozradował, bo on przywiązaniem psa kocha człowieka, którego jego dobra wola mianowała swoim panem : — «Kirdżali, odprowadziłem część naszych jezdzców tutaj, i reszta — jeśli żyją, to

się zbiorą; bo ci co polegli, już nie wstaną. Żona twoja w moc Mehemeda się dostała: nie trać nadziei, odbierzemy ją, — ruszajmy, jużeśmy dość spoczęli.»

— «Michajlaki, kto ci mówił o mojéj żonie?» — i na twarzy jego chciwa ciekawość i obawa usłyszenia nieszczęsnéj wieści z pewnością, zarazem w jednéj chwili się skrzyżowały. Michajlaki wskazał palcem na górala, a ten począł opowiadać, że słyszał jakoby basza zabrał wszystkie skarby i jeńców z bojarskiego dworu, i że między niemi znajdowały się bojaryni i Sara Michaela; drugiemu mówiono, że basza odesłał jeńców i łupy za Dunaj; trzeci z pewnych ust się dowiedział, że basza za sobą kazał prowadzić zakrytą karucę, a że w niéj były trzy niewiasty, zapewne matka Eudoxia, żona Kirdżalego, i jéj sługa Zulma: karucy oddział wyborczy anatolskich spahów pilnował, a nawet przy nich szli Nekrasowcy Tewterder-beja, attamana Zaporożców, najdzielniejsze wojsko Mehemeda. — Wszyscy słyszeli, a nikt nie widział, i sroga niepewność jak owładała, tak włada sercem Kirdżalego.

Jeszcze nie wyszli z pieczary, kiedy nadszedł mnich jakiś, i cóś zcicha przełożonemu mówił. Twarz przełożonego zwolna się rozjaśnia, nawet promyk zadowolnienia błysnął w oku. Kirdżali u którego teraz zdwoił się słuch i wzrok, natychmiast podszedł : — «Co słychać ojcze?»

— «Dobre wieści. Mehemed cofa się ku Dunajowi przez Tergowicę, a wojska wielkiego Cara ku nam dążą.»

Dobre wieści — pomyślił sobie Kirdżali — dla was, ale nie dla mnie. «A o mojéj żonie nic nie słychać?» — Przełożony i mnich, razem pokręcili głowami że nie. Kirdżali zamyślił się chwilkę, i już postanowił, bo ręką machnął : — «Ojcze, ja zabiorę moich ludzi, dasz mi konie i broń. Na monaster nieszczęścia nie naprowadzę, a na wrogu albo się pomszczę, albo sam zginę.»

— «Niechaj ciebie Bóg błogosławi; wszystko na twoje rozkazy. My się nie lękamy nieszczęścia; życie nasze, nasze skarby gotowiśmy poświęcić w obronie wiary i wolności : to nasz święty obowiązek.»

Kirdżali odszedł, żywo wziął na stronę Mi-

chajlakiego : — «Słuchaj, basza jutro ma bydź w Tergowicy; między Drogoneszlami a tém miastem jest wieś bulgarska Hrazgrada; nie jednę kiesę złota wysypaliśmy z Tudorem między jéj mieszkańców, zaprzysięgli służyć przeciw Bisurmanom; na drodze z Hrazgrady do Tergowicy wąwozy i krzaki, dobre miejsce do zasadzki. Ja zaraz jadę, i Bulgarami obstawię drogę; ty zbierz jezdzców, i równo ze dniem przybywaj do tergowickiego brodu; tylko manowcami, aby ciebie nikt nie spostrzegł. Może Bóg da że odbierzemy jeńców.» — A Michajlaki dodał. «i łupy.» Nigdy tak długo Kirdżali nie powierzał swoich zamiarów podwładnemu, jak teraz; ale chęć gorąca odzyskania aniola swojego szczęścia, rozwiązała mu język, a obawa aby nie zmylono jego rozkazów, nakazała obszerniéj się objaśniać, niż zwyczajem jego było. Michajlaki zbierał jezdzców i szedł po konie, a Kirdżali wyszedł z pieczar, a równo ze zmierzchem siadł na konia i wyjechał z monasteru.

Już dobrze na noc się zabierało, kiedy Kirdżali wjechał do Hrazgrady. Prosto się udał

do bulgarskiego włodara : chata nie zamknięta, włodar jeszcze nie spał, cóś koło strzelby naprawiał, czy panewkę czyścił, czy skałkę nasiekiwał. Dobra nadzieja. Kirdżali wszedł :
—«Jak się masz włodarze.»

Włodar wzdrygnął się i wziął się do strzelby, potém strzelbę odłożył : — « To wy bojarze Kirdżali; zkądże was tu Bóg prowadzi? »

— « Nie z tamtego świata. Zwołaj swoich ludzi : trafia się gratka, Bisurmanie tędy przechodzić będą. »

Ruszył ramionami włodar : — « My o tém wiemy; ale gdzież wasze wojska, bojarze? Ludzie, coście potracili, nie zmartwychwstaną. »

Kirdżali od gniewu poczerwieniał, groźnie okiem błysnął, i wydobył attagan z pochwy : — «Psie przedajny, polegli ludzie nie zmartwychwstaną, ale i ty nie zmartwychwstaniesz. A złoto coś nabrał, a przysięga coś wykonał, w co się obróciły? »

Włodar zapomniał o strzelbie, zbladł jak chusta, padł na kolana i trząsł się jak w febrze : — «Bojarze przebacz,—pojdę po ludzi,—zrobiemy co każesz. »

Kirdżali spójrzał na niego z pogardą, schował attagan do pochew : — «Wstań i idź» — Włodar poszedł, a Kirdżali przechadzał się po izbie i powtarzał ; «Nikczemny rodzie, strachem śmierci trzeba ci rozkazywać śmierci szukać. I do was to chcą przemawiać w imie wolności, w imie świętéj wiary! Uczuć duszy wy nieprędko, albo nigdy nie zrozumiecie. Złotem sypnij, żelazem pogroź — to żywioły na poruszenie rodu ludzkiego, a nawet na władanie nim.» Potém na myśli stanęła mu żona : «Saro Michaelo, tyś nie była podobną do rodu ludzkiego; twojem sercem nie strach, nie żądza dostatków, wielkości, władały. Aniele, tyś miała duszę niebianki, a w niéj skarb nieprzebranego bogactwa uczuć. O gdybym ja ciebie odzyskał!...» i łza zapłynęła jego dumne oko.

Zaczęli się schodzić Bułgarczycy zbrojni w strzelby i noże. Każdy nisko się skłonił przed Kirdżalim i trzymał oczy w ziemię spuszczone, nie śmieli popatrzyć na jego harde czoło. Musiał włodar swojego serca strach wszczepić w ich serca, czy też inną jaką myślą zaprzątnął ich głowy. Przyszedł nareszcie sam włodar :

— «Kirdżali, za chwilę wszyscy się zbiorą : a gdzie pójdziemy?»

Kirdżali rzucił głową ku niemu : — «Tam gdzie was powiodę.» Nikt słowa nie odrzekł, i milczenie było jak w cerkwi. W tém weszło jeszcze kilku młodych Bulgarów, i zaczęli cóś szeptać do ucha włodarowi. Kirdżali na nich popatrzył : «Co to jest.»

Włodar schylił czoło : — «To ja bojarze wysłałem na zwiady, czy nie ma w pobliżu wroga; ale chwała Bogu wszystko cicho : teraz możemy iść »

— «Chodźmy» rzekł Kirdżali i ku drzwiom postąpił. Ciżba się rozsuwała, w tém włodar gwizdnął, a Bulgarowie oburącz rzucili się na Kirdżalego : on krzyknął «psy niewierne ja was nauczę!» i za attagan sięgnął ręką; ale już i attagan i pistolety mu wyrwali, jeden w pół go uchwycił, drugi za ręce łapie, ten za nogi ciągnie, tamten rwie się do włosów. Kirdżali mocuje się, pręży członki — zwalił się na ziemię, i oni się z nim walą, kupą tarzają się po podłodze. Włodar rzuca sznury, woła : «wiązać, wiązać»— Zmógł się Kirdżali, oczy krwią

mu zaszły, krew z ust i nosa płynie : piersią gęsto robi, a głos zatkał mu się w gardle. Bulgarowie sznurami wiążą ręce, nogi, on nic nie mówi, nawet nie jęczy.

Włodar zbardział, rozcieszył się : «będziemy mieli złoto, basza nie pożałuje cekinów za przewodzcę buntowników. Tewteder - bej ztąd niedaleko, zaraz przybędzie; już dałem znać» — Związali Kirdżalego, zaciągneli go w kąt izby, a jednak wszyscy Bulgarowie milczą, choć włodar bogate nagrody im obiecuje : może wstydzą się czynu haniebnéj zdrady? może strach zemsty Kirdżalego odpędził od nich ochotę rozmowy? a może nie wierzą obietnicom włodara, bisurmańskiéj nagrodzie?— niepewność odejmuje chęć do zawczesnego cieszenia się.

Kirdżali przyszedł trochę do siebie, przytłumionym głosem zawołał : — « Podli nikczemnicy! »

Włodar przystąpił : — « Skończyło się wasze panowanie. Cóż to myślisz, że my nie wiemy co się stało z Tudorem i z tobą? Pokiście mieli złoto, ludzie wam służyli; a teraz słu-

żymy panu co ma potęgę i cekiny. Jam się poniżył przed twoim attaganem, przyszła i na ciebie kolej. »

Kirdżali widać nie słuchał tych słów, inna myśl trapiła jego duszę : « Saro Michaelo! i jaż ciebie już nigdy nie zobaczę! » Z tak bolesnym jękiem to wymówił, że aż tęskno zrobiło się Bulgarom. Możeby przyszła im chęć wolność wrócić Kirdżalemu, krwią swoją okupić ohydny podstęp; sam włodar nawet się zafrasował, — kiedy zatętniały na dziedzińcu kopyta mnogich koni, w sieni zabrzęczały szable, i weszli ludzie zbrojni. Na nich, z pod siwych kaftanów wyglądają białe żupany, szerokie szarawary w zamaszyste fałdy ściekały na czerwone bóty, po kontuszach lite pasy, przy bokach krzywe szable i attagany, za pasem pistolety i kindżały; po lacku golone głowy, i wąsy po lacku podstrzyżone; czerwone zawoje na skroniach — Czemu nie zaporozka czapka z kraśnym kołpakiem? o jakżeby im pięknie z tém było! — to dzieci lackiéj ziemi, to wychodzcy dnieprowego Zaporoża. Bulgarowie podłogę czołami wytarli, na znak czci i

posłuszeństwa; Zaporożcy nawet nie odkiwnęli głowami psóm niewoli. Stary attaman Neczaj Tewterder-bej turecki, całą dłonią musnął siwy wąs: — «Po jakie licho tuście nas sprowadzili?»

Włodar postąpił na przód, wnurzył w dół oczy, ręce do piersi przycisnął na znak niewoli i pokory: — «Wielki Tewterder-beju, możny hospodarze, my wierni niewolnicy Pady-szacha, złapaliśmy wodza psów buntowniczych, Kirdżalego izmajłowskiego zbiega» i wskazał związanego.

— «Czyście go z bronią w ręku wzięli, i gdzie?»

— «On przyszedł przechować się u nas, do buntu podmawiać; myśmy go podstępem przytrzymali. Seraskier Izmajłowa obiecał nagrodę....»

Ataman zmarszczył czoło, brwi napuścił na oczy, z kieszeni dostał spory wór cekinów i rzucił Bulgarczykom: — «to zapłata za gościnność, weźcie! A teraz psy niewoli precz z izby.» — Niewolnicy podjęli pieniądze i wyszli, a ataman zbliżył się do Kirdżale-

go : — « Nieszczęśliwy, i cóż z tobą teraz będzie? »

Kirdżali obrócił ku niemu oczy : — « Życie mi odbierzecie, i skończyło się» — chciałby dumą zetrzeć boleść odpiętnowaną na twarzy.

Ataman odwrócił głowę : — « Uwolnić go z więzów. » — Migiem Zaporożcy rozcięli pałaszami sznury : Kirdżali wstał i otarł krew z twarzy; a kiedy powiodł okiem po ludziach, po izbie, oblicze atamana widocznie się wzruszyło. Bystro patrzy na Kirdżalego; czy się uląkł dzikiego wzroku hardéj dumy? — nie: niebyło, nie masz i nie będzie człowieka na świecie, któregoby ataman się uląkł; czy znane mu rysy téj twarzy? — i to nie : on nigdy w życiu nie widział Kirdżalego; w ostatniéj wyprawie słyszał tylko o nim od Mehemeda, od Abdali, od albańskich jezdzców, — a widać że to przypatrywanie się nie wzbudza przyjaznego uczucia w sercu atamana, bo zawołał : — « Wyprowadzić go do tatarskiego mirzy, niechaj jutro równo z dniem z swoimi nukirami odstawi go do Tergowicy. » Rzekł, i stało się. Kirdżali nie opierał się, wypro-

wadzili go za drzwi, a Neczaj sam został ze starym Zaporożcem: — « Bohdanie, gdyby nie młode lata tego człowieka, myślałbym że to on » — potrząsł głową. — « Przeklęty ten dzień w którym otworzyłem ucho prośbie Kordakiego » — zgrzytnął zębem — « ten pies bez czci i wiary... »

I Bohdan smutno patrzał: — « Ojcze atamanie, już on znalazł nagrodę za swoje. »

— « Oh, Kordaki! ale nie tamten. I mój atagan potrzebuje krwi. Telero, bracie broni, czyż ja o tobie zapomniałem » — potarł czoło dłonią i jak gdyby za wiele powiedział, zamilkł, a Bohdan nie przerwał milczenia.

Nazajutrz dzień równo ze świtem, przez wieś szedł tatarski oddział. Nukir, na sznurze Kirdżalego jak psa ciągnie: ręce więźnia w tył związane, na szyi sznur, i w pasie ujęty sznurem; koniec sznura uwiązany do kuli tatarskiego siodła. Nukir nogami napiera konia, a z tyłu Nukiry nahajkami i płazami popędzają Kirdżalego. Mężczyźni, niewiasty, dzieci, przed chaty powybiegały, kamieniami rzucają, plwają, i miotają obelgi na Kirdżalego:

podły lud, nikczemnością kryje swoję słabość, nikczemnością skarbi łaskę silnego ciemiężcy. — Kirdżali nie czuje cierpień ciała, zapomniał nawet na chwilę o rozpaczy swojéj duszy, i myśli: nikczemnicy! przed niewielu dniami do nog mi padali, bo szczęście do mnie się uśmiechało; a teraz lżą mnie gorzéj od wrogów, bo nieszczęście na mnie spadło. O ludzie! wyście podlejsi od najnikczemniejszego bydlęcia. — Ta myśl tak mu serce zatruła, że w téj chwili zaprzysiągł wieczny rozbrat z rodem ludzkim. Wyszli za wieś, Kirdżali trochę ochłonął, poznaje miejsca: kierują się wprost na tergowicki brod. Nadzieja wstąpiła w duszę więźnia: gdyby tam Michajlaki był! ale nie — on nie zastał nikogo, musiał powrócić — i on człowiek; zresztą nic niewinien.

Już brod widać, a niemasz nikogo: ptaki tylko świegocą, i kiedy niekiedy załopocą skrzydłami po liściach. Weszli w wodę: chłapią konie kopytami, szemrzą strumyki dalekie, sznur ciśnie w szyję Kirdżalego, nogi grzęzną w żółtym piasku, a nikt z lasu nie wypada. Przeszli brod, nadzieja odbiegła; a

choć mu życie niemiłe, jednak rospacz wyrwała mu z piersi : «Saro Michaelo, już ja ciebie nie zobaczę! » — Nukir targnął sznurem, drugi nahajką w plecy uderzył rozpaczającego. — W tém nagle jacyś jezdzcy z boku wypadli; ze wszech stron na Tatarów uderzyli, zażarcie rąbią mieczami. Tatarzy się bronią, ale siła przeważa, pierzchają w różne strony lasu. Nukir co prowadził Kirdżalego już gryzie piasek zębami, Michajlaki — bo to był on — przeciął sznury więznia, konia mu podał : — « Żywo na koń! czas drogi. » — Kirdżali wskoczył na koń, Michajlaki potrzykroć gwiznął, i wszyscy jezdzcy w lewo w las czwałem polecieli. Kilka razy tętent kopyt końskich rozgłosem zahuczał po lesie, nareszcie wszystko ucichło, zamilkło, tylko trupy ludzkie i konie bez jezdzców zostały na świadectwo, że przed chwilą ludzie tam byli.



XII.

Już dusza Kirdżalego zmierziła sobie rod ludzki, ale jeszcze dwa węzły z nim go wiązały: miłość dla Sary Michaeli, i chęć karmienia dumy dobrą czcią, znakomitém imieniem. Rospacz po żonie, myśl o potomku nadziei, żywiły jeszcze w jego sercu ostatki współczułości dla ludzi; wspomnienie że jest lackiego rodu, że mu zapowiedziane sława, wielkość, silném jeszcze ogniwem kuły go do tego świata. — Z Michajlakim przebiegał naddunajskie wsi i grody, życie narażał, siał pieniądze, a żadnéj pewnéj wieści o Sarze Michaeli powziąść nie mógł. Udał się do moskiewskich obozów, o Tudora pytał, nikt mu odpowiedzieć nie umiał: wołoski bojar znikł, zaprzepadł, w nieprzeliczonym tłumie carskich żołdaków, jak niknie, zaprze

pada jedna mała mucha w nieprzebranym roju much, jedno ziarnko piasku na piasczystym stepie, jedna kropla wody w stawie; są one tam, ale Bóg wie gdzie. Kirdżali chciał służyć w carskiem wojsku; odepchnięto obojętnie żądanie: on na posługę dawał carowi silne ramie, odważne serce, a carscy słudzy o ród go pytali; duma nie pozwalała mu zniżać się do prośby, jak przyszedł, tak odszedł — z niczém. Przebiegał bojarskie dwory, chłopskie chaty, do broni powoływał ludzi multańskich: bojarom od strachu zadrętwiały serca, o wolności bali się mówić, a nawet słuchać, bali się otwarcie korzyć czoła przed prawdziwym Bogiem, oddawać cześć świętéj wierze Chrystusa; lud na Bojarów patrzał, za nimi szedł w ślad drogą nikczemności. Kirdżali wrócił do Ardżysowego dworu, tam mnichy, namiestnicy przeczystéj wiary, wierni słudzy wolności, z otwartém sercem go przyjęli; ale zawiedzeni na obietnicach białego cara, rzekli: «czekajmy lepszych czasów, krzepmy się w siły i w zasoby.» U człowieka poświęcenia się i z zimną rozwagą, słowa: czekajmy a pracujmy,

są nadzieją, niejako zakładem przyszłych pomyślności; u człowieka dumy i gorących namiętności, słowo: czekajmy, jest wyrokiem śmierci dla nadziei: on nie zna, nie rozumie nic innego, tylko: róbmy a nie pytajmy co się z nami stanie, — inaczéj gorąca dusza nie osiedziałaby się w ciele, a niecierpliwe serce pękłoby w łonie, albo wyskoczyło z niego; on życie żywić musi ruchem życia; chwila spoczynku, oczekiwania, to dla niego śmierć.

Dzika rospacz Kirdżalego. W dzień, ponury, samotny; w nocy, ani śpi, ani modli się: czasem zapłacze krótko ale gorzko: « Aniele mego szczęścia, Saro Michaelo, tyś mi wydarta na wieki! Zapomnisz o mnie, drugiego kochać będziesz! » — i rzuci się na łoże boleści, jak bez życia, — wstanie, załamuje ręce: « zdradzili mnie, mną pogardzili, odepchnęli wszędzie » — zachychocze smiechem zjadłéj złości: « podły, nikczemny rodzie ludzki! » — i znowu smutek zamgli dumne czoło, a szeroka pierś wezdmie się ciężkiem westchnieniem: « sławo, wielkości, w cóż się wy obróciły? » spuści oczy ku ziemi, szerokim krokiem przechadza się po

ciemnych pieczarach monastéru, a myślą rospaczy brodzi po przestworze grobowego smutku.

Ojciec Eugieni i mnichy widzieli to, ale żaden nie śmiał mu nieść słowa pociechy; bo w jego rospaczy była duma trzymająca na uwięzi języki drugich, była dzikość niszcząca w samym zarodzie chęć pocieszenia go. Michajlaki nieodstępny towarzysz Kirdżalego, szatańską radością cieszy się z rozpaczy swojego pana, i słowem i czynem ją poduszcza, i do reszty obmierza mu rod ludzki; a kiedy już widział że rospacz dobrała miary i we wściekłość wpada, że pogarda dla ludzi zaczyna się przystrajać w chęć zemsty, rzekł: — « Kirdżali, czyż nasze szable rdzawieć mają, poki jaki biały albo czarny car z pochew ich wydobydź nie pozwoli, nie rozkaże? Czyż to my niewolnicy! »

Kirdżali zmarszczył czoło: — « Nie; » — westchnął: « wolność, to urojenie, ród ludzki jéj niewart. »

— « Poczekaj; są ludzie wolności, ale nie tu. »

— « Gdzież? mów. »

— « W górach, Arnauci, Pandury : ci których wy nazywacie zbójcami. »

Kirdżali pomyślał : — « To zbójcy. »

— « Zbójcy ! I biały car, i sułtan także zbójcy. Czyż oni ludzi nie mordują, nie rabują ich dostatków ? »

— « Ale przy nich prawo, przy nich sława. »

— « Idź, żebraj u cara aby ciebie zrobił sołdatem moskiewskim ; liż stopy sułtana, może ciebie przyjmie na spaha, na janczara, albo służalca seraju. »

Kirdżali dumą rozjaśnił lice : — « Michajlaki milcz! Ja żebrać nie umiem, a rozkazywać mogę; bo mam attagan i ramię. »

— « To idź, rozkaż bojarom multańskim niech pójdą za tobą, zawiodą taniec wojenny za wolność, za świętą wiarę. Idź, powierz się Bulgarczykom, ziemlakom twoim : to poczciwi ludzie, nie zbójcy. »

Uderzył się w czoło Kirdżali, cierpka boleść dziwném skrzywieniem ściągnęła jego twarz : — « Przeklęty, podły ród ludzki ! »

— « Kirdżali, chodź między zbójców. Oni cię wodzem okrzykną, jak ojca szanować będą,

a jak pana słuchać i bać się; oni ludzie sumienia, swojego nie zdradzą; oni złota, dostatków, orężem nabywają, nie idą ich szukać służalstwem i podłością.» — Kirdżali milczał i słuchał, a Arnauta zapałem twarzy równoważył zapał mowy: «Jerzy Czarny był wodzem Hejduków, zbójców, a potém zatknął chorągiew wolności dla Serwii: biały car i cesarz niemiecki posły do niego słali, jak do mocarza; a nawet padyszach z nim przehowory nie raz rozpoczynał.» — Kirdżali bystro popatrzył na Michajlakiego, cóś chciał powiedzieć, ale nagle ścisnął zęby, usta przywarł, odwrócił się i zaczął przechadzać się szybko i myśleć; widać że mu ciężko wyrzec słowo postanowienia. Arnauta chciwie sledzi okiem po ruchach twarzy Kirdżalego, czy nie przejrzy myśli jego duszy; a jakby go chciał zaprobować ostatnim ciosem, pokręcił głową: — «Żonę ci wydarto; czy myślisz modłami, albo nieczynnością ją odzyskać? Stań na czele Hejduków, zbójców, jak wy tam ich zowiecie, — ja ci przysięgam na wiarę wojenną Arnauty, że znajdziesz Sarę Michaelę choćby na krańcu świata była.»

Kirdżali stanął, zwyczajem swoim ręką machnął: — «Chodźmy!» — i wyszli, i tegoż samego dnia jeszcze opuścili monastér Ardżysowego dworu.

Od tego czasu imie Kirdżalego stało się postrachem naddunajskich krajów. Hospodarowie Bukarestu i Jass haracz mu opłacali, Muzułmanie nie śmieli stawić czoła jego Hejdukom, bojarowie drżeli na wspomnienie imienia Kirdżalego, jak na wieść grasującéj dżumy; a jednak on niczém więcéj nie był jak zbójcą, przywodzcą zbójców, — nic więcéj nie zrobił tylko sprawdził starą przepowiednię Kordakiego: stał się zdrajcą, odszczepieńcem, a nakoniec zbójcą.

Już srebrna zorza poranku, wstydliwa dziewica nieba, naumizgawszy się ukradkiem do pana xiężyca, wypieszczonego syna nocy, jakby podchwycona słońcem, czy ze wstydu czy z gniewu zbladła i znikła w obłokach; i pan xiężyc jakiś czas się srożył, jakby ze słońcem chciał wojnę toczyć, ale niebawem poszedł tam gdzieś między obłoki, zapewne gonić w za-

loty do srebrnéj dziewicy, a słońce samowładnie zapanowało na niebiosach. — Góry Karpackie białym śniegiem, zieloną wesołością drzew, i srebrnemi wstęgami potoków i ruczajów, witają zeszłe słońce; ptaki gwarnem świegotaniem, głośnym śpiewem, szlą hymn dziękczynienia Twórcy za dar białego dnia; zwierzęta kryją się w zarośle i bory, i tam lubym wypoczynkiem oddają hołd jasności nieba. — Czy między górami ludzie ze zwierzętami trzymają, bo nie widać na ścianach gór pastuchów z trzodami, na dolinach z pługami rolników; czasami tylko wązką scieszką przemknie człowiek zbrojny jeden, i drugi, i trzeci, i więcéj, — ale to nie myśliwcy, choć u nich strzelby na plecach i długie noże za pasem : nie staną na przesmykach i nie czatują na zwierza, nie spójrzą na ślady popisane na piasku, nie zawabią ptaka, tylko idą, a na strony przed siebie i za siebie rzucają oczyma, sami jak wilcy się wykradają cicho, ostróżnie, a wszyscy w jedną stronę się kierują, ku dawnemu Brankowana grobowi. Tam jeszcze leżą ogorzałe kamienie resztki bojarskiego dworu, walają się szmaty zkołtunio-

nego popiołu, nago sterczy mogiła pięciu Brankowanów. Żaden człowiek nie strzeże pomnika drogiego multańskim ludziom, czasami tylko kruk, multański ptak nawiedzi grobowiec i zakracze pieśń żałoby, na cześć kościom ostatniego hospodara z krwi multańskiéj. Kracz kruku! wyrzucaj nikczemność ludziom co się niewoli nie wstydzą, co się podle płaszczą przed panami obcego rodu.

Choć taka pustka na miejscu gdzie stał dwór Tudora, jednak w podziemnych lochach są ludzie. W komnatach niegdyś przybieranych w bogate kobierce, w miękkie węzgłowia, w przepych wschodni, dziś nic nie masz, tylko gołe ściany z szorstkiego granitu i posadzka z żorstwianego piasku; w otwory skał, gdzie były szyby kryształowe, teraz wolno bez zapory wiatr wpada, jak do swojéj dziedziny. Po pod ścianami, kupkami jacyś ludzie jedni śpią, drudzy gawędzą, ci do spoczynku się zabierają, tamci budzą się, a rozmarzeni snem, rozginają członki w różne kształty, ziewają i przecierają oczy na obudzenie się. Dziwne ich stroje: na jednym kaftan Arnauty; na

drugim multańskie szarawary od kostek do kolan obciśnięte a wyżéj szerokie, obuwie nakształt rzymskich koturnów; na tym koszula po sławiańsku na wierzch wyrzucona i podpasana czerwonym pasem; na tamtym bulgarska burka i szczątki albańskiego zawoju; koło tego leży siedmiogrodzka rusznica, u tamtego z za pasa wygląda nóż serbski: mieszanina w strojach, we wzrostach, w rysach twarzy, w kształtach ciała; ale wszystkich oczy płoną wyrazem dzikim, drapieżnym, wszytkich czoła harde ale ponure — czy utyskiwaniem za zbrodnią, czy ze zgryzoty sumienia, bo nie masz na świecie zbrodniarza, któregoby serce raz na zawsze zamknęło przystęp zgryzocie i wyrzutom sumienia. — W końcu lochu, przy silnym ogniu warzy się jadło w garnkach, i opieka się mięso na tykach, a ludzie bezładnie silą się strawą i napojem. Przy wychodach z podziemnego mieszkania, stoją zbrojne straże, a zewnątrz góry wychody tak zarzucone ułamkami skał, drzew i mchem, że niełatwo najlepszeby oko dośledziło iż tamtędy ludzie wchodzą. Zaledwie który wejdzie, nie zatrzymuje się

między ciekawym tłumem co go obstępuje, ale idzie do drugiéj pieczary: tam na ten raz sam jeden jakiś człowiek siedział koło ognia. Czarne jego wąsy, śniada twarz, a w oczach i na czole wypiętnowana zbrodnia — to Michajlaki namiestnik Kirdżalego. Wszedł sążnisty Siedmiogrodzianin, Michajlaki na niego spójrzał jakby z niechcenia: — «Janko, co tam słychać nowego?»

Janko się pokłonił: — «Jak wilk przewłoczyłem się po całym banacie Krajowy; w Widyniu powziąłem wieść, że naszych wielu zaciągnęło się do służby Miłosza Obernowicza: są tam i ci co bronili bojarskiego dworu, a jak mówią że i sam Tudor przy arcyxięciu rudnickim.»

— «A o żonie naszego bana, i o staréj bojaryni nic nie słyszałeś?»

— «Nic; ale Sawa poszedł do Rudnika, za parę dob albo prędzéj tu wróci. Ja nie traciłem czasu, bo za pięć dni od dzisiaj będzie jechać turecki czaus przez Krajowę z cekinami dla baszy Widynia.»

— «Czy będzie przy niem wojsko?»

— « Trzydziestu spahow. Od czasu jak Mehemed został baszą Sylistryi, Muzułmanie myślą że siedzą u Pana Boga za plecami; trzeba im pokazać że nam niestraszny ani Mehemed, ani sam Mahomet. »

— « Idź Janko, spocznij; jak ban przyjdzie to pogadamy» — i Janko wyszedł, a niebawem przyszedł drugi człowiek, krępy, małego wzrostu, czarny — to cygan Hiry. Zgiął czoło aż ku ziemi, Michajlaki nawet nie spójrzał na niego: — «Co żeś tam zrobil? »

— «Kapitanie, byłem w Sylistryi, widziałem Mehemeda, mówiłem z rzezańcami. Mehemed w rospaczy, o córce nic dowiedzieć się nie może, już stracił nawet nadzieję; głowy po głowach każe ścinać na ukojenie swojego smutku. »

— « Idź precz. Co nam po tém czy Mehemed się smuci, czy rozpacza, nam trzeba żony bana. »

Cygan nie wyszedł, ale spójrzawszy po ścianach jakby na przekonanie się że nikogo nie masz: — nie znalazłem żony bana, ale znalazłem skarb. »

— « Gdzie? jaki? »

— « Mehemed przysłał Bulgarom Hrazgrady, w nagrodę że przytrzymali Kirdżalego, tysiąc kies złota; jeszcze nie rozdane pieniądze leżą u włodara. »

Michajlaki zawesełił się, choć udawał twarzą obojętną wolę; złagodził nawet głos: — «Idź Hiry, pomyślę nad tém» — a skoro cygan wyszedł, Michajlaki zaczął myśléć i sam do siebie mowić: — Tysiąc kies złota — to piękna rzecz! Ale ten Kirdżali to dziwny człowiek — za niebezpieczeństwem goni jak dziecko za cackiem, nabierze złota i zaraz go rozrzuci między biednych, na kościoły — ciągle marzy o wolności, o świętéj wierze; jak gdyby to dla nas potrzebne rzeczy. I teraz pewnie hospodara Kalimachego uwolni, weźmie okup i rozrzuci między ludzi, albo poszle mnichom Ardżysowego monasteru, na rzecz wolności.— Zamyślił się: — ja go kocham, on w boju taki mężny! wszędzie hojny, wielki. Może niebezpieczeństwo mu grozi — ale nie, ma dzielnych ludzi przy sobie, jemu czas powrotu nie ubiegł, ledwie o południu przybyć może. —

Zaczął chodzić : pojść do Hrazgrady?... jako złodziéj, jako zbójca niepójdzie! — Ale czekaj, znajdę sposób że go wyprowadzę. O tem co Janko mówił, ani słowa nie powiem; gotowby polecić szukać Tudora, albo z nami się zaciągnąć do służby Obernowicza : lepiéj na siebie pracować, jak drugim służyć. — I uśmiechał się, i zacierał ręce z radości, a oczy tak mu błyszczały jak u wilka, kiedy wdali zajrzy pasące się barany, a nie słyszy ani szczekania psów, ani śpiewu pasterza.— W tém usłyszał szmer w wielkiéj pieczarze, wyszedł mówiąc : to Kirdżali bydź musi.

Ci co nie spali ze zbójców, zerwali się na nogi, milczenie na ich ustach, a w oczach wyraz slepego posłuszeństwa. Kirdżali szedł środkiem : taż sama hardość co niegdyś i na twarzy i w ruchach ciała, rzekłbyś to nie przewódzca zbójców, ale car ziemski, pan świata; tylko ponura dzikość przymięszała się do dawnéj dumy : może to objawienie się rozpaczy toczącéj serce po stracie Sary Michaeli; może odbicie się gorzkiego żalu po zawiedzionéj nadziei dostania wielkości, sławy; a może ostatnie

walki ślady sumienia z szatanem zemsty i obrażonéj dumy.— Za nim weszło kilkunastu pandurów, i niemo do ognia się zbliżyli. Kirdżali raz tylko powiodł okiem po swoich ludziach jakby na powitanie, żadnego słowa do nich nie rzekł, nawet ich skinieniem głowy nie obdarzył; a oni życie swoje gotowi poświęcić jak błahą fraszkę, na jedno jego słowo, na jeden niemy znak. Spostrzegł Michajlakiego : — «Michajlaki, sto kies rozdać między moich ludzi, po pięćdziesiąt piastrów każdemu co był ze mną na wyprawie; dwieście kies odesłać do monasteru Ardżysowego dworu, krew nie kala tego datku; resztę schować, a po tém przyjdziesz do mnie»— i odszedł. Michajlaki schylił czoło ku ziemi, na znak że wykona rozkaz, a ust otworzyć czy nie chciał, czy nie śmiał. Dopiero kiedy Kirdżalego już widać nie było, zaczął odbierać złoto od zbójców i z cicha rozpytywać o szczegóły wyprawy. Oni mu opowiadali, jak Kirdżali po swojemu wpadł do tergowickiego zamku, rozbroił arnautską załogę; hospodar i bojarowie jego na kolana przed nim padli, o życie

błagali, on im życie darował, nie zagrabił skarbów, tylko nakazał złożyć tysiąc kies złota w okupie; a nimeśmy tu doszli, Kirdżali siał złotem między żebraków i biednych rolników, jak ziarnem pszenicy w czasie siejby. Michajlaki wstrząsnął głową i pomyślał: on zawsze takim będzie; — spełnił rozkazy i poszedł do Kirdżalego.

Kirdżali jeszcze burki nie zdjął, nie usiadł, stał nad ogniem i oczy wlepił w zarzewie zwęglonego drzewa. Ciało możeby i rade spocząć, ale dusza ze spoczynkiem się nie godzi: onaby chciała bezustannie poić się gorącym trunkiem gwałtownych namiętności, i tym sposobem oddalać od siebie chwile rozpamiętywania, chwile gorzkiego smutku. Bo kiedy ruchem ciała zakipi krew po żyłach, dusza natenczas pjana, nie duma, nie rozmyśla, skacze w takt ruchom ciała, dla ich czynów żyje, z niemi tylko oddycha, z niemi myśli; ale kiedy ustaną ruchy ciała a krew w żyłach podstygnie, otrzeźwiona dusza bierze górę nad ciałem; myśli, rozpamiętywa, smuci się, i rozpacza przeszłością i przyszłością się niepokoi.

W Tergowicy Kirdżali napadł, dokonał co zamierzył, przebaczył i może się cieszył zwycięstwem, choć rozbojniczem; ale teraz stracone szczęście, miłość, sława, Sara Michaela, lackie imie, wszystko nawałem do duszy się wcisnęło, zatruło myśl, i jakby rozpalonemi szynami żelaza piekło w serce. Wszedł Michajlaki, on nie słyszał; Michajlaki odważył się przerwać dumanie Kirdżalego : — «Banie, wrócili nasi wysłannicy z Widynia i Sylistrii.»

Nagle odwrócił się Kirdżali : — «I cóż za wieść przywieźli?» — ucho nadstawił ciekawie, i bystre oko zagwoździł w twarz Arnauty.

Michajlaki spuścił czoło ku ziemi, jak na pokazanie smutku : — «Z Widynia nic Janko nie przywiozł; w Serwii ani słychu o staréj bojaryni, a nawet o naszych braciach co bronili bojarskiego dworu. Gdyby który z nich przy życiu został, jużby się ukazał do tego czasu między nami. Przez Krajowę mają wieść skarby dla Achmeta.»

Zmarszczył brwiami Kirdżali : — «Skarby! i

skarby. Czy zawsze mam dowodzić złodziejom?» — po tém jakby się uhamował: — «a z Sylistryi Hiry co przyniosł?» — westchnął — «o Sarze Michaeli nic nie słyszał?»

Michajlaki przez cały czas nie zmienił twarzy, ani podniosł oczu; ale na wspomnienie imienia Sary Michaeli, popatrzył smutnie na Kirdżalego: — «Sara Michaela byłaby teraz z tobą, gdyby nie przeklęte Bulgary z Hrazgrady. Oni ciebie zdradzili; a tymczasem basza jak z rąk wyrwał nam twoję żonę, a teraz uwiozł może w dalekie zamorskie kraje....»

Kirdżali poczerwieniał i pobladł natychmiast: — «Cóż Hiry powiada?»

— «Mehemed panuje w Sylistryi, straże pilnują zamku, a przez mury niepodobna przejrzeć, niepodobna ztamtąd nic usłyszeć.»

— «Ale od ludzi w mieście?»

— «Ludzie mówią, że Mehemed wysłał mnogie skarby za morze, i ciągle tam w gońce szle Tatarów; ale wiesz że Tatara język niemy, ucho głuche: posieczesz go na kawałki, zamordujesz, a nic się nie dowiesz.» — Potrząsł głową Kirdżali, wciągnął usta, westchnienia nie

wypuścił, i ze smutku nic nie powiedział. Michajlaki daléj mówił, ale tą razą już oczyma wodzi po Kirdżalego obliczu : — «Musi bydź twoja żona w ręku baszy, musiał dokazać swego, bo wczoraj przysłał bogate dary Bulgarom Hrazgrady. Mehemed na darmo nie lubi być hojnym dla Dżaurów.»

Kirdżali tupnął nogą, aż sklepienie stęknęło: — «Ha psy przeklęte z Hrazgrady!» — i zamilkł.

Michajlaki zaiskrzył oczyma : — «Banie, teraz czas zemsty, wpadnijmy na nich, niechaj ich kości słońce i xiężyc bielą, a popioły przeklętéj wioski niechaj wiatr na cztéry strony świata roznosi. To będzie nauka jak płacą zdradę.»

Kirdżali słucha, ale już mu się twarz zaogniła, a oczy po orlemu błyszczą : — «Michajlaki, czterdziestu ludzi wybrać na ochotnika, i ty pójdziesz ze mną. Bądź gotowym — przed wieczorem pójdziemy.» — Arnauta żywo wyszedł, a Kirdżali zgrzytnął zębem : — pomszczę się dzisiejszéj nocy, — wymorduję, — spalę. — Zwiesił głowę ku ogniowi : — A potém czy

znajdę Sarę Michaelę?— czy zbójcą bydź przestanę? — Nie, — nie dla mnie szczęście — nie dla mnie dobre imie » — Rzucił się na ziemię:— « co się rzekło, to się stać musi. » — Połą burki owinął głowę i chciał czy spocząć, czy twarz zakryć, aby ogień nawet nie widział co się na niéj dzieje. Zamilkł, może usnął, może duma; a ogień strażnik jakby umyślnie słabém płomieniem zwolna płonie, aby nie obudzić Bana zbójców.

Już wszystko gotowe do wyprawy. Michajlaki wszedł, stanął : — « Kirdżali, już czas, słońce spuściło się z południa. »

Kirdżali zerwał się, ale po oczach widać że nie spał, poprawił burkę, opatrzył broń : — « chodźmy » — i wyszli. A taka harda jego postawa, takie groźne czoło, że żaden ze zbójców nie śmiał wzrokiem sledzić po jego twarzy. Ciasném przejściem wyszli z pieczary, natychmiast kamieniami zasunęli wnijście, skalistą zuboczą spuścili się w dolinę, wązką ścieżką się zakręcili, to w gorę się drapią, to zsuwają się w dół. Jeden o sto kroków przodem idzie: jak mu cóś zamajeczeje przed oczyma, albo do

ucha szelestem doleci, gwiznie — i wnet migiem błyskawicy orszak zbójców na boki się rozskoczy i zniknie, jakby się w ziemię zapadł; gwiźnie po dwakroć razy, a krzaki, drzewa i skały, jakby czarodziejską mocą, porodzą ludzi zbrojnych i hurmem pchną na scieszkę. Znowu idą, okrążają z dala wioski, chaty; szybko przemykają polanki; a tak nieme ich usta, tak łekkie ich kroki, że ptak gwizdże nad ścieszką, oni przejdą, a on gwizdać nie przestanie, a kiedy zarośle mijają, sarna myśli że ptak chwieje gałęzią, nie skoczy w bok, ale jak oganiała tak ogania muchy. Bronie ich śniade szmelcem rosy, słońce nie ukradnie z nich blasku na pokaz ciekawemu oku. Dawne przysłowie niesie: górala karpackiego nie dopatrzysz okiem, nie dosłyszysz uchem. Kirdżalemu markotno, tęskno dowodzić tym hufcem niemym, cichym, bo zdaje się że w około niego witają się zdrada, zbrodnia; wolałby na czele hucznego orszaku jawnie lecieć do boju, bo nad tym pławią się sława, wielkość. Ale on kiedy raz zrobił krok, to już się nie cofa; z resztą zemsta, pogarda dla ludzi, i rospacz po stracie Sary

Michaeli, na ten raz zastępują miejsce niepoścignionéj żądzy sławy: choć nie z tak ochoczym pozorem bieży, ale równo a może i goręcéj zdradnego boju żąda, bo duma a zemsta — to dwie siostry, niedaleko od siebie chodzą, a trunek którym szafują, podobnymże ogniem pali serce człowieka co go pije.

Już poźno w noc zbliżyli się do Hrazgrady. Na niebie ciemno jak w pieczarze bez żadnego otworu; w wiosce światła pogasły, psy się pospały, kury jeszcze piać nie zaczęły: tak cicho, że słychać w powietrzu jakby szmer wędrującego ducha po niebieskich szlakach, z pod ziemi jakby głuchy jęk cierpiących dusz w piekle. Straszno! aż włosy na głowie jak szczecina rosną, a krew w żyłach lodem krzepnie; zbójcy tylko i wilcy nie czują uroczystéj trwogi nocy: to chwila ich zbojeckiego życia. Kirdżali nawet smutno się zadumał, bo u niego ręka zbójcy, ale serce i dusza jeszcze nie; pozostały tam szczątki dawnych szlachetnych uczuć. Bliskie jednak spełnienie zemsty starło chwilowe zafrasowanie się: po cichu dawał rozkazy namiestnikom, głośniéj tylko wymówił: —

« Moje imie hasłem napadu, krzykiem dzisiejszéj rzezi. »

Na cztéry rozdziały rozłączyli się zbójcy i poszli; Kirdżali z Michajlakim i pięciu najśmielszymi, sadami, po omacku, kierowali się do chaty włodara : tam światełko jeszcze błyszczy. Już płot przeleźli na dziedziniec, kiedy psy zaszczekały, zaskowytały, i zaczęły uciekać pod chatę. Kirdżali wpadł nagle do chaty i drzwi otworzył, i w ręku miał attagan dobyty; ale ujrzał włodara tylko co wstającego od modłów, ujrzał wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, — i zabrakło mu siły do zbrodni. Włodar jak długi rzucił mu się do nóg : — « Hospodarze, ja ci wiernie będę służyć. » — Kirdżali odepchnął go : — « Idź precz podły nikczemniku, ja twoich usług nie potrzebuję » — i może byłby w téj chwili wydał rozkaz odwrotu swoim ludziom; ale Michajlaki niespokojny co tak długo robi ban, wpadł do izby, a widząc włodara chwytającego go za nogi, myślał że znowu jaka zdrada, i tak silnie go między pacierze palnął attaganem, że żelazco na piersiowéj kości się oparło : włodar zwalił się bez ducha. W téj

samėj chwili dwaj zbójcy na dworze zakrzyczeli: Kirdżali! Kirdżali! i na wszystkich cztérech rogach wioski zakrzyczano: Kirdżali! Kirdżali! — Widok krwi, krzyk wojny, rozpaliły krew Kirdżałego, zawołał: ognia! — palić!

Wnet zapaliła się strzecha włodarskiego domu, i na cztérech rogach wioski ogniki zaczęły buchać. Pali się wioska jasną łuną, psy skowyczą i w las uciekają, rżą konie, bydło ryczy i prosto w ogień leci, po powietrzu rozbija się rozhukany wrzask: Kirdżali! Kirdżali! — Mieszkańcy potrwożeni nie bronią się, kupami po ulicach biegają jak widma z tamtego świata, a zbójcy jak szatany rzną nożami, attaganami kolą i sieką: darmo o życie na klęczkach błagali; ani zgrzybiały starzec, ani niewiasta, ani niemowlę od piersi, przebaczenia nie znalazło. Skryć się gdzie nie ma, bo palą się płoty i drzewa się palą, a tak jasno jak wśród białego dnia, a może i jaśniéj. — Nie namachała się téj nocy Kirdżałego ręka, attagan niezajuszony nawet z końca; a jednak twarz krwią obryzgana — nie jego, cudzą, nieszczęsnych ofiar zemsty. Nim jutrznia zeszła już żywéj

duszy nie było w Hrazgradzie: trupy mieszkańców walają się po ulicach, po sadach, wszystkie domy w popiołach, a zbójcy jak przyszli z lasu, tak i poszli w las.

Dopiął swego Kirdżali, zemstą nakarmił się do sytu; ale czy choć chwilkę szczęścia skosztował? — Nie. Rospacz nie pofolgowała sercu, a zgryzota sumienia już zaczynała w nie kołatać. Dziko zachmurzył czoło i nic do nikogo nie mówił, ani na nikogo nie spójrzał. Michajlaki rad z łupów myśli sobie: — to przejdzie.

Już przecięli wielki szlak ze Slatiny do Ardżysowego dworu, kiedy ujrzeli trzech jezdzców. Jeden biegł przodem, i zwrócił z wielkiego szlaku na drożynę świadomą zbójcom, dwaj drudzy za nim parli, a niemogąc go dopędzić, cztéry razy z pistoletów wypalili: za każdym razem, uciekający jezdziec zachwiał się, ale z konia nie zleciał. Zbójcy na pomoc mu skoczyli, i już wszyscy trzéj są w ich ręku. Michajlaki krzyknął: «to Sawa!» — Sawa zsunął się z konia, obrócił oczy do Kirdżalego, natężonym głosem wymówił słowa: «Banie, — bojaryni — Tudor — Sara Michaela» — zabełko-

tał niezrozumiale jakieś słowa, wskazał ręką ku Widyniowi i zamilkł.

Kirdżali schylił się do niego, cuci go : — «Sawo, mów, Sara Michaela gdzie jest? będziesz miał złota ile zechcesz.»

Sawa otworzył oczy, wymówił : «Ojcze Eugieni błogosław» — ziewnął i skonał.

Darmo Kirdżali trzeźwi umarłego. Porzuć dziki banie! życie człowiekowi odebrać możesz, ale wrócić nie.... — Tymczasem dwaj pojmani spahowie opowiadali, że aga Pitesztu ujrzawszy pożar w stronie Hrazgrady, rozesłał jezdców na wszystkie strony, i że tym sposobem oni zdybali Sawę. — Kirdżali to słyszał, gorzko mu na sercu, pomyślał sobie : jest kara za zbrodnię; byłbym wiedział gdzie mój anioł, gdzie Sara Michaela, a teraz..... Podniosł się : — «Michajlaki, pójdziesz ze mną. Janko, ty zaprowadzisz ludzi do naszéj pieczary. Ze spahami zrobić co zechcecie. Sawę pochować.»

Dwoje rąk się podniosło, dwa attagany błysnęły, spahowie jęknęli — i już trupy. Zbójcy zabrali ciało Sawy i poszli ku Brankowana

grobowi. Kirdżali z Michajlakim wprost się udali do Ardżysowego monastéru.

Ojciec Eugieni po dawnemu przyjął Kirdżalego, długo z sobą sam na sam rozmawiali. Kiedy skończyli rozmowę, ojciec Eugieni był smutny, stroskany, a Kirdżali ponury, ze łzą w oku, z bladością w twarzy. Zawołał na stronę Michajlakiego: — «Idź do swoich, zastąp moje miejsce; ja może wrócę, a może nie.»

Michajlaki zdrętwiał: — «Kirdżali, co ty robisz?»

Zatrząsł się niecierpliwie Kirdżali: — «Idź!» — i odwrócił się. Ale kiedy zobaczył łzy w Michajlakiego oku, złagodził głos: — «bądź zdrów, niechaj szczęście sprzyja moim ludziom, oni mnie kochali; bądź zdrów Michajlaki, może się zobaczymy» — i jakby się wstydził chwili rozczulenia, prędko uciekł. Arnauta za łkaniem słowa nie mógł przemówić, po raz pierwszy może uczuł prawdziwy smutek, bo on kochał Kirdżalego jak syna, więcéj jak siebie: wyszedł z monastéru myśląc: — dziwny to człoten Kirdzali.

Dziwny to człowiek: jedna rozmowa z ojcem

Eugienim tak go zmieniła. Został w monastérze, modli się, pości, po całych dniach krzyżem leży w kościele, przywdział na siebie włosienicę pustelnika i gruby płaszcz pielgrzyma; tak nagła zmiana. Oj gdyby to można było wiedzieć rozmowę Kirdżalego z ojcem Eugienim! Czy to prawdziwa skrucha, żal za grzechy, wyparcie się szatana dumy i zemsty? — może. Może słowa Eugieniego nawróciły go na drogę cnoty, i oddały świętéj wierze stracone dziecie; może śmierć Sawy karą bożą przeraziła jego duszę. W namiętnych ludziach jak on, wszystko nagle się zmienia; bo oni idą za popędem serca i namiętności, nie za skazówką rozumu: bądź co bądź Kirdżali ze zbójcy stał się pokutnikiem.



PRZYPISY.

Kirdżalego nazwisko, jest dobrze znanem w naddunajskich krajach, czyny jego zbojeckie i bohaterskie tkwią w pamięci mieszkańców téj części ziemi, z których wielu, widziało tego człowieka, a wielu było jego towarzyszami broni. Ani jeden wypadek, zawarty w mojéj powieści, nie jest płodem pustego urojenia; wszystko co powiedziałem, jest prawdą, opartą na opowiadaniach ludzi znających Kirdżalego, znających szczegóły jego życia — Alexander Puszkin, wielki poeta Rossji, będąc w Bessarabji w roku 1821, widział Kirdżalego, i z tego wspomnienia napisał kilka słów umieszczonych w piśmie literackiem rossyjskiem. *Biblioteka do czytania*, z roku 1834. To jego wspomnienie umieszczam w przypisach tomu drugiego, przez ostrożność aby czytelnik przedwcześnie niedowiadywał się o niektórych wypadkach, zawartych w drugim tomie powieści — Za pośrednictwem jednego ze znajomych mi Wołochów, w Paryżu, miałem sobie nadesłany jak najdokładniejszy spis życia i czynów Kirdżalego — Życie takie bujne w wypadki mogło się dawniéj napotykać w Europie za rycerskich czasów, a teraz już go tylko można znaleść albo w południowéj Sławiańszczyznie albo w Kaukazkich górach. W zeszłym roku, czytaliśmy o bosniackim kapitanie Beszerewiczu w niemieckich

i francuzkich dziennikach; przy prawdzie jego czynów płowieją przesadzone opisy o włoskich Rinaldinich, i zabawne utwory o nigdy nieistniejącym Szubrym. Jest jakiś pierwiastek ruchu we krwi, w obyczajach Sławian, co ich popycha do gonienia za dziwnemi przygodami, do szukania życia niepokoju; ten pierwiastek włada wszystkiemi pokoleniami sławiańskiego szczepu, rozwijał się zaś najsilniéj w południowéj Sławiańszczyznie, po nad Dunajem : już to przez położenie miejsca przyjazne awanturniczemu życiu, już to przez naturę tureckiego rządu, gdzie trzeba było zostać zbójcą albo zbrojnym tułaczem na własnéj ziemi, aby uniknąć sromotnéj niewoli i okrucieństw bez humalczych wyznawców mekańskiego proroka.

Strona 3. *wiersz* 1. *Stary Dunaju! Sławiańska rzeko!*— W pieśniach Serbskich, Bulgarskich i Siedmiogrodzkich, napotykamy zwanie Sławiańskiéj rzeki dawane Dunajowi, tak jak w pieśniach ludu Ukraińskiego, Dniepr zowią kozaczą rzeką, a między gminem krakowskim Wisła nosi miano polskiéj rzeki.

Stron. 4. *wiersz* 1. Wołochy, Mołdawianie i Besarabowie wyprowadzają swoje pochodzenie od osad wojskowych rzymskich, zmieszanych z pokoleniem Daków osiadłych na téj ziemi. Bojarowie zaś czyli szlachta, pochodzą po większéj części ze Sławiańskiego szczepu Bulgarów najezdzców i podbójców téj ziemi w piątym i szóstym wieku. Język tych ludów jest mieszanina zepsutéj łaciny ze sławiańskiemi słowami, niektóre wyrazy dackiéj mowy dostrzegać się dają; — łacina chłonie swoją przewagą Sławiańszczyznę, jednak do końca piętnastego wieku, wszystkie akta i przywileje pisane były Sławiańską mową i sławiańskiemi literami. Od początku szesnastego wieka, akta i przywileje były na jednéj stronie po sławiańsku, na drugiéj po Wołosku czyli jak zowią tamtejsi mieszkańce, po romańsku. Napisy na pomnikach, zachowują też samę formę,

i dzień, chociaż romański język zastąpił zupełnie w urzędowych rzeczach miejsce sławiańskiego, jednak pismo niema liter łacińskich, ale sławiańskie cyrilijskie a niektóre greckie; są to ślady podboju sławiańskiego dokonane na Dacii, i niejako cześć oddawana początkowi bojarskich rodów. Te trzy ludy zowią siebie *Romanami*, a kraj *ziemia romanska* — uczeni zaś dają sobie nazwisko *Daków*, a krajowi *Dacii* — Sławianie tylko ich zowią: Mołdawami, Wołochami a kraj Multany. Mieszkańce téj ziemi, wieśniacy, do dziś dnia zachowali w swoich strojach szczątki rzymskich ubiorów, Bojarowie nosili się z polska za czasów zwycięstw i opieki polskiéj nad témi krajami; przybierali tureckie stroje przeszedłszy pod panowanie muzułmańskie, a teraz odziewają się po francuzku.

Str. 4. *w.* 2. Serbowie w małéj bardzo części, i to mieszkańce nadgraniczni Bulgarii przyjęli zawoje, reszta zaś nosi czapki baranie podobne do Ukraińskich z różnokolorowemi wierżchami najczęściéj czerwonemi — Bulgarowie zaś prawie wszyscy noszą zawoje — niektórzy tylko kniaziowie zachowali *Szłyki* baranie, kołpaki potwornéj wielkości, z drobnych baranków zwanych wyporkami.

Str. 4. *w.* 6. W przypisach do powieści *Wernyhora*, mówiłem obszerniéj o Nekrasowcach; dodać mi należy, że tych polskich kozaków, liczą do dziś dnia przeszło czterdzieści tysięcy głów obojéj płci; niektórzy z nich przyjęli Muzułmańską wiarę; wszyscy jednak zachowali język i zwyczaje ojczyste; głównemi ich siedliskami są Babadadży, Czarno-Wody, i Wiłka, osada, nad samym Dunajem niedaleko Izmajłowa, bawią się najwięcéj rybołostwem i handlem rybnym, wielu z nich zasiedliło się w wielkiéj Wołoszczyznie między Prutem i Seredem — Kozacy Naddunajscy utworzeni niedawno przez Rossiją, których Attamanem jest podolanin Wasilewski, nie są

rekrutowani z Nekrasowców, tylko z Wołochów, Arnautów i Bulgarów — Turcy i Rossyanie, zowią polskich Zaporożców Nekrasowcami, miano które oni sami przybrali — Wołochowie i Sławianie znają ich pod nazwiskiem Zaporogów — Dotąd jeszcze wielu Zaporożców się nieżeni, na starość wielu zostaje *Czerncami*, Mnichami — ciągle zaś podświeżają się zbiegami z Ukrainy i Pobereża.

Str. 5 *w.* 13. *Seraskier Seraskieryn*, tak się zwał namiestnik Wezyra. Po nadgranicznych krajach Turcii, znachodzili się Seraskierowie, którzy w nagłéj potrzebie mieli prawo zbierać Spahów i Janczarów z kilku Baszostw i odpiérać niemi nieprzyjaciela. Przed wcieleniem Izmajłowa do Rossyjskiego Cesarstwa, zawsze w tém mieście był Seraskier, jak o tém świadczą: *pamiętniki o Wojnach Suwarowa.*

Str. 6. *w.* 24. *Bim-Basza*, tak zwano dowódzcę Spahów.

Str. 7. Opisałem tu wszystkie cwiczenia najezdnika czyli harcarza; użyłem wyrazu *najezdnik* bo mi się zdał być więcéj sławiańskim, więcéj malującym rzecz — Maniak najczęściéj przybrany w mundur Rossyjski albo Austryacki służył do tych cwiczeń, cały był wypchany szerścią bawolą, na szyi szerść niebyła natłoczoną — trzeba było wielkiéj zręczności i siły aby jednem cięciem odmieść głowę maniakowi. *Lewa* jest pieniądz złoty wielkości dziesiętaczka polskiego; *piastr* pieniądz srebrny wielkości dwuzłotowki.

Str. 11. *w.* 7. *Karawan Seraj*, karczma turecka, rodzaj kawiarni; załoga wojskowa zawsze miała swój osobny karawan-Seraj gdzie palono fajki i spijano kawę.

Str. 21. *w.* 5. Zwyczaj okazywania łaski i miłości odaliskom, na którą Basza rzuci swoją chustkę, ta dostaje przywileje panowania nad sercem pana, i spędzenia z nim wieczornych godzin — Muzułmanie rzucaniem chustki okazywali i nie swoim

Odaliskom dowód nadzwyczajnéj łaski. Za panowania Napoleona poseł turecki przy dworze francuzkim zwiedzając Wersal, rzucił chustkę na jednę z pań przechadzających się po ogrodzie i dziwił się mocno czemu ona niepodjęła téj chustki. Opowiadono mi, że w roku 1811 basza Ruszczuka wzięty w niewolę i wieziony do Petersburga pod strażą kapitana Markowa zatrzymał się w Żytomierzu. Wołyński gubernator Komburlej zaprosił go do siebie na wieczór; na tym wieczorze znachodziła się piękna panna B. J. w ówczas czternastoletna dziewczynka — Basza Ruszczuka rzucił na nią chustkę; panienka zmieszana podjęła ją z sofy — Basza natychmiast opuścił wieczor i udał się do swojéj kwatery, a niedoczekawszy sięprzybycią panny, tak się rozzłościł, iż porwał się do kindżała na kapitana Markow wołając : że kapitan go zdradził zabierając dla siebie kobiétę którą on wybrał; darmo mu przedstawiono że ten zwyczaj nieistnieje w Polsce, i takznienawidził Markowa iż musiano powierzyć straż Baszy innemu officerowi.

Str. 21. *w.* 11. Sułtan często w podarkach przysyła Baszom niewolnice na Odaliski, i sami Baszowie dla utrzymania swojéj godności, co rok kilka razy kupują na targach niewiasty do swojego haremu.

Str. 23. *w.* 12. *Szezdar*, instrument podobny do teorbanu, dzwięk jego tak zachwycający, iż okrutny Amurat po zdobyciu Bagdadu usłyszawszy granie jednego z niewolników na szezdarze, darował życiem kilkadziesiąt tysięcy jenców, których już na stracenie skazano.

Str. 28. *w.* 1. Zwyczajem jest u Muzułmanów topić w wodzie trupy pobitych buntowników; ten zwyczaj dotąd jeszcze się zachował.

Str. 36. *w.* 12. Przed kilku laty, nieznano innych gońców

w państwie Otomańskiem jak tatarów; oni to rozwozili wszystkie rozkazy dywanu do Baszów i za ich pomocą porozumiewali się naczelnicy tureccy jedni z drugimi. W przeciągu długich lat, nieznalazł się ani jeden zdrajca pomiędzy tatarami. Rossijanie w czasie mnogich wojen, często chwytali gońców tatarów; ani groźby, ani pieniądze niemogły wymodz odkrycia tajemnicy ustnego rozkazu. Prędzéj udawało się przekupić Baszę, samego Wezyra, jak nakłonić do zdrady tatara. Urząd gońca przechodził z ojca na syna, i zostawał prawie zawsze w jednych rodzinach; dotąd jeszcze istnieją gońce tatary, ale ich powaga już jest daleko mniejszą.

Str. 37. *w.* 3. *Haryski*, dziewice tureckiego Edenu to jest raju.

Str. 37. *w.* 4. *Iblis*, Lucyper, król diabłów.

Str. 40. *w.* 12. Pomimo szczelnego zamykania niewiast wschodu, poselstwa miłośne bardzo często się odbywały za pomocą rzezańców, a nawet czasem, za pomocą tych usłużnych ludzi szczęśliwi kochankowie dostawali się do haremu.

Str. 41. *w.* 8. Jedynem zatrudnieniem kobiet wschodu jest haftowanie — na muślinie haftują kwiaty, słowiki, litery Armiańskie — a najczęściéj zwrotki poetów wschodnich. Pan A. podróżnik rossijski, którego artykuły *o tureckich kobietach*, są drukowane w *północnéj pszczole* (dzienniku peterburgskim), powiada: że oprócz haftowania, kobiety haremów do takiego stopnia posuwają lenistwo, że jak u nas zapraszają się na tańce i zabawy, tak u nich na haftowanie i na spanie; dwa albo trzy ściegi przehaftują, i natychmiast kładą się na sofach pełnych poduszek i bogatych a lekkich przykryć i śpią; zaprosiny ich są takie — « moja luba, przyjdź do mnie trochę pohaftować, trochę się przespać » — Chustkę taką jaką opisuję z wierszami poety Sadego, widziałem u jednego rossijskiego oficera,

dostał on ją w miłośnym darze od muzułmanki z Adrijanopolu. Pierścienie złote, malowane w czerkieskie amulety, podług mniemania ludu, mają władzę odganiania złego; noszą się powszechnie na szyi na złotych łancuchach.

Str. 46. Zazwyczaj muzułmanie odcinają głowy pobitym wrogom, i uwiązują one do troków siodła. Po potyczce dowódzca za każdą głowę płaci żołnierzowi który mu ją przynosi — natychmiast żołnierz urzyna uszy i składa w wór skorzany, leżący koło dowódzcy, a głowę rzuca na stronę — głowy bez uszów niemają żadnéj wartości, wory zaś z uszami odsyłane były do Stambułu, i tam po ilości uszów dorachowywano się liczby poległych nieprzyjaciół — pułkownik Reybaud i wielu innych podróżnych i cudzoziemców służących w filohelenach powiadają: że straże Albańskie rozmaitych Baszów, wałęsając się po Epirze i Morei od pasterzów i spokojnych mieszkańców wziąwszy okup przestawali na oberznięciu uszów — jeśli zaś ci wzbraniali się dać pieniędzy, natenczas im urzynano głowy. Te okrucieństwa odbywały się za wiedzą Baszów — w 1821 Basza Tripolizy takiemi zbrodniami obdarzał kraj, a najlepszymi jego posługaczami byli Albańczycy i Sulioci.

Str. 53. *w.* 16. *Ramazan*, post muzułmański przypada albo w październiku albo we wrześniu. Pierwszy dzień tego postu przez całą dobę nic w gębę niebiorą, ale żeby zahartować się przeciwko głodowi wigiliją po wieczerzy każdy połyka sporą gałkę opijum owiniętą w liść srébrny; to opijum tak opaja, że aż do wieczora drugiego dnia, złote sny plączą się po głowie; srebro zaś chociaż w lekkiéj blaszce, podług muzułmanów przeszkadza żołądkowi pragnienia jadła.

Str. 60. *w.* 9. Z rana do południa po ogrodzie haremowym mogli się przechadzać mężczyzni, ale za nadejściem południa, rzezańce przebiegali wszystkie ścieżki i zakątki dla za-

pewnienia się że niemasz nikogo, a dopiero wtenczas wolno było wychodzić kobietom; teraz zapewnie musi być inaczéj, kiedy jak to czytamy w dziennikach Pani... Reszid Pacha po francuzku zaprasza do siebie na śniadanie żony pełnomocników europejskich, i tam pułkownicy otomańskiego wojska niezaś rzezańce kontradansa i walca tancują z biesiadnicami. Inne czasy, inne obyczaje.

Str. 60. *w.* 17. Turcy modlą się klęcząc, i utrzymują że jest większą czcią i pokorą padanie na kolana, jak chylenie czoła ku ziemi i padanie całem ciałem do ziemi.

Str. 60. *w.* 23. Łoża tureckie składają się z wysokich materaców wypychanych kukurazianą słomą, zmieszaną z bajwolą szerścią; na dzień wsuwają się we framugi przykryte makatami, na noc wysuwają się na środek pokoju, gdyż turcy nielubią sypiać pod ścianą, albo w kącie izby.

Str. 62. *w.* 24. *Komnata śmierci*, pokój gdzie składają zwłoki umarłego przybrane w śmiertelne szaty; każda zamożniejsza rodzina turecka ma taki pokój.

Str. 64. *w.* 21. Przesąd turecki który istnieje i w naszych krajach, iż żelaza niepotrzeba dawać w podarku bo on rozcina przyjaźń; i zawsze w takim razie się daje datkującemu choćby najlichszy pieniądz, żeby dar nieprzyniósł nieszczęścia.

Str. 71. *w.* 2. *Cerkiew świętego Jana*, do dziś dnia istnieje w Izmajłowie. W czasie dobywania tego miasta przez Suwarowa, na placu przed tą cerkwią, Nekrasowcy i Zaporożce stoczyli krwawą walkę z Czarnomorcami (takoż Zaporożcami) wiedzionymi przez Attamana Czepihę — z téj cerkwi która w ówczas była składem furażu dla koni, Dewlet-Giraj wnuk Kierym-Giraja sławnego hana Krymu, wypadłszy na czele kilkudziesięciu jezdzców, (wszystkich z Girajów rodziny),

zrobił okropną rzeź w szeregach rossyjskich; pięćdziesięciu Girajów tam zginęło, a Dewlet ranny dostał się w niewolę — Suwarów i wszyscy rossyjscy Jenerałowie podziwiali się nad tem szalonem męstwem, jakiego już pod tenczas niezdarzało się widzieć — *tak świadczą pamiętniki o wojnach Sawarowa.*

Str. 77. *w.* 12. *Dzehemen,* tureckie piekło.

Str. 80. *w.* 16. Wyspa *Sulima* zwana jest przez krajowców *wielką wyspą.*

Str. 81. *Iwonia czyli Iwoni,* hospodar Wołoszy, za panowania Zygmunta trzeciego w Polsce, jak twierdzi Gwagnin w swojéj kronice był lackiego rodu. Prowadził on mnogie wojny przeciw turkom, jego sprzymierzeńcami byli Wojewoda Łaski z polskimi ochotnikami i Swiergowski Attaman Zaporoża z trzema tysięcami Zaporożców, ten ostatni zginął w obronie Iwoni ze swoimi. Iwonia pojmany przez Turków, został końmi roztargany — Cały ten opis w Gwagninie jest przewyborny; tyle życia, tyle prawdy i taka dramatyczność iż według mego mniemania ani Grzegorz z Tur ani Froasar w swoich kronikach francuzkich nic wyższego nienapisali — pamięć Iwoniego jest niezmiernie szanowaną przez Wołochów. Tradycjinie przechowały się słowa umierającego hospodara. « Krew lacka zbawi wolność dacką. » Podług niektórych pisarzy wołoskich dla téj to przepowiedni Multańczycy zawsze garnęli się do Polski, i dla tego tak gorąco życzyli założenia multańskiego królestwa, które zamierzał utworzyć Jan Sobieski dla jednego z swoich synów. Wielki to był pomysł, i szkoda że nieprzyprowadzony do skutku: byłby od wielu nieszczęść zachował i Polskę i Multany.

Str. 95. *w.* 14. Córki i żony Baszów udawały się w lektykach do łazien w orszaku służebnych niewiast, i zbrojnych rzezańców.

Str. 102. *w.* 8. Zdaję mi się iż chęć jest wrodzoną u wszystkich kobiet w podobnych wypadkach — Znałem jedną polkę, któréj niech mi będzie wolno zamilczeć imie — Oderwana od wszystkiego co jéj mogło być opieką, nad przepaścią okropnego nieszczęścia — w tenczas kiedy wielu ludzi powszechnym obyczajem przychodziło jéj dawać puste rady, przymieszane z gorzkiemi wyrzutami, ona prawie głucha na te wszystkie słowa płakała rzewnemi łzami — a pierwsze jéj słowa były — *chodźmy się modlić do kościoła* — ten pochóp do modłów kobiet, dowodzi ich wiarę, a tém samém jak wiele dobrego jest w ich sercach.

Str. 163 *w.* 23. Wszystkie kobiety wschodu bez różnicy stanu ich urodzenia i dostatków noszą kindżały, i chociaż trzymane w niewolach haremowych, umieją używać żelaza w swojéj obronie, a często nawet w uniesieniach gniewu.

Str. 113. *w.* 14. *Kompolunga*, miasteczko Wołoszczyzny na pograniczu Siedmiogrodzia — Wołochowie uważają to miasto za jedno z najdawniejszych, za pomnik swojéj historii, i za dowód swojego pochodzenia od Rzymian. Podług tradycii to miasto miało być założonem przez kohortę Rzymską za czasów Cesarza Adrijana, dotąd widać ślady dawnych przekopów zapłynione ziemią i gruzy w ziemię wrosłe dawnych baszt. Znajdują tam często pieniądze rzymskie, ułamki broni zbroi i rynsztunków wojennych dawnych Rzymian.

Str. 113 *w*, 14 *Kampolunga.* Miasto na Wołoszczyznie niedaleko Karpatów na pograniczu Siedmiogrodzkiéj ziemi. Jak wieść niesie tam był założonym przez Rzymian pierwszy obóz warowny, i od tego to miasto wzięło swoje nazwisko.

Str. 114 *w.* 20. Zwyczaj wszystkich sławian jest żegnać trzykrotnym znakiem krzyża świętego ludzi odjeżdżających, którym się dobrze życzy.

Str. 115 *w.* 7. Zwyczajnie u Turków Albanczyków służących w milicii pieszéj zowią Arnautami ; z resztą często używają na przemianę imienia Arnauta i Albańczyk gdyż w rzeczy samej jest to wszystko jedno — niektórzy badacze starożytności utrzymują że Arnauta w języku dackim oznacza męża wojny, i dla tego sławianie zowią Albanczyków Arnautami. Każdy Albańczyk niezna innego rzemiosła oprócz żołnierki ; służą temu kto im płaci : są doskonałymi żołnierzami i w jeździe i w piechocie — turcy ich zowią przezwiskiem : *przedawacze płuców ludzkich*, dla oznaczenie że za pieniądze odbierają drugim i przedają swoje życie.

Str. 119 *w.* 7. *Dwór Ardżysa.* Ogromny monaster wystawiony za panowania Hospodara Multańskiego Niagula Bessaraby roku 1518. Cały jest murowany z kamienia granitowego i ozdobiony marmurowemi płytami , rzeźbą gotyckiéj architektury. W kościele są ogromne bogactwa , a pod kościołem pieczary w których dawniéj chowano zwłoki Hospadarów Multan i przełożonych monasteru Ardżysowego dworu ; te pieczary są bardzo rozległe i bogate w starożytne pomniki — Monaster jest tak ogromnym iż może się w nim mieścić do kilka tysięcy ludzi , w około monaster opasany przekopem i obwarowany murem w którym są strzelnice na harmaty i moździerze , była to najobronniejsza Multańska twierdza — Turcy obawiali się najeżdżać ten monaster. Do dziś dnia znachodzą się w nim mnichy zakonu Swiętego Bazylego. Podróżni nawiedzający kraj wołoski, mówią z rodzajem podziwienia o monasterze Ardżysowego dworu i kazdy z nich oglądał napis ryty na drzwiach , sławiańskim i łacinskim językiem i literami o którym wzmiankuje.

Str. 120 *w.* 7. Hospodar Brankowan, jego czteréj synowie i bojar Wakareskulo przy końcu ośmnastego wieku zawezwany-

mi zostali do Konstantynopola; tam oskarżeni przed Sułtanem iż mieli porozumienie z Rossiją, bez żadnego sądu, tylko za rozkazem Sułtańskim zostali ściętymi : jednak dawny sługa rodziny Brankawanów wykupił zwłoki u Janczarów i pochował one niedaleko rzeki Oltau. *Historyczne.*

Str. 120 *w.* 11. Fanarioci Grecy z wyspy Fanaru, pomimo zachowania chrześcijańskiéj wiary, stali się najwierniejszymi służalcami turków, a najnikczemniejszymi prześladowcami swoich współbraci i jednowierców. Oni to powszechnie poczynali od służby dragmanów (tłumaczów), potem robiono ich poborcami w Mołdawii i Wołoszczyznie, a w końcu zostawali Hospodarami. Multańczycy wszystkich Greków przybyłych do ich kraju dla zysku, nazywali Fanariotami, a nikczemność fanariocka tak się dała im we znaki, iż dziś lud prosty nawet dla odznaczenia łotra, człowieka bez dobréj czci, zowie go *fanariotą.*

Str. 123 *w.* 7. U wszystkich mnichów zakonu Świętego Bazylego, gościnność jest zachowywaną z całą szczerością i prostotą pierwszych chrześcijanskich czasów — Monaster Ardżysowego dworu był przytułkiem niejednéj biednéj rodziny, albo nękanéj turecką władzą. Żadnego przychodnia wstępującego w progi monasteru i wołającego w imie gościnności— niepytano ani o imie, ani o stan, tylko go karmiono i opatrywano we wszystkie potrzeby. Tutaj wolę powiedzieć, aby uniknąć wielości przypisów, iż wszystko to co powiadam o mnichach Ardżysowego monasteru, jest najsurowszą historyczną prawdą. Monaster ten był ogniskiem powstań Multańskich a późniéj powstania greckiego na Wołoszczyznie. Ten sam przykład gościnności mnichów świętego Bazylego napotykamy w opisach slawnego monasteru Eczmelzyńskiego w Armenii Rossyjskiéj, czyli państwie Erywańskiém, gdzie

w roku 1827 znachodziło się do kilka tysięcy chorych i pielgrzymów obojéj płci.

Str. 126 *w.* 2. Persowie, Arabowie i inne narody wschodu, utrzymują przez podanie pochodzenie koni, z dielnéj krwi jak oni zowią szlachetnéj, a dla lepszego wsparcia pamięci, piętnują na udach, łopatkach, nogach i bokach nawet, znaki różnemi hieroglifami oznaczające ojca, dziada, pradziada i tak daléj owego konia; stąd to im koń lepszéj rasy, tém bardziéj jego skóra popisana piętnami, które słusznie nazwać można herbami szlacheckiemi końskiego rodu — U Wacława Rzewuskiego były konie z podobnemi herbami.

Str. 133 *w.* 16. Tudor (Teodor) Władimiresko znany Bojar Wołoszczyzny. Wszystko co o nim powiadam w ciągu powieści jest historycznėm.

Str. 135 *w.* 19. *Ban* pierwszy szlachcic Wołoszczyzny, dawniéj bywał rządcą Banatu Krajowy czyli małéj Wołoszczyzny, teraz ten tytuł jest tylko imiennym; trzeba być najznakomitszym z rodu, z zasług i z cnot aby zostać Banem — Ban używał równego a może i większego poszanowania u narodu jak Hospodar. W czasie jego pogrzebu, szlachta, cechy miejskie i wiejskie powinny były towarzyszyć zwłokom aż do grobu. Bau był obieranym przez Bojarów, i nosił to miano dożywotnie. Jak wielką wartość przywiązują jeszcze dziś Wołosi do Banatu, jest dowodem wypadek tegoroczny. Ban Filipesko zmarł; był to poczciwy ale niepolityczny człowiek; żył zamknięty w domu, ale nie z narodem, i nierobił żadnego dobra ojczyznie; cechy miejskie niechciały wyjść za jego pogrzebem mówiąc: iż on był pierwszym wołochem z imienia, ale nie ze swoich czynów — Bojarowie i Hospodar musieli przyznać słuszność cechom.

Hospodar, panujący na Wołoszczyznie i w Mołdawii; to

nazwisko dowodzi o sławiańskiém pochodzeniu Multańskich Bojarów.

Car. Ludy południowéj sławiańszczyzny dają tę nazwę nietylko panującym, ale nawet znakomitszym pankom.

Str. 139 *w.* 13. Ludy Sławiańskie pierwsze miesiące małżeństwa zowią *miodowemi miesiącami.*

Str. 140. Podanie ludu utrzymuje, że dotąd jeszcze témi pieczarami z Wołoszczyzny można się dostać do Siedmiogrodzia, ale tak one zasunięte ziemią, że trudno znaleść śmiałka, któryby chciał probować prawdy.

Str. 141 *w.* 23. Zwyczaj sławiański obchodzenia wielkiego czwartku.

Str. 143. *w.* 7. Jerzy Czarny (Kara-Giorg) z początku dowódzca hejduków zbójców, sławny swoimi rozbójniczemi napadami w Bosnii i w Serwii, w roku 1801 oswobodziciel Serwii, wchodził w układy z Rossjiskim i Austryjackim dworami — w roku 1806 pokonany przez wojska tureckie, znachodząc się sam jeden z swoim starszym ojcem, nagle porwał za strzelbę, wymówił te słowa « niebędzie powiedziano że ojciec Jerzego Czarnego był tureckim niewolnikiem » — strzelił i zabił ojca. Po tym okrutnym czynie, na który natura się wzdryga, umknął do Austryjackich krajów gdzie w krótce życia dokonał. Człowiek dzikiéj i surowéj dumy w złych przygodach, w czasie pomyślności lubił zbytki, roskosze, a nawet bezprawia. — W chwili powstania, tak był nieugiętéj woli, iż jednego znakomitego Serba, zato iż śmiał wydrzeć prostemu wieśniakowi kawał chleba z jego domu, kazał powiesić na drzwiach chaty, i to natychmiast; ta surowość utrzymywała karność w serbskiem wojsku powstańców, jednała serca mieszkańców dla Jerzego i Serbskiéj sprawy, i stała się najważniejszą sprężyną pobicia turków. Dotąd w Serwii pieją pieśni

o Jerzym Czarnym i o jego czynach. Syn Jerzego żyje w Serwii; jest jednym z najzamożniejszych obywateli Serbskiego kraju.

Str. 143 *w.* 7. Bitwa pod Sabaczem roku 1801 wygrana przez Serbskich powstańców na tureckiém wojsku — Jerzy Czarny dowodził powstańcami w téj bitwie.

Str. 150 *w.* 17. Traktat zawarty w Kuczuk-Kajnardży między portą a Rossiją roku 1775.

Str. 155 *w.* 21. *Opijum i Haszysz-Hindy*, dwa szacowne skarby dla Muzułmanina, któremu doktryna mekańskiego prawodawcy zakazała niejako myśleć, zostawiwszy całe działanie życia w ręku przeznaczenia i zrobiwszy z człowieka istotę zupełnie bierną. Ten stan przeciwny naturze szuka pociechy w upajaniu zmysłów — bo tym sposobem duchowość niemogąc zużywać swojéj siły w krainie myślenia zużywa ją w krainie marzenia. Opijum znane jest w całym świecie, i dla tego o jego składzie nieznajduje potrzeby mówienia — Haszysz-Hindy (ziele-Indyjskie) robi się z łodyg lnianych w kwiecie; bierze się jedna część masła, jedna część soku z łodyg i przez kilka godzin gotuje się w wodzie; po ugotowaniu dodaje się cukru, stawia się na ogień, póżniéj krystalizuje się i tworzą się z tego wyborne cukierki, którym nadać można smak i wonię jaką kto zechce — opijum sprawia marzenie słodkie, lube, ale poniekąd jednostajne, zawsze marzy się o pięknych huryskach, o Edenie, o zamkach bogatych; słyszy się uchem marzenia, harmonjine śpiewy, i uroczą muzykę—Haszysz-Hindy przeciwnie rodzi wściekłe, rozpasane marzenie: bitwy, rozpustę, krzyki — wrzawy — i tak daléj; czwałem widoki hasają przed myslą marzenia, — a w głowie wszystko się po szalonemu mąci — i hula — Turczyn lubi upajać się opjum, zowią takowych pijaków *ofiondi;* najczęściéj obdarci, wychudli

całe dnie bawią się w kawiarniach, zapominają o jadle, a nigdy niechcą pracować, są to niejako Lazaroni w swoim gatunku— Arab, Pers, Kurd używają Haszysz-Hindy, ale najczęściéj w chwilach smutku albo rozpacy; jednak są i pijacy Haszysz-Hindy, tacy zamykają się przed światem, bo po upiciu się porywa ich konwulsijny śmiech; tarzają się po kobiercach, i ściskają się w boki jak gdyby chcieli się podławić. Pijak opijum staje się nałogowym, pijak Haszysz-Hindy jest tylko paroxyzmowym, chociaż Haszysz-Hindy jest daleko przyjemniejszego smaku. Od niejakiego czasu Kozacy Dońscy, Czarnomorscy i linjowi używają wiele opijum — Haszysz-Hindy niejest znanym w Europie.

Str. 162 *w.* 13. *Haty-szeryf* rozkaz Sułtanski.

Str. 162. *w.* 18. Zwyczajnie wojska tureckie przedsiębiorąc wyprawę zaczepną lub odporną przeciw Rossii, Austrii, dawnéj Polsce, zbierały się na płaszczyznach Adrijanopolskich, i tam przyjeżdzał Sułtan dla objęcia dowództwa albo zlecał Wielkiemu Wezyrowi prowadzić wojsko przeciw nieprzyjacielowi.

Str. 162 *w.* 22. *Babadadży*, niegdyś stolica Bulgarii; mówiłem o tém mieście w przypisach do powieści kozackiéj o *Kanickim* — Koło Babadadży mieszkają Zaporozce polscy, czyli Nekrasowce; o nich mówiłem w przypisach do powieści o *Wernyhorze* — Dodać mi tylko tu należy co się późniéj dowiedziałem od Bulgara mieszkańca Babadadży, iż koło tego miasta u dołu góry Matki znachodzi się mogiła Nekrasy.

Str. 163 *w.* 21. Herb Wołoszy: na złotem polu, czarne wzgórze i na nim czarny kruk, trzyma w dziobie złoty krzyż; u góry złote słońce i srebrny xiężyc. Wszystkie ludy naddunajskie mają kruka za narodowego ptaka; w herbach, w pie-

śniach, w powieściach a nawet w kronikach wygrywa ważną rolę.

Str. 175 *w.* 21. Obraz ten niejest wymyślonym, na wschodzie nielubią dowódzcy po dwa razy powtarzać rozkazu podwładnym. Pierwsze przekroczenie karzą śmiercią i to jedyny sposób utrzymania w karności, takich ludzi jakiemi są Albańczycy.

Str. 193 *w.* 16. *Karuca*, rodzaj bryki pokrytéj płótnem albo skórą używanéj na Wołoszczynie i we wszystkich naddunajskich krajach.

Str. 193 *w.* 19. Najczęściéj Attamani Nekrasowców sprawiali przy Baszach obowiązki podskarbich, to jest pod ich dozorem były pieniądze. Podskarbi w tureckim języku zowie się Tewterder-bej. W czasie zdobycia Izmajłowa przez Jenerała Suwarowa Tewterder-bejem Seraskiera Izmajłowskiego był Attaman Nekrasowców: jak to świadczą pamiętniki o téj wojnie.

Str. 194 *w.* 8. *Tergowica*, niegdyś sławne miasto i stolica Hospodarów teraz licha mieścina — jest w niéj dotąd zachowany Hospodarski zamek starożytnéj struktury.

Str. 196 *w.* 1. *Włodar*, tak zowią wójtów czyli naczelników wiosek w bulgarskim języku, Wołosi zaś ich nazywają *Perkalabo.*

Str. 200 *w.* 23. Zaporożce osiedli nad Dunajem przywdziewają się po kozacku, tylko na głowy kładą czerwone zawoje.

Str. 202 *w.* 23. *Nukir*, jezdziec tatarski nie szlachetnego rodu, nie pochodzący z Mirzów (szlachty tatarskiéj).

Str. 203 *w.* 15, tym sposobem powszechnie tatarowie wodzą jeńców.

Str. 213 *w.* 1. Siedmiogrodzkich gorali zowią *Pandurami,*

wyraz ten oznacza bywalcę, włoczęgę. Niemcy nadali to nazwisko piechocie rekrutowanéj w tamtych krajach a nawet konnicy. W opisach siedmioletniéj wojny, często bardzo wszystkie lekkie Austryjackie wojska zwano Pandurami — w latach w których żył Kirdżali, ogromna liczba Arnautow, Bulgaresów, Serbów, Bosniaków i Siedmiogrodzianów w górach zbierała się i rozbojniczyła po Węgierskim i Multańskim krajach. Pan Reybaud opisując powstanie Wołoszczyzny, powiada : iż Ipsylanty i Władimiresko najmowali Pandurów na służbę ; toż samo czynił i Miłosz.

Str. 215 *w.* 15. Sławianie w swoich pieśniach zowią xiężyca *panem Xiężycem* — gwiazdy. *pannami gwiazdami* ; są piosnki o miłostkach xiężyca z zorzą poranną.

Str. 219 *Czaus*, Urzędnik turecki używany przez Baszów, do zwiedzania Baszostwa i pobierania danin z mieszkańców.

Str. 221 *w.* 16. Hospodar Kalimachy rządził Wołoszczyzną od 1808 do 1815 roku; był to grek fanariota.

Str. 224. Hojność Kirdżalego i datkowanie biednych, jest historycznėm.

Str. 233 *w.* 4. Wyrznięcie Bulgarów Hrazgrady jest wiernie historycznėm — Puszkin w swojém opowiadaniu o tém wzmiankuje równie o jak haśle rzezi daném przez krzyk : Kirdżali ! Kirdżali !.

Str. 236. Od téj chwili zaczęło się zupełnie inne życie dla Kirdżalego — Dotąd w Monasterze Ardżysowego dworu żyją mnichy, co znali Kirdżalego; w chwilach jego pokuty zwano go w monasterze *pokutującym pielgrzymem*.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

STR.
I. 1
II. 17
III. 29
IV. 49
V. 67
VI. 85
VII. 99
VIII. 117
IX. 137
X. 159
XI. 183
XII. 207
PRZYPISY. 237

OMYŁKI.

Str.	*wiersz.*	*zamiast*	*czytaj.*
115	16	ucieszysz	pocieszysz
200	14	siwych kaftanów	sinych kontuszów
223	1	walki ślady	ślady walki
231	23	żelazco	żelazo
235	22	czło —	człowiek

W DRUKARNI BOURGOGNE ET MARTINET, JACOB, 30.

KIRDŻALI

POWIEŚĆ NADDUNAJSKA

PRZEZ

Michał Czajkowski

MICHAŁA CZAYKOWSKIEGO.



TOM II.



PARYŻ I LIPSK.

W KSIĘGARNI BROCKHAUS I AVENARIUS.

—

1839.

XIII.

W Rudniku, serbskiém mieście, przemieszkiwał Miłosz Obernowicz sławiański xiąże, niegdyś namiestnik Jerzego Czarnego, towarzysz Janka Kalicza, i Wasyla Czarapicza. Z nimi razem na polach Sabacza, nie żałował ramienia, szafował hojnie krwią i swoją i wrogów, aby wskrzesić byt niepodległy ojczyzny -- i wskrzesili. Serwija była niepodległa — Jerzy Czarny nie król, nie xiąże — Xięztwa obdzielał, z koronowanemi głowami brat za brat w rozhowory się zadawał; a Miłosz ledwo wąsem zarosł, już został wojewodą, powiernikiem, zastępcą Jerzego, prawém ramieniem w boju, doradzczą głową w pokoju. Ale Bóg co wznosi i upokarza ludzi i ludy, zagniewał się na dzikie czyny Jerzego, i na chełpliwą dumę

serbskiego plemienia, pokarał jednego i drugie. Sarańcza Muzułmanów znowu rozmiotła się po sławiańskim kraju, Jerzy i jego bracia broni uciekli w niemieckie państwa, szukać schronienia dla siebie, żebrzeć wsparcia dla ojczyzny. Z naczelników serbskich sam jeden tylko Miłosz rzekł : nie między Niemcami szukać Sławianom braci; nie w Węgierskim, nie w Siedmiogrodzkim kraju Serwija. Tu, na serbskiéj ziemi, trzeba albo głową nałożyć, albo wskrzesić ojczyznę — i pozostał. Kiedy jego dawni towarzysze jak włoczęgi przebiegali obce kraje, nadarmo kołatali do serc chrześciańskich Carów o pomoc dla chrześciańskiego ludu, Miłosz z żelazem w ręku do ostatka bronił serbskiéj niepodległości. Nie męztwem, nie siłą, ale liczbą pokonany, uległ muzułmańskiemu jarzmu, ale z Serwii nie wyszedł. Padyszach chciwy policzyć między swoich hołdowników dzielnego Sławianina, mianował Miłosza Obernowicza arcy-xięciem Rudnika, bogactwami i czcią obsypał. Miłosz przyjął dary sułtańskie, nawet pozornie jak basza jaki spełniał rozkazy

dywanu. Za granicami krzyczano : Miłosz zdrajca, nikczemnik; ale w Serwii lud wołał ; Miłosz nasz ojciec, nasz pan! a w ziemiach zamieszkałych przez sławiańskie plemiona, ciągle powtarzano : Sławiański Miłosz! Tym chrztem lud objawiał że w nim nadzieja sławiańskiego rodu, a przeczucie ludu, iskierka Boskiego widzenia duszy, nie zmyli nigdy w odgadnięciu, kto mu wrogiem, kto mu przyjacielem. Biały car wypowiedział wojnę carogrodzkiemu Sułtanowi, w imie pobratymczéj wiary wzywano Miłosza do powstania przeciw otomańskiéj władzy : Miłosz odpowiedział : carowie ziemscy niepomni na pobratymstwo, na różnowierstwo wiary, jak się pokłócą tak się pogodzą, a lud coby się wmieszał do ich kłótni zawsze ofiarą padnie — i powstania nie nakazał. Sprawdziły się wieszcze słowa Miłosza. Biały car z sułtanem pogodzili się rozdziałem multańskiego państwa, a naród multański poszedł pod żelazne jarzmo niewoli odpokutowywać, łatwo daną wiarę carskim słowom, objawiony pochop do wolności i niepodległego bytu — ciężkie przewinienia w sądzie mocarzów świata! Arcy

xiąże rudnicki, choć hołdownik sułtana, dał gościnność, przytułek multańskim zbiegom od srogiéj niewoli Muzułmanów, i bojarom zniechęconym obietnicami i służbą białego cara. Dostatki swoje dla nich otworzył, potęgą swoją przyobiecał ich zasłonić od złéj przygody: mogą polegać na jego słowie, bo u Miłosza Obernowicza sławiańskie serce, sławiańska dusza.

W zamku rudnickim mnodzy goście, Miłosz podejmuje wszystkich szczerze, od serca; ale nie masz tam hucznych biesiad, szumnych krzyków, brzmiących zabaw, jak to zwyczajem u Sławian — cicho, niemo, jak w klasztorze. Goście smutni, w samotności i modłach szukają ulgi sercu; gospodarz także nierad się weseli, niespokojny, pilne oko ma na Muzułmanów snujących się po kraju, a udaną pogodą twarzy i uśmiechem przymusu, chce wlać pewność bezpieczeństwa w duszę swoich gości. W każdym razie jednak gotów broni dobyć i zastawić swoją piersią tych, co szukali i znaleźli jego opiekę. Jakiegoż to rodu goście u arcyxięcia? Kilku bojarów multańskich, kapitanowie Górali, Klefty, Arnauci, Pandury, Bułgarowie i roz-

maici ludzie, co zasłyszawszy wojnę lecą tam jak kruki, sępy i orły, kiedy zawietrzą miejsca gdzie bydło padło. Po wojnie, jeśli zwycięstwo się im zaśmiało, to roznoszą śmierć i klęski po zawojowanym kraju z szybkością i spustoszeniem pożaru zapuszczonego po lasach wyschłych upałami lata; jeśli pomyślność ich odbieży, to się wymykają przed wrogiem jak lisy, kryją się po miejscach bezpiecznych jak borsuki po jamach, a znowu gotowi na nowy bój. Między témi gośćmi były i niewiasty, i dzieci, ale niewiele. Niewiasty modlą się za pomyślność opiekuna, i dzieci nie zapominają o nim w pacierzu powszednim, a ludzie wojny ciągle powtarzają: Sławiański Miłoszu, może nasze ramiona i tobie się zdadzą.

Między témi gośćmi były trzy osoby, którym Miłosz, Serbowie, i wszyscy goście, jakby cześć jakąś oddawali. Pierwsza niewiasta zgrzybiała: zimą wieku, długim szeregiem niepokojów, zawiedzionych nadziei, i ciągłą pracą myśli; na twarzy jéj napiętnował się zamożny dostatek poświęcenia się i cnoty, a w oczach wyraz męczennicy znoszącéj ciernisle męczarnie z uśmiechem

czystego sumienia, z pokorą poddania się woli Bożéj. Druga niewiasta w kwiecie wieku, jeszcze wiosny życia nie zliczyła swojemi latami, a już smutek, cierpienia i rozpacz zawładały jéj sercem i duszą : twarz blada, czoło posępne, usta jak martwe, oczy we łzach skąpane, i po policzkach jakby wyżłobione ślady łez; kibić smukła, krok chwiejący się, tak iż zda się że od wiosennego wietrzyka się powali. Piękną jeszcze była, ale pięknością światła konającéj lampy, blasku gasnącéj gwiazdy, kolorów niknącéj tęczy. Na ręku nosiła malenkie dziecię, pierworodnego syna : z nim się tylko pieści, do niego uśmiecha, do niego przemawia, i wtenczas czasami ciemne jéj oczy zabłysną brylantem, a lica i usta pokraszą się lekkim rumieńcem; czułość matki przewija się po jéj czole, i chwilową pociechą nawet rozśmiecha się twarz, a wówczas ona piękniejsza od najpiękniejszych kobiet ziemi, ona piękna uczuciem Matki Dziewicy, kiedy piastowała u swego łona Zbawiciela świata, syna Bożego. Trzeci był młody mężczyzna, w sile duszy, w sile ciała, smutny, ponury, jak niebo

bez gwiazd, jak ziemia bez zieloności; ale we wzroku jego nic nie masz dzikiego, nic coby zwiastowało sumienie skalane zbrodnią; tam tylko wyryte, szczery żal, sroga walka namiętności i cierpienia. Kiedy spotka się ze wzrokiem młodéj niewiasty, to znieść nie może widoku jéj smutnego oblicza, odwraca twarz i w swoich oczach łzy dławi; kiedy małe dziecię uśmiechem się do niego mili, rączkami do siebie wabi, wtenczas on i blednie i czerwienieje naprzemiany, a jednak się uśmiecha dziecięciu i cacka mu daje; dla staréj niewiasty cześć syna i miłość syna okazuje. — Kto byli ci trzej goście? Bojaryni Eudoxia, Sara Michaela z synem, i Tudor.— Skąd przybyli do Rudnika, jakim sposobem tam się dostali, i przez jaki wypadek wszyscy troje znalezli się w gościnie u Sławiańskiego Miłosza? —

Kiedy rozsierdzony Mehemed dobywał bojarskiego dworu, matka Eudoxia niepomna na płeć niewiasty, na wiek starości, pierś swoję narażała na śmierć, i słowem zachęcała do mężnéj obrony multańskich ludzi. Serce jéj ani razu mocniéj nie zakołatało, oko się nie zmrużyło,

kiedy patrzała jak ginęli obrońcy, jak padali niewierni napastnicy; ciągła nadzieja tliła w jéj duszy — myślała : nadbieży Kirdżali, przyciągnie Tudor; ale kiedy zobaczyła że za tłumami Muzułmanów jezdnych i pieszych, nie widać krzaków, doliny, ruczajów, gdzie spójrzeć wszędzie się snują wrogi w pstrofarbnych zawojach, rzekłbyś jakieś dziwne ptaki naleciały, a na domiar złéj wieści zaczęli w górę wyrzucać głowy multańskie jakby na igraszkę, na pośmiewisko — poznała bojaryni, że to znak zwycięztwa nad Tudorem albo nad Kirdżalim, kazała dwór zapalić, swoją własną ręką wyrwała z grobu Brankowanów chorągiew multańską, i z swoimi ludźmi w podziemne lochy się skryła. Sara Michaela od początku boju modliła się i rzewne łzy lała, nie brakło jéj na odwadze, krew Mehemeda się nie odrodziła, a dusza Kirdżalego przelała w jéj duszę swój zapał, swoje męztwo — śmierci się nie ulękła; ale ona wiedziała że tam ojciec i mąż mogą walczyć przeciw sobie, dosyć téj jednéj myśli aby zakrwawić serce kobiéty, pałające namiętną miłością dla męża kochanka, dręczone wyrzu-

tami że opuściła ojca, który ją kochał, a którego ona zawsze kocha. Kiedy bojaryni weszła i powiedziała : górko opuszczajmy te miejsca, Sara Michaela zbladła, zadrżała, ale jakby jéj na myśl przyszło że wkrótce będzie matką, wstała, nic nie rzekła i poszła za bojarynią: głos czułości macierzyńskiéj w téj chwili wziął przewagę nad smutkiem i rospaczą. Podziemnemi pieczarami wyszli aż na siedmiogrodzką ziemię. Bojaryni miała skarby, miała ludzi, ale niemieckie knechty natychmiast wszystkich pod straż zabrali, jak wojennych jeńców, i zawiedli do Hermansztadu ochrszczonego niemieckiem mianém; poźniéj na rozkaz wiedeńskiego pana, Temeswar przeznaczono im na miejsce pobytu, a tak ich strzeżono jak złoczyńców jakich. Tam Sara Michaela powiła syna. Choć to cesarz niemiecki chrześciański pan, a niby przyjaciel wnuka Katarzyny, przez wdzięczność że caryca włożyła jarzmo niewoli na ojczyznę Sobieskiego, nierad z powodzeń białego cara, potajemnie sprzyja niewiernym Muzułmanom, a jawnie pod pozorem obawy dżumy, gęstym płotem niemieckich knechtów,

przegrodził drogę porozumienia się Sławianom ujarzmionym swojemu berłu, ze Sławianami walczącymi za świętą wiarę, za wolność, za ojczyznę. I ztąd to bojaryni żadnéj wieści o Tudorze, o Kirdżalim nie miała, i im dać wiedzieć o sobie nie mogła. Sara Michaela niepewnością i rospaczą liczyła godziny więzienia. Nareszcie złoto zakupiło wierność niemieckiéj straży, sami przeprowadzili bojarynię z całym jéj dworem do serbskiéj ziemi; tam znalezli gościnność u Sławiańskiego Miłosza, tam znaleźli Tudora. Matka ze łzą radości ściskała straconego syna i pytała w co się obróciła wolność multańskiéj ziemi. Sara Michaela powitała go jak brata, pierwsze słowa co wyszły z jéj ust: gdzie Kirdżali, mój mąż, mój kochanek, ojciec mego dziecka? — i z dumą macierzyńską zmieszaną z obawą niepewności pokazała mu syna. Tudor opowiedział o przegranéj bitwie, o służbie u białego cara: — « póki była wojna, obietnicami nas łechtano, wieszano na piersiach świecące bawidełka; mocarze pogodzili się z sobą, i o nas nie dbano. Biały car wziął za koszta wojny część naszego kraju, a Sułtanowi oddał

na pastwę wolność multańską i chrześciańską wiarę. Rzuciłem służbę takiego pana, bo ja nie jemu, ale ojczyznie służyłem. W Multanach nie masz bezpieczeństwa dla wolnéj głowy; tu się schroniłem do arcy-xięcia sławiańskiego.» — Spuścił oczy: — «o Kirdżalim nic nie słyszałem, nic nie wiem» — westchnął — «dla Multan wszystko stracone.» Bojaryni twarz się zapłomieniła jakby ogniem młodości: — «nie stracone, póki my żyjemy. Przechowałam chorągiew multańskiéj wolności, znajdą się serca i ramiona co pod tém znamieniem skruszą jarzmo niewoli i zatkną chorągiew multańską na ojczystéj ziemi.» Sara Michaela smutnie zawołała: — «dla mnie wszystko stracone!» ręce palcami splotła, złamała dłonie, gorzkiemi łzami zalała oczy i odeszła. Czy wierzyła słowom Tudora, czy o nieprawdę go posądziła i w jego odpowiedzi widziała zwiastowanie śmierci Kirdżalego, nikomu o tém nie rzekła ani pół słówka. Od tego czasu trawiła ją wewnętrzna stłumiona rospacz, świat dla niéj obumarł i ona dla świata obumarła, ogniwem co ją wiąże z życiem jest syn, mały Kirdżali.

Czułość matki, głos słodkiéj powinności nakazanéj prawami ludzkiemi i Bożemi, zatrzymuje anielską duszę w jéj ciele, krzepi życiem, żywi nadzieją namiętne serce w łonie niewiasty tkniętéj chorobą rospaczy.

Zwyczajną koleją biegą dni za dniami, tygodnie za tygodniami idą, i miesiące po miesiącach płyną, a żadnéj widocznéj zmiany w Rudniku nie masz: dostatnio, smutno za przeszłością upłynionych chwil szczęścia, a tęskno za oczekiwaniem lepszych czasów. Już się zaczął wielki post — na znak nicości cielesnéj kapłani pańscy posypali popiołem głowy chrześciańskiego ludu, i lud natychmiast zrobił rozbrat z uciechami ciała, a martwiąc je, w pokorze wznosił dusze do Boga. Piękna to chwila, wielka to chwila, kiedy lud chrześciański postem i modłami błaga o przebaczenie grzechów, i uprasza sobie łaskę Bożą, kiedy czynem czci pamiątkę ofiary Zbawiciela ludzkiego rodu. Sławiański Miłosz, rudniccy goście i lud serbski, poszczą i modlą się, a po modłach i po postach, zamiast się weselić albo spoczywać, cóś potajemnego knują; zdaje się że wybrali

czterdziestodniową uroczystą chwilę postu, na przygotowanie się do spełnienia jakiegoś uroczystego czynu.

Do rudnickiego zamku ciągle jacyś nowi ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają. Miłosz każdemu daje posłuchanie, z Tudorem, z matką Eudoxią często się naradza, broń sprowadza z węgierskiéj ziemi, a biełgradzkiemu baszy, agom i czauszom muzułmańskim, złotem oczy zasypuje, gęby zatyka, aby nic nie widzieli, nic nie mówili. Z Czarnogórza zakonnicy Swiętego Bazylego, przebiegają serbskie wioski i grody, i ludowi w ucho szepcą jakieś apostolskie słowa.

Dnia jednego bojaryni z Tudorem zeszli się w arcy-xiążęcéj komnacie Miłosza. Bojaryni powiodła okiem po komnacie, jakby na przekonanie się że nie masz w niéj nikogo, oprócz jéj i syna; a kiedy zobaczyła że tam tylko wiszą martwe bronie, co czekają żywéj ręki aby życie odbierać żyjącym tworom, skóry niedzwiedzie, wilcze paszczęki z zębami, kły odyńca i jelenie rogi — znaki śmierci nie życia, świadkowie dobrzy do tajemnicy, nie

ciekawe ich uszy, nie świegotliwe ich języki. — «Tudorze, czas powołać do nas Kirdżalego, u niego silne ramie, odważne serce, bez niego nic nie zrobiemy.»

Tudor przerwał mowę matki: — «Matko mów ciszéj, Sara Michaela mogłaby dosłyszeć, a lepiéj niech ten anioł myśli, że Kirdżali zginął, nie żyje, jakby miała wiedzieć że on przywodzcą zbójców, zbrodniami okryty.»

— «Synu, Bóg przebacza pokutującym grzesznikom, i ludzie powinni przebaczyć człowiekowi, co swoje występki idzie odkupywać ofiarą życia za wolność, za świętą wiarę. Pamiętaj przepowiednię Iwoniego, bez człowieka lackiego rodu, nie będzie niepodległości multańskiéj ziemi.»

Zamyślił się jakiś czas bojar: — «Matko, na Boga ci się klnę, na miłość dla ciebie, doszła nas wieść że Kirdżali zbójców opuścił i Bóg wie gdzie się podział.»

Bojaryni zmarszczyła czoło, i tak już pomarszczone fałdami wieku: — «Tudorze, jako matka ci rozkazuję, zaklinam, abyś porzucił przesądy, dołożył wszelkich usiłowań, i tu

sprowadził Kirdżalego » — i wyszła, a w postawie jéj i w ruchach ciała nie było wyrazu błagającéj niewiasty, ale groźna wola rozkazującéj matki i pani.

Tudor sam jeden pozostał i duma : znaleść Kirdżalego można — na świecie nie masz nic niepodobnego ; ale oddać Sarę Michaelę, niewiastę nieba w ręce człowieka pokalanego tysiącem zbrodni, powiedzieć niewinnemu dziecięciu : — twój ojciec zbrodniarz, zbojca — O nie ! nigdy! Niechaj matka się gniewa, błagać ją będę ; niechaj mnie przeklnie, nie zrobię : serca by mi nie stało na czyn tak okrutny. » Ręką potarł oczy : — « Ona go zawsze kocha, o nim myśli, o nim marzy, on wszystkiém dla niéj, a reszta ludzi niczém. Dziwne, niesprawiedliwe wyroki Boże ! Połączyć cnotę ze zbrodnią, niebo z piekłem ! — « I rękę w ręku miał, jakby ją chciał zmiażdżyć. Tém szamotaniem się ostudził trochę bolesne uczucie. — « O gdyby ona moją była ! Szczęściem bym ją osypał, kwiatami bym usłał drogę jéj życia, jéj syna bym kochał jak własne dziecko. Ale nie, ona nigdy o nim nie zapomni, moją nigdy nie bę-

dzie.» — I chodził wzdłuż komnaty, jak gdyby wolnym krokiem i smutném dumaniem chciał przeliczyć wszystkie godziny dnia. W tém drzwi się otworzyły i weszła Sara Michaela z swoim synem u łona. Nie słychać stąpania jéj nóg na podłodze, ona lekka jak nadpowietrzna istota kiedy przywędrowawszy z nieba zstąpi chwilowo na ziemię. Smutna — czoło zwieszone ku dziecięciu, a na rzęsach błyszczą kropelki łzy. Synek spi, drobne oczki zamknął, i ustami na twarz matki lekki oddech wionie. Tudor się zbliżył: — «Siostro Saro Michaelo, czegoś ty tak smutna?» — Synek się przebudził, uśmiechnął, i wyciągnął rączki do Tudora. Bojar wziął go na ręce, tulił do łona, i ustami muskał twarzyczkę dzieciny.

Półuśmiech przebłąkał się po twarzy Sary Michaeli: — «Tudorże, jak on ciebie kocha» — Półuśmiech uciekł, znowu twarz przyoblekła się w ponury smutek. Siadła na węzgłowiu i i Tudor usiadł koło niéj.

— «Saro Michaelo, nie zatruwaj goryczą swego życia, żyj dla twego syna» — cichym głosem dodał: — «żyj dla nas.»

Dziecię jakby zrozumiało co mówią, do matki na ręce zaczęło się napierać; ona go wzięła i całuje a ono rączkami przebiera po jéj czole, licu, i bawi się głaszcząc axamitną brew.

— « Tudorze, jak on podobny do ojca, istny wizerunek Kirdżalego. » Tu uścisnęła namiętne dziecię, Tudor odwrócił czoło i oczy w ziemię spuścił, ona westchnęła: « Powiedz co się stało z Kirdżalim? Ty wiesz Tudorze. Po co mnie dręczyć tajemnicą. Może on nieszczęśliwy gdzie w więzieniu jęczy, a może... » — i zająknęła się jakby bała się wymówić słowo — ja wdowa, a syn sierota. Łzy rzewne puściły się jéj z oczu.

Tudor wziął ją za rękę i ciśnie do ust swoich: — « Saro Michaelo, on żyje » — i chciał już wszystko wypowiedzieć, i zaprzysiągnąć że pojdzie na kraj świata szukać Kirdżalego, kiedy drzwi się otworzyły od strony przedsienia, i weszło dwóch ludzi. Sara Michaela powstała i wyszła w przeciwną stronę, bo ona nie lubi na widowisko wystawiać swojego żalu, i ściągać na siebie politowanie ludzkie: Tudor podniosł się i stał w miejscu rozczulony, z twarzą pokrasniałą. Sławiański Miłosz nie uważał ani

odejścia Sary Michaeli, ani postawy bojara, on czém inném zajęty; ale człowiek co przyszedł z Miłoszem, widział jak Sara Michaela wyrwała swoją rękę z ręki Tudora, zajrzał grę uczuć na bojarskiéj twarzy, wzrokiem dziko zatoczył a czoło nachmurzył. Miłosz postąpił naprzód : — Bojarze, przyprowadzam ci dawnego znajomego. Tudor spójrzał i wzdrygnął się, nowo przybyły człowiek uśmiéchnął się po szatańsku, i uśmiechowi przywtórował zgrzytnięciem zębów; — « Bojar się nie zmienił, w szczęściu i roskoszy nie starzeją ludzie ; ale ja zestarzałem, stérałem się trudami i biedą: nie takim był kiedyś Michajlaki » — pokręcił wąsa i zjadłym wzrokiem świdrował po Tudora twarzy.

Bojar jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia : — « Michajlaki, ja ciebie od razu poznałem. Ale czy sam tu jesteś ? »

— « Z kimże ty chcesz bojarze, abym tu przybył. Moi ludzie przyjdą jak każę, ale teraz nie potrzebuję nikogo. »

— « A twój przywodzca ? »

— « O Kirdżalim chcesz mówić » — smutnie

kiwnął głową ; — « już on teraz nie przywodzcą, porzucił nas, pokutnikiem został. Pokutuje za siebie i za drugich. Nie bój się, tu nie przybędzie » — Bojar przebąknął : « pokutnikiem » — i nic daléj nie mówił, Michajlaki obrócił się do Miłosza : — « Arcy-xiąże rudnicki, a cóż umowa między nami czy stoi? Ja czasu niemam gościć u was : jak tu roboty nie znajdę, to trzeba będzie gdzieś indziej poszukać. »

Miłosz spójrzał okiem powagi na kapitana zbójców, i zapytał Tudora : « ty go znasz, można polegać na jego słowie ? »

Bojar prędko odrzekł : — « mozesz mu zaufać Miłoszu Obernowiczu, tam gdzie idzie o bój. »

Michajlaki się rozśmiał : — « Ja zbójca, ale przyjaźni bym nie zdradził. Lubię arcy-xiążęciu twoją ostróżność ; ale cóż byś zrobił gdyby bojar był zamnie nie zaręczył ? Ja teraz wiem o twoich zamiarach. »

Miłosz pokazał mu palcem na bronie : — « za próg byś nie wyszedł. »

Zajaśniało dzikie oko kapitana zbójców : —

« Wiernie ci dopiszę sławiański xiąże, tyś wart tego. Takby Kirdżali powiedział i zrobił, ale nie inni » — ręką machnął w stronę Tudora, ale bojar tego nie uważał. — « A teraz odliczmy cekiny na zadatek; na czas umówiony będziesz miał jezdnych Arnautow i pieszych górali. »

Wyszli z Miłoszem. Niebawem Michajlaki zabrał dwa spore wory złota, siadł na konia i pojechał, a w drodze rozmyślał: Bojar dotrzymał obietnicy Kirdżalemu, na swoje oczy widziałem, szczerze opiekuje się jego żoną, a może i dziecięciem. Teraz wiem dla czego spalił się dwór bojarski, dla czego tak licho broniono Brankowanów grobu. Bojaryni się nie pokazała, bojar mnie do niéj niezaprowadził. Wszak to kiedyś Michajlaki był najulubieńszym sługą; minęła potrzeba. Kirdżali, a ty pokutujesz za siebie, pokutujże i za nich! Rzuciłeś nas, twoich wiernych, dla tego że nas zowią zbójcami, poszedłeś cnoty szukać; szukaj jéj u Bulgarów, u twojéj żony, u przyjaciela, u ludzkiego rodu, biedny człowieku. — Gorzko mu w myśli, bo żałuje Kirdżalego, jakby samego siebie.

Zjawienie się Michajlakiego w rudnickim

zamku, nie było wiadome tylko Miłoszowi i Tudorowi. Miłosz rad że zakupił wojennych ludzi na chwilową posługę: Tudorowi sumienie rozkazuje cieszyć się że Kirdżali przestał bydź zbójcą, a serce smuci się, bo myśli: — on pokutą stanie się godnym Sary Michaeli. Bojaryni nic nie wiedziała o Michajlakim, i nikt jéj słowa nie powiedział o tém. Sara Michaela wychodząc z komnaty arcy-xiążęcéj, nie widziała jacy ludzie weszli; płacze, smuci się jak dawniéj, ale słowo Tudora: — on żyje, — wlało jakąś nadzieję do serca, ciśnie syna do łona i powtarza: on żyje! tyś nie sierota, jam nie wdowa.



XIV.

Dziwny jakiś, niepojęty ruch w serbskim kraju. Z rudnickich gór rozleciały się kruki po serbskiéj ziemi i kraczą, jakby okrakiwały wieść przyszłéj żałoby, albo jakby chciały swojém krakaniem wypłoszyć Muzułmanów z siedziby chrześciańskiego ludu. Z ponad Drawy lecą jastrzębie, skrzydłami gwiżdżą po powietrzu, a oczyma bystro wodzą po ziemi. Od Bałkanów przywędrowały płowe orły, szerokiemi skrzydły pławią się nad serbskiemi grodami, i drapieżnemi dzióbami postukują, jakby wołały na lud serbski : dawaj nam krwi niewiernych, dawaj ścierwa niewiernych. Na łąkach Pasarewaczu, stada koni jakby opętane rzucają pasze, zarżą, parskną i w czwał kopią się w różne strony. Myśliwskie psy ze sfor spu-

szczone, w miejscu sarny wyganiać na strzelca, po drogach ujadają za śladami muzułmańskich jezdzców. Wszystko to przepowiednie znaki wojny.

Lud rozżarzony słowami Czarnogórskich mnichów, niecierpliwi się, i sarka nawet na swego kochanka, na Sławiańskiego Miłosza : czemu już do oręża wziąść się nie nakaże, czemu nie zrobi końca z plugastwem muzułmańskiem, nie wygoni go tam gdzieś na cztery wiatry. Miłosz cierpliwie znosi sarkanie serbskiego ludu, cierpliwie znosi wyuzdane zuchwalstwo Muzułmanów, i powiada : jeszcze nie czas.

Nadszedł dzień wierzbnéj niedzieli, uroczysty dzień pamiątki Chrystusowego wjazdu do grodu Jerozolimy. W ów czas lud wybrany, rószczkami rozwiniętéj wierzby słał drogę synowi Bożemu, do kościoła Bożego; dziś kapłani świętéj wiary, święcą rószczki wierzby i rozdają prawowiernemu ludowi, na przypomnienie radości Chrystusa w wigiliją dni naigrawania się i srogich mąk. Cieszył się syn Boży, bo widział że męką swoją odkupywał ród ludzki z szatańskiéj niewoli; teraz ludzie chrześciańscy korzą

czoła, wznoszą modły dziękczynienia i prośby ku swojemu Zbawicielowi.

Do Takowa, małéj mieściny przesławnéj w krainie sławiańskiéj cerkwią Bożą i cudownym obrazem Chrystusa, nagromadził się lud serbski i z gór i z dolin, nagromadzili się pielgrzymi z różnych ziem chrześciańskiéj Sławiańszczyzny. Przed cerkwią, na cmentarzu, lud pobożny kupuje woskowe ofiary, wizerunki świętych pańskich i rożańce; z serca daje ten datek na potrzeby Bożego kościoła, na wspieranie cierpiącéj ludzkości; zamożni gospodarze hojną jałmużną sypią między żebraków, bo to dzień braterskiego działu w Chrześciaństwie. W cerkwi tysiąc ofiarnych gromnic złotym ogniem płonie, święte obrazy jaśnieją światłem nieba, jakby zadowolnione z ofiar uśmiechały się do ludu, a majestat pański szczodrze sieje po cerkwi promienie złota, srebra, i jaskrawych farb. Pielgrzymi, jedni klęczą, drudzy krzyżem leżą, różni wiekiem, różni strojem, a wszyscy zespoleni chrześciańską myślą dziękczynienia, pokuty i prośby. Uderzyły dzwony, spiż zajęczała i brzmi po powietrzu uroczym

rozgłosem. Lud chrześciański nawałem zapłynął cerkiew, cisną się jedni do drugich jak na znak miłości chrześciańskiéj. Rozwarły się carskie podwoje, i kapłan sławiańskiémi słowy zaczął śpiewać mszę świętą i lud chorem odśpiewywał na cześć i chwałę Bogu Twórcy świata i wszech rzeczy.

Pomiędzy ludem pobożnym jest Miłosz Sławiański i przedniejsi Serbowie. Arcy-książe przybył z Rudnika, tam zostawił swoich gości, i na straży liczny orszak zbrojnych ludzi pod rozkazami Tudora. Miłosz patrzy na lud, i dusza w nim rośnie widząc jego bogobojność, jego wiarę; bo z ludem bogobojności i wiary, najtrudniejsze dzieło rozpocząć można i doprowadzić do kresu. Patrzy po pielgrzymach, czy nie pozna między nimi jakiego brata broni, dawnego towarzysza, co stęskniwszy się za ojczyzną, przybrał płaszcz pielgrzymski, aby choć raz jeszcze zobaczyć serbską ziemię. Darmo wzrokiem śledzi, nie masz tam znajoméj twarzy; ale między tymi pielgrzymami jest człowiek, co wszystkich oczy na siebie ściąga : na twarzy blady jak kość wyschła na wietrze, tylko się

usta słabo rumienią i ciemny wąs lśkni się na przedniéj wardze; choć pokornie złożył ręce do modłów, jednak oczy wklęsłe w głowę, błyszczą dziką dumą, a czasami uczuciem boleści i rozpaczy. Wzrost rosły, składy ciała szykowne, zda się że czarny płaszcz pielgrzyma garbi go ku ziemi, zda się, że gdyby zdjęto ten płaszcz z jego ramion, pielgrzym stałby się najokazalszym wojakiem między sławiańską młodzieżą. Było w nim cóś strasznego, cóś ponętnego; nikt nie życzył sobie spotkać go w nocy na rozstajnéj drodze, a każdy chciałby go mieć obok siebie w czasie boju. Modli się lud serbski, modli się Miłosz, a jednak wszystkich oczy zwracają się na czarnego pielgrzyma; on nie patrzy na ludzi, i może nie myśli o nich, oczy spuścił ku ziemi, a ustami ciągle rusza, widać pacierze szepce. Skończyła się msza i nabożeństwo, kapłani rozdali święcone rószczki wierzby między lud Boży, i już wszyscy wyszli z cerkwi i rozsypali się po cmentarzu, w tém Miłosz wyniosł chorągiew serbską, pochowaną w cerkiewnym skarbcu przed okiem niewiernych. Chorągiew zafurkotała w powietrzu, arcy-xięcia twarz

zaiskrzyła się zapałem, gromkim głosem na całe piersi zawołał : — «Przynoszę wam wojnę z Muzułmanami! » — Jak żeglarze zapędzeni burzą na nieznane morze, kiedy stracą już nadzieję życia, a ujrzawszy nagle ląd zakrzyczą radośnie, namiętnie : ziemia! ziemia! — z taką radością, z takim zapałem lud serbski zawołał : wojna! wojna! — i jakby czarodziejską mocą, nie wyszło jeszcze pół godziny, a lud ten co nie miał nic w ręku oprócz rószczek wierzby, znaków błogiego pokoju, pobłyskuje bronią, godłem śmierci. Miłoszwszystko przewidział, nawiozł broni, i zbrojny orszak ludzi z sobą przyprowadził.

Na głos wojny, czarny pielgrzym rozhardział twarzą i postawą, przystąpił do arcy-xiążęcia, a nie zniżając głowy, ani pokorząc mowy brzmienia rzekł : «Hospodarze serbski, i jam sławianin, umiem władać orężem, chcę dopełnić pokuty przelewając krew moją w boju za świętą wiarę, za wolność sławiańskiego ludu. Czy przyjmiesz mnie między twoje szeregi?»

Miłosz zmierzył pielgrzyma od stóp do głów :

— « Przyjmuję. Kto z nami ten naszym bratem » — i podał rękę pielgrzymowi.

Pielgrzym przyjął dłoń dłonią, ale nie widać na jego twarzy uczucia podłechtanéj dumy arcy-xiążęcia łaską; on mówi i patrzy na Miłosza jak na równego sobie. Zrzucił płaszcz pielgrzymski, i na bulgarskim stroju ukazał się attagan przy boku, a za pasem dwie głowy błyszczące pistoletów i trzecia kindżału. Podano mu krzywą szablę, burkę bulgarską i kołpak barani. Po mistrzowsku przypasał szablę, burkę zawiesił przez lewe ramię, kołpak na prawe ucho nasadził; a kiedy dosiadł rumaka, pomknął i osadził w miejscu, jak huzarz albański. Ludzie oczy wytrzeszczyli, roztworzyli gęby, i patrzą, i mówią do siebie: to musi bydź jakiś car, albo pierwszy kapitan Arnautów. Bóg go nam zesłał w pomoc. — Miłosz rozradowany przystąpił do jezdzca: — « Nowy bracie, jakże ciebie zwać mamy? »

Jezdziec odpowiedział smutno: — « Czarnym pielgrzymem » — i twarz jego sponurzała, jak gdyby chciała się zaprzeć chwilowéj radości wojennego serca.

Już lud pod bronią, i Miłosz na ognistym rumaku. Jak kra popiętrzona na wielkiéj rzece przeparłszy zaporę, toczy się i pędzi z pędem wody, tak lud serbski tłumami wali się a wali drogą ku Krakowcowi. Chorągiew serbska okazale się rozwinęła, zwyczajnie narodowa flaga wolności. Sławiański Miłosz koło chorągwi jedzie na białym koniu, wzrok jego wesoły, twarz pogodna, bo sumienie czyste dopełnioną powinnością, a dusza nie skalana żadnym występkiem. Czarny pielgrzym z boku jedzie na wronym koniu, oczy jego dziko patrzą, a twarz chmurna jak niebo przed burzą, widać że robak zgryzoty albo rospaczy roztoczył i toczy jego serce. W Takowie cicho, głucho, tylko kapłani w cerkwi się modlą: «Swięty Boże, Swięty Wielki, Swięty Wszechmocny, daj zwycięztwo świętéj wierze, daj zwycięztwo wolności sławiańskich ludów, zbaw nas od jarzma niewiernych, Panie nad pany, zmiłuj się nad nami!»

Słońce wolności zabłyszczało dla serbskiéj ziemi, a sławiańskie plemie do broni się wzięło, aby go czcić i chwalić: przelewa krew swoją temu słońcu na ofiarę, na ofiarę toczy krew

muzułmańską. Ludzie siły i wieku; pod rozkazami Miłosza, Czarnego pielgrzyma i innych serbskich przywodzców, uganiają po kraju spahów, tępią janczarów; starcy poszli na zasadzki w góry, niewiasty bronią się po zdobytych zamkach, a dzieci służą za szpiegów, za przewodników serbskim wojakom. Jak kto może tak służy, bo to wojna narodowa, a w słowiańskiéj ziemi po stokroć przeklęty ten za życia, po stokroć przeklęta pamięć jego po śmierci, ktoby uchem zasłyszał o narodowéj wojnie, okiem zajrzał bój za narodowość, a nie powstał. Po miastach serbskich głucho, po wioskach pusto, a na polach, w lasach i w górach, tłumno i gwarno. Nie sieją tam ludzie, nie orzą, nie na chleb pracują, ale stawiają na grę losu życie i mordują się.

Z początku wojny Muzułmanie mieli wojsko, broń, pieniądze, zasoby wojenne; a jednak wszędzie uciekają, bo to służalcy pana, naznaczeni piętnem niewoli i potępienia. Serbowie nic nie mieli oprócz serc, ramion i woli; i zwycięztwo się im uśmiecha, i wszędzie, i zawsze, bo to ulubione dzieci wolności. Kiedy tak Ser-

bowie walczą za niepodległość ojczyzny, po wszech ziemiach sławiańskich sławiańskie ludy wołają: błogosławieni kapłani świętéj wiary co przechowali ziarno wolności w sercach serbskiego ludu, co rozdmuchali w jego duszach ogień wolności; błogosławiony Miłosz, co do uczty wolności lud powołał, i na jego czele stanął; błogosławieni Serbowie, co wierzyli słowom kapłanów Chrystusowéj wiary, co usłuchali głosu sławiańskiego męża; Bogdajby i na nas co prędzéj Bóg taką łaskę zlał.

W rudnickim zamku pod bronią odprawiono wielkanocne święta, z bronią przy boku lud Boży w cerkwi weselił się pamiątką zmartwychwstania Syna Bożego, z bronią przy boku pożywał święconą paschę. — Tudor człowiek wojny, odpiera Muzułmanów od zamku, nawet wycieczki na nich robi, a zawsze szczęście mu służy; zdaje się że podbił je w swoje władanie tą razą. Matko Eudoxia się raduje, i w myśli powtarza ciągle: przyjdzie szczęśliwa godzina i dla Multan, a mój Tudor będzie multańskim Miłoszem. Sara Michaela do téj pory pociesza serce nadzieją; słowa Tudora: on żyje — słodko

brzmią w jéj uszach, i bezprzestannie błąkają się po jéj myśli. Krasa jéj wdzięków odżyła trochę na jéj twarzy, w jéj oczach błyszczy coś podobnego do promienia słońca, przebijającego się bladem światłem przez gruby tuman mgły. Szuka Tudora, chce z nim mówić sam na sam; a bojar stroni od Sary Michaeli, jakby zgadywał o co go zapyta, widzi nagłą zmianę w anielskiéj niewieście, w bożyszczu swojego serca, a jednak się tem nie cieszy, bo wie jaka jéj przyczyna; mimo prawe sumienie, serce cnoty, i on człowiek, on kocha, i kocha namiętnie. Kiedy widział rospacz, cierpienia ukochanéj istoty, w tenczas życieby swoje, szczęście oddał, aby rozpacz od niéj odgonić; ale kiedy dokazał tego, nie ofiarą siebie, ale jedném słówkiem o drugim, o człowieku co stanął na zawadzie jego szczęściu, odezwały się w nim uczucia rozranionego serca, rozgniecionéj nadziei: dręczy się i rospacza głuchą, stłumioną, zamkniętą w sobie rospaczą; unika widoku oblicza niewiasty, co sama nie chcąc, nie wiedząc, wiecznem nieszczęściem go omotała, a jednak błogosławi ją, podziwia, i dla niéj wszy-

stko a wszystkoby poświęcił. Kiedy przybieży jaki goniec z wojenną wieścią, albo rozprawiają o wojnie, Sara Michaela natychmiast tam przybiega, ucho nadstawia ciekawie, okiem śledzi po twarzach ludzi rozmawiających, czy nie wyczyta co oni myślą, co przed nią tają. Zulmę ciągle na podsłuchy, na wzwiady wysyła, pieści swoje dziecię i mówi: — wojna! twój ojciec może gdzieś tam wojuje; a może gdzie w więzieniu jęczy i do wojny wzdycha — On o nas nie myśli, o wojnie myśli. Całuje synka i czystą łzą jak perła, myje rumiane liczko dzieciny.

Raz wieczorem Zulma przyszła i mówi: « Moja Perigo; najpiękniejszy kwiecie z łąki tego świata, mnodzy ludzie piesi i konni przybyli przed zamkową bramę, Tudor z nimi rozmawia, nie mogłam zajrzeć ich twarzy, ale stroje znajome górali multańskich, Arnautów. »

Sara Michaela nie słuchała reszty, oddała drogi skarb, syna w ręce Zulmy, a sama pobiegła. Dokąd? — do bojaryni: — « Matko, jacyś zbrojni ludzie przybyli » — i zająknieniem nie domówiła swojéj myśli, swojego domniemy-

wania się. W tém wszedł jeden z przywodzców serbskich, a bojaryni go zapytała : — «Milanie Sawiczu, jacy to ludzie zbrojni do zamku przybyli?» — Serb pogłaskał ręką po pasie:

— «To Arnauci i karpaccy górale przyszli prosić służby wojennéj u naszego Miłosza, bojar ich odesłał ku Krakowcowi z przewodnikiem; musi ich znać, bo rozmawiał z ich kapitanem, a nawet się zagniewał na niego.»

Sara Michaela odważyła się otworzyć usta, zajęknęła się ze wstydu: — «a jaki był ten przywodzca?»

— «Człowiek przejrzałego wieku, sniady na twarzy, czarno-wąsy, a włosów szpakowatych, niemiłego wejrzenia; zwyczajnie kapitan górałów.»

«To nie on» — smutnie spuściła oczy, i chciała wracać do syna, kiedy otworzyły się drzwi i ukazał się Tudor: oko jeszcze zaiskrzone gniewem, a twarz rumieńcem okryta. Ujrzawszy Sarę Michaelę i matkę, chciał się cofnąć nazad, jak gdyby zapomniał jakiś rozkaz dać, ale bojaryni zawołała : — «Tudorze, co

to byli za ludzie? wszak możesz nam to powiedzieć, to nie tajemnica wojny.»

Bojar patrzy na podłogę — «Sławiańscy ludzie, po chorągiew Miłosza Obernowicza przybyli; odesłałem ich do wojska pod Krakowiec; ale ja żadnego z nich nie znam» — poczerwieniał jakby na znak że kłamstwo kalało jego usta.

— «Czegoś się zagniewał mój synu, na ich kapitana?»

— «Zwyczajnie, matko, w czasie wojny są rzeczy które mogą zagniewać. — Milanie Sawiczu, dziś zrobiemy wyprawę ku tureckiemu obozowi» — i chciał wychodzić, a nie śmiał spójrzeć na Sarę Michaelę, jakby bał się aby ona go błagalnym wzrokiem do powiedzenia prawdy nie nakłoniła. Tu wszedł nowy jakiś człowiek. Suknie jego błotem zbryzgane, twarz potem okryta, ale radość na niéj się maluje: to goniec Miłosza. Nie czekał nim go zapytano: — «radujcie się, Miłosz zwyciężył; Muzułmanie rozproszeni, Serbowie wolni!»

Tudor popatrzył na niego. — «Wasylu Stefanowiczu, a wrogowie w co się obrócili?»

— « To się z nimi stało, co z baszą Biełgradu; słuchajcie.. » — usiadł zmęczony goniec i wszyscy do koła go obsiedli i słuchali w milczeniu, z uwagą, jak słowa Bożego. — « Wiecie jak nasi pod nowym Bazarem pobili biełgradzkiego baszę. Przy Miłoszu jest Czarny pielgrzym, zapewne o nim musieliście słyszeć? » — Tudor jeszcze raz się zapłonił, a niewiasty spójrzały na siebie, jakby mówiły, myśmy o nim nigdy nie słyszały. — « Otoż to ten Czarny pielgrzym sprawił zwycięztwo. To niepojęty człowiek; zna go wojna, i on zna wojnę. Nim bój ma się zacząć, jak orzeł przebieży wzrokiem okolice, i w mig rozporządzi wojskiem. Wtenczas twarz jego się zawesela, oko ogniem płonie; wtenczas z Miłoszem rozmawia. W boju, jak wściekły walczy: czy nacierać i rozganiać koniem wroga, czy zamku albo obozu dobywać na pieszo, za stu się bije. Nie jednemu Serbowi życie ocalił, a swojem ramieniem Muzułmanów co nie miara posłał do piekła. Po boju do nikogo nie zagada, od ludzi stroni, tylko pacierze odmawia. Ani Miłosz, ani żaden z Serbów nie wiedzą kto on jest. Po bulgarsku się nosi » — Tudor przerwał

mu mowę: — Wasylu, mów nam o wieści wojennéj.» — Sara Michaela spójrzała na Tudora okiem wymówki, bo ona pożera ciekawością każde słowo o Czarnym pielgrzymie. Biedna niewiasta, ona myśli: może to mój Kirdżali.

Goniec odetchnął. — « Daruj bojarze, że bajam o Czarnym pielgrzymie, to niepojęta istota, to drugi Jerzy Czarny; i my go zowiemy synem Czarnego Jerzego. Otoż po bitwie pod Nowym Bazarem, dano wiedzieć Miłoszowi, że basza Widynia, stary Achmet, z licznem wojskiem przyciągnął pod Kruszewacz, a co gorsza, Mehemed basza Sylistryi, ten postrach chrześcian, dotąd niezwyciężony nigdy przez nikogo, z licznemi rotami spahów i Albańczyków przybiegł i połączył się z Achmetem» — Tu twarz Sary Michaeli mieniła się dziwnemi uczuciami, a sili się pokryć trwogę, obawę o ojca, aby nie przerwać opowiadania. Goniec nie wiedział że mówi przed córką Mehemeda. — « Miłosz zwyczajnie ojciec co dba o swój lud, chciał w góry się udać, Czarny pielgrzym po raz pierwszy odezwał się w wojennéj radzie: uderzmy na nich,

a zwyciężymy; ja za zwycięztwo ręczę. Przystał Miłosz na to, bo Czarny pielgrzym jak czarnoxiężnik umysłami wszystkich włada. Ciągnęliśmy pod Kruszewacz, Muzułmanie dowiedzieli się o naszym pochodzie, i Mehemed z jazdą na spotkanie nas ruszył. Czarny pielgrzym dowodził przednią strażą Miłosza, złożoną z samych jezdzców; bitwa była dziarska, żaden język nie jest w stanie jéj opowiedzieć: trzeba było widzieć i słyszeć co się tam działo. Nieprzebrane tysiące ludzi i koni — tętniały kopyta końskie, szczękały bronie, jezdzcy wrzeszczeli przeraźliwym krzykiem, uganiali się jedni za drugimi, i żarli się z sobą jak dzikie zwierzęta; krew się lała strugami, trupy końskie i ludzkie zawaliły równinę. Zwycięztwo zostało przy nas, Czarny pielgrzym pomordował, porozgramiał Muzułmanów. » — Zadrżała Sara Michaela, jak liść osiki, i pobladła jak wosk jarzęcéj gromnicy:
— A Mehemed? »

Gońca nie zdziwiło wcale to zapytanie: — « Mehemed uniosł życie z boju, ale nie cześć » — Przelotny rumieniec ukrasił lice Sary Michaeli, i znowu pilnie słuchała. — « Trzy razy

Czarny pielgrzym starł się z Mehemedem; rzecz dziwna! Czarny pielgrzym co nigdy nikomu w boju życia niedarował, jak mówią, za każdą razą mógł szablą rozpłatać głowę Mehemeda, a nie zrobił tego. Bronił się, a nie nacierał. Przemawiali do siebie jakieś słowa po turecku. Za trzeciém spotkaniem się, miecz baszy bryznął na dwoje, a Czarny pielgrzym przeżegnał mieczem po powietrzu, jakby na błogosławieństwo ucieczki, i dumny turczyn po raz pierwszy z pola bitwy uciekać musiał za swoimi. Czarny pielgrzym za nimi gonił, na prawo i na lewo głowy spahów zmiatał, a zdawało się że czuwał nad życiem Mehemeda.» — Sara Michaela utrzymać dłużéj nie mogła głosu: — «to on! to on!» — i złożone ręce wzniosła w górę znakiem prośby i dziękczynienia. Tudor patrzy na nią i blednie, aż mu usta sinieją. Bojaryni niespokojna: — «co ci jest synu, czyś nie chory?» — «Nie, matko. Wasylu kończ, co się stało» —

Goniec mało uważa, nic nie rozumie co się pomiędzy jego słuchaczami dzieje; on jeszcze nie wytrzeźwił się z szału i uroku zwycięztwa. — «Czarny pielgrzym, pozgromadzał zagonioną

jazdę naszą, a skoro tylko Miłosz nadciągnął z przedniejszą częścią wojska, nie tracąc czasu puścili się ku Kruszewaczowi. Achmet z mnóstwem janczarskich rot, w okopach obozowych się bronił; ale nasi Serbowie piorunem okopów dobyli, bo Miłosz i Czarny pielgrzym sami pieszo wiedli ich do zwycięztwa. Janczarów wszystkich w pień wycięto, basza Widynia i syn jego dowódzca albańskiéj straży dostali się w niewolą. Czarny pielgrzym własną ręką ich porozbrajał, i uprosił u Miłosza aby im życie zachowano. W obozie zastaliśmy armat, broni i bogactw nawałem: wszystko to żniwo na pierwsze zagospodarowanie się Serbów. Pogonie nasze na wsze strony puściły się za Muzułmanami. W widłach gdzie się schodzi szlak kruszewacki ze szlakim krakowieckim, zdybałem Arnautów i górali kapitana Michajlakiego, sprawiłem ich do Kruszewaczu; jeszcze oni zdadzą się może na cóś?»

Bojaryni i Sara Michaela zawołały razem: — «Michajlaki tu?»

— «On mi mówił że ztąd ciągnie, że z bojarem się widział, gniewny nawet czegoś na bo-

jara. Od dawna ja znam Michajlakiego, nie łatwo zapomnieć jego twarzy.»

Bojaryni się zadumała : — «Tudorze, tyś nam nie chciał powiedzieć o tém.»

— «Matko chciałem ci powiedzieć, ale..» — i nie dokończył. Tem słowem cały niepokoj niepewności wlał na nowo w serce Sary Michaeli. Wstała, zbliżyła się ku niemu, wzięła go za rękę : — «Ty wiesz gdzie Kirdżali, widziałeś Michajlakiego, powiedz czy to on Czarny pielgrzym? czy on z Michajlakim? Tudorze ja ciebie błagam» — i już klęknąć chciała przed nim.

Bojar powstrzymał ją, drżą mu ręce, serce mu bije, jak gdyby chciało bok rozsadzić, a krew warem kipi po żyłach. — «O Czarnym pielgrzymie słyszałem, ale na Boga się klnę, nie wiem kto on jest; z Michajlakim Kirdżalego nie było, i on nie wie gdzie się Kirdżali obraca.»

Biedna niewiasta do piersi przytuliła ręce :— «Mój Boże, to nie on Czarny pielgrzym; on może już nie żyje : Tudorze powiedz, zaklinam ciebie.» — osłabła, mdło jéj w oczach, gną się jéj kolana, i z lekka osuwa się w ramiona boja

ra. On ją złożył koło bojaryni, z natężeniem wyrzekł: « on żyje » — chciał powiedzieć; był zbójcą, a teraz jest pokutnikiem; ale nie powiedział i wyszedł z komnaty.

Bojaryni tuli do swego łona omdlałą głowę Sary Michaeli, obudwóm Serbom żal cierpiącéj niewiasty; Wasyl zapomniał nawet na chwilę o zwycięztwie: radziby jéj ratunek dać, a sami nie wiedzą jak. Sara Michaela otworzyła oczy: — « Ze wszystkiego przede mną tajemnicę robi, musi tam być cóś bardzo a bardzo złego. Michajlaki z nim był razem; on o nim nie wie — Czemu Tudor niepozwolił go nam widzieć, a nawet o nim nie mówił? — Czarny pielgrzym, to nie on; onby już do nas przybył. O mój Boże! » — i zaczęła płakać. Eudoxia ją cieszy: — « uspokoj się córko, uspokoj się moja droga! On żyje » — ale i sama nie wie jak tłómaczyć te tajemnice co robią przed niemi. Przyszła Zulma i z bojarynią zaprowadziły Sarę Michaelę do sypialnéj komnaty. Synek już spał, pocałowała go matka na dobranoc: — « Może ty już sierotą. « — Dobranoc oddała bojaryni, do łoża się układła, i ani słowa do nikogo nie mówi; ale

spać nie może, myśli: — umyślnie powiedział: on żyje, — aby mnie łudzić. I teraz potworzyli jakieś opowiadanie o Czarnym pielgrzymie, o moim ojcu, aby przed oznajmieniem nieszczęścia jeszcze mnie nadzieją bawić. Michajlaki był, a jednak nie pozwolili mi go widzieć. Okrutni ludzie! Lepiéj powiedzieć: nie masz męża, twój syn nie ma ojca, — jak dręczyć mnie w męczarniach niepewności i niepokoju. Oni wszyscy wiedzą, a mnie powiedzieć nie chcą. — Przewraca się i wije po łożu, a skarżyć się nie śmie; boleje sercem, troska się duszą, bo to cierpienie sroższe nad wszystkie cierpienia, kiedy niedowiarstwo zagniezdzi się w sercu człowieka, i zacznie wszystkie słowa, wszystkie czyny ludzkie, wywrażać na jego nieszczęście.

Jakież to tumany kurzu, kruszewackim szlakiem z wiatrem pędzą ku Rudnikowi? Jakaż to wrzawa rozstrojonych głosów, z wiatrem niesie się do ucha z pomiędzy tych tumanów? — To wojsko Miłosza Obernowicza ciągnie ku Rudnikowi; to Serbowie wojenną pieśnią szlą cześć swoim sławiańskim przodkom, sławią dzisiejsze zwycięztwo. Roty za

rotami idą a idą, tu konnica bieży za konnicą, tam piechota wślad stąpa za piechotą; tu ciągną armaty, tam wozy ładowne żywnością i zdobyczą turecką. I dzieci, i niewiasty, i starce przy wozach idą. I znowu piechota, i znowu konnica! początek widać, a końca dojrzeć nie można, i sokole oko nie zliczyłoby téj ćmy wojowników; zda się że za każdym krokiem przyrasta ich liczba, bo narod co za niepodległość, za wolność ojczyzny się bije, cały wojskiem, do obozu się ściąga jak do rodzinnego domu. Wiatr na hołd czci szeroko rozpina chorągiew serbską. Miłosz patrzy, to na nią, to na swój lud; roskosz wylała się na jego lice, a myśl obrócił ku niebu. Boże nieśmiertelny, bądź pochwalony, żeś lud Chrześciański swojem natchnieniem doprowadził do wielkiego dzieła; bądź pochwalony żeś mojego ramienia użył do swojéj świętéj posługi. — Czarny pielgrzym manowcami z boku jedzie. Zaraz po zwycięztwie w Kruszewaczu jeszcze, chciał porzucić wojsko i znowu na pielgrzymkę się puścić; na prośby Miłosza byłby nie pozostał, ale dano znaćże carogrodzki sułtan nowe wojska wysyła ku serbskiéj ziemi: on powie-

dział— « jeszcze z wami powojuję »— Co za nieciekawy człowiek — mówią Serbowie; — nikogo o nic nie pyta. Czy wszystko wie, czy nic wiedzieć nie chce? Serbowie choć ciekawi, nie śmieją śledzić jego kroków, i z ukradka tylko pozierają na twarz Czarnego pielgrzyma; Miłosz się nawet do niego nie zbliża, szanuje tajemniczą wolę niepojętego męża. Pomiędzy sobą lud o nim dziwne rzeczy gada: « Patrz, to on wyjednał życie baszy Widynia i jego synowi, a jednak od nich stroni. Jeśli przypadkiem zbliży się do wozu gdzie jadą ci jeńcy, burką twarz zasłoni, śmignie koniem w bok, jak gdyby go ukrop sparzył, albo gadzina ubodła. Może to basza jaki przechrzczony na naszą wiarę? Nie djabeł, bo się modli do Pana Boga; nie anioł, bo ludzi morduje bez litości, bez miłosierdzia. Ale kto on jest? — to chyba tylko sam Pan Bóg o tém wie, ale nie ludzie. »

Czarny pielgrzym wybiegł na mogiłę, stanął i patrzy, — zwrócił konia i w czwał przyskoczył do Miłosza, — jaśnieje twarzą, błyszczy oczyma, jak wygładzonym polorem swojéj broni: — « Miłoszu Obernowiczu, jakaś obca jazda

przeciw nam idzie, a za nią piechota» — i nie czekając odpowiedzi zaczął serbską jazdę szykować po nad drogą. Miłosz wysłał na wzwiady kilku jezdzców na rączych biegunach. Pędem wichru polecieli we wskazaną stronę, zniknęli z oczu, nie było ich widać czas jakiś, nareszcie ukazali się: pędem wichru lecą na powrót. Czarny pielgrzym stanął przy Miłoszu. Przyleciał pierwszy jezdziec, osadził konia, silnym tchem odetchnął: — «Miłoszu, to kapitan Michajlaki z Arnautami i góralami; zaraz tu przybędzie.» — Czarny pielgrzym poczerwieniał: — «Miłoszu Obernowiczu, moja rada, poszlij go zaraz ku Grodyskom; on ma lud swieży, da wiedzieć gdyby nieprzyjaciel ciągnął ku nam» — obrócił konia i odjechał w pole. Żal mu widać, że to sprzymierzeniec; on tęskni za wrogiem jak spragniony za wodą, jak zgłodniały za powszednim chlebem, jak kochanek za kochanką. Z daleka na polu zatrzymał się i pogląda, jak przyszli Arnauci i górale, jak ich kapitan rozmawiał z Miłoszem, i jak poszli w stronę Grodysków. Dopóki tylko mógł zajrzeć okiem idących, stał w miejscu nieporu-

szony jak posąg z kamienia, a potém nagle zwrócił konia i pomknął go w przegony z wiatrem, jak gdyby mu potrzeba było poskoku końskiego do odpędzenia jakiéjś przykréj myśli. Dopędził Miłosza, i cały czas jechał ponury, milczący. Poźno w nocy przybyli do Rudnika; Miłosz udał się do zamku, a Czarny pielgrzym mimo prośby Miłosza, oddał konia i sam poszedł do monasteru rudnickich mnichów.

Nazajutrz równo ze wschodem słońca, wszyscy z zamku udali się do cerkwi dziękczyć Bogu za jego łaski. Sara Michaela stroskana, smutna, zwlekła się z łoża, mdła jak pajęczyna jesieni, i poszła modlić się; bo ona ma o wiele a o wiele prosić u Boga. Jeszcze mszy ani myślano zaczynać, a już Czarny pielgrzym w pielgrzymskim płaszczu klęczał przed Bożym majestatem. Skoro wchodzili do cerkwi, Miłosz rzekł do bojaryni i do Tudora: — «to on, to Czarny pielgrzym» — Sara Michaela posłyszała i ciekawie patrzy na płaszcz pielgrzyma, twarzy nie widzi; załamała ręce i nie chcąc, głośniéj zawołała: «to nie on.» — Pielgrzym nagle się podniosł i obrócił, a Sara Michaela krzyknęła:

«to on! to on!» — zarumieniła się, zadrżała, i oparła się na ramieniu Miłosza. Miłosz ją wynosi z cerkwi, Czarny pielgrzym wypada za prog świątyni Bożéj: — «to ona, to ona!» — i w pół objął Sarę Michaelę, i ciśnie do siebie; i ona mu ustami zawisła na ustach, rękoma obrzuciła się w koło szyi. Bojaryni z radością wymówiła: «to on, to Kirdżali» — a Tudor smutnie powtórzył: «to on, to Kirdżali.» — Miłosz pomyślał, to Kirdżali, ten zbójca; ale migiem tę myśl zatarł myślą: on obrońca, zbawca wolności serbskiéj, — i poważne jego czoło rozpromieniło się radością; a lud choć nie zna pasma życia Czarnego pielgrzyma, cieszy się jego szczęściem, bo lud zawsze wdzięczny temu, kto mu był choć chwilę dobrodziejem.

Na swoich rękach Kirdżali zaniosł Sarę Michaelę do zamku, i wszyscy za nim poszli. Nagle, jakby ręką odjął, niewiedzieć gdzie się podziały, dzika rospacz, ponura duma, i zgryzoty sumienia Kirdżalego, posępny smutek i dolegliwa troska Sary Michaeli. Szczęście zawitało do ich dusz, i ich twarze zwiastowały

oczom ludzkim serdeczną radość, błogą roskosz, i cały zachwyt szczęścia. Kirdżali ściska żonę, pieści, całuje syna, jakby ich oboje chciał zapieścić, zacałować, zaściskać. Wita bojarynię jak rodzoną matkę, szczerze po bratersku pozdrowił Tudora, a Miłosza zowie swoim największym dobrodziejem. O przeszłych rzeczach nie mówi, ani o nie pyta w téj chwili; może zapomniał o nich — szczęśliwy tém co jest, w myśli powtarza: Bóg mnie wszystko odpuścił, wysłuchał moje modły, bo dał mi szczęście większe nad wszystkie szczęście ziemi.

Szczęście w rudnickim zamku, bo miłość w goście do niego przybyła; szczęście w serbskiéj ziemi, bo wolność na niéj założyła swoje panowanie. Małżonkowie dziękczą Bogu za jégo zmiłowanie się, i lud serbski do Boga szle szczere dziękczynienie za szczodry dar jego wszechmocnéj opatrzności. Miłosz przed Bogiem się korzy, zaprzysięga ludowi bronić go i służyć mu. Bóg na niego swoję opiekę zlewa, a lud serbski błogosławić będzie po wiek wieków Sławiańskiego Miłosza.

XV.

— « Kirdżali, prawda? nie odjedziesz ode mnie? już więcéj nie porzucisz mnie saméj, nawet na chwilę nie osierocisz naszego syna, nie owdowisz twojéj Sary Michaeli? prawda mój miły? » — i oczyma patrzy w oczy mężowi, a ręką igra z rączkami lubego dziecięcia.

Kirdżali rozjaśnił czoło, wypogodził twarz jak nigdy nie bywało, nawet wzrok jego łagodny, roskosznie kąpie się w obliczu żony, kąpie się w dziecinnéj twarzyczce syna: — « Nie, nigdy was nie porzucę, nie pójdę szukać tronów świata, gonić za ziemskiemi dostatkami. I moje serce przeliczyło długie, cierpkie godziny wdowieństwa: dusza moja długo brodziła po przestworze rospaczy osieroconym z uczuć

szczęścia: już mi tego zadosyć. Póki Bóg dozwoli życia, z wami zostanę, a potém..» — i tu nie domówił co myślał. Może mniema że nie dość pokutował na zagładzenie grzechów, aby po skończeniu żywota pójść w jednę drogę z Sarą Michaelą, z aniołem cnoty; a może w uroczéj chwili szczęścia nie chciał zaganiać słów w krainę śmierci: bo choć to ta kraina zamożna w nadzieje dla wierzącéj duszy, jednak smutno myśléć i mówić o rozbracie ze światem temu, co został panem szczęścia na téj ziemi. Kirdżali ucałował żonę, ucałował syna, i tym pocałunkiem odpędził od duszy posępne dumanie, co się zaczęło w nią wkradać. Bogaty to obraz dla oczu i dla serca, widzieć niewiastę co przecierpiała tyle smutku, tyle dolegliwości, co co godzina zdawała się niknąć na ciele i na duszy; jak nagle w jednéj chwili zajaśniała całym blaskiem krasy, całym zapałem uczucia. Twarz jéj rumiana rumieńcem pierworodnego pączka polnéj róży, łza radości wilży ciemne oczy, a ukradzionym promieniem od nieba świeci jak bujne krople rosy zbrylantowane promieniami słońca. Okiem miłości patrzy na męża kochan-

ka, okiem miłości i wdzięczności pogląda na syna: miłości, bo to obraz ojca, owoc jéj żywota; wdzięczności, bo dla niego zatrzymała się w krainie życia, przez niego dożyła chwili szczęścia, chwili złączenia się z Kirdżalim. Widzieć tego męża dzikiéj duszy, dzikich czynów, u którego serce i sumienie toczyły bezprzestanną walkę, jak na teraz zapomniał o namiętnościach, o dumie nawet, a używa błogiego szczęścia małżonka, ojca — tego daru Bożego, który idzie w parze z cnotliwém sercem, z nieskalaném sumieniem; widzieć niemowlę, jak nie słowami, ale uśmiechami, ale pieszczotami, wabi do siebie obiedwie istoty, zespala ich uczucia, i kieruje myśli ku jednemu i temuż samemu celowi: dziękczyć Bogu za jego dary i błogosławić swojemu losowi, swojemu szczęściu; — widzieć to, i chcieć rozumem zbadać źródło i przyczynę zlania się w jedno, dusz tak odmiennych od siebie, serc do siebie tak niepodobnych, — daremne usiłowanie. Trzeba patrzéć na to oczyma uczucia i wyrzec w pokorze myśli: niepojęta Boża wola, dziwne sądy Boże.

— «Kirdżali, tyś myślał o nas zawsze?» rze-

kła Sara Michaela, i swoję rękę położyła na ramieniu Kirdżalego.

Kirdżali patrzy na nią jak w tęczę zbawienia: — «I wszędzie, i zawsze myslałem o tobie, myślałem o naszém dziecięciu.»

— «Patrz jak on podobny do ciebie» — i podniosła w górę synka, i huśtała nim w powietrzu, na hołd macierzyńskiéj chełpliwości. — «Twoje oczy, twoje czoło. Kiedy zasłyszy brzmienie trąby wojennéj, albo rżenie koni, to krzyczy, i rączkami i nóżkami wyrywa się z rąk w tamtą stronę. Uśmiecha się do zbrojnego człowieka, nawet na ręce do niego idzie: on ma twoję duszę» — i rozgarnęła na czole miękkie włosy dzieciny, i pocałowała go w czoło.

Kirdżali westchnął: — «Niechaj go Bóg ma w swojéj opiece, niech burze życia, którym ja uległem, nie przychodzą mącić jego spokoju, jego szczęścia» — i chciał wziąść syna na ręce; ale dziecko odwróciło twarzyczkę, skryło ją pod pierś matki, rączkami ujęło się jéj szaty, i poczęło z cicha płakać. Kirdżali westchnął po raz drugi: — «On mnie jeszcze nie zna. Uspo-

koj się mój drogi, ja ciebie nie wyrwę z objęć i mojego i twojego anioła.»

Sara Michaela się zarumieniła: — «On tak mnie kocha jak ty; i w tém podobny do ciebie. Kirdżali, ty mnie nie zazdrościsz jego miłości?»

— «Nie, moja luba, jabym chciał żeby cały świat ciebie tak kochał jak ja, ale ty nikogo oprócz mnie» -- po chwili dodał — «i naszego syna.» — W tém weszła bojaryni, a za nią Tudor. Mała dziecina zaczęła się gwałtem napierać na ręce Tudora, i bojar wziął go i bawił się z nim; widać żeby nie patrzyć na Sarę Michaelę, a od Kirdżalego żeby zakryć twarz swoję, to zwierciadło odbijania się uczuć serca. Kirdżali pomyślał sobie: mój syn, moja krew, lepiéj zna obcego człowieka jak mnie. Tą razą nie obwinił ani Sary Michaeli, ani Tudora, ani swojego syna, ale siebie, i smutno mu się zrobiło. Bojaryni także niewesoła: — «Moje dzieci, Tudor odjeżdża na długo i w dalekie kraje, chciał dzisiejszéj nocy nagle w podróż wyruszyć, ledwiem go zatrzymała aby z wami się pożegnał.» Sara Michaela przystąpiła i wzięła go za rękę.

— «Tudorze, tyś mnie pocieszał w nieszczę-

ściu, a teraz kiedym ja tak szczęśliwa, ty chciałeś nas odjechać niepowiedziawszy twojéj przybranéj siostrze, twemu przyjacielowi : bądźcie zdrowi, pamiętajcie o mnie. »

Bojar podniosł oczy i spotkał się z oczyma Sary Michaeli, a w jego wzroku tyle było ognia namiętności, tyle uczucia boleści, że Sara Michaela spuściła czoło w ziemię, odjęła swoją rękę od jego ręki i zadrżała. Po raz pierwszy wkradła się myśl do jéj duszy : on mnie kocha, ale nie tak jak siostrę.

Kirdżali patrzał na to, a jego oko sokole w boju, tu nic nie widziało oprócz zwyczajnego obrzędu pożegnania. Tudor ucałowawszy dziecię, oddał je w ręce Sary Michaeli, padł do nóg matce : — « Bądź zdrowa moja matko, błogosław mnie. »

Ona przeżegnała go znakiem krzyża świętego : — « Niechaj ciebie Bóg błogosławi, jak ja błogosławię. Bóg z tobą mój synu. » Podniosła go, ujęła jego głowę w swoje ręce, ucałowała czoło, twarz : — «Bądź zdrów mój Tudorze» — i łza matczynego żalu spłynęła na zmarszczki sędziwéj twarzy.

Tudor wzruszony jak w gorączce, ustami gorącémi jak żar ucałował Sarę Michaelę. Głos mu się przerywał, i niepowiązane słowa dziwnie brzmiały, namiętnie, boleśnie: -- «Saro Michaelo bądź zdrowa — bądź szczęśliwa — wspomnij czasem o mnie — o twoim...» — zatkał się głos w piersiach jakby chciał cóś innego wymówić, i z natężeniem wyrzucił z piersi słowo: «bracie.»

Sara Michaela cała w rumieńcach kryje twarz swoję za syna, bojar jak w obłąkaniu uściskał Kirdżalego: — «Bądź zdrów» — cóś niezrozumiale przebąknął i wyszedł. Bojaryni myśli: chwała Bogu, jest między nimi przyjaźń, uściskali się. Kirdżali duma: nic dziwnego że tak mu boleśnie w chwili rozstania się; ja wiem co to bydź daleko od drogich sercu osob. Oboje wyszli odprowadzić jadącego bojara. Sara Michaela sama została z synem, chciałaby aby to było nieprawdą, co się jéj zdawało spostrzedz w uczuciu Tudora; trapi się jego losem, boi się aby Kirdżali nie spostrzegł uczucia bojara. Ona kocha męża nad życie, ale lęka się wybuchu jego namiętności; bo ona nie wierzy aby czas

i cierpienia mogły przytlić ogień gwałtownéj jego duszy.

Kilka dni upłynęło od wyjazdu Tudora, Miłosz z Kirdżalim wyszli rozgromić resztki Muzułmanów, bojaryni z Sarą Michaelą same zostały w rudnickim zamku. Nadszedł wieczor, poszarzało na niebiosach, a na ziemi ciemno. Już cerkiewne dzwony przedzwoniły powoływanie do wieczornego pacierza, w koło zamku podwójne straże zaciągnęły na noc, i ludzie do spoczynku się zabrali. W zamku głucho. Bojaryni w swojéj komnacie klęczy przed obrazem Matki Dziewicy i modli się o powodzenie dla syna, Sara Michaela uspiła swoje dziecię, siadła koło kołyski, splotła ręce pod piersiami i duma. W alabastrowéj urnie płonie lampa, blade jéj światło czepia się po bogatych makatach, po przepysznych kobiercach, jakby chciało ukraść jasności z ich pstréj barwy, z ich litego złota i srebra. Czasem zajrzy na pieluchy dzieciny, wiotkiem łunem nad niemi się rozpłynie, i umizgnie się do aniołka niewinności; czasem draśnie oblicze cudnéj niewiasty i żywiéj zajaśnieje, czy z radości że znalazło

prawdziwe źródło jasnéj krasy, czy z zazdrości aby swojem światłem przygasić blask jéj oczu; a czasem spadnie na starą Zulmę, co w kącie siedzi i trzyma wzrok wlepiony na niewiastę wykarmioną jéj piersią, wypiastowaną jéj ręką. Długo a długo milczały obiedwie, nareszcie piastunka przerwała milczenie.

— «Moja rybko złoto-pióra, czegoż znowu twoje oczko zamgliło się smutkiem, czegoż twoja pierś westchnieniem się wzdyma? Kirdżali wrócił, on ciebie kocha jak dawniéj, teraz żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi; nie rozłączycie się już więcéj. Odgoń od siebie frasunek, on nie dla ciebie; pij szczęście, żyj dla szczęścia, ono dla ciebie stworzone.»

Sara Michaela westchnęła, spójrzała na Zulmę: — «Jakże ja mam się weselić, kiedy wszystko w około mnie smutne: Bojaryni stroskana i mój malutki Kirdżali tęskni.»

— «Oni smucą się za Tudorem» — i tu wstrząsnęła głową — «biedny Tudor.»

Sara Michaela przyłożyła rękę do czoła. — «Może on tam będzie szczęśliwy.»

— «O nie, on was tak kochał. Ileż on cier-

piał jak ztąd odjeżdżał, jakże on mnie prosił: Zulmo, choć czasem przypomnij o mnie Sarze Michaeli, ja ją tak kocham. On ciebie tak kochał jak rodzoną siostrę.»

Sara Michaela powtórzyła: «jak siostrę» — i z cicha szepnęła: «o bogdajby to tak było.»

— «Ileż to razy, jak Kirdżali był daleko od nas, Tudor powtarzał: gdybym ja był mężem, kochankiem Sary Michaeli, wszystkiegobym się wyrzekł, bo by mi nic w ów czas nie brakło; teraz tylko jéj przybranym bratem jestem, a jakież to szczęście dla mnie. — On nie raz gniewał się na Kirdżalego, złorzeczył jemu, bo twój smutek był jego smutkiem, twoja boleść była jego boleścią. Choćby sto razy mnie zdybał na dzień, to zawsze brał na stronę i pytał, co ty robisz, co mówisz, jak spisz, czy marzysz we śnie, czy przez sen gadasz, i o kim, i o czém, jak się ma twoje dziecię. Nie było końca jego pytaniom, a mnie brakło odpowiedzi, aby toż samo a toż samo opowiadać. Dniem przed wyjazdem jak obłąkany chodził, wpadł do waszéj komnaty kiedy was w niéj nie było, płakał, zaciskał ręce, całował twoje szaty, brał broń

Kirdżalego i gniewny rzucał ją na stronę; a kiedym ja weszła, prosił na kolanach abym przed wszystkimi zachowała tajemnicę o tém com widziała, com słyszała. Na cienie twojéj matki, na Boga się zaklinam, gdybym nie znała czystéj duszy, nieskażonego sumienia Tudora, myślałabym że on ciebie kocha nie jak siostrę, ale jak kochankę.»

Całego opowiadania słuchała Sara Michaela zrozrzewnioném okiem, z rozczuloném sercem; ale kiedy ostatnie słowa wymawiała Zulma, wstała z miejsca: — «przestań Zulmo» — i poszła ku oknu, otworzyła ramy, sparła się na spodniéj kracie, i wolnem powietrzem chciała ukoić niepokoj duszy. Wiosenny wietrzyk słodkim oddechem, zaczął podmuchiwać po jéj twarzy, i rozwiewać na drobne kropelki łzy zawieszone na jéj powiekach. Trochę zelżyło na sercu, wonia kwiatów, chłód rosy, jakiś nieznany tajemniczy urok rozlewają po zmysłach; posępna boleść duszy nie oburza się na ten urok, ale rada z niego, bo wszystko w naturze w harmonii z jéj smutkiem. Xiężyc za chmurami, gwiazdy gdzie nie gdzie tylko świecą,

wędrujące chmury ponuro szumią płynąc po niebiosach, z gór, z lasów, dolatuje szelest głuchy a tłumny. Czy to gwar narady nadpowietrznych duchów? czy potrząsanie się pracującéj ziemi? Po załomach starych murów zamku, wielokrotnie odbija się rozgłos mierzonych kroków straży, i poszczękiwania ich broni. Słowiki po gęstych krzakach czysto brzmiącym głosem pieją, w swoich pieniach zachodzą się z miłości do kochanki róży, z boleści że ich kochanka oprócz barwy kwiatu nie ma innego życia. Po trawie koniki polne świerkają, jakby na przedrzeźnienie boskiemu śpiewowi słowików. — Sara Michaela to wszystko słyszy, na to wszystko patrzy, smuci się losem Tudora, smuci się że jéj odgadywanie zamieniło się w prawdę. I tą razą ten smutek mięsza się z niespokojnością o Kirdżalego; bo choć on na kilka dni tylko się oddalił, — na polach bitwy kule latają, miecze świszczą: nie długiéj chwili trzeba żeby człowieka życia pozbawić; a tam gdzie on z Miłoszem pojechali, mogą bydź bitwy. — Godziny upływają, a Sara Michaela jak stanęła tak stoi w oknie, jak się zadumała tak duma.

W tém posłyszała jakiś dzwięk, nadstawiła ucho, słucha, — to dzwięczą stróny szezdaru. Ucichły, i silny śpiew zabrzmiał, — to pieśń wojenna Bulgarów, taka jaką śpiewali jezdzcy albańscy jéj ojca, jaką śpiewał Kirdżali w dzień jéj urodzin, kiedy po raz pierwszy go ujrzała. Obraz ojca wymalował się przed jéj oczyma: postarzał się, zmarszczkami zradliło się czoło, srebrem wąs i broda pobielały, oko zmartwiało od smutku. W tych samych szatach, jak był w dzień jéj urodzin; zda się nawet uśmiechać do niéj. Ale nagle odwrócił twarz, dobył tego samego miecza którym w dzień jéj urodzin poskromił buntowniczych Albańczyków, i grozi nim. Komu? — młodemu najezdnikowi albańskiéj jazdy, Kirdżalemu, takiemu jakim był w ów dzień pamiętny. Przeklina basza gromkiemi slowy. Kogo? — Sarę Michaelę, swoję córkę wyrodną, występną. I na przemiany brzmi pieśń bulgarska, i dzwięczą stróny szezdaru. — Sara Michaela drży, w oczach pociemniało, wierci się w myśli — słabieje — zawołała: «Zulmo!» — i osunęła się na ziemię. Zulma ocknęła się z drzema-

nia, wstała, podniosła Sarę Michaelę; ta otworzyła oczy, złożyła ręce dłoniami: «Ojcze przebacz!» — potém zadrżała: — «Kirdżali, ratuj mnie!

Zulma kładzie ją na łożu: — «Co ci jest, moja miła» — Ona jéj nic nie odpowiada, tylko zaczęła płakać rzewnemi łzami. Zulma poszła do okna, spójrzała, nic nie widzi, — słucha, tylko słowiki pieją, szezdar dzwięczy, pieśń bulgarska brzmi i nic więcéj. Rzuciła wzrokiem ku narożnej baszcie, tam u samego wierzchołka błyszczy słabe światełko, i z tamtąd leci rozgłosem dzwięk szezdaru i brzmienie pieśni. Zamknęła okno, i nie było w jéj myśli podziwienia: ona wie kto mieszka w téj baszcie. Przyszła nad łoże Sary Michaeli, ona płacze i milczeniem słowa pociechy odtrąca. W tém zakrzyczało dziecię w kołysce, a matka płakać przestała, wstała z łoża, schyliła się nad kołyskę, i zaczęła pocałunkami usypiać syna; bo serce matczyne ma zawsze otwarte ucho na głos dziecięcia. Dziecię ukołysało się pieszczotami matki i usnęło, a Sara Michaela trochę się uspokoiła. Zulma siadła koło niéj: —

«Gwiazdo piękności, skarbie dobroci, powiedz co ci było?»

Sara Michaela smutnie spuściła głowę: «Widziałam ojca w gniewie, przeklinał mnie, groził Kirdżalemu.»

— «Tyś śniła o tém moja Hurysko; Mehemed ztąd daleko, nikogo niebyło w ogrodzie.»

— «Ja nie spałam, słyszałam dobrze i dzwięk szezdaru i brzmienie bulgarskiéj pieśni, takiéj, jaką śpiewali albańscy jezdzcy mojego ojca, takiéj...» — zająknęła się i nie domówiła.

Zulma się rozśmiała trochę: — «Słyszałaś, moja rajsko perło, i dzwięk szezdaru i brzmienie bulgarskiéj pieśni! Chodź, i teraz może ją posłyszysz.» — i obiedwie poszły ku oknu. Zulma otworzyła ramy, — nic nie słychać, w baszcie zgasł ogień. Zulma wskazała palcem na basztę: — «Tam w więzieniu siedzi Achmet basza Widynia i jego syn Abdala; Abdala śpiewa i gra na szezdarze, aby zabić niepoliczonéj długości godziny więzienia.»

Sara Michaela zawołała: — «W zbytku szczęścia zapomniałam o nich. Achmet najlepszy przyjaciel mego ojca, Abdala jego namiest-

nik, a ja córka Mehemeda, mogłam przynieść im ulgę, i nie przyniosłam. Ojciec srogo mi wyrzucał to zapomnienie. Zulmo, swoim gniewem ojciec mi okazał swoję wolę.» — Patrzy na basztę, nic tam nie widać. Na niebie tylko co świtać zaczęło, słowiki całemi piersiami pieją na pożegnanie nocy, rosa się srebrzy bujnie ale bez blasku, i róże się słabo rumienią do słowików, dziękując im za nocne pienia miłości. W krótce wszystko umilkło, i chwilkę jednę krótkę taka była cichość jak w grobie. Widać że martwa i żyjąca natura, szanuje uroczem milczeniem chwilę przeobłoczyn ziemi z nocnéj na dzienną szatę. Sara Michaela przymknęła ramy okna, uklękła przy kołysce swego syna, i zaczęła odmawiać pacierze poranne; i Zulma na kolanach się modliła: obiedwie słowami i myślą słały hołd czci Bogu, Twórcy świata i wszech rzeczy.

Słońce wzeszło piękne, złote, z wesołéj twarzy szczodrze rozstrzeliło po widnokręgu jasne promienie. Musiało noc całą roskosznie się wczasować, albo hulanką się bawić. Nawet malutką chmurką Bóg nie chciał drażnić ulu-

bionego dziecka; bo niebo tak czyste, że aż miło na nie patrzeć. — Harde oko człowieka tęży się a tęży, i zdaje mu się że dojrzy skrzydlate aniołki, święte pańskie, a nawet samego Boga, i zuchwała myśl sierdzi się że nie idzie po jéj woli. — Sara Michaela blada, zadumana, z cierpieniem na twarzy, ze smutkiem w duszy, siadła na węzgłowiu, i patrzy to na syna, to w okno na basztę, a chcąc nie chcąc ciągle myśli o nieszczęsnym losie Tudora. Weszła bojaryni i uśmiechem ust chce pokryć boleść duszy; obiedwie cierpią, i obiedwie chciałyby siebie pocieszać. Sara Michaela miała na ustach: — Matko nie smuć się, Tudora nic złego nie spotka; — ale bojaryni pierwsza rzekła: «moje dziecię, Kirdżali lada chwila powróci, a ty tak zadumana, jakby on odjechał na wieki.»

— «O nie, matko, ja wiem że on powróci — Bóg litościwy nie chciałby po raz drugi mnie owdowić, mego syna osierocić; — ale przyjaciel mego ojca i syn tu w więzieniu smutne dni liczą, a ja im nie starałam się nieść żadnéj ulgi» — i w myśli rada, że cały swój smutek złożyć może na zapomnienie powinności córki

Mehemeda. Choć ona kocha Tudora jak brata tylko, jednak ją rumieni jego miłość nadbraterska; jéj nigdy ani przez myśl nie przeszło, aby ją kto inny oprócz Kirdżalego, mógł kochać miłością kochanka: nie swoją występną miłość, jakby za swój występek poczytuje, nie chciałaby o tém mówić co ją przypomina, i wstydzi się nawet o tém myśleć.

Bojaryni potrzęsła głową: — «Nic się złego nie dzieje tym Muzułmanom w więzieniu u chrześciańskiego Miłosza; bogdajby tak naszym jednowiercom było w muzułmańskich więzach.»

W tém na wałach przy bramie, janczarskie rogi trzykrotném brzmieniem zadzwięczały w powietrzu, i rozgłos wielokrotnego brzmienia odbił się i rozniosł po starym zamku: to znak że wraca pan, władzca zamku i kraju. Sara Michaela porwała syna na ręce: «nasi wracają!» — i wybiegła z komnaty. Bojaryni westchnęła: «kiedyż przyjdzie ten czas, że Tudor tak wracać będzie do hospodarskiego zamku Brankowanów» — zamyśliła się i rozjaśniła oczyma: — «przyjdzie! krew lacka jest z na-

mi; przepowiednia Iwoniego święta » — i poważnym krokiem poszła za Sarą Michaelą.

Przy bramie zbierają się straże, a goniec przybyły z obwieścinami Miłoszowego przyjazdu, wprowadził zgonionego konia na dziedziniec. Goniec okracz idzie, a tak ciężko stąpa, jak gdyby miał ołowiane nogi, i koń się ociąga, a kopytami powłoczy po ziemi. Sara Michaela, skoro go zobaczyła, zawołała: — « a Kirdżali czy jedzie? » Goniec patrzy jéj w oczy, pokręcił głową i nic nie odpowiada; i Sara Michaela patrzy na niego, ale blednie. W tém podszedł kapitan straży: — «O Czarnego pielgrzyma ciebie pytają» — Zaśmiał się góral: — « Czarny pielgrzym z Miłoszem jedzie. A cóżby z nim miało się stać? Jego ani kula, ani żelazo nie weźmie, on nie z ludzkich kości, nie z ludzkiego ciała zlepiony » — i tu zapomniawszy o potrzebie spoczynku, zaczął opowiadać, jak pod Sarajowem nowe tureckie wojsko rozpędzili, jak tam Czarny pielgrzym po swojemu wysiekł mieczem Muzułmanów, a niedobitków dziarską pogonią porozpędzał za lasy, za góry. Sara Michaela z nadstawionêm uchem słuchała

gońca, mała dziecina mililа się, jakby ona rozumiała że to o ojcu mówią. Bojaryni się cieszy, i myśli : on zbawi dacką ziemię; a koń gońca ciągle rzucał głową i dzwonił wędzidłem, jakby potakiwał opowiadaniu swego pana, swego wojennego towarzysza.

Wyszły obie niewiasty na wał przed bramę i patrzą, aż tam szlakiem z Sarajowa ciągnie konnica, ciągnie piechota. Ciemny a długi szereg tego wojska; jakby chmura ziemska, pył rozwiał się szeroko na obie strony szlaku; polerowne bronie, jakby błyskawice ziemskie ciągle a ciągle dziwną łamaniną łyskają; tętnienie kopyt i turkot wozów były podobne do nieprzerwanego huku chmury ciężarnéj gradem, a śpiew wojny jak daleki rozgłos grzmotu. Co raz się zbliża wojsko, jakiś jezdziec wyskoczył naprzód i bieży ku zamkowi, a bieży czwałem, bo burka jezdzca jakby chciała się zerwać z ramion, rozdęła się i hula po powietrzu, jak chorągiew statku miotanego burzą, bo wszystkie cztéry podkowy konia zarazem uderzą w ubitą drogę i zarazem błysną stalą po nad ziemią. Koń czarny jak kruk bez

żadnéj odmiany, i jezdziec przybrany w czarną barwę: to Kirdżali! Musiał zajrzeć swojego anioła, bo ku niemu zwrócił swoję głowę. O jakże mu pięknie na tym koniu! To nie Kirdżali, Aga albańskiéj jazdy, co po sylistryjskiéj wyprawie wracał do Izmajłowa i pędził koniem, aby zapoić wyrzuty sumienia, co prędzéj zakryć między muzułmańskie mury niewoli, wstydne oblicze występnego Chrześcianina, wyrodnego syna wolności; — to nie Kirdżali, Ban zbójców, co wracał z Hrazgradzkiéj wyprawy, cierpiący na duszy, zwarzony na twarzy: w ówczas chciał aby go nikt nie widział, nawet dęby lasów, głazy skał; — ale to Kirdżali, obrońca wolności, obrońca świętéj wiary, dumny w duszy, hardy i pogodny na twarzy. Wszystkim w oczy patrzyłby śmiało, przyjaźnie, i chciałby aby wszyscy na niego patrzyli, bo dopełnił swojéj powinności, i tą razą sumienie u niego tak czyste, tak jasne, jak oblicze słońca. Sara Michaela zbiegła z wału, bo poznała męża, kochanka; zaledwo zsiadł z konia, już żona i syn wpadli w jego objęcia. Tą razą dziecina czepia się mu na szyję oburącz, nie lęka się wąsów,

ale malutkiemi ustami chwyta za nie, a potém do konia się ciągnie. Żona pyta o zdrowie, o powodzenie, tysiącami pytań go obarcza; on jéj odpowiada pocałowaniami i łzami radości w oczach. Szczęśliwy jak nigdy nie był, bo szczęście jakiego na ten raz doznaje, nie zmącone niczém, niczém nieskalane: szczęście człowieka wyrwanego ze szponów zbrodni, a wróconego na łono cnoty, człowieka, który odtrącił od ust puhar z brudnemi mętami namiętności życia, a zaczyna czerpać swój napoj w czystém źródle błogiego spokoju.

Nadjechał sławiański Miłosz, i Serbowie hucznym głosem powitali serdecznego pana. Ale cóż to za jezdziec na siwym koniu jedzie obok Miłosza? Niemiłe wejrzenie jego oczu, podobne do wzroku puszczyka, kiedy przylata pod mieszkanie jakiéj rodziny, zwiastować śmierć jednemu z jéj grona. Sara Michaela poznała go i zadrżała. Ona nie wie czy on jéj wrogiem, czy przyjacielem, ale jakiś głos niewidomy szepce jéj do ucha: to zły duch twego męża. Smutne przeczucie ścisnęło jéj serce, i spójrzała smutnie na Kirdżalego, jak gdyby

chciała wynaleść na jego twarzy słowa: nieprawdę mówi twoje przeczucie. — Bojaryni także poznała jezdzca, — to rzemieślnik wojny, to Michajlaki. On zdjął czapkę, pokłonił się nizko bojaryni, pokłonił się Sarze Michaeli, i półuśmiechem złośliwym skrzywił sniade usta, czy na pogróżkę Sarze Michaeli: nie będziesz się ty długo nim cieszyła; czy z litości dla Kirdżalego: popadłeś ty znowu w moc niewiasty. — Niebawem weszli do zamku, wciągnęło wojsko do Rudnika. Serbowie byli radośni, jak ptaki pod wiosnę, rozpierzchnęli się po mieście, pocałunkami witają swoje rody, językami świegocą opowiadanie wojny. Najemny hufiec Michajlakiego stanął na boku, w kupie, i stoi ponury jak sosnowy bór w lesie.

Kiedy Kirdżali znalazł się sam na sam z Sarą Michaelą, postrzegł bladość jéj twarzy i w oczach ślady płakania. Pieści ją, całuje, i o przyczynę bada; ona mu opowiedziała o Achmecie, o Abdali, o nocném przywidzeniu, a o Tudorze ani słowa nie rzekła. Kirdżali uściskał żonę: — « czego chcesz, to będziesz miała » — i wyszedł na jakieś przehowory z Miłoszem.

Miłosz sprawia ucztę, w zamku i na dziedzińcu zamkowym gną się stoły pod nawałem jadła i napojów; biesiadnicy jedzą, piją, i gwarnie rozprawiają; przywodzcy serbscy, i lud, i wojsko, z puharami w ręku wrzeszczą: Niech żyje sławiański Miłosz! niech jego ród caruje po wieki wieków naszéj ziemi! — Niech żyje Czarny Pielgrzym! niech na zawsze zostanie z nami. — Wyszedł na ganek Miłosz z puharem w ręku, i donośnym głosem zawołał: «Niech żyje wolność i braterstwo serbskiego ludu! jam nie wasz car, ale wasz brat; bogdajby taka wolność, takie braterstwo zakwitnęły po wszystkich ziemiach sławiańskich» — i jednym duszkiem wychylił w gardło napoj z puharu. Lud porwał Miłosza na ręce i rzuca nim w górę: Niech żyje nasz Miłosz! Niech żyje nasz Miłosz! — Wyszedł Kirdżali, i jego porwano na ręce: Cześć tobie Czarny pielgrzymie! — Powietrze huczy radości okrzykiem, ziemia jęczy pod tupotaniem radości, a ludzie, dusze i ciała poją trunkiem radośnego szczęścia.

Po uczcie Bojanie serbscy zawiedli serbską pieśnią: pieją na cześć, na sławę przodkom, na

cześć na sławę dzisiejszemu pokoleniu, na cześć na sławę sławiańskiéj przyszłości; a na odpoczynek ich piersiom brzmi muzyka, i na wałach palą z moździerzów. — W arcyxiążęcéj komnacie, na węzgłowiach siedzą serbskie niewiasty w bogatych strojach, między niemi bojaryni jak królowa wieku i sędziwości, i Sara Michaela jak królowa krasy i wdzięków. Drogie kamienie jéj stroju rzęsistym ogniem sypały na komnatę, ale stokroć żywszy ogień blasku jéj ciemnych oczu. Na niéj szaty bogate w przepych wschodu, ale jéj postawa stokroć od nich bogatsza w okazałość. Obok niéj siedziała Zulma z dziecięciem, naprzeciw stał Kirdżali w bulgarskim stroju. Na twarzy, w postawie Sary Michaeli, była duma władczyni świata — spuścizna krwi Mehemedowéj, duma matki — głos krwi, skarb czułéj duszy, i duma szczęśliwéj kochanki — owoc miłości, roskosz serca.

Wszedł Miłosz : — «Kirdżali, baszę Widynia i jego syna oddaję tobie, rób z nimi co zechcesz» —Jeszcze nie skończył tych słów, kiedy wprowadzono obudwóch więźniów. Stary Achmet okiem martwéj obojętności na ludzi po-

glądał, i brodę jak mleko białą, pogłaskiwał zmarszczoną i zszorstciałą wiekiem dłonią. Zdawało się że w obec ludzi, głaskaniem każdego z włosów przypomina sobie jaki czyn swojego życia, i przypomnieniem chce zatrzeć gorzką obecność niewoli. Młody Abdala, rosły i okazały jak cedr Libanu, wspaniałego i groźnego za razem oblicza jak lew afrykańskiéj pustyni, rzucił do koła wzrokiem i zatrzymał go na twarzy Sary Michaeli, rozwarł zrzenice, usta na pół otworzył, na skroniach sprężył żyły: to znaki zachwytu i podziwu u człowieka wschodu.

Kirdżali postąpił naprzód: — «Baszo Widynia, i ty ago albański, wolni jesteście. Winniście waszą wolność córce Mehemeda» — i wskazał ręką na Sarę Michaelę, a w oczach widać że mu nie miło patrzeć na starego Achmeta: on mu tylu synów zabił w boju.

Stary Achmet zeschłą ręką zakrył oczy — «Córze Mehemeda? téj co porzuciła dóm ojca, świętą wiarę Proroka; tobie przeniewierny Muzułmaninie? — Niech nas do więzienia prowadzą, ja nie chcę wolności z waszéj ręki.»

Kirdżali namarszczył brwi na iskrzące oczy, ręka mu zadrżała: — «Achmecie, ani ja, ani Sara Michaela, nie czciliśmy nigdy twojego Proroka; myśmy zawsze byli chrześcianami» — dłonią ścisnął rękojeść attagana i krok jeszcze na przód zrobił. Sara Michaela za ramię go porwała: -- «Kirdżali, to przyjaciel mego ojca, hamuj twój gniew zaklinam ciebie.» — I było cóś tak błagalnego w jéj głosie, że Kirdżali zarumienił się swojego gniewu; stary Achmet pożałował słowa co zraniło jéj serce; Abdala gotow był paśdź czołem do ziemi przed nią; Miłosz i wszyscy przytomni patrzyli na nią rozrzewnioném okiem. Michajlaki z drugiéj komnaty patrzył i uśmiechał się myśląc: jeszcze Kirdżali nie zniewieściał, zostało w nim wiele a wiele dawnych rzeczy. — Kirdżali wziął żonę za rękę: — «Moja luba, ja mu nic złego zrobić nie chcę. Przyrzekłem ci Achmecie czuwać nad życiem Abdali, spytaj czym dotrzymał. W boju z twoimi synami stawiałem życie przeciw życiu, mnie zwycięztwo się uśmiechnęło, nie moja wina; nie przeniewierzyłem się nigdy mojéj wierze. Dałem wam wol-

ność, jeśli nie chcesz jéj mieć ode mnie, od córy Mehemeda, bierz ją od Miłosza Obernowicza.»

Achmet nie okazał twarzą najmniéjszego wzruszenia duszy: — «Kirdżali, przed ludźmi i przed Bogiem odpowiesz za twoje czyny, jam nie twój sędzia. Dochowałeś cóś przyrzekł, dziękuję ci; o śmierć moich synów do ciebie nie mam żalu, takie było ich przeznaczenie; przyjmuję wolność, niechaj wam Bóg za to nagrodzi» — i z cicha mruknął — «niechaj Mahomet pocieszy Mehemeda» — i zaraz chciał wychodzić. Miłosz go zatrzymuje, zaprasza do wieczornéj biesiady. Stary Basza pokołysał głową: — «Cieszcie się póki macie czas, a nam pozwolcie się smucić; bo nie wiemy jak długo przeznaczone, wam smutek, a nam radość.»

Abdala przez cały czas oka niespuścił z Sary Michaeli, a kiedy mieli wychodzić spojrzał na nią tak, jak gdyby chciał cały jéj obraz przez oczy wytłoczyć w swojéj duszy. Kirdżalemu rzekł: — «zobaczymy się na polu bitwy; już się skończyło przyrzeczenie przez ciebie dane memu ojcu, sprobujemy się równym losem.»

Kirdżali popatrzył na niego : — « dobrze » — i Muzułmanie wyszli.

Michajlaki przystąpił do Kirdżalego i szepnął mu w ucho : « to ojciec Hussejna, narzeczonego Selimy » — Kirdżali odwrócił się i nic nie odpowiedział , ale czoło jego schmurzyło się , nawet zgrzytnął zębem. Sara Michaela ciągle była smutna , powieką powstrzymywała łzę cisnącą się do oka. — Muzułmanie z pocztem serbskiéj straży jechali ku bulgarskiéj granicy, i Achmet, myślał biedny Mehemed nie odzyska swego dziecięcia. Abdala ciągle duma : piękna córa Mehemeda, o jakże szczęśliwy ten pies niewierny co posiadł jéj rękę, jéj serce. — W Rudniku biesiada aż do białego dnia trwała.

Po biesiadzie, Michajlaki chciał pomówić z Kirdżalim parę słów na ustroni , i weszli do osobnéj komnaty. Sara Michaela to widziała , ale nie śmiała wstrzymać mężowskiéj woli , tylko modli się do Boga, aby zatknął ucho lubego na złe rady.

Przymknął drzwi Kirdżali : — « Czego chcesz Michajlaki ? »

Arnauta błysnął okiem , pokręcił wąsa : —

« Czego ja chcę? ażebyś ty był Banem, Carem, nie sługą Miłoszowym. »

— « Jam nie sługa jego, jam przyjaciel. »

« Ha, kiedy tak, idź twojem ramieniem wynieś Tudora na hospodarstwo; i tego zostaniesz przyjacielem, podług ciebie, a podług ludzi sługą. Kirdżali, chodź z nami, mamy ludzi i znajdziemy ludzi, są sławiańskie kraje co czekają swego Miłosza » — Kirdżali nie z gniewem słuchał téj mowy, ale Michajlaki dodał: — « porzuć żonę, ona nie tak to ciebie kocha » — Kirdżali nie dał mu domówić: — « Co ty śmiesz mówić o mojéj żonie, psie przeklęty! » — twarz mu poczerwieniała i oczy zaczęły się iskrzyć.

Arnauta się nie zląkł: — « Zapytaj serca twojéj żony o bojarze, ono ci powie » — Już Kirdżali dobył atagana: « psie przeklęty, zła wiaro! » — i skoczył ku niemu. Byłby mu pierś przebił, ale Michajlaki schronił się za drzwi i drzwiami zatrzasnął za sobą; ostrze atagana zapruło po drzewie. Kirdżalemu pociemniało w oczach: — « oszczerca! onaby mnie miała zdradzić! to być nie może » — Wyrwał żelazo, przeszedł się po komnacie, stanął, machnął,

ręką : — « kto wie i ona niewiasta » — i poszedł ku drzwiom w myśli szukać Michajłakiego. Ale drzwi się otworzyły i wszedł — kto? Sara Michaela z synem na ręku. Ona widziała jak wyszedł Arnauta z pośpiechem, a niespokojna co się dzieje z mężem, odważyła się wejść do komnaty. Kirdżali spójrzał na anielską twarz żony, na niewinne oblicze syna, — gniew, niepewność, wszystko złe z duszy uciekło; rzucił żelazo na stronę, wziął żonę za rękę : — « ty mnie kochasz? »

Ona mu się rzuciła w objęcie : — « Czy ja ciebie kocham! Kirdżali, o! kocham nad siebie, nad wszystko w świecie. »

On ją ucałował i powtórzył po dwa kroć razy: « ona mnie kocha, ona mnie kocha » — a kiedy spostrzegł przez okno Michajlakiego i jego hufiec oddalający się od zamku, przeżegnał się krzyżem świętym i radośnie zawołał : « dzięki ci Boże! « — jak człowiek co odgonił od siebie szatana.



XVI.

Błogo schodzą godziny życia mieszkańcom rudnickiego zamku. Miłosz wygonił Muzułmanów z serbskiéj ziemi, i raduje się wolnością sławiańskiego ludu, swojem dziełem. Bisurmański Padyszach upokorzył się przez Sławianinem, żebrze zgody, a Miłosz mu ją daje; bo on jak rządny pan, po wojnie chce pokoju, aby zrobić ład u siebie, i tym ładem stać się groźnym sąsiadom. Bojaryni ciągle odbiera wieści o Tudorze: on w multańskiéj krainie, między braćmi multańskimi; tam gotują się wielkie rzeczy. Sławiański Miłosz wie o tém, a bojaryni ma nadzieję uzbroić lackie ramię Kirdżalego do wskrzeszenia z grobu dackiéj wolności; słodko łechce duszę myślą, że niebawem odbuduje się państwo Brankowanów. Kirdżali choć cza-

sem zamarzy o sławie, o wielkości: choć czasem słowa Michajlakiego natrętnie wsuną się do myśli i ostrzem podejrzenia drasną serce, wszystko to na jedno spojrzenie Sary Michaeli rozpierzcha się, niknie, jak lekki opar wiosennego poranku przed jasnem obliczem słońca. Mąż dzikiéj duszy, zapomina o marzeniach, dawnych kochankach swojéj dumnéj myśli, odrzuca podejrzenia, niezbędne przyjacioły występnéj dumy, nawet odgania od siebie zgryzoty sumienia, naprzykrzone potomstwo występku. On co dzień modli się do Boga, on co godzina widzi Sarę Michaelę, swego anioła zbawiciela; czyż nie dość tego aby mu Bóg wszystko przebaczył, aby on o wszystkiém zapomniał? Nie stérał się jeszcze w Kirdżalim duch żywota, nie zastygła krew; duch gorący jak żar węgla, krew w żyłach jak war kipiąca: ale on tyle przygód przebył że aż mu strach myślą w tył się cofnąć, w obszary wspomnienia, straszno pomyśleć o tém, że puściwszy się znowu na pohulankę z przygodami, Bóg wie co go spotkać może. Onby chciał się przykleić do żony, do syna; jemu się zdaje, on widzi, że krasa Sary Michaeli

co dzień, co godzina, nowego blasku przybiera pod okiem miłości, że syn rośnie pod ojcowską opieką. Sarą Michaela szczęśliwa szczęściem męża, szczęśliwem budowaniem zamków nadziei o synie; jeśli czasami się zaduma, zasmuci, to o tém nikt nie wie, tego nikt nie widzi.

Tak się działo w rudnickim zamku; ale jeśli jest Bóg co darzy szczęściem i spokojem ludzkie plemie, swoje dzieci odkupione z niewoli szatańskiéj krwią swojego syna jedynego, — jest i szatan zbrodzień pokonany Bożym gniewem, wróg człowieka, obrazu i podobieństwa Boga, co sili się zamącać szczęście i spokój ludzi, jakby na przekorę woli Bożéj.

Raz letniego dnia w południe, kiedy słońce skwarnym upałem paliło ziemię, Miłosz i jego goście wyszli do bukowego gaju tuż podle zamku. Bojaryni cóś rozmawiała z Miłoszem, Kirdżali przewracał się po trawie z synkiem, żeby ubawić swoje dziecię sam jak dziecię igrał. Sarze Michaeli, słodko, lubo na duszy, ona teraz sto kroć razy woli widzieć męża kochanka zdzieciniałego ojcowskiem przywiązaniem, jak niegdyś pędzącego na rumaku z groźną twarzą,

z wejrzeniem dumy, — bo to łechtało tylko miłość własną chełpliwéj niewiasty że kochankiem ma bohatéra, a tamto roskoszą przepełnia duszę tkliwéj matki, że ma mężem człowieka czułego serca. Ona myśli, i tą myślą zapaja swoje uczucia: jakże on mnie kocha, on to wszystko dla mnie robi. W tém wszedł serbski goniec, i jakieś pismo oddał Miłoszowi i bojaryni. Miłosz czyta i potrząsa głową, bojaryni uśmiecha się i zasmuca czoło naprzemiany: — «Saro Michaelo, moja córko, patrz jak Tudor o nas myśli, jak on za nami tęskni.» — Sara Michaela przystąpiła, a bojaryni oddała jéj pismo, wskazując miejsce gdzie ma czytać. Na imie Tudora, Kirdżali przestał bawić się synem, ręką powstrzymał jego dziecinne igraszki, a oczyma pilnie, ciekawie patrzy na żonę, a tak je wytężył, otworzył, jak gdyby się obawiał nie dojrzeć najmniejszéj zmiany jéj twarzy, najmniejszego ruchu jéj postawy. Dziwna to istota ten człowiek! spokojny, szczęśliwy, zdaje się że na niczém mu nie braknie, w tem znienacka spadnie jedno słowo, jedno nic, i całą budowę szczęścia, spokoju, zgniecie i w proch obróci.

Sara Michaela czyta — zarumieniła się, zbladła, znowu się zarumieniła, i kilka łez na papier padło. Kirdżali podniosł się z ziemi, zatrząsł się jak w febrze, jakby iskry ognia w oczach mu mignęły. W pierwszéj chwili chciał z rąk żonie wyrwać pismo, i Bóg wie coby może z nią zrobił, ale jakby ruszył resztkami władzy nad sobą, zwrócił się nagle, i szybko poszedł w gaj. Dziecko zapłakało i jak sylabizując głosem, wołało: « tato! tato! » — Sara Michaela zwróciła oczy, zobaczyła synka na ziemi, a Kirdżalego postać zaledwie dojrzała pomiędzy drzewami, zawołała: « Kirdżali; » — on ani zatrzymał się, ani się obrócił — ona pomyślała: nie usłyszał mnie, musiał pobiedz jakiejś zabawki szukać dla małego. Obróciła się do bojaryni: — « Dobry Tudor, on o nas myśli. Bogu chwała, on ma nadzieję że wszystko pójdzie podług jego woli; on będzie szczęśliwym » — Wzięła synka na ręce i cóś mu zaczęła mówić o Tudorze, dziecina przebąkiwała jakieś słowa, jakby na przedrzeźnianie matki, i ciągle wskazywała rączkami w stronę gdzie poszedł Kirdżali. Sara Michaela poszła za wskazówką dziecięcia, i

hukała za mężem po gaju. Miłosz skończył czytać i rzekł do bojaryni : «— Tudor oznajmuje mi że wkrótce ogłosi niepodległość multańskiéj ziemi; żąda posiłków ode mnie, ale zaklina abym z niemi nie przysyłał Kirdżalego. Powiada że hrazgradzka sprawka na zawsze mu zagradza wnijście do Multan, że gdyby on się ukazał w obozie Tudora, ludby się oburzył przeciw Kirdżalemu, alboby porzucił sprawę wolności.»

Bojaryni smutnie westchnęła: — «To jego przesądy. A on nie wie o tém, że tylko ramię Kirdżalego może wrócić dacką wolność. Miłoszu Obernowiczu, ty możesz powiedzieć, czy Kirdżali nie sowicie odkupił czynami swojemi przewinienie, może i nie tak ciężkie jak się ludziom zdaje.»

Miłosz poprawił wąsy: — «I Serbowie, i ja, na wieczne czasy dłużni jesteśmy Kirdżalemu. Miłosz Obernowicz tego nie zapomni, i w każdéj chwili gotowby się zawdzięczyć. I Tudorowi z chęciąbym niosł pomoc; ale zawarłem pakt z sułtanem, a co raz się rzekło, to się dotrzymać powinno. Otwarcie boju rozpocząć nie mogę;

dam pieniądze, uzbroję Kleftów pod dowództwem Kirdżalego: niech tylko niesnaski między sobą porzucą, bo wierz mi bojaryni, że dobrze mówi nasze sławiańskie przysłowie: lepiéj mieć stu przyjaciół, jak jednego nieprzyjaciela.»

— «Jak tylko się wojna zacznie na multańskiéj ziemi, ja pojadę do obozu mego syna, niesnaski usunę, Kirdżali z Tudorem razem o jedno walczyć będą, ale ty Miłoszu nie opuszczaj swoich przyjaciół, wspieraj ich radą i pomocą.»

— «Donoszą mi że tu przybędzie Jerzy Kantakuzen od petersburgskiego dworu, mówić za Grekami i Ipsylantym; w waszym kraju chcą szukać greckiéj wolności. Miłosz będzie głuchym na podszepty Białego cara; ale przyjaciół swoich nigdy nie opuści.»

Tu przyszła Sara Michaela, niespokojna: — «czy nie był tu Kirdżali?»

— «Musi być w zamku; — odpowiedział Miłosz — chodźmy i my tam» — i poszli. Dziecko ciągle powtarza: «tata, tata,» — a Sara Michaela smutna, roztargniona, jakby jéj serce

cóś złego przeczuwało, a sama nie wie coby to być mogło.

Kirdżali jak szalony z gaju wybiegł, bezdrożem spuszcza się w przepaść, bezdrożem drapie się na góry, jakby oślepł na oczy. Słońce bez miłosierdzia skwarem pali, ale on tego nie czuje, bo go wewnątrz pali silniejszy ogień, ogień zazdrości i podejrzenia. W gęstwi syczy gadzina, po dolinach mruczą mnogie ruczaje, a Kirdżalemu zdaje się że one wymawiają imie: Tudor — Tudor. U niego w myśli jak u pjanego. Stanie, weźmie się w boki rękoma, i tak się ciśnie, jak gdyby chciał żebro z żebrem skuć; — «Ona się rumieniła, bladła, płakała nad listem Tudora; — jam widział rumieniec, bladość, łzy. O ja nieszczęśliwy!» — W ziemię patrzy i myśli, i trze czoło dłonią, widać szuka jakiegoś przypomnienia: — «Ha, Michajlaki prawdę mówił; ja byłem ślepym, byłem głuchym. Czym nie widział jak się z sobą żegnali przy odjezdzie?» — i nie wymówił imienia bojara. — «Czym nie widział jak mój syn, moje dziecko, lepiéj znał jego jak mnie? O Saro Michaelo! ja ciebie tak kocham» — Splotł

ręce nad głową i głośniéj wymówił: — «Czyż na tym świecie, i cnoty i szczęścia nie masz!» — a rozgłos między skałami głucho powtórzył: «nie masz!» — Kirdżali, jak gdyby trwoga wkradła się do jego duszy, pobiegł w inną stronę, a sam nie wie gdzie. Jakiś dzwięk doleciał do ucha — to jęczą dzwony cerkiewne! Zatrzymał się i słucha pobożnego dzwięku, schylił głowę ku ziemi: — «Może ja ją niewinnie posądzam... Ona ma taką anielską duszę. O nie! ona zdradzićby nie umiała. Ja przestępca, ja potępieniec bez rodu, bez imienia» — Padł na kolana, bił się w piersi i modlił się do Boga, żebrząc przebaczenia. I w téj chwili Bóg się pewnie nad nim umiłował; bo w całym ciągu téj walki w sercu i w duszy, ani razu występna duma się nie odezwała, ani razu językiem i myślą nie zaprzysiągł zbrodniczéj zemsty.

Sara Michaela wychodzi szukać męża, wraca się niespokojna, biedzi się co się z nim stało; ale nigdy jéj przez głowę nie przeszło wpaśdź na domysł o jego uczuciach. — Nad wieczorem wrócił Kirdżali, blady, zmęczony, nie trudami

ciała, ale cierpieniami duszy. Żona go pyta: — «gdzie ty byłeś, co ci jest mój luby?» — On chciał powiedzieć wszystko, — bo u niego słowa nigdy a nigdy nie fałszowały uczucia serca: słowami wikłać prawdziwe tło myśli, twarzą się uśmiechać kiedy sercu na płacz się zabiera, ściskać ludzi i kłaniać się ludziom, którymby chętnie się zawierciło ostrzem żelaza po boku, on tego nie umiał i uczyć się nie chciał; — ale spójrzał na twarz Sary Michaeli, a dostrzegłszy łezkę na jéj oczach, rozbroił szczerotę swoich chęci, obawą, aby nie zakłócić pokoju, niepokalanego bożyszcza swego serca: — «Nic mi nie jest moja droga, to tak sobie» — Po raz pierwszy nie obłudy się dopuścił, ale zataił co chciał powiedzieć. Żona pomyślała sobie: zasłyszał o wojnie i resztki dawnych namiętności w nim zagrały; — a nie chcąc onych rozniecać za żadne skarby świata, o nic więcéj nie pytała, i o czém inném zaczęli rozmawiać. Bojaryni i Miłosz wszczęli rozmowę o wieściach z multańskiéj ziemi, o przyszłéj wojnie. Bojaryni list Tudora dawała Kirdżalemu, a Kirdżali nie czytał; bał się widać, twarzą

albo poruszeniem ciała zdradzić uczucia swojéj duszy. Na pociechę Sarze Michaeli, na smutek bojaryni, o wojnie obojętnie gadał, jak człowiek co w niéj udziału żadnego mieć nie myśli. I tak się zakończył ten dzień, co zakłócił duszę Kirdżalego, na chwilę ukołysaną szczęściem, co zakłócił namiętnościami na chwilę uśpionemi błogim spokojem.

Północ, — godzina spoczynku i słodkich snów dla szczęśliwych, dla nieszczęśliwych godzina rozpamiętywania i męczących marzeń. Kirdżali nie śpi, uchem liczy miarę lekkich oddechów spiącéj żony, słyszy jak synek we śnie obróci się w kołysce, o ledwie co nie słyszy krążenia krwi po swoich żyłach: słuch się natężył, ale i myśl natężona roi o smutnych, bolesnych rzeczach. Chciałby zasnąć, nie może; sen nie klei powieki, choć on ją gwałtem mruży, oko nie patrzy, ale nie czuje lubéj roskoszy usypiania. Cóś przemówiła przez sen Sara Michaela, jemu się zdało że imie Tudora; słucha, — wyraźnie mówi: « Tudor. » O mało krew nie trysnęła przez skórę, o mało wszystkie żyły nie pękły. Porwał się z łoża, za attagan uchwycił,

i jak zły duch stanął nad żoną. Włosy szczeciną zjeżyły się mu na głowie, w oczach gorąco, serce gęsto i szalenie skacze, myśli bezładnie hasają, ale ręka jakby zatrętwiała nie śmie spełnić zbrodni. Czy w téj chwili on na życie żony godził, czy sobie chciał odebrać życie, nie wiadomo; on sam nawet tego nie wiedział. Sara Michaela śpi i cóś znowu marzy, bo głosem szemrzącego strumyka, brzmieniem strón lutni trąconych wiatrem, wymówiła: « Kirdżali, mój luby, mój drogi. » — Kirdżalemu wypadł attagan z ręki, i on sam osunął się na ziemię omdlały przetężeniem się namiętności. Ona się ocknęła trochę, rozmarzona dokończyła senne słowa: — « ja ciebie kocham nad życie, nad wszystko » — i znowu usnęła jak dziecko. Kirdżali z cicha wstał, i cicho wrócił do łoża. Nie śpi, ale myśli jego trochę ochłonęły; jednak szczęście i spokoj uciekły od niego, może i na zawsze. Przeklina swoje namiętności, przeklina siebie, i wszystkie jego dawne występki stanęły przed nim, i przesuwały się jedne po drugich, i zdawały się mówić: patrzaj na nas, pasuj się z sumieniem, — i tak się męczył do białego dnia.

Na dobry-dzień nie objawił swojego cierpienia Sarze Michaeli, tylko ucałował ją i popieścił syna, ponuro dumał, smutnie się uśmiechał.

Dnie biegły jedne za drugiemi w ślady, i nie niosły na powrót szczęścia Kirdżalemu. U człowieka burzliwéj duszy, kiedy się wkradnie jakieś gorżkie uczucie do serca i rozdrażni namiętności, a wtenczas im wybuchu nie dozwoli, -- to jak robak drzewo, tak ono stoczy jego jestestwo i do grobu wpędzi przez czasem. Próżnoby się siliła moc ludzka wrócić rozdraźnionemu sercu spokój; chcąc wyleczyć takiego człowieka, trzeba przysporzyć wybuch namiętnościom, albo nowém jakiém a gwałtownéni uczuciem zgnieść tłumione pasowanie się dawnego. Cóż się stało z Kirdżalim, z tym niepoprawnym niegdyś grzesznikiem, z tym mężem bezgranicznéj dumy, wyuzdanych namiętności, co nic więcéj nie znał jak: ja tak chcę i tak będzie — Pokornie się modli, duszę żywi srogiem cierpieniem, a żeby go nie objawić, żeby drugich nie zasmucać, twarz przyobleka zmuszonym spokojem. Choć czasem odgoni od siebie podejrzenie, to natychmiast ono wraca, jak

jaskółka do poddasza, gdzie już sobie zaczęła słać gniazdo. W oczach ludzkich więdnieje i niknie na siłach. Sara Michaela to widzi, a zapomniawszy o sobie, o synie nie raz mu mówi : — « Mój luby, jedź na wojnę, ona ci da zdrowie, ona ciebie rozweseli » — a łzy kręcą się w jéj oczach. Kirdżali ucałuje ją w czoło na odpowiedź, i trochę mu lżéj na sercu; ale biedna niewiasta doda : — « będziesz razem z Tudorem; on jak brat nas kocha » — Kirdżali wstanie i wyjdzie, a Sara Michaela smutnie na niego popatrzy, smutnie pomyśli o Tudorze, Bojaryni obawia się aby znowu nie przybrał pielgrzymiéj szaty, a Miłosz dziwi się że serce wojennego męża tak nagle i bez przyczyny zastygło dla wojny.

Przyjechali jacyś posłowie do Sławiańskiego Miłosza : to Jerzy Kantakuzen, potomek wschodnich Cesarzów, celniejsi przywodzcy Heteryi, i kilku góralskich kapitanów, rzemieślników wojny. Między tymi był Arnauta Michajlaki. Ostrzem ataganu się nie strwożył, jakaś niepojęta siła ciągnie go do Kirdżalego; choć zbójca, ma serce co potrzebuje kogoś kochać, komuś

służyć. Nie za złoto, nie z przymusu, ale z dobréj woli obrał sobie Kirdżalego za pana, i jemu chciałby poświęcić swoje życie. Są współczucia między ludźmi, których napuszony mędrek człowieczego rodu nie wytłómaczy, nie zrozumie, choćby po całych nocach ślęczał w myślach choćby przewartował wszystkie xięgi rozumu ludzkiego. Przyjechali do Miłosza Obernowicza wzywać go w imieniu Białego cara, aby się wziął do broni przeciw Muzułmanom, i mówią że carskie wojska przyjdą w pomoc. Obernowicz zimno odpowiedział: — « Miłosz pana nie ma coby mu rozkazał; on robi co wymaga dobro serbskiego ludu. W wojnę się zadawać nie myślę, bo my jéj niepotrzebujemy; siadłbym jeszcze na koń gdyby tego sławiańskie ludy zażądały » — i bohaterski zapał rozświecił się w jego oczach, i wszyscy przytomni schylili czoła przed nim, bo była w jego postawie i na jego twarzy powaga i znamienitość wybranego Pańskiego. — Kiedy Bóg zmiłuje się nad ludem jakim, takich ludzi mu posyła na dowód swojéj łaski. On nie zważał na cześć co mu ludzie nieśli, bo duma i próżność nie miały

wstępu do jego serca. Domawiał jak zaczął: — « i wam radzę, u ludu szukajcie przymierza, nie u Białych i Czarnych carów. Lud co zechce to zrobi; widzicie czém byli Serbowie, a czém są dzisiaj » — Gościnnie po sławiańsku przyjął posłów, ale szczerze odmówił wdania się w wojnę, którą wydaje nie dobra wola ludu lecz podżega jakieś obce mocarstwo.

Tymczasem Michajlaki poszedł powitać dawnego swego bana. Kirdżali zadrżał odrazą na zjawienie się tego człowieka, obruszył się nawet gniewem, bo on w nim widział złego ducha, co zatruł błogi spokoj jego życia. Ale Arnauta pokorą rozbroił gniew Kirdżalego, a milczeniem o bojarze przygoił odrazę rozranionego serca. O Sarze Michaeli mówił ze czcią i uwielbieniem, o potomka się pytał, i tak udobruchał Kirdżalego, że ten zapomniał o tém co było, rad rozmawiał z swoim Michajlakim. Heteryjscy posłowie odjechali, a Michajlaki pozostał. Powoli, powoli, dawnemi przypomnieniami o bojach, rozmową o nadziejach wielkości i sławy, przepowiednią Iwoniego, znamienitością lackiego rodu, przykładem Miłosza, rozniecił w Kirdża-

lim dawną żarstkość, obudził dumę, ale tą razą, szlachetną; bo bulgarski mąż dobrem ludu chciał sobie zarobić na znakomite imie. Na tym dziwnym człowieku więcéj dokazały słowa jednego zbójcy, jak czyste prośby, gorliwe namowy bojaryni, niewiasty poświęcenia się, cnotliwéj córki ojczyzny. Ona po prostu, otwarcie, nie zrozumiawszy jego serca, chciała go skojarzyć z Tudorem, myśląc że dosyć powiedzieć ludziom: idźcie w imie świętéj wiary, w imie wolności ludu, — i oni pójdą; a Arnauta chytry, przewrótny, użył wszystkich sprężyn, wspomnienia, przepowiedni, pochlebstwa, prawdy, aby nadąć miłość własną, ocucić dumę, i pewnym był że dokaże swego. Jakiekolwiek było przeszłe życie, człowiek lubi kiedy mu przypominają z niego chwile, w których błyszczał potęgą, sławą, albo jakim głośnym czynem, a to przypomnienie stokroć miléj brzmi w uszach, stokroć słodziéj serce łechce, jeśli wychodzi z ust świadka tych czynów. Michajlaki nie żywił w sobie rozhukanéj dumy, u niego rzadko porodziło się namiętne uczucie, był to sobie rzemieślnik zbójca. Smierci się

nie bał, niebezpieczeństwem gardził, złota pragnął, złota użyć nie umiał, walczył dzielnie; rozkazywać — to nie jego rzecz, potrzebował pana, i jak pies przywiązywał się do niego. Taki człowiek nie mógł wzbudzić podziwienia, czci, zazdrości, albo innego podobnego uczucia w hardéj duszy Kirdżalego, ale uzyskał jakiś rodzaj przychylności: zwyczajna to zapłata dumy za psie poświęcenie się i unižoną pokorę. Zresztą Michajlaki z Kirdżalim bratali się w chwilach niebezpieczeństwa, jedne pola swoją krwią zraszali, po jednych warstwach powietrza świstali swojemi mieczami; a i to nie mała rzecz w powinowactwie ludzkiem. Zgoła że Kirdżali mimo przekonanie że Arnauta rozburzył jego szczęście, czuł jakiś pociąg do tego człowieka: może to mu szatan podszeptywał i tą drogą do złego chciał prowadzić, a może to taka dziwna natura ludzka. Kirdżali nigdy a nigdy nie wspomniał o złowieszczych słowach Michajlakiego, nie zapytał nawet zkąd one mu wtenczas przyszły na język, i Michajlaki wystrzegał się zbudzać z grobu pamięci nieszczęsne wydarzenie. O wojnie rozmawiali, z końmi

i z bronią się bawili. Kirdżali niby to synkowi dogadzał, wskakiwał na konia i pędził w stepy, między lasy „ między góry. Wtenczas czoło dumne kąpał w powietrzu, oczy mu błyszczały jak u orła kiedy rozochoci się w gonitwie z kanią; na bladą twarz roziskrzoną zapałem występował rumieniec, i świecił silnie, groźnie, jak złowieszczy kometa na czarném tle nieba. Oj nie synkowi to dogadzał Kirdżali! ale sobie. Widać już że skrucha pokory straciła przybranego syna, a duma odzyskała swoje rodzone, ukochane dziecię. Bojaryni z serdeczną pociechą pogląda na tę zmianę; jéj dusza tak potężnie gore do miłości ojczyzny, jak serce dwódziestoletniéj dziewicy do miłości, kochanka; a ona wierzy jak w słowa wiary w przepowiednię Iwoniego. Sara Michaela i smutna i rada z tego; smutna, bo przeczuwa chwilę rozstania się, rada, bo widzi że dusza męża się rozwesela, że twarz jego przybrała dawną barwę zdrowia i życia. Ona poświęceniem siebie chciałaby okupić szczęście męża; dziękczy Bogu za jego zmiłowanie się, błogosławi nawet Michajlakiemu, choć jakiemś niepojętem uczuciem wzdryga

się od niego. Jakaż ona była piękna za obsłoną tego smutku i radości, jak gwiazda wieczorna za przezroczem mdłéj chmurki, jak tęcza przy swojém porodzeniu się : wtenczas zarazem pod promieniem słońca jaśnieją krasiwe barwy światła, i błyszczą łezki chmury przyczepionéj do nieba. Kirdżali ją kochał, ale znowu zaczął kochać żądzę wielkości, sławy.

Jak rumak rozogniony, kiedy zacznie kopytami grzebać ziemię, żuć wędzidło, pianę z pyska toczyć, kiedy mu oczy krwią zajdą, i rozwartémi nozdrzami zacznie parskać: dość w ów czas aby jezdziec się pochylił, albo zlekka dotknął boku rumaka, a ten szalony pomknie w zawody: tak i człowiek, w którego duszy i sercu zaczną wreć i kipić namiętne uczucia, niechaj mu lada co podnieci wolę, natychmiast poskoczy gonić mary rozhukanych chęci. Do Rudnika głośna wieść przyleciała że Tudor w Bukareście zatknął chorągiew multańskiéj niepodległości, hospodar Fanariota nikczemnie uciekł za Dunaj — zwyczajnie podły niewolnik naznaczony za pana, — Muzułmanie po twierdzach się zamykają, choć silni i liczni drżą ze

strachu, bo narod podniosł wojnę. Michajlaki rzekł: -- «Tudor będzie multańskim hospodarem, a ty.....» Nie dał domówić Kirdżali: -- «I ja będę.» — Dogryzł mu ten wyrzut, bo czoło nachmurzył i długo myślił. Doszła wieść że Alexander Ipsylanty ze skarbami Białego cara do Jass już przybył, porozumiawszy się z tamtéjszym hospodarem, Grekiem jak i on, ogłosili grecką wolność, ściągają sławiańskich górali na wojaków, sami nie bardzo pochopni zajrzeć w oczy zbrojnym Muzułmanom. Miłosz rzekł: «Dobrzeby było, żeby jaki Sławianin poodsyłał tych Greków kupczyć, a sam na czele wojaków postarał się o sławiańską wolność.» — Kirdżali dumnie spójrzał: — «Ja pójdę» — i te dwa słowa o wszystkiém postanowiły.

W kilka dni potém, przed bramą rudnickiego zamku, Michajlaki szykował serbskich ochotników i jezdnych Arnautów. Kirdżali wysłuchawszy mszy świętéj, żegnał się z żoną, z synem, z bojarynią i z Miłoszem. Pożegnanie było czułe, serdeczne, a nawet smutne; ale we wszystkich sercach nadzieja tlała, że w krótce

się zobaczą. Już na koń miał wsiadać Kirdżali, jeszcze raz ściskał, całował żonę, łzy mu się zakręciły w oczach, a serce ścisnęło się od smutku, kiedy mały synek, co już przebąkiwał mową ludzką, porwał go za połę burki: — «Tato, ucałuj Tudora, mama za niego co dnia się modli» — Kirdżali odtrącił syna, odwrócił się, siadł na konia żywo, i wyjechał za bramę razu nie spójrzawszy ku gankowi. Sara Michaela załamała ręce: — «Ja nieszczęśliwa! on wie o wszystkiem» — a potém, jakby ona temu co była winna że obcy człowiek dla niéj miłość karmi, że mąż jadem zazdrości zatruł serce, zalała się rzewnémi łzami. Płacz, to jedyna ucieczka tkliwéj niewiasty. Bojaryni ją pociesza słowami, że wkrótce wyjadą do multańskiéj ziemi, połączą się z Kirdżalim, z Tudorem. Synek wiesza się na szyi matce: — «Nie płacz mamo, tata się nie gniewa; on tak się spieszy do Tudora» — Biedna dziecina, nie wiedział że on tak boleśnie zasmucił serce matczyne. Miłosz widział ten nagły odjazd Kirdżalego, i myślał sobie: — wyrwał się od pożegnań, bo one rozdzierają serca; i twarzą i czynem chciał do koń-

ca bydź mężem. — Lud serbski wdzięcznością i błogosławieństwem obdarzał na drogę Czarnego pielgrzyma. Już hufiec Kirdżalego daleko uszedł od Rudnika, zakrył się górą i lasem, a Miłosz jeszcze gonił oczyma po drodze czas jakiś, potém wzniosł i oczy i ręce ku niebu: — «Niechaj was Bóg szczęśliwie prowadzi; bogdajby ludy sławiańskie do broni się wzięły przeciw ciemiężcom! Ramienia mego nie pożałuję, dostatków nie oszczędzę, dam wszystko na ofiarę, pójdę służyć sławiańskiéj wolności.» — Miłosz to mówił szczerze, od serca, zwyczajnie po sławiańsku, i słowa jego były jak uroczysta przysięga przed obliczem Boga. — Bóg słuchał téj przysięgi, a Miłosz jéj dotrzyma. — Niebo było czyste, jasne, i słońce okazale świeciło: to pewne przyznaki, że prośba Miłosza wysłuchana, przysięga jego przyjęta, i że Bóg przyzwala, aby sławiański Miłosz, stał się kiedyś dawcą wolności sławiańskiego rodu.



XVII.

W Jassach, w krasnych Jassach mołdawskiéj stolicy, na hospodarskim zamku trzykolorowa chorągiew powiewa: po środku biała smuga wiary, po prawicy czerwony kolor krwi, po lewicy czarna barwa żałoby. Znaki to zwycięztwa albo śmierci za świętą wiarę; bo albo krew muzułmańska hojnie się przeleje, albo trupy chrześciańskie ziemia spożyje. Na tle chorągwi błyszczy złoty Fenix z swoich popiołów się odradzający: to godło greckiéj wolności, co się dzwiga z pod przemocy niewiernych, i chce się odrodzić cnotą Sparty, męztwem Tebów, wielkością Aten. Po ulicach, na rynku, snują się żołnierze w czarne stroje przybrani, w czarnych czapkach z trupiemi głowami: to grecka młodź z pod znaków świętéj falangi.

Za miastem na błoniu, albańska jazda Jordakiego, barwistemi strojami bawi oko, rżeniem koni, broni dzwiękiem łechce wojenne ucho. Piesi Klefci z różnych narodów, w różnych przyborach, zajęli przedmieście. Gdzie przywodzcy tego wojska, krzyżowników wiary, wolności? — Alexander Ipsylanty xiążęcego rodu, Białego cara jenerał, Jerzy Kantakuzen potomek carogrodzkich mocarzy, pułkownik wiedeńskiego pana, — biesiadują u młodego hospodara Suco; chcieliby słowami i piórem powojować wroga, albo żeby kto inny za nich się wybił; bo służbą u obcych panów sterali w sobie bohaterski zapał, spuściznę dawnych synów dawnéj Grecyi. Albańczyk Jordaki, człowiek poświęcenia się dla wiary, dla wolności, mąż nieposzlakowanéj cnoty, przemożnego ramienia, patrzy na wodzów z politowaniem, a może i z pogardą; ale jego sumienna dusza wzdryga się na myśl, ażeby ich opuścić, albo jak warci zdeptać, i samemu stanąć na czele dzielnych hufców i kierować świętą sprawą.

Z Bukarestu, Muzułmanie i Fanarioci precż za Dunaj uciekli, jak wilcy przed chrapliwym

rozgłosem myśliwskiéj trąby, jak ludzie przed straszną wieścią grasującéj dżumy. Sam tylko Kanimari Sawa zjezdnemi Arnautami pozostał, nakazał zbrojnym pocztom przebiegać ulice, i przestrachem chce mieszkańcom narzucać spokoj. — W tém szlakiem od Czernecza jakieś wojsko przyciągnęło. Po przodzie szedł wódz pieszo, po prawéj jego stronie kapłan w świątecznych sukniach, po lewéj namiestnik w wieśniaczéj sukni na znak że to wojsko z ludu i za wolność ludu bić się idzie. Twarz wodza posępna, ale szlachetna, krok jego nie chełpliwy, nie junacki, ale pewny. Szła piechota, szła jazda, Arnauci Kanimarego cofnęli się aż do metropolitańskiego klasztoru. — Jakie to było wojsko? Kto był ten wódz? — Multański lud Bukarestu wyszedł witać miłych gości, tysiącznémi głosy wołał: «Niech żyją nasi bracia! nasi zbawcy! Niech żyje Tudor, nasz xiąże, nasz car!» — Kanimari Sawa przyjechał hołd złożyć Tudorowi i czekać jego rozkazów. Tudor z całém wojskiem poszedł do cerkwi, i tam modłami i śpiewem hymnów dziękczynili Bogu Twórcy za jego łaskę. Po tém wódz rozkazał,

przy dzwięku kościelnych dzwonów, przy brzmieniu kościelnéj muzyki, ogłosić wolność i niepodległość multańskiego ludu. Bojarowie zbiegli się do przedpokojów nowego pana, aby sobie wyczołgać godności i bogactwa; ale ten nowy pan nie znał bojarów, nie znał chłopów, we wszystkich mieszkańcach widział synów multańskiéj ziemi, wszystkim mówił: służcie ojczyznie, ojczyzna wam nagrodzi. Sam na czele zbrojnych oddziałów przebiegał kraj, i rozgramiał muzułmańskie hordy, sam poskramiał nadużycia bojarów, i lud darzył swobodą, — tak Wołoszczyznie hospodarzył Tudor.

Ipsylanty przyszedł pod Bukarest, w Kolentyńskiém siole rozłożył swoje wojsko obozem, i rozpoczął układy z Tudorem; onby chciał za pana narzucić się multańskiéj ziemi, a nie śmie. Tudor mu powiada: idź za Dunaj, ja ci z moimi ludźmi drogę oczyszczę; z tamtąd na ciebie wołają ujarzmione dzieci Grecyi, tam na ciebie czeka z powitaniem wolność i narodowość grecka. Jeśli nie chcesz, zostań w multańskim kraju, my ciebie i twoich naszemi piersiami zasłonimy od zemsty Muzułmanów, będziecie sie-

dzieć spokojnie za naszemi plecami jak za murem twierdzy; ale rozpuść wojsko, bo my obcego żołdactwa w naszéj wolnéj ziemi mieć nie chcemy. — Ipsylanty, zwyczajnie greckie xiąże wschodniego cesarstwa, otwarcie nie odpowiada, ani tak, ani nie, a potajemnie snuje pasma zdrady dokoła multańskiego męża, i myśli: jak tego człowieka nie będzie, wojsko jego przejdzie do mego obozu, a multańskie państwo ja posiędę. Ipsylantego ludzie rozbiegli się po nadgranicznych krajach, i hurmami ściągają żołdaków do xiążęcego obozu. Rośnie greckie wojsko w ludzi, ale obódwom greckim przywodzcom nie przyrasta ani odwagi serca, ani postanowienia duszy. Jakiż to mnogi hufiec przybył do Kolentyny? Piechota kuso po serbsku przybrana, jazda w bulgarskich burkach i na bulgarskich koniach. Człowiek w człowieka, i w jezdzie i w piechocie. Zamożni wzrostem jak dęby czarnogórskiego lasu, silni barkami jak bośniackie wzgórza. Twarze ich pośniedziałe od skwaru słońca, chude jakby wiatrem zawędzone, tylko oczy się błyszczą jakby od gwiazd pokradły światło, tylko się lśnią wąsy

i włosy co dzień myte niebieską rosą. Znać że ci ludzie nie pod dachem się wychowali, nie w izbach przegnoili swoje życie: to dzieci wojny, to sławiańskie plemie. A ich wodz siedział na karym koniu, jego wzrost okazały, składy ciała gibkie — znamiona krzepkiéj siły, twarz sniada, dzika — zwiastunka namiętnych uczuć, czoło wyniosłe, otwarte — upodobane siedlisko dumy, włos rzadki — następstwo wysilania się myśli, oczy bystre, groźne — objawienie się zuchwałéj duszy, nieugiętéj woli. Tak on był między swoimi żołnierzami, jak łabędź król stawów, między hołdowniczem stadem gęsi, jak orzeł car wiatrów, pan gór i stepów, pomiędzy czeredą jastrzębi i szulaków. Greckie wojsko wyszło witać ten hufiec, wodzowie greccy przed bramą przyjmowali przybyłego wodza, Jordaki dawny najezdnik izmajłowskiego baszy, jak znajomych pozdrawiał gościa i jego namiestnika. Wódz hufca, Jordakiego witał po bratersku, greckim xiążętom na pokorną uniżoność odpowiedział pokłonem dumy, a oczyma i twarzą zdawał się żądać: gdzie są wrogi, zaprowadzcie mnie na pole bitwy, wszakże

ja po to przybyłem. Grecy uśmiechnęli się greckim uśmiechem, co to znaczy: kłaniamy się pókiś potrzebny, a jak zrobisz dla nas wszystko to co możesz, co umiesz, potrafimy ciebie się pozbyć. Któż to było to wojsko? któż to był ten wódz? — Wojsko — to serbscy Klechci i jezdni Bulgarowie; wódz — to Kirdżali, i przy nim nieodstępny namiestnik Arnauta Michajlaki.

Tudor odebrał wieść o wyjściu Kirdżalego z Rudnika, i tęskno mu, nudno; on myśli: — tu przyjdzie, jakże go przyjmę? Jak brata? — O nie, dusza moja jego znieść nie może; on zwarzył szczęście, zakłócił pokoj téj doskonałéj istoty, téj niewiasty nieba, tego anioła. Gdyby przynajmniéj ona była szczęśliwa, podałbym mu dłoń i rzekłbym: dziękuję ci; ale on o jéj szczęściu nigdy ani myślał, ani myśli. I teraz jak ona musi opłakiwać jego odjazd! Biedna Sara Michaela, człowieku bez serca! — Przyjmę go jak wroga? Coby matka na to powiedziała? Coby ona robiła? O nie, onaby nie przeżyła śmierci tego człowieka; ona go tak kocha, a o mnie ani myśli zapewne, może już zapomniała

o swoim bracie.... — I sparł czoło na ręku i dumał. W tém druga wieść przybieżała, że Kirdżali do Ipsylantego się przyłączył, Tudorowi lżéj się na sercu zrobiło, a nawet występna nadzieja przewałęsała się po jego myśli: niedługie moje przymierze z Grekami, wkrótce ono się zerwie; może jak wrogowie uczciwie przeciw sobie w pole wystąpimy, w tenczas Kirdżali, może twój oręż z moim się spotka, i kto wie co nastąpi z walki, i co po boju się stanie. — Ale ta zła myśl mignęła tylko. — O nie, ona jego nie zapomni, nigdy mnie kochać nie będzie, — to anioł cnoty. Nie, nie chcę ja jego krwi; onaby się mną brzydziła, onaby mnie przeklinała i dzień i noc, jak najszkaradniéjszego zbrodniarza. Niech żyje Kirdżali, niech mnie jednego tylko smutek i cierpienia przywalą; ja będę znosić, to moja dola. — I po tém zaczął myśleć, dla czego Kirdżali do kolentyńskiego obozu przybył? Ani na myśl mu nie wpadła prawdziwa przyczyna; on mniemał: — Ipsylanty złote góry mu obiecał, berła, trony. Nicbym mu ani dać ani obiecać nie mógł, a Kirdżali równym z drugimi ludzmi bydź nie

chce, on musi rozkazywać, inaczéj samby siebie pożarł. Nic więc dziwnego, że kto pragnie carstwa, ten do tych lgnie, co roją o carskiéj władzy.

Tudor był w obozie kolentyńskim, ale nie spotkał Kirdżalego, bo ten go unikał, a zresztą obadwa siebie unikali. Kirdżali nie rad z miękkiego życia zniewieściałych wodzów, nie miłe mu te biesiady, tany, jakie wyprawiają w Kolentynie; on smutny myślami o Sarze Michaeli, cierpiący podejrzeniem : — może ona mnie nie kocha, — daléj posądzać się nie waży, a nawet i lęka się myśleć. Chciałby co prędzéj boju, tak go żąda w téj chwili, jak zbawienia dla duszy po śmierci. On Sławianin krwią i duchem, u niego ruch — to życie, bezczynność — to śmierć. Kiedy go Ipsylanty zaprasza do puhara, na przysmaki, kiedy go Kantakuzen ciągnie do muzyki, patrzeć na tany, on im odpowiada: «O jakże mi tu duszno, puszczajcie mnie w step» — A oni go nie puszczają, — dokładają od dnia do dnia ruszenie przeciw Muzułmanom, a tymczaem Karawija namiestnik Ipsylantego, w Galacu bezbronnych kupców

morduje i łupi ich dobytki; a Grek Mauros, zausznik xiążęcy, burzy multańskich bojarów przeciw Tudorowi, mówiąc: on wam chce wydrzeć wasze dobra, między chłopów rozdzielić, on chce zdeptać wasze przywileje. — Lekkowierni bojarowie dają ucha tym podszeptom, i nikczemnie służą nikczemnym zamiarom Ipsylantego, siejąc wieść między ludem i między wojskiem, że Tudor zdradza, że on ma jakieś porozumienia z Muzułmanami. Tudor dowiaduje się o tém, i pogardą odpowiada na obelgi, zemsty nie szuka, ani nawet jéj żąda, tylko wysłał Kanimarego Sawę do Kolentyny, do Ipsylantego powiedzeniem, żeby szedł za Dunaj, albo wojsko rozpuścił, inaczéj nim Muzułmanie nadejdą, multańskie wojsko zmusi go, abyzrobił jedno lub drugie. Możeby przyszło do zwady między chrześciańskiemi wojskami, ale przybył goniec z banatu Krajowy z wieścią, że basza Widynia z liczném wojskiem ciągnie ku Krajowéj. Przestraszony Karawija przyleciał z Galacu z doniesieniem że baszowie Sylistryi i Ibraiłowa nagromadzili nieprzeliczonéj liczby hufce, i już zapewne musieli zalać

multańską ziemię. Kirdżali i Jordaki obadwa zawołali: «Chodźmy na wroga! W imie wiary, w imie wolności, zwyciężymy» — Ipsylanty ze łzami w oczach zaklinał ich żeby go nie opuszczali, a jemu samemu serca zabrakło, aby choć raz zajrzeć wrogowi w oczy. Tudor zostawił Kanimarego Sawę i Farnakiego z częścią jazdy w Bukareście, a sam z resztą multańskiego wojska wyszedł do Pitesztu przeciw baszy Widynia. Ipsylanty po długim rozmyśle, po dłuższych jeszcze naradach, cofnął się z greckiem wojskiem do Tergowicy, niby to w celu wspierania Tudora, a w istocie, aby schować się za jego plecy, i być bliżéj gór siedmiogrodzkiéj krainy. Kirdżali sarka na nikczemników, już chciał ich rzucić, ale Michajlaki go zaklina: — «Banie, czekajmy trochę, niezadługo na ciebie przyjdzie czas, i ty będziesz panować. Z gór nasi dawni bracia, twoi ludzie przyjdą nam w pomoc; a w tenczas możesz pożądać bulgarskiego carstwa» — I témi słowami tak ukołysał jego niecierpliwość, jak koi krnąbrność zuchwałego dziecięcia piastunka, prawiąc mu bajki o zaczarowanych zamkach, o xiężnicz-

kach, o królewicach, o wróżkach; bo dziwném zbiegowiskiem, dumny mąż i krnąbrne dziecię, jedną i tąż samą drogą uchodzić się dają, tylko z tą różnicą, że dziecku trzeba prawić bajki o przeszłości, a mężowi o przyszłości: obódwóch uszy bajki słuchają, i obudwóch dusze bajce rade.

Zaledwo Tudor przybył do Pitesztu, alić tu znowu jakiś goniec przybył z serbskiéj ziemi. Musiał ważne wieści przywieść, bo Tudor długo z nim rozmawiał, po tém wyszedł z rozpogodzoną twarzą, w cerkwi gorąco modlił się, widać że za cóś serdecznie Bogu dziękował; kazał białego dworu komnaty przybrać w pyszne barwy, jak gdyby gości się spodziewał, i sam na czele wyborowego hufca jazdy wyruszył ku południowi szlakiem Trajanowego mostu. Jedni smutnie mówią: nasz multański xiąże zamyśla jak Grecy biesiadować; drudzy radośnie wołają: Tudor pojechał zabrać w niewolę widyńskiego baszę, i jeńcom wrogom chce pokazać, że nam nie brakuje ani bogactw, ani zbytków, żeśmy we wszystko dostatni. Tak to na tym świecie, każda rzecz ma swoje dwie

strony, i ludzie w miarę swojego widzenia, dobre albo złe domysły o niéj budują. Ipsylanty wywiedziawszy się o odjezdzie multańskiego wodza, wysłał do Pitesztu czeredę zauszników zasobnych w złoto, w obietnice, szczodrych na obłudne słowa, na zdradne oskarżenia, aby przekabacili na jego stronę kapitanów Tudora. Oj ten przewrótny Grek nie śpi, nie zadrzémie nawet, tam gdzie chodzi o tajemne knowanie, o podstęp, o zdrady, — to jego rzemiosło.

Wrócił Tudor nie z pojmanym baszą, ale z bojarynią, z Sarą Michaelą i synem Kirdżalego. Nie było hucznéj biesiady, ale w całym obozie multańskim panowała szczera radość. Jak matkę wszyscy witali bojarynię. Ona patrzy i napatrzyć się nie może, na te krzyże świętéj wiary zwycięzko porozstawiane na wieżach cerkwi, na kopułach minaretów, jakby swojém świętém godłem chciały zmazać z pamięci mieszkańców, długi pobyt niewiernych w chrześciańskim grodzie, — na tę chorągiew multańską, co tak wspaniale teraz powiewa, bezpiecznie, bez trwogi, — na mnichów monastéru Ardżysowego dworu, co zwoływali lud w imie Chrystusowéj

wiary, w imie wolności, i sami przyszli im służyć słowem i uczynkiem, — na ten lud wielki swoją wolą, szczęśliwy wolnością, może przed czasem pyszny z niepodległości dackiego rodu, —na syna, krew swojéj krwi, owoc swego łona, co przewodniczy Bożemu ludowi, co służy Bożéj wierze. — Twarz bojaryni jaśnieje urokiem szczęścia, łza duszewnéj roskoszy wilży oko, i nadaje połysk młodości zrzenicy stéranéj wiekiem. Ale jakby czegoś nie dostawało Eudoxii, ciągle się obraca do syna i z cicha mówi: «gdzie Kirdżali? czemu on nie z tobą? poszlij do niego gońca mojém imieniem.» — Tudor milczy i ukradkiem pogląda na Sarę Michaelę. Piękna niewiasta nie pyta go o Kirdżalego: ona wie dla czego on tu nie jest; smutna, modli się, płacze i pielęgnuje syna; od Tudora stroni, nawet wejrzeniem nie chce się z nim spotkać; zimno, obojętnie, odpowiada na jego tkliwą, braterską mowę. On myśli: czemżem przekroczył przeciw temu aniołowi? Czyż moja wina że Kirdżali bydź ze mną nie chce? — I tak mu ciężko na sercu, jakby na nim leżało jakieś wielkie przestępstwo.

Ipsylanty nie opieszale pracował, już zyskał obietnicę dziewięciu kapitanów multańskich, że ze swoimi ludźmi opuszczą Tudora, a przyjdą do greckiego obozu, obwołać za pana greckiego xiążęcia. Ale jemu na tém nie dość, on chce zgubić Tudora, i cicho do siebie ciągle mówi w myśli: jak dwa słońca nie mogłyby pogodzić się na niebie, tak dwóch panów nie mogą się zgodzić na ziemi. Dawni jego przodkowie tę prawdę otwarcieby ponieśli na pole bitwy rozstrzygnąć orężem; jemu po ojcach w spuściźnie została tylko myśl, a do niéj przywiązała się druga: jak dojść, byle dojść. Złotem pokusił kapitanów do wiarołomstwa, ale nie mógł dokazać aby który z wiarołomców przyobiecał targnąć się na życie zdradzonego pana. Wywiedział się o odrazie Kirdżalego do Tudora; ale Arnauta Michajlaki nie odkrył mu całéj tajemnicy, jak on sobie ją rozumiał, — błyśnięcie attagana w komnacie rudnickiego zamku, na całe życie Michajlakiego, głęboko, niezatarcie, wyryło się w jego pamięci, i na język włożyło oków milczenia o téj rzeczy; z resztą byłoby wstydem dla namiestnika, objawiać przed ob-

cymi ludźmi, że jego wodzowi żona była niewierną, albo koń nieposłuszny; — dał więc tylko Ipsylantemu klucz do dumy Kirdżalego, i Ipsylanty ciągle do niéj przemawiał, ale nadarmo. Bulgarski mąż odpowiadał: «ja Multanom hospodarzyć nie myślę, jam nie Multańczyk; jak wybije godzina sławiańskiéj sprawy, to zobaczemy. Jeśli tobie zawadza Tudor, ty masz wojsko, i on ma wojsko, — rozprawcie się. Ja do waszéj zwady się nie mieszam; przyszedłem walczyć przeciw Muzułmanom, i będę walczył, choćby przyszło i ciebie porzucić.» Po téj rozmowie poznał Ipsylanty, że dumy Kirdżalego nie można skojarzyć z podstępem, ze zdradą; przestał go podbudzać przeciw Tudorowi, bo zręczny Grek woli nieszczerym uśmiechem pokryć przykrość z odmówienia, jak dalszemi podmowami zakupić sobie pogardę rycerskiego męża, którego wola i ramię w boju nie raz się przydać mogą. Grecki xiąże pomyślał: może gorliwość o sprawę wolności Jordakiego, stanie się narzędziem mojéj chęci, — i zaczął w rozmowach rzucać na Tudora słowami podejrzenia, jakoby on porozumiewał się z mu-

zułmańskiemi baszami, i chciał sprawę chrześciańskiéj wiary i greckiéj wolności, na swoję korzyść obrócić. Jordaki na całą odpowiedź, obyczajem człowieka czynu, siadł na konia i do Pitesztu pojechał, a wróciwszy z tamtąd powiedział: «Tudor ani wiaro-łomca, ani zdrajca; on tylko z nami nic wspólnego mieć nie chce, mówi co mówił dawniéj: idzcie za Dunaj, drogę wam utoruję; rozpuście wojsko, damy wam przytułek w multańskiéj ziemi. Niepotrzebujemy abyście wy za nas walczyli, my i sami potrafimy zrzucić jarżmo niewiernych. — Jego słowa święte, xiąże, chodźmy za Dunaj.» Ipsylanty przygryzł wargi, nie odpowiedział ani tak, ani nie. W człowieku otwartéj duszy, to dowod że zaniechał swego zamiaru, a przyznaniem lub zaprzeczeniem nie chce do reszty upokarzać swojéj miłości własnéj; ale w człowieku skrytych myśli, którego serce i dusza przepaścią tajemnicy odgrodzone od serc i dusz drugich ludzi, który nigdy w sobie nie poczuł téj słodkiéj potrzeby zwierzenia się przyjacielowi, téj lubéj roskoszy przelewania i mieszania swoich myśli z przyjacielskiemi myślami, kto

żyje na świecie jak płaz w skorupie, — u tego to milczenie jest oznaką silenia się myśli na wynalezienie nowéj drogi dojścia do raz powziętego zamiaru. Ipsylanty raz postanowił zgubić Tudora, i chciał dotrzymać postanowienia; mógłby znaleść ramie usłużne, co za kilka garści złota podjęłoby się kindżałem namacać serce Tudora, ale on to zostawił na ostatni wypadek: on chciał aby zbrodnia była spełnioną, ale chciał żeby ją osłonić pozornym płaszczem gorliwości o świętą wiarę, musu syna wolności, — i nawet zwołał na jutrzejszy dzień wojenną radę.

Zrana przed samą radą, przybieżał goniec z Pitesztu do Kirdżalego z pismami: to wieść że Sara Michaela z synem i bojaryni, przyjechały do multańskiego obozu, że są o parę godzin drogi od Kirdżalego. Kirdżali otworzył pismo i czyta oczyma; usta ani słowa nie wyrzekły, ale twarz, czoło, a czasem ruch ręki, ciągle gadają do oczu drugich. Stokroć wyraźniejsze te nieme znaki uczucia, jak brzmiące słowa mowy ludzkiéj; bo często słowa nie zdołają oddać to, co chce uczucie serca i duszy, i tak jak ono chce, nieme zaś znaki kiedy tylko

zaczną mowić, wiernie odmalują wszystkie a wszystkie uczucia. Błędny to znawca ludzkiego rodu, co ze słów chciałby poznać człowieka; trzeba patrzeć na twarz, na oczy, na ruchy ciała, aby poznać co się dzieje w jego duszy, w tym skarbcu uczucia: to prawdziwe zwierciadło w którém nie siebie można widzieć, ale człowieka co go nosi na sobie. Nawet lodowatéj duszy uczucie sparowane z najmniéj ruchomą twarzą, nie unikną bystrego i doświadczonego wzroku badacza; człowiek zaś gorących namiętności, nie zatai swoich uczuć przed okiem najniewprawniejszego nieuka. — Kirdżali poczerwieniał, oko jego zabłyszczało, po tém zmarszczył czoło, brew aż do rzęsy chciał przycisnąć, dłoń powiodł po czole; rumieniec zniknął z twarzy, niecierpliwie pokręcił głową, zmiął pismo i schował. To były znaki podziwienia z niespodzianéj wieści, gniewu, namyślania się, niechęci, i odrzucenia prośby. Było to pismo bojaryni z doniesieniem o przyjeździe do Piteszlu, kilka słów o Tudorze, i prośba aby przyjechał do nich. — Otworzył drugie pismo i czytał; czoło się wygładziło, brew nieruchoma, oczy

w papier wlepione tak chciwie, jak gdyby chciały go pozrzeć, z twarzy dzikość, uciekła i słabym rumieńcem wije się po niéj jakieś słodkie dumanie; na ustach pół uśmiechu, a rzęsy jakby łezką zwilżone. Widać że po piśmie Sary Michaeli rozczuliło się serce ojca, odżyła miłość męża, ale niezdołały zniszczyć doszczętu podejrzenia trapiącego myśl; bo skoro przeczytał, znowu się zasmucił, machnął ręką, obrócił się do Michajlakiego, który nie spuszczał oka z bana: — «Michajlaki, niech moi ludzie będą gotowi» — nie czekał odpowiedzi, ale zaraz poszedł na wojenną radę.

W obszernéj komnacie tergowickiego zamku, gdzie niegdyś multańscy bojarowie schodzili się na obrady do multańskiego hospodara, dziś zebrała się rada greckich kapitanów. Po prawéj i po lewéj stronie na ławach zasiedli różni ludzie. Tu syn Grecyi piękny zapałem twarzy co gore miłością wolności, tam Bośniak straszny dzikością smagłego lica; obok szukającego wojny Albańczyka, siedział Czarnogórzec tęskny za swojemi górami; surowy i ponury Bulgar, ocierał swoje ramie o ramie wesołego

Węgra; pogodnego czoła Siedmiogrodzianin, poglądał w oczy Serbowi panoszącemu się że należy do pokolenia, któremu Miłosz panuje. Byli tam i multańscy bojarowie, i jasnowłosi Rusini, i cudzoziemcy rozmaitego plemienia. Dziwna, różnorodna zbieranina do stworzenia obrazu całości. Ipsylanty jakby już pan Carogrodu, na przeciw drzwi w drugim końcu komnaty siedział na wzniesioném krześle, jakby na carskim tronie; a obok niego po obu stronach siedzieli, Kantakuzen, Kirdżali, Jordaki, i przedniejsi namiestnicy tego greckiego wojska. Wszyscy patrzą na Ipsylantego, czy im nie powie: w imie Boże, w imie wolności, chodźmy na wroga! — i wszystkich ręce gotoweby za miecze chwycić, bo to języki któremi oni najlepiéj rozmawiać lubią i umieją. Ale grecki xiąże zaczął prawić o opiece Białego cara, o przyjaznych chęciach wiedeńskiego pana, i Bóg wie o jakich tam nadziejach cudzéj łaski; a ciągle zaokrążał mową do oskarżenia Tudora: jemu to przypisywał, że powołaniem prostego ludu do wolności, wstrzymał pomoc Białego cara. – Synowie Grecyi smutnie słu-

chali, a sławiańscy kapitanowie zdrzymali się na to nudne kazanie, z którego ani słowa nie rozumieją. Na Jordakiego twarzy obawa, aby człowiek którego on wyniosł na wodza, któremu on dał wojsko, nie zniweczył poczętego dzieła w imie Boga, w imie wolności. Kirdżali zasępił czoło i słuchał, czasami tylko ruchem ręki objawiał niecierpliwość; może to znak niechęci ku Tudorowi, a może to niema mowa: porzucę ciebie obmierzły paplaczu. — W ciągu mowy dał znać dowódzca straży, że przybyli z Pitesztu trzéj multańscy bojarowie z pilnem poselstwem. — « Niech wnijdą » — rzekł Ipsylanty i przestał mówić, a bojarowie weszli. Zaledwo uchylili szłyki, i z postawą pełną godności stanęli przed Ipsylantym, on zbladł i oczyma na boki strzela, jakby prosił o oręże na swoją obronę, i ręką wskazywał miejsca bojarom aby zasiedli. Oni zlekka głowami schylili, i jeden z nich zaczął: — « Nasze poselstwo nie długie. Multański hospodar, Tudor Władimiresko, nasz car, przysłał nas do ciebie z wieścią, że dziewięciu kapitanów, którycheś zakupił swojem złotem, po wykryciu wiarołom-

stwa, sądem ludu na śmierć skazanych zostało: dzisiejszego ranka ich powieszono. Widzisz że twoje knowania na nic się nie przydały. Nasz hospodar wspaniałomyślny, jeszcze ci dziś powiada: idź za Dunaj, on ci drogę utoruje; rozpuść wojsko, on ci schronienie w multańskiéj ziemi daje.» —

Możeby szable pokarały zuchwałą mowę bojarów; ale dla Sławian osoba posła święta, a Grecy nie śmieją nic zrobić bez skinienia swojego wodza. Ipsylanty zmusił twarz do uśmiechu: — «Ja nie robiłem żadnych podstępów pod waszym hospodarem, ja z nim wspólnie chcę działać; on mnie odrzuca, a nawet mi grozi.»

— «Xiąże, nasz hospodar nie grozi» — odezwał się znowu bojar — «groźba przedwczesna, znak lękliwości; my nie boimy się ani tajemnych, ani jawnych wrogów. Mamy i serce, i ramiona, i oręże. Nie przychodzimy tobie sprawy robić, ani twego tłómaczenia się słuchać, chcemy twojéj odpowiedzi na zapytanie hospodara, bo...» — Nie dał domówić Ipsylanty, chytry Grek chciał zastawić się od dalszego poni-

żania siebie: — «Ja pomyślę, dziś dam odpowiedź. Pokłońcie się waszemu hospodarowi.» Bojarowie rzucili na niego okiem pogardy, a wzrokiem politowania na kapitanów oddając pokłon pożegnania, i wyszli.

Kirdżali podniosł się: — «I ja ciebie opuszczę; przyrzekłem walczyć z Muzułmanami, nie zaś patrzeć na wasze niesnaski.»

I Ipsylanty się podniosł: — «Kirdżali, zaczekaj chwilę, zobaczysz czy mogłem iść przeciw Muzułmanom, mając pod bokiem nieprzyjaciela» — obrócił się do dowódzcy straży — «niech tu przyjdzie Mauros. Chcę abyście wszyscy widzieli Tudora zdradę.»

Czy przypomnienie dobrodziejstw bojaryni, czy wstręt od obelgi odważnego męża, czy też chęć obrony nieprzytomnego, właściwa szlachetnemu sercu, a może wszystkie trzy uczucia zarazem zastukały do myśli Kirdżalego. Poczerwieniał, tupnął nogą: — «Nie prawda, Tudor nie zdrajca» — i mimowolnym ruchem ręki dłoń przycisnął do rękojeści attagana.

Jordaki dodał spokojnie: — «to bydź nie może» — i ręką ujął rękę Kirdżalego.

Ipsylanty spuścił oczy: — «I jabym chciał żeby to nie było; zobaczycie» — W tém wszedł Mauros, jeszcze młody latami a już twarzą stary, nie słońcem ogorzały, ale żółć złości po za skórą się rozlała, tak iż krew rozburzona uczuciem wstydu albo gniewu, przecisnąć się przez nią nie może. Czoło nizkie, oczy w głąb wsunięte, zakryte długą rzęsą, usta sine, podbrodek spiczasty; na rękach palce pokrzywione, paznogcie niekształtnie powyginane, nogi koszlawe,— odrodek upośledzony od natury, i dla tego nienawidzący rodu ludzkiego. Krok jego był niepewny a skwapliwy, jak gdyby się lękał a śpieszył robić złe. Stanął przed Ipsylantym, na jego znak dobył z zanadrza dwa pisma: — «Oto dowody zdrady Multańczyków, dwa pisma Kanimarego Sawy namiestnika Tudorowego, do Kiaja Mehemeda baszy Sylistryi. Jedno za złoto dostałem od psa Szyfuta szpiega Mehemedowego, drugie kupiłem żelazem od albańskiego gońca Sawy.» — Kirdżali okiem powiodł po Fanariocie tak groźno, iż temu aż zadrżały nogi w zgięciach kolan. Oddał pismo, nie przemówił więcéj ani słowa, tylko zębami o zęby

zastukał ze strachu. Jordaki w głos czytał pisma. W jedném Kanimari Sawa obiecywał baszy nakłonić Tudora do poddania się sułtanowi, byle sułtan przyrzekł przebaczenie, zachowanie swobod i wolności Multańczykom, a oraz uwolnienie ich na zawsze od Fanariotów. Sawa pisał: «Jeśli Padyszach mianuje Tudora hospodarem, ja na siebie biorę możny Baszo, wymordować buntowników greckich, i przywieść tobie Ipsylantego, albo żywcem, albo jego trupa.» Drugie pismo donosiło baszy o wyjściu Greków do Tergowicy, a Tudora do Pitesztu. Wystawiał Sawa że ztamtąd multańskie wojsko będzie mogło odciąć Greków od gór, i oddać ich w ręce prawowiernych synów mekańskiego proroka; nalegał aby co prędzéj przysłał hatyszeryf sułtańskiéj łaski dla Multańczyków, hospodarstwa dla Tudora; a przy końcu pisma było: «Ten pies niewierny Kirdżali, twój zdradny sługa, co cię ojcowskiego szczęścia pozbawił, jest z Ipsylantym; a twoja uwiedziona córka, w tych dniach z matką Tudora przybędzie do Piteszlu. Baszo, tylko chciéj, odzyskasz twoje dziecię, pokarzesz zdrajcę.»

Każde słowo tak piekło w serce Kirdżalego, jak gdyby mu przykładano szynę rozpalonego żelaza. Palce w kułaki zgiął i wziął się w boki, i ciśnie, jak gdyby tém ciśnięciem chciał ulżyć sercu. Na czole żyły mu się sprężyły, oczy zdziczały, a zębami tak otarł o zęby, że aż zgrzytnęły; ale słowa nie powiedział. — Ipsylanty się uśmiechnął: — «Widzicie smutną prawdę» — a czereda kapitanów zawrzeszczała: — «zdrajca Tudor, chodźmy przeciw niemu, śmierć zdrajcy!» — Ipsylanty pobladł; zanadto posunął rzeczy, — już brzęczą oręże. Ten wrzask jakby z marzenia obudził Kirdżalego, podniosł dumne czoło, rzucił okiem pana co zwykł rozkazywać tłumowi, i odezwał się głosem tak hardym że wszyscy zamilkli. Tak kiedy orzeł wzleci nad stado kawek i zakracze, one świegotać przestaną i patrzą na niego.

— «Nie na Chrześcian, ale na Muzułmanów wzięliśmy się do oręża. Kanimari Sawa zdrajca, jego pokarze sąd ludzki i Boski; Tudor — ja nie wierzę aby on zdradzał. Natychmiast pojadę do niego. Ipsylanty, dodaj mi swoich poufałych, niech będą świadkami jego odpowiedzi. Jeśli

on zdrajca, przysięgam wam, z mojéj ręki polegnie; jeśli nie, to gdyby i całe wojsko wasze przeciw niemu biegło, ja go zasłonię, was odeprę.»

Długo nikt nie przerwał milczenia. Na twarzy Ipsylantego zabłysła radość że bój powstrzymany, i w oczach widać że już jakiś nowy zamysł uknował. Ujął za rękę Kirdżalego: — «Dziękuję ci imieniem wolności greckiéj, imieniem Chrześciaństwa. Jordaki, Karawija, Mauros, i mój przyboczny adjutant Ozanbruk, pojadą z tobą. Ja chcę braterstwa z Tudorem» — i na tém się skończyła rada.

Ipsylanty długo rozmawiał w osobnéj komnacie z Karawiją, z Maurosem, i z adjutantem Niemcem. Jordaki kazał na koń siadać jednéj rocie albańskiéj jazdy; a Kirdżali ponurym głosem zawołał: — «Michajlaki, tylko ty ze mną z bulgarską jazdą pójdziesz. Beszerewicz zostanie z serbską piechotą; ale niech będzie pod bronią.» — Za godzinę wyjechali drogą do Pitesztu. Wrony koń rwie się pod Kirdżalim, dzwoni zębami o wędzidło, rzuca głową, podsadza się na zadzie, jakby się prosił: puść mi cugle, pole-

cę, tam twoja żona, tam twój syn; ale nieubłagany jezdziec targnął cuglem, i zmusił konia iść stępo, a potém spójrzał na Michajlakiego dumnie, jakby chciał powiedzieć: stałem się panem moich namiętności; i koń chciał tam lecieć, i serce chciało tam lecieć, powstrzymałem jednego i drugie, bo taka moja wola.

Kiedy dojeżdżali do Białego dworu, przede dniami mieszkania muzułmańskiego agi Pitesztu, a dziś chwilowéj siedziby multańskiego wodza; Kirdżali sokolem okiem zajrzał na ganku postać niewiasty przybraną w białą szatę, przy niéj dziecinę, i serce mu powiedziało: to twoja żona, to twój syn. Ale czegoż nagle oczy jego się zagniewały i błyszczą, jak oczy rysia kiedy mu się pokaże pies nieprzyjaciel? Cóż tam zajrzał Bulgarczyk? — Przy niewieście druga jakaś niewiasta i jakiś mężczyzna patrzą na hufiec albańskiéj jazdy Jordakiego, co szła przodem. Kirdżalego Bulgarczyków nie widzą za tumanem pyłu: wszyscy czworo weszli do Białego dworu. Kirdżali pomyślał: ona z nim! — w prawo i w lewo zaszamotał koniem po drodze, i tym ruchem konia kupił postanowie-

nie, bo rzekł sam w sobie: nie będę jéj widział — i jechał daléj spokojnie, ale ponury. Straże multańskie wszędzie im cześć oddawały, przed bramą zatrzymał się hufiec, a sami tylko wysłannicy wjechali na dziedziniec, zsiedli z koni i weszli do komnaty.

Tudor sam jeden bez świadków ich przyjął. Twarz jego była smutna, ale wzrok smiały. Kiedy ujrzał Kirdżalego, poczerwieniał trochę, ale ten rumieniec migiem błyskawicy przeleciał i znikł; powitali się nawet z sobą, Tudor z pewnym rodzajem przychylności, Kirdżali z jawnym wstrętem. Tudor pierwszy przemówił: — «Moja matka, twoja żona, twój syn, jak będą rade z twego przybycia. Chcesz ich zaraz widzieć?» -- i jakaś radość rozlała się po jego twarzy; bo on wiedział że to będzie urocza chwila szczęścia dla Sary Michaeli. Kirdżali dumnie podniosł czoło: — «Zobaczę je potem, a teraz..» — Jordaki dostrzegł tę niechęć Kirdżalego, przystąpił, i zaczął z powagą, powolnie, mówić do Tudora o zarzutach jakie mu robi Ipsylanty, pokazał pisma Kanimarego Sawy. Tudor słuchał, ale twarzy nie zmienił, oczu

nie spuszczał, nie odwracał, — jak to zwykle robi człowiek którego sumienie poczuwa się do winy. Przejrzał pisma, zaczerwienił się gniewem: — «Kanimari Sawa mnie zdradza nie was, i sąd ludu go pokarze, jak dziś pokarał dziewięciu wiarołomnych kapitanów. Jordaki, ty mnie znasz, i z tobą Kirdżali, nie po raz pierwszy się widzimy. Przed waszym Xięciem bym się nie uniewinniał, ale przed wami powiadam, że ani myślą moją nie było sprowadzać na chrześciańskie wojsko Muzułmanów. Co dziś powiedzieli moi bojarowie Ipsylantemu, to dotrzymam. Nie gnuśniejcie w bezczynności, kiedy waszych bezbronnych braci tępi oręż bisurmański w Istambule; nie łotrujcie po kraju, gdzie mieszkają nie wrogowie wasi ale przyjaciele.»

Kirdżali milczał i Jordaki nic nie mówił, bo w ich przekonaniu prawda była ze strony Tudora; Karawija zaś, ów nikczemny przywodzca napadu na Galac, zawołał: — «Multański bojarze, ty nam nikczemność wyrzucasz, a sameś zdrajca.»

Tudor zawrzał gniewem, postąpił naprzód,

nawet rękę podniosł do góry: — «Ty mnie zwiesz zdrajcą, podły rabusiu!»

Karawija cofnął się ku drzwiom; ale w tém jakby na znak umówiony, Ozanbruk i Mauros migiem dobyli kindżałów, i migiem je utkwili w Tudorze, jeden pod piersi, drugi między łopatki — «giń!» Tudor krzyknął «zdrajcy» — i ręką porwał się za głowę. Kirdżali wychwycił szablę z pochew, i żądne ostrze zfarbował krwią zdrajcy Maurosa. Jordaki powstrzymuje konającego Tudora, — tu drzwi z drugiéj komnaty się odemknęły i weszła bojaryni i Sara Michaela. Kirdżali osłupiał, a dwaj zbójcy tymczasem uciekli. Bojaryni patrzy i widzi syna umierającego, widzi nagi i skrwawiony oręż Kirdżalego. Załamała ręce: — «Nieszczęsny, tyś zbójca! — Synu mój!» — i chciała wziąść w drżące ramiona Tudora; on otworzył oczy — «Matko, Saro Michaelo... moja... — nie dokończył, to było ostatnie słowo, z niém wyzionął ducha, i na ziemię się osunął z rąk Jordakiego. — Sara Michaela krzyknęła: — «Tudorze, mój bracie luby» — Jéj głos był rozdzierającym krzykiem boleści, rospaczy. Chciała uściskać Tudora,

ale Kirdżali jak szalony, z obłąkanym wzrokiem, odepchnął żonę aż do ściany. Ona wydała jęk przeraźliwy «zbójca» — i omdlała; on stanął nad nią, zatrząsł się «wiarołomna!» — i może byłby ostrzem przeszył serce najdroższe swojemu sercu, ale maleńki synek na krzyk przybiegł do komnaty, ujrzawszy matkę leżącą na podłodze, rzucił się do niéj i nic nie mówiąc, rączkami zdawał się zasłaniać od gniewu Kirdżalego. Kirdżali spójrzał na syna, wściekłość odbiegła, łza się w oku zakręciła, odwrócił się: — «ja nieszczęśliwy!» i wzrokiem uderzył się o bojarynię leżącą jak bez życia nad trupem Tudora, i o Karawiję odcinającego głowę i rękę Tudora, wschodnim obyczajem na znak zwycięztwa. Opuścił ręce: «o wielki Boże! czyż ja na sobie przeklęstwo noszę» — Tu zaczęły szczękać oręże i na dziedzińcu i na ganku nawet. Multańscy ludzie zasłyszeli o zbrodni od samychże zbrodniarzy, co ją zwalili na Kirdżalego, na Jordakiego, wołają zemsty za swojego cara; bulgarscy, albańscy jezdzcy, bronią swoich wodzow od zemsty. Jordaki porwał za rękę Kirdżalego: «chodźmy, brońmy się» — i wy-

szli. Do komnaty zbrodni i rospaczy weszły multańskie niewiasty i niosą ratunek bojaryni i Sarze Michaeli.

Szczęk broni, widok bitwy, roztrzeźwił Kirdżalego pjanego rospaczą. Jego ludzie w niebezpieczeństwie; — jak się rzuca odyniec ranny pomiędzy psy, tak się on rzucił pomiędzy walczących. Gromkim głosem woła: «nie zabijać, ale bronić się» — a bułatną, szablą, przecina szable multańskie, albo je z rąk wojownikom wytrąca. I Jordaki walczy. Na widok wodzów i Bulgarom i Albańczykom przyrosło męztwa, siły, wyparli się za bramę. Tam wodzowie dosiedli koni, i ciągle parci multańskiemi tłumami, obadwa hufce zwolna cofały się szlakiem do Tergowicy. Już pół drogi uszli, a co raz większe zbierały się gromady Multańczyków; trzeba było drogo opłacić ochronę życia, kiedy nagle zaczęli się wracać Multańczycy krzycząc: «Bisurmanie w Piteszcie!» — Kirdżali zawołał: «nazad!» — i Jordaki powtórzył jego słowo, i jak synowie jednéj matki biegli razem ci ludzie, co przed chwilą się

bili; bo wspólny wróg, wspólne niebezpieczeństwo najlepszemi pośrednikami zgody.

Jeszcze Pitesztu nie widać, a już jak zajrzeć okiem po polach spahowie uganiają bezładne kupy Multańczyków. Jedni broń rzucają, drudzy kryją się w lasy i góry; nie było w Piteszcie wodza coby ich uszykował, coby do nich przemówił, śmierć Tudora była śmiercią multańskiéj niepodległości. Kirdżali poznał że to spahowie Hadży Achmeta baszy Widynia, Sara Michaela stanęła mu na myśli: ona ojcu się dostanie, mój syn będzie muzułmaninem! — i wściekła chęć boju zagrała mu w duszę. Potém pomyślał: ona mnie nie kocha, może tam szczęśliwszą będzie, — i łza zwilżyła mu oko. Tu wrzaski «Ałłach, Ałłach, doleciały, i tuż tuż drogą cwałują nieprzeliczone roty spahów. Trzykroć razy Jordaki z Kirdżalim na nich uderzyli, trzykroć razy ich złamali, i trzykroć razy następnemi rotami zostali odparci. Kirdżali naścinał muzułmańskich głów jak kosarz makówek na bójnéj niwie gęsto zarosłéj makiem; ale cóż mu po tem? on do Pitesztu się nie dostał, żony, syna nie uratował. Zaklęty

powinnością wodza, musiał się cofnąć do Tergowicy. I tam bój; Kiaja Mehemed i Kanimari Sawa wpadli na oboz grecki, i zwycięztwo się im uśmiecha.

Gdzie Ipsylanty? gdzie Kantakuzen? — Od pierwszego wystrzału gdzieś znikli z zamku. Widać pojechali z Karawiją i dwóma zabójcami Tudora, marzyć o przyszłem panowaniu nad Multanami. Swięty hufiec młodych Greków dzielnie się bronił, jakby się mu zdawało, że patrzą na niego bohaterowie Maratonu i Termopilów, i macedoński Alexander. Sławiańscy kapitanowie zażarcie się biją, bo męztwo to własność ich rodu od niepamiętnych wieków. Ale Kiaja Mehemed mąż nieugiętéj woli, silnéj prawicy, a wojska jego mężne jak lwy afrykańskie, liczne jak szakale na stepach Kurdystanu. Mehemed zaklął się na proroka, że nie schowa miecza w pochwy, póki buntowników nie wytępi, i dotrzymał; bo Bóg w swoim gniewie pokarał narod chrześciański za występek wodza chrześciańskiego wojska.

Kiedy Kirdżali i Jordaki dochodzili do Tergowicy, już i miasto i zamek były w płomie-

niach, a niedobitki greckiego wojska cofały się przed pogonią turecką. Słońce zaszło, czarne chmury rozmazały się po obłokach, i deszcz zaczął rosić. Niebo płacze nad niedolą ludzi, a płacze bez wstydu, bo słońce, oko Boże, tego nie widzi. Kirdżali gorzkiem dumaniem przebiegał szybko jedne po drugich wypadki tego dnia. Smutnie westchnął, wzniosł myśl do Boga, krótko i gorąco się pomodlił, krótko i rzewnie zapłakał. Łzy nie wstrzymywał, upokorzyć się przed Bogiem nie wstydził, oko ludzkie tego nie widziało. Czułość i pokora z któréj naśmiewa się mędrek świata, są najpewniejszemi drogami zaskarbienia Bożéj łaski. Kirdżali o nią teraz prosił, a o tém co ludzie powiedzą, w téj chwili nie dbał, a nawet nie pomyślił. Dla namiętnéj a poprawionéj duszy, kiedy wszystkie uczucia w niéj przekipią i swoim warem zmogą serce, myśl o Bogu i prośba do Boga jest jedyną ucieczką.



XVIII.

Noc była ciemna, na obłokach nie widać ani xiężyca, ani gwiazd, ani mlecznéj drogi, ani słupów ognistych, czarno tam i czarno. I na ziemi nie wszędzie jasno, ale w dali od siebie dwie wielkie łuny złotego ognia płoną, jak dwa ziemskie słońca : na południe gore Piteszt, na północ Tergowica gore. Po dolinach, po pod przylaskami, tysiączne ogniki z rzadka błyszczą jak gwiazdki; to nieme znaki zwoływania rozpierzchniętych wojowników Chrześciaństwa. Koło Tergowicy, na równinie, przy bukarestskim szlaku, półxiężycem przy ziemi gęste ognie jaskrawie świecą: to oboz muzułmański Kiaja Mehemeda. Za górami, za laskami nie widać Hadży Achmetowego obozu. Od wschodu wiatr wieje i niesie do ucha jakieś

gwarne, huczne i przerywane brzmienia; do koła słychać tentent koni, stąpanie ludzi i pojedyncze i tłumne: to się szukają chrześciańscy wojownicy. Muzułmanie spoczynkiem czczą cienie nocy; prorok im nakazał: z zachodem słońca schowacie miecze do pochew, i nie dobędziecie ich przed słonecznym wschodem; -- a wojenni wyznawcy Alkoranu, święcie spełniają wolę Mahometa, i tym nakazem łechcą dumę ludzi wschodniego rodu, ciągle powtarzając: i Ałłach wiedział, i prorok wiedział, że my nie wilcy, nie zbójcy, abyśmy potrzebowali do zwycięztwa obsłony nocnych cieni; oni nam dali jasne słońce i biały dzień za świadków naszemu męztwu, naszéj sile.

Na przeciw Dragonesztu, na wzgórzu pod dębowym lasem, Kirdżali i Jordaki stali, i przypatrywali się temu obozowi żałoby chrześciańskiéj ziemi. Albańscy i bulgarscy jezdzcy rozbiegli się po polach skupiać wojowników do Dragonesztu, a tym coby nie zdążyli przybyć, naznaczyć za miejsce zbioru Ardżysowego dworu monastér. Jordaki smutny, ale nadziei nie stracił, a Kirdżalego dusza po namiętnych

szamotaniach się, po gorzkiéj rospaczy, jakby na chwilową ulgę poi się gorącą żądzą boju, pomsty za zrobioną zniewagę imieniowi chrześciańskiemu. Widać przyszła mu jakaś myśl, bo ręką porwał za ramie Jordakiego, a drugą wskazał mu oboz turecki: — «Widzisz, jak po zwycięztwie spoczywa wojsko Kiaja Mehemeda» — obrócił rękę ku Pitesztowi: — «tam gdzieś tak spoczywać muszą spahowie Hadży Achmeta» — i westchnął, bo wspomniał, czy o Sarze Michaeli, czy o synie. — «Słuchaj, mamy jeszcze ludzi, niechaj sen Muzułmanów będzie snem wiecznym. Przede dniem jeszcze wszystko zrobić się może; jeśli polegniemy, to nie sami pójdziemy na tamten świat, nie wielu jutro powita izanem wschód słońca.»

Jordaki potrząsł głową: — «Gdyby o nas szło, chętniebym przyjął twoję radę; ale my teraz jesteśmy wodzami tego osieroconego wojska. W co się ono obróci, jak my polegniemy? Niech się chwilkę pocieszy Bisurmanin, jeszcze nasza sprawa odżyć może, może i zwycięztwo nam dopisać. Zgromadzimy wojowników obudwóch wojsk w monasterze Ardżyso-

wego dworu, a wtenczas uradzimy co mamy począć. »

Kirdżali nie umiał pokryć niechęci kiedy mu się kto przeciwił, nie umiał i niechciał szukać słów na przerobienie obcego zdania, a swojéj woli nigdy nie zmieniał. Dumnie i zimno rzekł: — « Idź do Ardżysowego dworu, zbieraj tam wojsko, niech ci Bóg szczęści; ja z moimi ludźmi pójdę do Pitesztu. Może się zobaczymy kiedyś. »

Jordaki go nakłaniał, błagał nawet aby pozostał; ale jeszcze się taki na świecie nie znalazł, któryby potrafił przerobić wolę tego człowieka który umie powiedzieć; «ja chcę» — i umie dotrzymać to co chce. Kazał Michajlakiemu żywo zgromadzać Serbów, Bulgarów, i tych co zażądają z nim iść.

W Dragoneszcie mnodzy ludzie pogromadzili się kupami koło ogniów, stoją i milczą, obyczajem żołnierzy zwyciężonego wojska. Ci co już stanęli, i ci co przychodzą, patrzą na siebie, a jedni drugich nie śmieją zapytać o towarzyszy, o przyjaciół, o pokrewnych; bo pytając się trzeba powiedzieć gdzie ich zostawili, gdzie byli

sami, trzebaby zdać dobrowolny rachunek z czynności tego dnia, a niemiła to rzecz przyznawać się do ucieczki z pola bitwy. Nie brzęczą orężami, bo każdy szczęk stali gorzki zarzut niesie zesromoconemu męztwu; po siole się nie uwijają, wstyd pokazać oblicze przed starcami i niewiastami, boby się zapytały: a zkąd wy idziecie? a gdzie wrogi? Nawet o jadle, o spoczynku nie myślą; ciężko tam karmić jadłem, kołysać snem ciało, gdzie dusza przesycona żalem i rozbudzona gorzkim smutkiem. Oj nie tak to bywa w zbiorze wojska po zwycięztwie! Tam każdy wykrzykuje i brzęczy orężem, i choć nie bohatérował ręką na polu bitwy, to bohatéruje językiem przy ognisku obozowém.

Już przybiegła wieść że Ipsylanty, Kantakuzen, i z nimi wszyscy ich przyboczni, ku siedmiogrodzkiéj granicy zbiegli szukać przytułku u wiedeńskiego pana. Wojacy obojętnie tę wieść przyjęli, oni nigdy nie widzieli tych wodzów na polu bitwy, tylko z imienia ich znali. Przybył Jordaki i zaczął rozkazy dawać, słuchali go wszyscy i błogosławili jemu że wziął

nad nimi rządy, a nawet w ich serca otucha wstąpiła. Ludzie wojny bez wodza, jak roj pszczół bez matki, rozproszą się i sczezną; oni cześć i posłuszeństwo niosą temu, co ich do boju wiedzie. Ale każdy myśli: i jabym tak powiodł, i ja mam serce mężne, mam ramie silne, a losy bitwy w mocy Bożéj; ale kto po rozbiciu żołnierzy zbiera i powiada im: ja was powiodę, tego oni wielbią, temu oni błogosławią, bo mało któremu przyszłaby chęć bydź wodzem w nieszczęściu.

Michajlaki już zgromadził trzystu Serbów pod wodzą Beszerewicza, stu jezdców bulgarskich — resztki téj pięknéj Miłoszowéj jazdy, i stu Greków ze świętego hufca pod dowództwem Kantagoniego i Safianosa, co zażądali uczestniczyć w wyprawie Kirdżalego. — Idą manowcami ku Piteszlowi; ziele przesiękłe rosą chrupocze pod nogami, konie wędzidłami podzwaniają, czasem parskną, czasem się strzepną z rosy, a ludzie nic do siebie nie mówią. Wprost się kierują na pożar Pitesztu, do koła nich cisza rozległa, szeroka, tylko kiedy przechodzą koło góry albo lasu, to wiatr zagwiżdże

jak gdyby zły duch pędził powietrznym szlakiem, albo kiedy nadejdą nad rzeczkę, to kropelki drobnego deszczu głucho brzęczą po wodzie, jak gdyby pacierz szemrały. Ludzie błąkający się po polach, biegną na rozgłos pochodowy tłumnego hufca, i nie mogą rozeznać w pośród nocnych cieni czy to wrogi, czy to przyjaciele, a przejęci zwierzęcém uczuciem ochrony, przypadają do ziemi, albo do drzew się tulą, i tak tam nieruchomi, jak drzewa, jak ziemia; zwierzęta dzienny mbojem przepłoszone, w dalekie się lasy porozbiegały.—Kirdżali przodem jechał, patrzy okiem na pożar i tęskno mu w myśli; u niego dusza nie zakamieniała w grzechu, u niego serce nie zagłuchłe na głos czułości: kiedy namiętności najdą na jego uczucie, to jak ta chmura skwarnego lata, szczodrze wyszafuje błyskawicami, gromami zahuczy, ryczałtem wyrzuci pioruny, a po tém rzewnym deszczem żalu płacze za złe, co naniosła swojemi wybuchami. Kirdżali spowiada się samemu sobie i myśli: o wielki Boże! ty widzisz, jam nie winien, jabym go zastawił mojemi piersiami, a bojaryni pewna żem ja

morderca jéj syna, przeklina mię teraz; a ona— w myśli nawet nie chciał wymówić imienia Sary Michaeli — ona go kochała! I znowu namiętność zaczęła buntować duszę. W tém Michajlaki podjechał i chciał cóś mówić, ale koń Kirdżalego podkowami nadybał krzemienie i gęsto skrzesał ognia, przy bryzgach iskier zamajaczała groźna twarz Kirdżalego, i Michajlakiemu odechciało się przerywać milczenie, — Już Piteszt tuż przed nimi, Kirdżali patrzy, nigdzie ogniów obozowych, tylko miasto dogoréwa: czy w mieście Muzułmanie spoczywają? czy nade dniem pogasły ognie w obozie? — Wzniosł oczy ku niebu, i ztamtąd widno zachwycił Bożéj łaski, bo jakiś nieznany głos szepnął do myśli: ona ci wierną, ona nad ciebie nikogo nie kochała. Słodka nadzieja: może ujrzę żonę i syna, — wśliznęła się do serca, orzeźwiał tą nadzieją. Ja jéj wszystko wyjawię, przebłagam ją, ona zapomni, ona mnie kocha. — Zatrzymał hufiec, wzrokiem pociągnął do koła po okolicy. Żaden ognik nie błyszczy, tylko w mieście mdlejący pożar płomieniem konania słabo buchnie, i blado zajaśnieje z po-

między gęstych kłębów dymu; już i na dzień się zabiera, w stronie świtania obłoki zaszarzały, i jasność powoli, nie śmiało, zmywa czarną barwę nieba — Kirdżali z hufcem poszedł wprost ku miastu, a kilkunastu jezdzców rozesłał w prawo i w lewo szukać obozu muzułmańskiego: pod samém miastem przeznaczył dla nich miejsce zbioru. Z kopyta kopnęli jezdzcy, i długo ziemia stękała gęstém i szybkiém tętnieniem, znak że dziarsko wykonane rozkazy wodza. Hufiec przyszedł pod miasto i stanął. Kirdżali na czele kilku jezdzców wjechał w ogorzelisko. Od razu dym zagryzł w oczy i zatknął oddech, ale to przeszło, piersi odetchnęły, oczy przejrzały: żarzą się węgle, płomyki jeszcze się słaniają, dymią się zgliszcza niepodopalanych domów, a nigdzie nie widać żywéj duszy. Wjechał Kirdżali na miejsce, gdzie jeszcze wczoraj stał Biały dwór, tam już wszystko zgorzało, nawet główn ie nie dymią. Na dziedzińcu pełno opalonych kości, dokoła nich czarne szmaty, czy to spopielone ubiory, czy skołtunione ogniem ciała ludzkie. Patrzy, czegoś szuka, zsiadł z konia, blady schylił się, podnosi cóś w ręku: zda

mu się że drobniutka kość jego syna. Słabo mu, ręce zadrżały, ostatniém wysileniem złamał tę kostkę — to kawał drzewa! «Dzięki ci wielki Boże.» — i opuścił drzewo na ziemię; ale tak się zmógł tém zakołotaniem ojcowskiego uczucia do serca, że oparł się na grzbiecie końskim, i wikłał myśl w dziwną plątaninę dumania.

W tém nadjechał Michajlaki: — «Banie.»

Kirdżali się ocknął: — «Co ty chcesz?»

— «Multańscy ludzie powiadają, że po złupieniu i spaleniu miasta, jeszcze wczoraj przed wieczorem Hadży Achmet z łupami i jeńcami pociągnął ku Bukarestowi.»

Już Kirdżali na koniu. — «I my za nimi pociągniemy, nie ujdą naszéj pogoni,» — i wczwał wyskoczył koniem za miasto.

Już dzień przerzucił się po niebiosach i na ziemi widno. Koło hufca Kirdżalego stoi kupka multańskich ludzi i cóś opowiada; ale skoro ujrzęli jezdzca na czarnym koniu, poczęli uciekać w pole wrzeszcząc: to zbójca naszego hospodara. Jezdzcy bulgarscy na koń siadali, aby biedz w pogoń za ludźmi, co słowami obrażali ich wodza; ale Kirdżali krzyknął: — «Z ko-

ni! dać im pokoj » — i sam odjechał na bok– Ludzie ode mnie uciekają! Jest kara Boża i na tym świecie. Hussejnie, mieszkańcy Hrazgrady, to za was! — i konia tak targnął, że ten aż się zesłupił.

Michajlaki podjechał. — « Banie, gdzie pójdziemy? »

— «Gdzie moje oczy mnie poniosą, tam wy pójdziecie. »

Michajlaki zniżył głos : — « Kirdżali, to twój najwierniejszy sługa, twój najlepszy przyjaciel do ciebie mówi. Tyś sobie uroił widmo szczęścia i za niém gonisz, a ono tego niewarte. »

— « Co za widmo szczęścia, i jakto niewarte?»

— « Niewarte. Ty gonisz za żoną, a ona ci wiarołomna. »

Już Kirdżali zaiskrzył oczyma i chwycił ręką za pistolet : — «psie przeklęty, wiarołomna! » — Michajlaki kaftan odsłonił na piersiach : — « Masz! zabij mnie; ja ciebie więcéj kocham niż moje życie, ja ci wszystko powiedzieć muszę, prawdę całę com widział na swoje oczy.» Rozbroił się gniewliwy popęd Kirdżalego, ręce opuścił, oczy ponuro wnurzył w ziemię —

« Mów , ja słucham ; włos ci z głowy nie spadnie. »

Michajlaki zaczął opowiadać o tém co widział w rudnickim zamku, kiedy przyjechał po raz pierwszy do Miłosza Obernowicza ; zaklinał się na sławę wojenną Arnauty, że widział jak Sara Michaela z Tudorem za ręce się ściskali , jak oboje płonęli w rumieńcach. Nie z taką boleścią przestępca skazany na śmierć słucha wyroku sądu, jak słuchał Kirdżali słów Michajlakiego: tamtemu odbierają życie i wszystko co się z tém życiem kończy ; temu życie zostaje, ale z niém zdeptana miłość, zawiedziona wiara, krwawa rospacz , niesława dziecięcia i jego własna. Bladł i czerwieniał, a nie przerwał mowy. Michajlaki świdruje oczyma po jego twarzy , i pomyślał : dokazałem wszystkiego. Dokończył, a Kirdżali milczy. Arnauta znowu odważył się przerwać milczenie : — « Nie trap się mój wodzu ; miłość ci nie dopisała, ale sława wojenna dopisze : wróć między góry, tam są nasi, może doczekamy się szczęśliwszéj chwili: zapomnij o wiarołomnéj , a synowi nagromadź bogactw, my go znajdziemy. »

Widać że te słowa rozburzyły dumę Kirdżalego, bo czoło podniosł, okiem zabłyszczał: — «Ja rozbojnikiem! — nie, nigdy. Memu dziecku trzeba sławy; będzie miał sławę, i imie, i bogactwa, albo się kiedyś dowie o mojéj śmierci. Michajlaki, niech na koń siadają jezdzcy, pójdziemy.»

Arnauta słowa nie rzekł, pojechał spełnić rozkaz. Znał dobrze namiestnik, że nie w porę byłoby gadać kiedy ban rozkazuje; ostrze szabli, albo ołowiana kulka mogłaby snadnie zastąpić słowo odpowiedzi. Kirdżali jeszcze raz się zamyślił: zapomnieć o niéj! Ja ją tak kochałem, tak kocham! Oni mnie zdradzili; a ja gotow byłem za niego życie poświęcić. O rodzie ludzki! — Cierpko w sercu, spójrzał na niebo: — Boże! ty mnie srogo karzesz, ale jam wielki grzesznik. O mój synie! o moje lackie imie! cóż się z wami stanie? — i tém dwoistém przypomnieniem potrącił uśpioną dumę. Machnął ręką: — ja będę bulgarskim carem — i pomknął konia ku hufcowi.

Weszło słońce i świeci okazale, duma obsiadła wysokie czoło Kirdżalego i przez oczy błysz-

czy groźnem spójrzeniem. Zaweselały góry, lasy i doliny, bo patrzą na jasne lice słońca; rozhardzieli i twarzą i duszą bulgarscy jezdzcy, piesi Serbowie i Grecy, bo patrzą na bohaterską postać wodza. Ptaki polatują ku słońcu, trzepią skrzydłem i świegocą radośnie; i hufiec za swoim wodzem ciągnie ku wschodowi, idzie żwawo, ale idzie cicho. Przyszli nad szlak bukarestski, Kirdżali na nim się zatrzymał, popatrzył na ślady, i nagle konia zwrócił, jak gdyby go djabeł nastraszył. Od strony Bukarestu twarz burką zakrył i jechał wprost Fokszańskim szlakiem. Sara Michaela mu się przypomniała, i nie chciał patrzeć w tę stronę gdzie myśli że ona jest; nie chciałby nawet myśleć o niéj, ale to darmo : miłość nie ręką się bierze, nie ręką się odejmuje, ona uczuciem zapanowuje sercu i duszy, i na lada chcenie człowieka nie rzuca swego panowania, zawzięcie walczy z jego wolą, i najczęściéj zwycięzko zdepce tę wolę. Idą ku Fokszanom, Michajłaki ani domyślić się nie może gdzie ich wódz wiedzie, a wojakom mniejsza o to gdzie, byle ich wiodł. Kirdżali tylko marzy : ku Prutowi pójdę, Muzułmanie po-

myślą, poszedł szukać schronienia u Białego cara i przestaną Dunaj zamykać. Stara kochanko! Sławiańska rzeko! ty jeszcze mnie raz przeniesiesz na swoim grzbiecie. Krwią moją za bulgarską wolność, za wiarę Chrystusa, odpokutuję sylistryjską rozsprawę.—I zdawało mu się, że on, potomek jakiegoś lackiego xiążęcia, że już będzie bulgarskim carem. Dumny człowieku, baw się marzeniami, może kiedyś będziesz je gorzko opłakiwał, bo wiedz o tém że nie każdemu Pan Bóg dał być Miłoszem.

Trzy dni szli i trzy nocy, i nie widzieli za sobą pogoni tureckiéj, aż dopiero czwartego dnia, kiedy przeprawili Seret, ukazały się od Białego Rywnika kupy spahow. Kirdżali odpierał je bulgarską jazdą, aż nowe roty spahow od Adżuda pędzą z armatami — Kirdżali i na tych uderzył i powstrzymał na chwilę. Ale coraz większa moc Muzułmanów przybywa, chrześciański hufiec cofa się ku Prutowi. Na drugiéj stronie besarabskiéj rzeki, widać na słupach dwugłowe orły, znamiona dzierżaw Białego cara, widać Skulany wiankiem po nad rzeką rozesłane, bieleją ich domy, czernieją

dachy. I beserabscy mieszkańcy i moskiewscy żołnierze, wyszli ku brzegowi i patrzą jak na ciekawe widowisko, a nie idą nieść pomocy chrześciańskim braciom. Kirdżali znalazł ślady dawnych okopów jeszcze nie zapłynione czasem, i tam postanowił bronić się aż do nocy, a w nocy może Bóg pozwoli przebojem przerznąć się ku Dunajowi. Jak rybołowce nad rybnym stawem, jak komory nad oparzelistém błotem, tak Muzułmanie rojami do koła się uwijają i krzyczą Ałłach! Ałłach! i z rusznic, i z armat palą, a przybliżyć się boją do lichego okopu, bo tam się bronią dzielni mężowie. Zginęło kilku ludzi w chrześciańskim hufcu, ale Muzułmanie zawalili błonie trupami; bo który tylko się zbliżył pod okopy, to życia nie uniosł; strzały Chrześcian trafne, ich kule o zakład śmierć w podarku niosą. Ośm godzin trwała krwawa bitwa, a z tamtéj strony rzeki tylko okrzykami męztwu Chrześcian poklaskiwano. W tém, od Berłatu na szlaku ukazał się liczny pułk konnicy. Po przedzie na złoto-gniadym koniu jakiś wprawny jezdziec sadzi; za tym pułkiem inne pułki, a wszyscy w spisy zbrojni.

To nie spahowie, to nie albańska jazda muzułmańskich baszów; to lackie plemie, dzieci Zaporoża. Kirdżali ich poznał i pomyślał sobie: oni Lachy, i ja lackiego rodu; oni Chrześcianie, i my Chrześcianie, a walczyć przeciw sobie będziemy. Sara Michaela i syn, stanęli mu przed myślą: wiarołomna! ja ci przebaczam; moje dziecko, niech ci szczęście sprzyja. — Obrócił się do swoich, czoło wypogodził, nawet uśmiech zaigrał na twarzy: — «To nic. Nie strzelać, póki nie dam znaku.» Kazał reszcie bulgarskich jezdzców z koni zsiąść i stanąć w szeregi, i sam był na pieszo.

Pułk Zaporoża idzie kłusem, ale idzie cicho spahowie drogi im ustąpili, na boku stanęli i patrzą co to będzie. Żadnego krzyku u Zaporożców, nie śmieją wezwać ku pomocy Boga jak to robili dawni ich przodkowie, a wstydzą się wykrzykiwać imie Ałłacha. Już pod okopami. Kirdżali krzyknął «strzelać!» i Serbowie z rusznic wypalili, i kilkunastu Zaporożców z koni się zwaliło; ale reszta w czwał przekop przeskoczyli i już spisami zapruli po między szeregi. Zaczęła się pojedyncza walka chłodną

bronią: kolą się i sieką, jak byki rozjuszone, jak psy zażarte tak się żrą. Kirdżali głosem zachęca, a bułatnym mieczem odmiata ręce, nogi ludzkie, płata łby końskie. Sześć razy już ranny, krew się leje, ale ręka nie osłabła, serce nie przymdlało, bo dusza coraz silniejszym ogniem gore. Jak duch piekielny skacze po bojowisku, jak gorliwy apostoł śmierci, w około siebie śmierć hojnie rozdaje. I jego ludzie walczą. Kantagoni skonał od cięcia atamańskiéj szabli, Safianos pchnięty spisą sam się wsunął na spisę, aby mieczem dostać szyi wroga, i obadwa się zwalili na ziemię konać w swoich uściskach. Beszerewicz gromadzi swoich, a Michajlaki tuż przy Kirdżalim; onby chciał każdy cios na niego wymierzony, przyjąć na siebie. Ale już Zaporożcy wyparli z okopów chrześciański hufiec i prą ku Prutowi. I czegoż zaporozki wódz na złoto-gniadym koniu, taksię zasierdził zajrzawszy Kirdżalego? — « Ha, przecie ciebie znalazłem psi synu » — i skoczył ku niemu koniem. Kirdżali poznał atamana Neczaja i przypomniał sobie Hrazgradę. Mieczem chciał odpłoszyć konia i ciąć atamana; ale koń

się odwinął, a ataman mieczem pchnął tak silnie w pierś Kirdżalego, że ten aż się zwalił na ziemię: — «Brońcie się! Michajlaki tyś ich wodzem» — Michajlaki choć kilkakrotnie ranny, porwał go na ramiona; resztki hufca zasłaniały wodza swojemi piersiami, a Arnauta, jak czuła piastunka przeniosł go na tamtą stronę Pruta, i złożył na murawie, a sam padł, — ale padł bez ducha. Krew uszła, siły wycieńczały, i skonał nie jak zbójca, ale jak rycerski mąż, jak wierny namiestnik, co swojem życiem ocalił życie wodza.

Ustała bitwa.. Kiedy Kirdżali przyszedł do siebie, patrzy gdzie jest? Widzi do koła ledwie kilkunastu ludzi swego hufca, rannych, bezbronnych; widzi ciekawy lud besarabski i żołnierzy Białego cara. Spójrzał na bok, — tam trup Michajlakiego jeszcze leży. Chciał się podnieść, nie może; potrącił trupa: «Michajlaki» — ktoś z tłumu zawołał: «on nie żyje.» Boleśnie spójrzał Kirdżali, i przerywanym głosem rzekł: «jedyny przyjacielu, i ciebie straciłem. — Żono..!» — zatrząsł się. «Synu! — już was nie zobaczę. Sławo, potęga, —

w cóż się wy obróciły?. » Zamknął oczy, widać żeby łez nie przepuścić, ale te się gwałtem przecisnęły, i wszystkim było smutno: nie jeden z przytomnych łzę miał w oku na uczczenie jego boleści. Wzięli go na nosze i zanieśli do Skulan.

Niedaleko miejsca pobojowiska, Zaporożcy rozniecili silny ogień i obsiedli go do koła. Jedzą, piją, gwarzą, i ukraińskie dumki nucą, jak za dawnych, szczęśliwych polskich czasów. Czy pan ataman, jak to dawniéj bywało, na rozkaz Króla Jegomości, na wezwanie senatu Rzeczypospolitéj, wyszedł z mołodcami plądrować bisurmańskie ziemie, albo gromić niewiarę Tatarzyna? O nie! Oni dziś krew chrześciańską przelewali, a choć zwycięzcy, smutnie patrzą w stronę Ukrainy, i smutnie mówią: nie masz Króla w Polszcze, Rzeczpospolita nieładem przepadła. Oj kiedyby to nam Bóg pozwolił wrócić nad Dniepr, w rodzinne Zaporoże, kiedyby to nam doczekać Króla w Polszcze i potęgi Rzeczypospolitéj jak bywało za czasów naszych przodków, i mybyśmy jeszcze po naszemu, po zaporozku zawiedli ta-

niec z wrogami matki Polski, zahulalibyśmy jeszcze na jéj cześć, a na naszą sławę.—I hardzi mołodcy, choć w bisurmańskich zawojach, chrześciańską myślą modlą się do Boga o ubłaganie spełnienia gorących życzeń ich serc. Trochę na stronie siedział stary ataman Neczaj, a podle niego asawuła Bohdan. Siedmdziesięcioletni ataman gładził lacką karabelę, dawną i wierną towarzyszkę. Oj gdyby ona miała język, od nitki do nitki opowiedziałaby całą wojaczkę atamana; bo od piętnastego roku życia, ani razu z nią się nie rozstał Neczaj, a jak jéj używał, to wie Bóg, wiedzą bracia Zaporożcy, i wrogi — «Ha, daliśmy im hartu, nie wielu ich się tam policzy u Moskali. Dobrze im tak, niech nie wierzą Moskalowi. Ale ten pies Kirdżali, nawinął mi się na oczy, już on teraz nie zmartwychwstanie. Niech mu sprawią pogrzeb Moskale, albo kruki i psy jego ścierwo roztaszczą, to mi jedno, byle psa przeklętego nie było na ziemi.»

Asawuła pokręcił wąsa: — «Ojcze atamanie, czém ci zawinił ten człowiek, wszak on nigdy między nami nie był; za młody, aby za twych

czasów współzalecał się z tobą do dziewczyny; ukradkiem ci nie najeżdżał złotogniadego.»

— «A pamiętasz ty Kordakiego?»

— «Pamiętam tego Arnautę, co go to djabli wzięli w Izmajłowie. Kirdżali ani syn, ani brat jemu. Tamten paskudny jak poganin, a to czupurny chłopiec, szkoda że nie Kozak.»

Ataman się zachmurzył: — «Kozak, na pohybel jemu» — coś pomruczał pod nosem, ale widać że mu przyszła chęć powiedzieć Bohdanowi to, co dotąd było tajemnicą; całą dłonią musnął po wąsach: — «A pamiętasz ty tego psu brata co był z Kordakim?»

— «Pamiętam, to był Ilwandży Bulgar. On miał tyle złota jak han tatarski, a tak niém siał szczodrze jak lacki pan.»

— «To prawda, i to to złego narobiło. Ty dobrze przypominasz sobie naszego brata Teterę?» — potrząsł głową ataman i westchnął.

Bohdan patrzy mu w oczy: — «Jakbym dziś go widział, tak mi stoi w myśli Tetera; ale co się z nim zrobiło, to tego dobrze nie wiem.»

Neczaj przeżegnał się krzyżem świętym: — «Wieczny odpoczynek jego duszy. Takich lu-

dzi już nie masz na świecie, bo to był i do konia, i do szabli, i do szklanki, i do dziewczyny, wszędzie chwat; prawdziwy lacki szlachcic. I był szlachcic prawdziwy z dawnego rodu, zapisał się w rejestr Zaporoża, i od najmłódszych lat razem z sobą byliśmy w Nekrasy kureniu jeszcze na Ukrainie. Ty byłeś chłopięciem, — ale nie będę ci powtarzał jakeśmy się bili za matkę Polskę, jakeśmy nad Dunaj przyszli, jak pomarł nasz ojciec, nasz ataman Nekrasa» — i tu staremu Neczajowi zatkały się słowa od żalu, a Bohdan płacze, i chwilką uroczego milczenia uczcili pamięć pomarłego atamana. Neczaj odetchnął: — «Nie becz stary, bo i ja się rozpłaczę, a płaczem nie wrócimy z grobu naszego ojca; ale słuchaj o Teterze..» — a dzwięk jego głosu dygotał tłumionemi łkaniami, łzy jednak nie przepuścił z oka: — «Nie było wojny z Moskwą, Sułtan nie potrzebował naszéj służby, powlekliśmy się z Teterą zwiedzić bulgarski kraj, a zwyczajnie jak to bywa na włoczędze, zdarzało się wycierać gościnne ściany. Razu jednego zajechaliśmy do bulgarskiego kniazia Iwana Stryboży. Kniaź nas uczciwie

po sławiańsku przyjął; takiem jadł, pił, aż mi się Polska przypomniała. Teterze wpadła w oko kniaziówna, miła, pohoża, jak wiosenna pogoda; liczko białe jak kwiat kaliny, rumieniec jak barwista maliny jagoda, oczki czarne gdyby gwiazdki błyszczące; jak rozplotła warkocze, to krucze włosy aż do kostek spadały, a kibić i okazała i gibka jak u Laszki. Było się w czém pokochać, taka słodka w słowach jak miód, a potulna jak rozpieszczona koteczka. Ale dobrze to mówią, że jak znajdziesz czaszkę kobiecą albo końską na śmietniku, to jeszcze chełznaj i dobrze się pilnuj, bo i po śmierci gotowa bryknąć. Był tam i ten suczy syn Ilwandży, wychowaniec kniazia, a jak oni tam mówili, syn także kniazia tam jakiegoś. Ale wtenczas djabli tam uważali tego młokosa. Tetera bez korowodów powiedział kniaziowi, że chce mieć kniaziównę za żonę, i kniaź mu ją oddał. Wesele było huczne, po tém Tetera z żoną pojechał do Czarnowody, a ja wróciłem do Babadadży i wtenczas przyjąłem na służbę do siebie tego hycla Albańczyka Kordakiego. W sześć miesięcy poźniéj, przybył Ilwandży, — wiesz ja-

keśmy go przyjęli. Po czterech tygodniach pohulanki z nami, powiedział mi że chce jechać do Czarnowody do Tetery; dałem mu za przewodnika Kordakiego; bogdajem był wprzódy i mowę i władzę stracił. We dwanaście godzin sam za nimi wyjechałem, i w drodze wszystko mi złe zwiastowało: zające drogę przebiegały, kruki krakały po lewéj stronie, a nigdzie nie było widać ani wilka, ani sroki. Przyjeżdżam przed dóm Tetery, — głucho, wrota od dziedzińca otwarte, i drzwi od domu pootwierane. Wchodzę, — trup wiernego Kozaka w sieni; aż mi zimno przeszło do kości. Wchodzę do komnaty Tetery, leży na łożu we krwi zbroczony. Jeszcze żył, poznał mnie, konającym głosem przebąknął: « Ilwandży zabójca, i ona... » cóś niezrozumiale gadał, po tém podniosł głos: « pomścij mnie, krew za krew » — i skonał. I ja przy jego zwłokach zaprzysiągłem pomstę jego śmierci. Szukałem sług Tetery, i wszyscy siedmiu pomordowani byli. Ze trzy miesiące z mołodcami po wszystkich krajach Padyszacha goniłem za nimi, a nigdzie opytu o nich wziąść nie mogłém. Kniaź Stryboża z rozpaczy

umarł; to była jego jedynaczka córka. Z górą dwa tuziny lat poźniéj, w Izmajłowie dowiedziałem się o śmierci Kordakiego i o tym Kirdżalim. Pamiętasz Hrazgradę; byłbym go wtenczas zabił, ale on był bezbronny, a Zaporożec na bezbronnego ręki nie podnosi. Potém mówił mi Hakim o Kirdżalim to co wiedział, byłem w Sylistryi, widziałem człowieka co przebył straszliwą dżumę, on znał matkę Kirdżalego; to była ona kniaziówna, w nędzy umarła dając życie dziecku występku. Widział raz nawet Ilwandżego, ale raz, i nie wie gdzie się podział. Nie znalazłem ojca, na synie się pomściłem, przelałem krew za krew.»—Skończył Neczaj, zadumał się, i znowu przemówił: — «A jeśli mój miecz mię zawiodł i on jeszcze się wyliże, Kiaja Mehemed o niego się upomni; Moskale go wydadzą, o jednego człowieka bić się nie będą: trzeba krwi za krew» — I jakby się zemstą uspokoił ataman, położył się na burce; i asawuła spoczywał rozmyślając. Płomienie ogniów przygasły i Zaporożcy spać się układli; ognie jeszcze się żarzą i popielą, a Zaporożcy we śnie marzą o Ukrainie, o matce Polszcze.

Kirdżali w kiszeniewskim monastérze znalazł schronienie, bogobojni czérncy troskliwie go pielęgnowali, i dni i noce trawili przy jego łożu. Spełniając ten słodki obowiązek Chrystusowéj wiary, w duszy żywili miłosierdzie chrześciańskie, a na twarzy nosili piętno chrześciańskiéj pokory. Swiątobliwy ojciec Paweł, przełożony monastéru, jak matka nad chorem dziecięciem, tak nad Kirdżalim się rozchodził. Powiadali Czerncy między sobą, że kiedy po raz pierwszy opatrywał ranę na piersiach Kirdżalemu, to zbladł, i płakał, i całował obraz Matki Najświętszéj, dziękcząc że ocaliła dni chrześcianina. Od téj chwili nie odstępował chorego, sam maść przykładał do ran, sam lekarstwami napawał, i lał słowa pociechy do ucha. Ojciec Paweł człowiek poświęcenia się, on zawsze skwapliwie niosł ratunek cierpiącym, nigdy do niego po raz drugi nikt prośby nie powtórzył, dosyć aby usłyszał: «ja cierpię» — już on biegł z pomocą; ale nie widywano go nigdy w takiem rozczuleniu. Dawniéj ojciec Paweł spełniwszy powinność przełożonego; po całych dniach i nocach modlił się, pokarmu mało przyjmował,

i snem krótko się zasilał; a teraz ciągle przy Kirdżalim, nawet czasem zaniedbuje modłów. Czerncy mówią : ojciec przełożony tak troskliwy o zdrowie obrońcy chrześciańskiéj wiary; a może Kirdżali to jego ziemianin, bo ojciec Paweł z jakicheś dalekich sławiańskich krajów.

Dzieśięć dni upłynęło od skulańskiego boju, Kirdżalemu rany ciała się pogoiły i do sił przychodził; ale nie bliźnią się rany serca, i dusza chwilki jednéj spokoju uzyskać nie może. Modli się, słucha słów pociechy z ust ojca Pawła, słucha ich z upragnieniem, bo jakimeś niepojętym urokiem świątobliwy kapłan owładał jego duszę: po raz pierwszy hardy Bulgarczyk uznaje, że może mieć władzcę i na téj ziemi. Ojciec Paweł mówi : Bóg nam przebacza, i myśmy powinni przebaczać bliźnim; a Kirdżali modli się za duszę Tudora, i gotowby się zaraz rzucić do nog Sarze Michaeli i błagać o przebaczenie, przed bojarynią wszystko objawić; i myśli : oni przebaczą, a ty mój synu, kochaj twego ojca, ale nie bądź takim jak on.

Po południu nad wieczorem, Kirdżali z ojcem

Pawłem siedzieli na kamiennéj ławce przed monastérem. Słońce spuszczało się ku dołowi, jego oblicze jasne a nie gorące, słało spojrzenia pożegnania ziemi i wszem Bożym tworom. W dali ryczało bydło wracające ze stepów w zagrody. Po nad jeziorem jaskółki się pławią i dziwne zygzaki kreślą: zdybią się, zaświegocą do siebie, jakby powiedziały sobie jaką tajemnicę, i znowu się pławią. Na drzewkach, w burzanach, na murze, rozmaite ptaszki gwarnemi pieśniami dzwięczą: widać rozmawiają o tém, co się któremu przytrafiło przez dzień cały. Ludzie kupkami z pól, z roboty wracają, i także sobie wzajem powierzają swoje myśli, swoje zdarzenia, a może i uczucia. Zda się że cała natura głośnem wołaniem wzywa cierpiącego: otworz twoje serce przed bliźnim, lżéj znosić cierpienia kiedy Bóg przyszle szczerego przyjaciela, szukaj a znajdziesz. Kirdżali nie namawiany uczuł tę potrzebę, i opowiada całe swoje życie ojcu Pawłowi. Przełożony nigdy natrętném słówkiem nie objawił chęci odkrycia tajemnicy Kirdżalego, ale kiedy on sam zaczął mówić, to go słucha jak spowiednik spowiedzi,

jak chrześcianin słów Ewangielii. Ucho nadstawił chciwie, słówka nie chce stracić; to blednie, to czerwieni się, to płacze i wzdycha : świątobliwy kapłan czuje cierpienia bliźniego. Skończył Kirdżali, przełożony ujął go za głowę drżącemi rękoma i tuli go do łona — głos jego stłumiony : — « Synu, Bóg przebacza występniejszym grzesznikom, i tobie przebaczy. Synu, w Bogu miéj nadzieję, przejdą twoje nieszczęścia » — Jeszcze tych słów nie dokończył, kiedy zadzwoniły dzwonki pocztowe, zaturkotały koła i zatętniły kopyta końskie : to kapitan Isprawnik z Kiszeniewa, z nim moskiewscy żołdacy na koniach. Ojciec Paweł i Kirdżali we łzach, rozczuleni; kapitan Isprawnik zsiadł z kibitki : — « Ojcze przełożony, jak się macie, u was tu jest Kirdżali Bulgar. »

Kirdżali podniosł się, a nim ojciec Paweł otworzył usta, on spójrzał dumnie na kapitana Isprawnika : — « Ja jestem Kirdżali, czego ode mnie chcecie? »

Uśmiechnął się Isprawnik : — « Wybieraj się w podróż; trzeba ptaszku abyś zdał porachunek Turkom z dawnych sprawek. »

— « Kto ty jesteś? Ja na waszéj ziemi gościnności przyszedłem szukać, nic złego u was nie zrobiłem. »

Isprawnik obrócił się do żołdaków: — «Okuć go w kajdany. Widzisz mi jaki zuchwały» — I żołnierze rzucili się na Kirdżalego. On wyrzekł: — « Nikczemniki!. » — i nie silił się opierać.

Ojciec Paweł do nóg rzucił się Isprawnikowi: — « Zaklinam ciebie, zostaw mu wolność; on ma żonę, dziecko.. »

Isprawnik podniosł drżącego starca, wydobył rozkaz, pokazał: — « Tak przykazano, tak być musi; to w imie Gosudara. Ojcze ja nic poradzić nie mogę. »

Kirdżali już okuty zawołał: — « Ojcze, nie błagaj ich » — ukląkł i kajdany zabrzęczały. Isprawnik i żołdacy odskoczyli na bok, Kirdżali spójrzał na nich z politowaniem, a obróciwszy się do przełożonego: — « Błogosław mnie ojcze. » Ojciec Paweł łkającym głosem wymówił: « Błogosławię ciebie w imie Boże » i dodał — « Ja pójdę za tobą błagać Muzułmanów, i oni mają serca » — Uściskał Kirdżalego, ucałował

go w czoło i skropił jego włosy łzami. Kirdżali ucałował jego ręce: — « Bądź zdrów ojcze, pomódl się czasem za mnie » — spójrzał na żołdaków, potrząsł kajdanami: — « Niebójcie się, ani miecza, ani rąk wolnych nie mam » — i sam wsiadł do karucy, trzech żołnierzy z nim wsiadło. On krzyknął: « poganiaj! » — pocztarz zaciął konie i karuca potoczyła się bitym szlakiem ku Skulanom.



XIX.

Na tym Bożym świecie, wszystko się dziwnie dzieje; co jest dziś to ludzie wiedzą, a co będzie jutro tego nikt nie zgadnie. Żeby do jednéj głowy ziemskiego mędrka na raz wpakować sto rozumow, to jeszcze najbliższéj przyszłości nie wyświeci: nie ludzka moc świat ten stworzyła, nie ludzkim głowom odgadywać co Bóg Twórca zrobi. — Przed niewielu dniami w Jassach powiewały chrześciańskie chorągwie, i chrześciański lud pewnością zwycięztwa się poił; a teraz błyszczą półxiężyce Mahometa, z wiatrem się drażnią ogoniaste buńczuki, i Muzułmanie dziko się panoszą odniesionêm zwycięztwem. Przed niewielu dniami mołdawski hospodar, w hospodarskim zamku podejmował w gościnie, biesiadami synów Grecyi; a

teraz Kiaja Mehemed, trzybuńczuczny Basza, Seraskier naddunajskich krajów, z tegoż samego zamku darzy chrześciański lud, nie biesiadami, ale więzieniem, niewolą, ciężkiemi kary i śmiercią. Któżby to zgadł że tak będzie? — I znowu, ten Kiaja Mehemed polubieniec sułtański, co od chwili przejścia Dunaju innego rozkazu nie dał, tylko mordować ludzi, palić miasta i sioła, niszczyć dobytki, głuchy na prośby starego Hadży Achmeta ani jednemu chrześciańskiemu więźniowi życia nie darował; od kilkunastu dni zdobrzał, złagodniał, upodobał sobie w słowie: przebaczam mu. Nawet Hadży Achmet, co dziwną koleją z opiekuna Kiaja Mehemeda stał się jego namiestnikiem, powiada: seraskier zanadto Chrześcian oszczędza. — I któżby to przewidział, że Hadży Achmet wpadnie do Pitesztu, zwycięży, i wróci stracone dziecko tak długo osieroconemu ojcu? i że miłość rodzicielska tak silnie zawładnie sercem seraskiera, iż dzikość i okrucieństwo, rodzime uczucia dumnego Muzułmanina, wyżenie precz z siebie: — Nikt tego nie odgadł, nie przewidział że tak się stanie, a jednak tak się stało.

I tak się zawsze dzieje na tym bożym świecie.

Kiaja Mehemed odzyskał córkę. Kiedy Sara Michaela przybywała z Bukarestu do Jass, przyboczni seraskiera myśleli, że ją powita groźnym wyrzutem ojcowskiego gniewu, a może nieprzebłaganym gniewem obrażonéj dumy, za skalanie muzułmańskiéj wiary, za skalanie znamienitego rodu. Stary rzezaniec Hakim lada chwila oczekiwał rozkazu, aby przygotować rzemienny wór na potomstwo Kirdżalego, a konopiany sznur na szyję Zulmy, ale na podziw wszystkim, dziki basza, latami, gorzkiém i długiém cierpieniem, lekkomyślnością, niewdzięcznością dziecka, nie zatarł w sobie czułości ojca; łzą i uściskiem powitał córkę, lubą pamiątkę, zakład miłości niezapomnianéj nigdy a nigdy kochanki; małego Kirdżalego wziął na ręce, a choć się dziecina strwożyła, basza swoje usta do dziecinnego liczka a dziecinę do swoich piersi przycisnął, bo to dziecko jego dziecka, wnuk Sary Michaeli Gruzianki — szczęścia, roskoszy, młodości. — Zulmie powiedział: « wszystko zapomniane,

niech Bóg i Ałłach szczęściem i spokojem obdarzą resztę twego życia» — i basza był szczęśliwy tém zapomnieniem winy, tém bezgraniczném przebaczeniem; ale Sara Michaela, na łezkę łezką, na uścisk uściskiem nie odpowiedziała, nie poznała nawet ojca. Ona była jak w obłąkaniu, ani smutna ani wesoła, ani zaśmiała się ani zapłakała; na jéj bladem obliczu, na ciemnych oczach, na ledwie przyrumienionych ustach, plątał się jakiś wyraz podobny do owéj wiotkiéj chmurki na niebie, któréj ni barwy ni kształtu oko ludzkie ująć, a język opowiedzieć nie może. Zdawało się że nie zna ani syna, ani Zulmy, ani nikogo; o nic nie pytała, nic nie mówiła, straciła pamięć o wszystkiem. U niéj myśli tak się zbłąkały, że sama nie wie gdzie bujają, dokąd dążą; taki w nich bezład, taka plątanina, że żadne uczucie oddzielne z nich się nie wywikła, żadne czyste, wyraźne objawienie, twarzą, oczyma, lub ruchem ciała, nie przejrzy na świat, nie wpadnie w oko nikomu. Często tylko modliła się do Boga, ale o co? — ludzie nie wiedzą, a może i ona sama nie wie; czasem rozmawiała czy ze świętémi

Pana, czy z aniołami nieba, czy z duszami pomarłych, czy z nieobecnymi ludźmi — nie wiadomo : bo wyrazy z ust jéj rzucane, w tak niepojętną, w tak dziwną się mowę wiążą, że je ucho słyszy, rozeznaje każdy wyraz z osobna, a razem wzięte myśl nie rozumie, nie pojmuje. Nie odmawiała pokarmu kiedy go jéj podano, snem zasilała się kiedy ją w łoże ułożono; ale sama nigdy niczego nie zażądała. Ciałem jeszcze ziemska istota, a duszą zdaje się jakby zerwała swój węzeł z ziemią, a z niebem jeszcze nie skuła ogniwa : widać gwałtowny piorun ůderzył w jéj duszę, strzaskał przeszłość, a przyszłość jeszcze się nie objawiła, i dla tego dusza zawieszona między dwóma światami, myślą bezładnie się plącze i błąka między niemi, i czyni istotę którą ożywia, niepojętą dla ludzi, niezrozumiałą przez samą siebie. — Zulma opowiadała, że kiedy Kirdżali zamordował Tudora, bo ona myśli że ta zbrodnia sprawą jego ręki — Sara Michaela po otrzeźwieniu z omdlenia, taką była jak jest dzisiaj. W tenczas synek ją całował, wołał do niéj, ona go nie odcałowała, nie odpowiedziała jemu; bojaryni rozpaczała

rozdartém sercem matki: w mieście, na dziedzińcu w zamku walczono, a Sara Michaela tak była obojętną, jakby nic nie widziała i nic nie słyszała. Dostawszy się w moc Hadży Achmeta, nic się nie zmieniła: mówiono jéj o Kirdżalim, o Tudorze, o synie, o ojcu, umyślnie aby choć jedno uczucie w niéj poruszyć, ale wszystko było nadarmo. W Bukareście, bojaryni zmożona cierpieniami wpadła w ciężką chorobę, w obec Sary Michaeli płakała nad synem, płakała nad ojczyzną, wyrzucała sobie że uwiedziona lackiem imieniem, Kirdżalego wprowadziła w swoję rodzinę, za syna przybrała na to, aby on przelał krew jéj własnego syna; Sara Michaela była i na to głuchą. Wiek i boleść ręce sobie podały i nad grób przywiodły bojarynię, Hadży Achmet spowiednikowi chrześcijańskiemu xiędzu dozwolił wejść do konającéj; niewiasta cnoty, spowiadała się przed Bogiem i przed kapłanem jego świętéj wiary, przyjęła ostatnie pomazanie i chciała widzieć Sarę Michaelę, a kiedy przyprowadzono Mehemedową córę, bojaryni drżącym głosem rzekła: «Bogdaj Bóg tak przebaczył Kirdżalemu, jak ja mu

przebaczam. Moja córko, błogosławię ciebie w imie Bogą, w imię Boga błogosławię twoje dziecię» -- po tém wzniosła oczy ku niebu: — «Synu Tudorze, wkrótce się z tobą połączę. Boże daj wolność ojczyznie.!» — cicho, słabo domówiła: «niech się sprawdzi przepowiednia Iwoniego, nich krew lacka zbawi dacką wolność...» — i skonała lekkiém, krótkiém westchnieniem: widać anielska dusza śpiesznie uleciała ku Bogu Twórcy. I kapłan i przytomni, we łzach i łkaniach tonęli, a Sara Michaela jak posąg z marmuru, ani łezki uroniła, ani westchnieniem piersi wzdęła. — Hadży Achmet, dobry Muzułmanin, pozwolił ostatnią cześć oddać bojaryni po chrześcjańsku, i zwłoki jéj złożyć, jak tego żądała przed śmiercią, w monastérze Ardżysowego dworu. W oczach Sary Michaeli pógrzebowe obrzędy się odbywały, w jéj oczach wychodził z bukarestskiego zamku orszak pogrzebowy, i ona nic na to nie zważała, taką była jak teraz jest, obłąkaną, niepojętą.

Kiaja Mehemed patrzy na córkę, raduje się ukochaném obliczem, pieści ją nawet; ale ona pieszczotą pieszczoty nieopłaci, i roskosz ojcow-

skiego serca mąci boleścią, nasuwając mu ciągle na myśl obłąkanie swojéj myśli. Jednak nadzieja niewygasła w sercu baszy; powiada sobie nie raz : «może czas to uleczy, a z resztą czekajmy przeznaczenia Bożego.» — Zulma boleje nad stanem niewiasty wypiastowanéj przez siebie, mały synek ciągle powtarza : « mama się gniewa, mama mnie nie kocha» — O ojcu boi się mówić, bo gniewna postać Kirdżalego z dobytym i skrwawionym mieczem, tkwi w pamięci dzieciny, zwyczajnie pierwotne wrażenie umysłu ; lęka się nawet ojca , a jednak o nim często przemyśla, choć mu nikt o nim nie mówi. Sara Michaela milczy, a na całym dworze Mehemeda, któżby śmiał bez wzdrygnienia wymówić imie Kirdżalego?— Stary Hakim ile razy ujrzy Sarę Michaelę, albo jéj syna, tyle razy zatrwoży się niewiadomo czego, i za każdą razą przeklnie Kirdżalego. Nienawiść, zemsta , chciwość i bojaźń, to rodzime uczucia rzezańca; u niego w sercu nie masz nic szlachetnego : jeśli się przywiązał do pana, to nie sercem ale strachem. Dla Abdali wzbronione progi Mehemedowego haremu; ale on wie że tam jest Sara Michaela,

krasa pięknéj niewiasty utkwiła w jego pamięci, wie że z jéj ręką zagarnąłby i godności i potęgę, powaby łechcą młode żądze; ale serce Muzułmanina szlachetne: dwa razy winien życie, raz wolność Kirdżalemu; nie pragnie jego żony, nie chce śmierci lub nieszczęścia człowieka, któremu zadłużył się wdzięcznością. A stary Hadży Achmet, choć stracił sześciu synów, i jedynak mu tylko pozostał, cieszy Mehemeda powtarzając: « zdaj się na przeznaczenie, przeciw jego woli nic nie poradzi ani prośba ani potęga ludzka. »

Tak się działo w Jassach, w Mehemedowym dworze, kiedy przybył stary Neczaj z pułkiem Zaporoża. Seraskier zapiekły Muzułmanin, a jednak przyjął atamana chrześcijanina jak brata. Pomiędzy mężnymi a prawymi ludźmi, jakiéjkolwiek bądź wiary, jakiegokolwiek bądź narodu, jest pobratymstwo czci, czy to walczą przeciw sobie, czy to walczą obok siebie. Opowiedział Neczaj o skulańskiéj potyczce, nie jak przechwalca, ale jak szczeroduszny wojownik.—«Panie baszo, widziałem że spahowie Jusufa baszy Ibraiłowa, cóś po moskiewsku

z jańczarek pukają i armatami straszą, a rady nie mogą dać téj małéj garstce; krzyknąłem na moich mołodźców : to bracia Moskali, z nimi trzymają; daléj na nich! Poszliśmy, i w mgnieniu oka po lacku, po naszemu, roznieśliśmy na spisach ten mały hufiec.»— Machnął ręką, jakby na pokazanie że taki mały bój fraszką u Zaporożca. O Kirdżalim zamilczał, nie chciał rozraniać serca seraskiera; ale kiedy Kiaja zapytał : « a dowódzca tego hufca, co się z nim stało?»— Neczaj pogładził wąsy ; — « dzielnie walczył; jeżeli nie zginął, to go Jusuf od Moskali wydobędzie, w twoją moc odda, na niego to zdałem, bo ja ze sługami Białego cara nie chcę mieć do czynienia, tylko na polu bitwy»— Zamilkł ataman, i basza głębokiem dumaniem pewno nie przerwał milczenia.

W kilka dni późniéj, przybiegł Tatar od Jusufa z doniesieniem, że Kirdżalego Moskale wydali, i że on go okutego w kajdany wyprawił do Jass pod dobrą strażą. Doniesienie to nie rozweseliło Kiaja Mehemeda, stokroć wolałby żeby Kirdżali był w boju zginął, skończyłoby się było wszystko; a teraz trzeba znowu o tym

człowieku myśleć, trzeba go karać. Serce seraskiera zemsty nie karmi, on wierzy że takie było przeznaczenie, a z resztą, co się stało to się odstać nie może. Może też bolesno jego dumie zbezcześcić sromotną karą człowieka, którego krew złączona z jego krwią; a może też zostało cóś z dawnego przywiązania do dziarskiego najezdnika, do dzielnego Agi, i wspomnienie o buncie Albańczyków w Izmajłowie, o dniu bitwy na serbskiéj ziemi, przybieżało do pamięci. Kiaja Mehemed nierad, markotny, ale nic nie mówi. Hakim podsłuchał słowa Tatara, i dreszcz zimny po za skórą mu przebiegł: to nie objawienie się uciechy, a jednak on nienawidzi Kirdżalego. Czegoż on się trwoży? — Smierć Hussejna, smierć Hopura w myśli mu stanęły i stoją jak widma piekielne. Nie wyrzuty to sumienia jego duszę kłopocą, strach w nią wionął: Kirdżali może wszystko wydać, a prawda ściągnie gniew i karę seraskiera tém sroższą, że dobrowolne wyznanie nie błagało o przebaczenie winy; Mehemed cierpieć nie może fałszywego i skrytego sługi, gotow w pierwszym popędzie zapomnieć, że stary

rzezaniec był jego piastunem, i sznur albo ostre żelazo dać mu w podarku. Tak myślał Hakim, i tysiąc razy powtórzył: «czemużeś psie przeklęty w boju nie przepadł!» Silił się wyszukać wykręt jaki, długo rozmyślał, nareszcie postanowił; widać że wynalazł wybieg, bo wprost poszedł do komnaty seraskiera.

Kiaja Mehemed, Hadży Achmet i ataman Neczaj, siedzieli na dywanie z podgiętemi nogami po muzułmańsku, wszyscy palili tytuń z długich cybuchów i popijali mekańską kawą, ale żaden poważnego milczenia nie przerwał. Wszedł rzezaniec i jak długi padł czołem do podłogi: — «Najpotężniejszy między najpotężniejszymi, władzco mój, panie, jam winowajca, karz mnie!»

Mehemed spójrzał na niego: — «Czego ty chcesz Hakimie?»

— «Jam winowajca, i wielki winowajca!»

— «Wstań i mów.»

Hakim nie podniosł się: — «Lwie waleczności, gwiazdo sprawiedliwości Muzułmanów, ja ciebie błagam abym mógł sam na sam wyznać winę przed tobą; ona twój ród obchodzi.»

Seraskier się zachmurzył: — « Wstań i mów; to moi przyjaciele, tajemnicy przed nimi nie mam. »

Hakim podniosł się, śpuścił oczy w ziemię, obiedwie ręce przyłożył do piersi. Usta mu drżą i słowa brzmieniem przestrachu drgają: — « Seraskierze, namiestniku Padyszacha! nie Hopur zabił Hussejna, nadzieję Iślamizmu, ale ten niewierny potępieniec Kirdżali. »

Hadży Achmet westchnął i potrząsł głową, Mehemed nachmurzył czoło, a Neczaj wodził wzrokiem po wszystkich trzech. Rzezaniec daléj mówił: — « Hopur czy się przestraszył groźby, czy dał się przekupić złotem, wpuścił Kirdżalego do haremowego ogrodu. Kiedym ja przyszedł szukać Hussejna, Hopur się przyznał do winy. W pierwszym popędzie gniewu, dla uratowania czci twego haremu wielki baszo, swoją własną ręką przebiłem winowajcę, milczenie zachowałem; ale teraz kiedy zbrodzień jest w twojéj mocy, oskarżam jego, oskarżam siebie, niech miecz sprawiedliwości sięgnie winnego » — i padł czołem na podłogę.

Seraskier cisnął na niego okiem obojętnéj

pogardy: — «Wstań i wyjdź» — Rzezaniec wstał i wyszedł z nadzieją że wszystko przeminęło. Mehemed smutnie spójrzał na swego dawnego opiekuna: — «Hadży Achmecie, mój mistrzu w sztuce wojennéj, zbójcę twego syna oddaję w twoje ręce, pokarz go sprawiedliwym gniewem zemsty.» — Widać że te słowa z przymusem wymówił.

Basza Widynia podniosł oczy zwilżone łzą ojcowskiego żalu: — «Seraskierze, zemsta mojemu dziecięciu życia nie powróci. Tak chciał Ałłach, i tak się stało. Ja Kirdżalemu przebaczam śmierć sześciu moich synów, i jeśli on innych występków nie ma, proszę ciebie daj mu wolność.»

Ten głos prawego starca rozczulił Mehemeda, ale zarazem przypomniał mu obowiązek sułtańskiego namiestnika, stróża sprawiedliwości ziemskiéj; ponuro przemówił: — «Surowa sprawiedliwość będzie na nim wymierzona» — I w głosie, i w słowach przebijał się wyrok śmierci na Kirdżalego.

W tém wszedł młody Abdala i oddał pokłon poszanowania, ale nie niewolniczéj uniżoności.

Twarz jego była smutna. — «Seraskierze, spahowie baszy Ibraiłowa przywieźli więźnia Kirdżalego, co każesz z nim zrobić?»

Seraskier bez pomyślenia odrzekł: — «W czarnéj wieży go zamknąć, i sześciu janczarów na straży postawić.»

Abdala wie, że to więzienie, ta straż, pewne zwiastunki śmierci dla więźnia; ośmielił się otworzyć usta: — «Seraskierze, jeszcze Grecy dziś zebrani zeznali, że nie Kirdżali jest zabójcą Tudora, ale zbiry Ipsylantego, podłe psy greckie» — Szlachetny młodzieniec myślał, że tém choć część winy zdejmie z Kirdżalego, że zjedna mu łaskawość seraskiera; ale Mehemed przerwał jego mowę: — «Abdalo, idź spełniaj moje rozkazy» — i Abdala odszedł, a starcy sami zostali i znowu zagrążyli się w milczeniu.

Przed zamkową bramą stanęła karuca i liczni spahowie zatrzymali zadyszane rumaki, rota zbrojnych janczarów wybiegła z bramy i obstąpiła karucę. Kirdżali — bo to był on — nie czekał nim go wywloką na ziemię, choć kajdany gniotą i ręce i nogi, choć gorzkie cierpienie

zmaga serce i duszę, podniosł się i sam wysiadł z karucy. Zabrzęczały kajdany, i Muzułmanie jak wilcy kiedy zasłyszą ryk konającego bydlęcia, chcieli się rzucić na więźnia i bezcześcić swoim obyczajem; Kirdżali podniosł dumnie czoło, Muzułmanie stanęli gdyby wryci, jak ci sami wilcy, kiedy w miejscu wpaść na liche bydle, wpadną na rannego odyńca, a ten oczyma i groźną postawą wstrzyma ich wściekłość. Jak między zwierzętami tak między ludźmi są istoty, co samą siłą wzroku, samą dumą czoła, rozbestwieniu nawet umieją nakazać choć chwilowe poszanowanie. W tém nadszedł Abdala; u niego na twarzy nie masz dzikiéj grozy, ale posępny smutek. Rozstąpili się janczarowie, on podszedł do więźnia: — «Kirdżali, tyś mnie niegdyś wolność obwieścił, a ja przychodzę ciebie do więzienia prowadzić. O nie tak jabym chciał był z tobą się spotkać; ale takie przeznaczenie. Chodź za mną, nikt ciebie nie poważy się bezcześcić.»

Kirdżali popatrzył na Muzułmanina przyjaźnie: — «Niech ci Bóg i za to nagrodzi» — i szedł obok niego w bramę na zamkowy dzie-

dziniec. Kajdany brzęczały i dziedzińcowy kamień stękał pod ciężkim chodem mnogich janczarów. Poznaje Kirdżali białe zawoje albańskiéj jazdy Kiaja Mehemeda, zdaje mu się że zajrzał okiem starego Hakima, i myśli: i ona może tu jest, może widzi moje kajdany i pyta, czy to takie jego bulgarskie carstwo! — poniżona duma gorzkim żalem zatruła jego duszę. Myślał o synie: on będzie Muzułmaninem, nie powiedzą mu kto był jego ojciec, nie raz będzie pomiatać pogardą na Kirdżalego imie. A może już moje dziecko nie żyje. — Ojciec Paweł stanął mu przed oczyma myśli; byłby się może modlił do Boga Chrześcijan, ale tłum niewierny, modły wziąłby za bojaźń, a Kirdżali choć już nie jest takim, jakim był przed laty, choć u niego głos sumienia i chrześcijańskiéj pokory często głuszył namiętności, jednak pozostały w nim niezatarte ślady dawnego człowieka: on nie chce politowania ludzi, lęka się ludzkiéj pogardy. Wnurzył oczy w ziemię żeby nie okazać motłochowi gry uczuć na swojéj twarzy, i tak szedł przez obszerny dziedziniec do więzienia, a kajdany

żałośnym brzękiem wtórowały smutnéj jego myśli.

W haremie Mehemeda już wiedzą o przywiezieniu Kirdżalego; wie Zulma że nie na jego sumieniu ciąży śmierć Tudora, — Abdala to przed rzezańcami, przed wszystkimi rozpowiedział; on chciał kupić współczucie wszystkich ludzi dla tego, który był jego wrogiem na polu bitwy, a któremu on winien wolność i życie. Zulma gada Sarze Michaeli o mężu, stokroć powtórzyła : Kirdżali nie zabił Tudora. Biedna niewiasta, ona nic tego nie słucha i nie słyszy, nuci arabską piosnkę o Medzunie i o Leili, — przerwała i poczęła śpiewać hymn na cześć Matki Dziewicy. Mały synek przez zasłonę okna przejrzał na dziedziniec i krzyknął : « Mamo, mamo! Zulmo! patrzcie co tam ludzi, kogoś prowadzą » — Zulma odtrąciła małe dziecię od okna, bo ona nie chce aby syn patrzał na kaźń swojego ojca; wzięła Sarę Michaelę za rękę, przyprowadziła do okna i rzekła : « Patrz, Kirdżali twój mąż w kajdanach » — Piastunka myśli że témi słowy obudzi w niéj jakieś uczucie, wolałaby widzieć

cierpienie, rospacz nawet, jak ten stan bezładnego obłąkania wypiastowanéj przez siebie niewiasty. Sara Michaela powiodła wzrokiem po suficie: — «Jakie wy piękne moje aniołki! patrzcie, o patrzcie na mnie brylantowémi oczkami, nie przestawajcie machać złotém skrzydełkiem» — Wyciągnęła ramiona ku sufitowi i rączkami przebiera: — «podajcie mi wasze rączki, weźcie do siebie, i ja chcę widzieć Boga ojca» — Pokręciła głową: — «wy nie chcecie» — spuściła oczy ku podłodze, rączką machnęła: «ja was nie chcę, wy nieładne; proście, Pan Bóg wam przebaczy, on taki dobry» — a potém obróciła w stronę oczy: «poczekaj, poczekaj, zaraz pojedziemy, o zaraz...» — Zulma ujęła mocniéj rękę Sary Michaeli: — «Kirdżali, twój mąż w więzieniu» — Sara Michaela obrzuciła do koła wzrokiem, wyjęła swoją rękę zręki piastunki, poszła do drugiego końca komnaty, klękła i poczęła się w głos modlić. Oczy jéj błyszczą łagodnością anioła, po twarzy rozlała się niebiańska krasa, a na czole jakieś rozjaśnienie, jak korona błogosławieństwa. Mały synek płacze, usłyszał imie

ojca: — «Zulmo, prowadź mnie do taty, on się już nie gniewa» — i czepia się za kolana Zulmy. Stara piastunka ręką go gładzi: — «poczekaj luby» — i patrzy na Sarę Michaelę, serce jéj się kraje a oczy rzewnemi łzami zaszły.

Kirdżali już w więzieniu, ciemno w jego nowém mieszkaniu jak w grobie, nie masz tam ani okienka, ani szczeliny którędyby światło dzienne mogło się przekraść; powietrze świeże, ten gość niezbędnie potrzebny ludzkiemu życiu, wpada tam jakby ukradkiem z izby straży. Abdala dał rozkazy, zostawił straż i odszedł, nie śmiał słowa przemówić do więźnia przy odchodzie: serce trapi się niemożnością wypłacenia długu wdzięczności, a obowiązek nie pozwala przekroczyć Mehemedowéj woli. Drzwi się rozemknęły, Kirdżali stał oparty o mur, kiedy wszedł strażnik więzienia z latarką w ręku. Przy bladém jakby omdlewającém światełku, Kirdżali poznał dawnego znajomego z Izmajłowa, jednego z rzezańców Mehemeda; spójrzał po swojém mieszkaniu: izdebka w pół xiężyc, wysoka, szczupła, zczerniała od sadzy wieku, po ścianach i na podłodze mnogie

szczerby, ale żadna nie przebiła muru na wylot. Strażnik rozrzucił kul słomy, postawił dzban z wodą, kawał chleba położył; niemy jak ściany więzienia, wskazał ręką na łoże spoczynku i pokarm, i odszedł, a w chwili szybkiego rozwarcia się i przywarcia drzwi, Kirdżali zajrzał zbrojnych janczarów koło ogniska w izbie straży, nie przeliczył okiem ich liczby, tylko schwycił dziki wyraz ich twarzy. Klucz zawiercił po zamku, zamek dwa razy stęknął, i znowu ciemno w więzieniu. Myśli poczęły czwałować po głowie Kirdżalego, całą przeszłość przebiegły, jak szalone skakały po krainie dumy, i on zębami zgrzytał, nawet parę razy brzęknął kajdanami: widać że gwałtownym ruchem ręki albo nogi, chciał dopomodz hasaniu myśli. O żonie zamarzył: wiarołómna! ja ją tak kochałem, będzie widzieć, będzie słyszeć o sromótnéj kaźni mojéj. -- Gorzka łza przeciekła z jego oczów, westchnął: Michajlaki, tyś szczęśliwy, zginąłeś jak na wojennego męża przystało; a ja zginę jak zbrodzień! Bojaryni, niewiasta cnoty, ona mnie kochała jak własne dziecko, co teraz myśli?— «przeklęty! on zabił mego syna!»

Lackie imie zesromocone, mój potomek, moja krew, mój nasledca zginiony dla świętéj wiary, zginiony dla ojczyzny! — Złorzeczył swojemu losowi, ale ani razu nie sarknął na Boga, nie przeklinał rodu ludzkiego. Wspomniał o kiszeniowskim monastérze, o Czerncach, o ojcu Pawle, i zrobiło mu się błogo w duszy. Sam nie wie jaki urok myśl jego wiąże do ojca Pawła, brzmią mu dotąd w uszach słowa przełożonego: « Bóg większym grzesznikom przebacza, i tobie przebaczy; » niezatarte w duszy błogosławieństwo świątobliwego człowieka, i jakaś nadzieja mimowolnie wciska się do serca. Czy to nadzieja, że jeszcze na tym świecie, usta zbliżą się do puhara ziemskiéj słodyczy i zakosztują znowu roskoszy ojca, męża, człowieka? Czy to nadzieja, że Bóg Twórca przebaczy grzechy, obdarzy miłosierdziem, i przyjmie do wiekuistéj chwały między wybranych pańskich? — On sam nie wie jaka to z tych dwóch nadziej sercu jego ulgę niesie; rachunku sobie samemu zdać nie umie: dosyć że mu błogo. Padł na kolana, i począł się się modlić szczerze, gorąco, i długo się modlił, a nareszcie ułożył się na łożu boleści,

westchnął do Boga, nie do ludzi, i usnął. Kajdany ani razu nie brzękneły, i oddychał lekko, jednostajnie, jak człowiek który przed uśnięciem pomodlił się do Boga, pogodził się ze swojém sumieniem.



XX.

Jeszcze Kiaja Mehemed wyroku na więźnia nie wydał, a już kilka godzin upłynęło; to w brew zwyczajowi Muzułmanow. U nich winowajca niedługo czeka na karę, występny więzień nie liczy w więzieniu wiekowych godzin cierpienia i niepewności; przewinił, niech odpowiada, — ale niech się nie dręczy. Oni w swojém barbarzyństwie łaskawsi od oświeconych narodów, oni poprzednio nie wątlą sił duszy i ciała, zostawują je na ostatnią mękę kary. — Seraskier prawowierny Muzułmanin, waha się z daniem wyroku, jakby Bóg wie o co chodziło. Czy mu straszno na śmierć wskazać jednego człowieka, jemu, który ustami i ręką tysiące ofiar na pastwę śmierci rzucił, i chwili się nie wahał przed spełnieniem swojéj woli, a potém

nie żałował ani chwilki? Teraz tak się biedzi; głos serca woła : przebaczyć mu, — a obowiązek i sumienie odpowiadają : nie można. I znowu sumienie i obowiązek nakazują: wskaż go na śmierć ; — a serce mówi : jakże to boleśnie! — Starzy przyjaciele Mehemeda przezierają na twarzy jego tę walkę duszy, i uszanowali ją milczeniem. Abdala karmi w myśli nadzieję : przebaczy jemu, zaniosę mu wolność, — i cieszy się tą myślą. On nie wie że Kirdżali zabójca jego brata Hussejna; ojciec mu o tém nie powiedział, a z Hakimem nie zwykł rozmawiać. Hakim drży ze strachu , on od dziecka zna Mehemeda , nigdy w nim nie dostrzegł takiego wahania się. Czy przebaczy, czy skarze, będzie dochodzić prawdy, a jak się dowie że ja, jego piastun, stróż haremu, przyzwoliłem na niecześć jego jedynego dziecięcia — biada mojéj głowie! Ale poczekaj seraskierze, nie tak łatwo mnie złapiesz, — I rzezaniec co ciągle stronił od Zulmy, teraz ciągle do niéj chodzi i z nią rozmawia, nawet dwa razy był u Abdali; a widać że wszystkim trojgu narady idą po myśli, bo na ich czołach błąka się wyraz nadziei, a ich oczy nie

tak smutne. Chytry Hakim dośledził co oni marzyli, a niosąc im swoje usługi postanowił sobie tylko usłużyć.

Już dzień ku schyłkowi się chylił, kiedy seraskier wszedł do komnaty swojéj córki. Ona klęczy i modli się — promienie zachodzącego słońca natłokiem wcisnęły się przez kryształowe szyby do komnaty, i jakby płomieniem złotawem owinęły twarz i postać Sary Michaeli. Oczy pałają pokorą i prośbą, usta szemrzą modlitwy, a to szemranie tak lube, tak urocze dla ucha, że zda mu się słuchać boskiéj harmonii spiewu aniołów. Kto ją widział w ówczas, gotowby przysięgać, że to święta pańska modli się do Pana, na ubłaganie szczęścia ludziom. Kiaja Mehemed stanął, utopił wzrok w córkę, i nie śmie kroku postąpić. Zulma podeszła i szepnęła cicho: — «tak się modli od czasu przywiezienia Kirdżalego. Biedna, nie poznała jego, nie słuchała moich słów, ale przeczuwa że on w więzieniu.» — Seraskier kiwnął głową, machnął ręką, jakby na znak: daj pokoj, nie gadaj mi więcéj. Markotno mu, siadł na węzgłowiu. Synek Sary Michaeli przybiegł do

niego z zapłakanemi oczkami i wskoczył mu na kolana: — «Ty kochasz mamę, widzisz jak ona się modli, ona myśli że tatko na nią się gniewa. On tu jest, puść go do niéj, oni się pogodzą, on nie zawsze zły. Ja ciebie co dnia będę całować i będę bardzo kochać» — Seraskier nic nie mówi, ale całuje dziecię, pieści je, a łzy mu płyną z oczów. I dziecina do niego się tuli. Mehemed w téj chwili był człowiekiem serca, już miał na ustach rozkaz przywołać Kirdżalego, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Hakim, oddał pokłon ku ziemi: — «Seraskierze wielki i mocny!» — Mehemed wskazał ręką aby ciszéj mówił, i rzezaniec zniżył głos: — «wielki Wezyr, prawe ramie Padyszacha, przybył do Sylistryi i przysłał gońca z pilnemi rozkazy; on czeka na ciebie w twojéj komnacie.» — Mehemed pocałował dziecię, z kolan posadził na węzgłowiu, wstał, jeszcze raz spójrzał na córkę, otarł łzy i wyszedł. Małe dziecko krzyknęło za nim: — «przyprowadź nam tatka, ja ciebie będę kochać.» — Sara Michaela na ten krzyk obróciła się i wstała. Po raz pierwszy od swego obłąkania, podeszła do syna i pocało-

wała go w czoło; on się jéj uczepił na szyi: — «Mamo, mamo, ty się na mnie nie gniewasz, jaka ty dobra» — ale ona rączęta jego odłożyła i zaczęła chodzić po komnacie, i sama do siebie gadać: — «Ty ztąd niedaleko jesteś? — Moje serce to czuje; ludzie nie widzą, a ja widzę. Po cóś łzami zalał ogień twoich oczu? po cóś chmurą smutku zakrył jasność twego czoła? Nie smuć się, w krótce zajedziemy na tym promyku z szybkością błyskawicy tam do góry, do ogrodów Boga Ojca naszego. Patrz jakie tam ładne aniołki — i ja takiego mam..» — i załamała dłonie; — «ale ludzie nie chcą mi go oddać, wziąść z sobą nie pozwalają..» — i kilka łez uroniła, to pierwsze łzy od śmierci Tudora. Zulma myśli: może ona przychodzi do siebie, — i chiała jéj o mężu mówić, kiedy znowu nadszedł Hakim i począł cóś po cichu rozmawiać z Zulmą, więcéj na migi, jak słowami; bo stary rzezaniec boi się obłąkanéj, boi się dziecka, boi się murów haremu, aby nie wydały przed seraskierem jego czynów. Pokazał jéj jakiś pierścień złoty i rzekł: — «mam, bądź w pogotowiu» — podniosł wszystkie palce

obudwóch rąk, potém dwa tylko wystawił, cóś jeszcze po cichu do ucha Zulmie mówił i wyszedł. Sara Michaela głośniéj zawołała : — « Zły duch ! Boże uchowaj mnie od niego » — i żegnała się krzyżem świętym, a jakby się chroniła od złego ducha , siadła na węzgłowiu w kącie komnaty, ręce złożyła dłoniami do siebie, głowę do makaty przytuliła, i niebawem usnęła·

Spi jak dziecko spokojnie, słodko; twarz łagodna jak u aniołka, oczy się przymknęły , rzęsa z rzęsą się zetknęła , brew nie ruchoma, czoło gładkie, piersi się wznoszą i opadają jak puszek kwiatu chwiany lekkim powiewem wiosennego wietrzyka. — Mały synek ukląkł przy jéj nogach i modlił się po swojemu, żeby mama nie gniewała się na niego. Zulma patrzy na to dziecię, jak ono klęczy przy matce i modli się jak gdyby przed świętą nieba, — i ona wzniosła myśl ku niebu : O Boże! daj żebym ja mogła wrócić zdrowie i szczęście téj lubéj istocie sercu memu, temu aniołowi ziemi. —

Na dole w zamku , w komnacie, gdzie przed miesiącem hospodar mołdawski przyjmował

bojarów i chrześciańskich wojowników, teraz seraskier odebrał pisma od gońca wielkiego wezyra, odpieczętował, czyta, — zbladł na twarzy, wzrok mu sponurzał; jeszcze raz odczytał, złożył pismo i schował za kaftan. Goniec stoi nieruchomy jakby z kamienia wykuty, Mehemed spójrzał na niego: — «idź, jutro będziesz miał odpowiedź» — i klasnął w dłonie. Goniec wyszedł, a wszedł rzezaniec i schylił się ku podłodze. Seraskier nawet nie spójrzał na niego: — «powiedz atamanowi i baszy Widynia, że po wieczornym izanie czekam ich tu» — Rzezaniec odszedł, drzwi się zatrzasły, a Mehemed siadł na kobiercu i dumał; przebąknął: — «niech wybiera spodlenie się, albo śmierć» — westchnął — «ja muszę spełnić mój obowiązek, choćby i serce pękło» — umilkł i daléj dumał.

Nadeszła noc, Muzułmanie przemróczeli izan, i do spoczynku się zabierali; w komnacie seraskiera jeszcze rzęsiste światła błyszczą, a po komnatach haremu światełka jedne po drugich gasną, jak gwiazdki na niebie przed pojawieniem się jutrzni. U szczytu czarnéj

wieży malutkie światełko migoce, ale to nie w izbie więźnia, ztamtąd nic nie widać, ono błyszczy w izbie straży. Kirdżali przebudził się. Cały czas snił o żonie, o synie. Sara Michaela w całym blasku krasy biegła do niego w objęcia, syn mu się czepiał na szyi, a on ich ściskał i całował. Bojaryni go błogosławiła, Tudor mu bratnią rękę podawał, wrony koń stał przed wrotami, na dziedzińcu bulgarskie hufce krzyczały: niech żyje nasz car! a ojciec Paweł krzyżem świętym żegnał chrześciańskie wojsko. Kirdżali myślał że wolny, chciał się podnieść, kajdany brzęknęły, i z ich brzękiem błoga myśl rozproszyła się na nic. Słucha Kirdżali, za murem puszczyki puhuczą i wiatr pogwizduje, po podłodze czasem szczur piaskiem zaszerkocze, a w izbie straży janczarowie o wschodnich dziwach prawią. O jakby on chciał chwycić szerokiemi piersiami wolnego powietrza, wolno machnąć żylastém ramieniem, wyprężyć nogę oswobodzoną z kajdan. Myśli po myślach w głowie mu się snuły, i jedne drugie spychały, ale wszystkie zatrute były jedną i tą samą goryczą: ona mi była wiarołomną, ona

mnie nie kochała, a ja ją tak kochałem, tak kocham! On wie że musi umrzeć, pewny że więzienie nie otworzy się dla niego, tylko dla pobratania go ze śmiercią; jednak on się jéj nie lęka, ani nawet o niéj marzy. Co mu po życiu, kiedy ta, którą on kocha, jego nie kocha; kiedy ta, dla któréj on ostatnią kroplę krwi swojéjby przelał, dumęby swoję poświęcił gdyby nawet był u szczytu potęgi, wolnościby się zrzekł gdyby ją na teraz odzyskał, jego zdradziła; szczerem, serdecznem uczuciem jego serca pomiotła. Nie ma uroku dla niego życie. Tak dumał, godziny więzienia długie, końca zdają się nie mieć; ale więźniowi nie zabraknie nigdy myśli do zapełnienia tego przestworza czasu: bo kiedy ciało musem gnuśnieje w nieczynności, natenczas myśl, to objawienie się nieśmiertelnego ducha, ciągle a ciągle pracuje, jak gdyby chciała sobie powetować za dawne powściągania swoich biegow ruchami ciała, jak gdyby chciała wymęczyć się w zadatek na przyszłość. — Już północ, bo straż nocna się zmieniła, i dalekie niewyraźne pienia kogutów do ucha Kirdżalego doleciały; w tém we

drzwiach cóś zaskrzypiało, zamek stuknął raz, drugi, i drzwi się otworzyły, światło błysnęło na izdebkę więźnia. Kirdżali patrzy, poznał Abdalę i z nim dwóch rzezańców zakapturzonych; pomyślił sobie: przyszli mnie zadusić, to ostatnia łaska Kiaja Mehemeda. Abdala został we drzwiach, rzezańcy weszli do izby więzienia z latarnią, i drzwi się za nimi zamknęły. Kirdżalemu zimny pot wystąpił na czoło, brząknął kajdanami — umierać nie strach, ale umierać jak najnikczemniejsze bydle, to to boleśnie! Rzezańcy podnieśli kaptury, i Kirdżali widzi Hakima, widzi Zulmę. Oczom swoim nie wierzy, chciałby się przeżegnać, może to widma — nie może — Oni milczą, jemu gorzko na sercu. Podniosł się i usiadł: — «Zulmo, czy ty przychodzisz z rozkazu swéj pani wiarołomnéj, naigrawać się z mojego nieszczęścia?»

Zulma spójrzała okiem zadziwienia: — «Co ty mówisz, Sara Michaela wiarołomna? Ona? — ten anioł cnoty. Ty bluźnisz, albo w obłąkaniu jesteś!»

— «Ja w obłąkaniu?» — smutnie westchnął Kirdżali — «O bogdajbym był w obłąkaniu!

Czyż nie stargała przyrzeczonéj mi wiary? czyż nie kochała Tudora?»

— «Tudora! Opamiętaj się człowieku. Na Boga ci się zaklinam, ona ci wierną była zawsze, ona cię zawsze kochała. Tudor dla niéj był bratem, więcéj niczém, i dziś choć obłąkana ciebie kocha.»

— «Obłąkana! ona? Zulmo mów mi wszystko co się dzieje, co się działo z moim aniołem, z moją Sarą Michaelą.»

Zulma zaczęła opowiadać wszystko, co się stało w nieobecności Kirdżalego, i w Serwii, i w Piteszcie, i w Jassach. Kirdżali słuchał, płakał, to z żalu, to z radrości: «Ona mi wierną była, ona mnie kocha, ona taka biedna teraz!» — chciał ręce podnieść i kajdany nie puściły, zgrzytnął zębem — «ja chcę żyć» — a stary Hakim który z niecierpliwością słuchał długiéj rozmowy, rzekł: — «będziesz żyć, tylko mi przyrzecz, że nigdy nikomu nie powiesz, że ja ciebie wpuściłem do haremu Mehemeda w Izmajłowie.»

Kirdżali uśmiechnął się z pogardą, może pożałował w téj chwili że wymówił «ja chcę żyć»

— bo któż mu obiecuje to życie? jeden podły rzezaniec, najnikczemniejszy z niewolnikow. Spójrzał mu w oczy: — «czy ty sądziłeś, że ja Kirdżali, mogę się stać donosicielem?»

Rzezaniec spuścił oczy: — «Nie. Dla tego to mówiłem, że wszystko ci może bydź przebaczonem, ale podstępne zabójstwo Hussejna nigdy.»

Kirdżali namarszczył czoło: — «Ja podstępny zabójca? — Słuchaj rzezańcze: on miał kindżał, ja miałem atagan; on miał ręce i ja mam ręce; on mnie śmiercią groził, a ja mu śmierć zadałem» — i gwałtownie wstał na nogi, aż kajdany głośno zabrzęczały.

Zulma za rękę go przytrzymała: — «Cicho! — Hakimie rozkuj mu kajdany» — Hakim drżał, czy ze złości czy ze strachu, kiedy się drzwi otworzyły i wszedł Abdala: — «Już czas, chodźmy. Kirdżali miej nadzieję, seraskier da ci wolność.» — Zulma chciała błagać Abdalę, Hakim to spostrzegł i rzekł jéj z cicha: — «jutro zrobiemy, ja mam pierścień.»

Kirdżali popatrzył na nich: — «Dziękuję wam, wyście mnie wiele dobrego zrobili.» —

Zulma wychodząc o ledwie się nie rozpłakała, spójrzała na więźnia: — «Nie trap się, Bóg miłosierny» — Wyszli i drzwi za niemi się zatrzasnęły.

Abdala nic nie wiedział o zamiarze Zulmy i Hakima wyprowadzenia z więzienia Kirdżalego. Jeszcze w dzień Hakim go prosił o wpuszczenie do czarnéj wieży; ale on choć dowódzca straży seraskiera, nie mógł przełamać oporu strażnika, który bez wyraźnéj woli albo znanego znaku Mehemeda, oprócz straży nie chciał nikogo wpuścić do więzienia. Rzezaniec dostał pierścień seraskiera, i on im otworzył drogę, bo to zwyczajny znak tajemniczych poleceń. Hakim łudził Zulmę, że więźniowi dopomoże wyjść na wolność, ale nigdy nie chciał tego dopełnić. Obyczajem przewrótnéj duszy, wszystko miał na pogotowiu aby kupić milczenie Kirdżalego; ale kiedy zobaczył że ten człowiek takim jest dziś jakim był dawniéj, że prędzéjby zbrodnię spełnił jak do podłości się zniżył, pomyślił sobie: to wszystko było niepotrzebne, — i radował się że się tak wszystko skończyło po jego woli.

Kirdżali zostawszy sam, z początku niepomny na więzienie, niepomny na kajdany, poił się błogiem szczęściem jakiego dawno nie doznawał. Sara Michaela mu była wierną, jego kochała, i teraz może kocha; ale na to «teraz» tęskno mu się zrobiło na sercu, zasmucił się na chwilę obłąkaniem żony, ale nadzieja skrzydłami błyskawicy przyleciała do jego myśli: ona cię zobaczy, przemówisz do niéj, i jéj obłąkanie rozwionie się jak mgła wiosennego poranku; bo twoje oblicze tém będzie dla niéj, czém jest jasne słońce dla przejrzystych obłoków nieba. — O jakże on teraz gorąco życia, wolności pragnie! Przypomniał sobie chwile pierworodnego szczęścia i miłości, spędzone w bojara dworze na Brankowanów grobie; przypomniał sobie roskosz rodzicielską jakiéj doznawał w rudnickim zamku, i stokroć razy sobie przyobiecał: jeśli Bóg da wolność, tak przeżyję resztę dni moich. A choć myśl zabłąkała się do rudnickiego zamku, nie zamarzył tą razą o Miłoszu, jak gdyby żądza sławy, potęgi, ukołysała się i nie chciała mącić źródła błogiego szczęścia. — Godziny schodziły na

tych marzeniach, a sen nie przymykał powiek, kiedy się zrobił jakiś rozruch w izbie straży i drzwi więzienia na nowo się otworzyły. Wszedł Hadży Achmet i drzwi za sobą nie przymykał. Twarz jego sędziwa, wzrok smutny, czoło tęskne. Kirdżali się podniosł, on czuje cześć dla tego starca, bolesny mu jego widok, bo jakiś nieznany głos w ucho mu kładzie : zabiłeś mu sześciu synów, tyś rozkrwawił jego serce.

Basza Widynia nie patrzy na więźnia, widać że nie chce swego serca rozdzierać i nękać wzrokiem wyrzuty sumienia winowajcy : — «Kirdżali, imieniem Mehemeda do ciebie przemawiam. Wielki wezyr wydał wyrok śmierci na ciebie; ale przyzwolił dać łaskę i wolność temu, ktoby sprowadził w ręce nasze Jordakiego. Seraskier daje ci do wyboru : przyrzecz, on wierzy twemu słowu, masz wolność, idź do Ardżysowego monastéru, tam przeniewierca Albańczyk, wyprowadź go z monastéru, my czekamy na niego w polu; odrzucisz ten dar łaskawego Mehemeda, jutro ze dniem śmierć ciebie czeka, na pal wbitym zostaniesz. Wybieraj.»

Kirdżali nie myślał, dumnie podniosł czoło: — « Smierć mi dawajcie. »

Achmet potrząsł głową: — « Młodzieńcze, pomyśl trochę; łaska Mehemeda wielka, możesz mieć bogactwa, potęgę, roskosze. »

— « Ale czci nigdy. Achmecie, gotowém na śmierć » — nie mógł wstrzymać wybuchu gorzkiego uczucia — « Czyż Mehemed myślił, że tak teraz zdradzę moich, jakem zdradził w Izmajłowie, pod Sylistryą? Ja byłem innym wtenczas, i inaczéj tam się rzeczy miały. W jednem mgnieniu chwili, mocą uroku boskiéj dziewicy, w miejscu stać się zabójcą stałem się obrońcą Mehemeda; w mgnieniu jednéj chwili, mocą tegoż samego uroku, w miejscu wspierać moich ziomków, uderzyłem na nich: zdradziłem, ale bez namysłu » — zwiesił głowę; — « a wy teraz chcecie abym zdradzał z namysłem » — podniosł czoło do góry. — « O śmierć was jak o łaskę proszę. »

— « Kirdżali nie zasmucaj serca Mehemeda; on ciebie lubi jak dawniéj lubił. »

Kirdżalemu łzy stanęły w oczach: — « Baszo Widynia, przebłagaj Mehemeda za moje

winy, i ty mi przebacz śmierć swoich synów.»

Basza spójrzał na niego smutnie: — «Ja ci już przebaczyłem.» — Obadwa milczą, basza znowu popatrzył: — Kirdżali, mów co mam zanieść w odpowiedzi Mehemedowi, jaki tobie wyrok obwieścić?»

— «Smierci czekam.»

Achmet się odwrócił: — «Więc będziesz ją miał» — mruknął cicho «takie jego przeznaczenie» — i wyszedł.

Tą razą drzwi się niezamknęły; muzułmański obyczaj chce aby winowajca skazany na śmierć, ostatnie godziny życia przesiedział z ludzmi. Dzikie twarze janczarów przyoblekły się w posępną ponurość; nie wesoła to rzecz siedzieć z nieboszczykiem jutra. Pierwszy rzut oka na skazanego na śmierć człowieka, pierwsze słowo do niego przemówione, rodzą uczucie strachu i smutku zarazem. Nie tak straszno patrzeć się na trupa, — tam się wszystko już skończyło; nie tak smutno bydź przy konającym, — tam ciało i dusza gasną razem, zwolna albo nagle, ale porządkiem natury, — jak

widzieć człowieka w sile ciała i duszy, i pomyśléć sobie: jutro mu wydrą to piękne życie, ten dar Boży.

Kirdżali patrzy na janczarów, łzy dławi w swojém oku, i udaną dumą chce pokryć smutek. O jakby on chciał bydź sam, przynajmniéj mógłby rozpamiętywać i modlić się; ale rozkazać janczarom nie może, a na prośbę nie przekroczą muzułmańskiego obyczaju. Żegna myślą żonę, syna i świat cały.

Janczarowie z początku niemi, pomału zaczęli z sobą rozmawiać. Ludzie ze wszystkiém się oswoją, a jedno i toż samo wrażenie wywarte na kilku ludzi razem i w tymże samym czasie, długo trwać nie może. Rozmawiali o rozbojnikach, bogactwach, o zakopanych skarbach, jak to zawsze się dzieje między ludźmi wojny na straży więzienia postawionymi. Kirdżali ich mimowolnie słuchał, czyli to dla tego żeby oddalić od siebie smutek, czy też że dusza przed rozstaniem się z tym światem, chce nasłuchać się głosow ludzkich. W tém jakby mu jakaś myśl nagle zajaśniała w głowie, podniosł się i podszedł ku janczarom. —

«Słuchajcie, czy można dać wiarę waszym obietnicom?»

Janczarowie patrzą na niego, a jeden się odezwał: — «Dla czego nas o to pytasz?»

— «Ja mam skarb zakopany, teraz mi on na nic się nie przyda; gdybym wiedział że święcie spełnicie moją wolę, dałbym wam część tego skarbu.»

Janczarowie słyszeli, jak hojnie Kirdżali siał złotem za czasów swéj wolności, słyszeli nawet że miał wielkie skarby; wszyscy się odezwali: — «Na Ałłacha, na Proroka, na nasze miecze przyrzekamy ci spełnić co polecisz.»

— «Dobrze, ja wam wierzę, słuchajcie mię teraz. Za Jassami na drodze do Kotmaru, na lewo, sterczą stare grusze; od pierwszéj po nad drogą, idzcie ku południowi i odliczcie piętnaście grusz, z tamtąd zawróćcie się przykro ku zachodowi, odliczcie jeszcze dziesięć grusz: jedenasta rozsochata, na łokieć od ziemi ma trzy sęki od północy. Od niéj odliczcie sto kroków ku południowi, tam leży czerwony kamień wielki jak cegła, pod nim kopcie, — znajdziecie cztery korce złotych lewow. Dwa

korce odniesiecie do monasteru Ardżysowego dworu, — powiecie : to podarek od Kirdżalego; trzeci oddacie w Kiszeniewie przełożonemu monastéru, ojcu Pawłowi — powiecie : to dla Kirdżalego syna; czwarty między siebie rozdzielicie. I wy, i wasze dzieci, będziecie mieli dostatek do zbytku » — Słuchali bez przerwania, a oczy ich błyszczą, twarze poczerwieniały. Kirdżali dodał : — « Rachuję na was » — wrócił na słomę, położył się i twarzą obrócił się do ściany.

Janczarowie sami z sobą rozmawiają zcicha. Jeden mówi : « patrz, teraz już się uspokoił; ale jak my znajdziemy ten skarb? » Drugi odpowiedział : « Trzebaby od razu znaléść miejsce, bo jak zaczniemy po omacku szukać, seraskier się dowie, i skarb jemu się dostanie » — Trzeci dodał : « Chodźmy zaraz, już noc zaszła, weźmy z sobą więźnia, nas sześciu a on jeden, my mamy broń a on bezbronny. » Wszyscy rzekli : « zgoda » — ale po tém zadumali się, i znowu jeden przerwał : « A jak nam się wymknie? to pies niewierny, djabła brat. » — Zaśmiał się pierwszy janczar : « czy to my Tatary, żeby nas sze-

ściu jednemu nie podołało» — tu któryś się odezwał: «Ale jak miniemy straże?» — a ten co zaczynał mówić, pociągnął wąsa: «strażnik śpi, a my mamy klucze od wieży; dziś wszystkie straże z naszéj roty, brat bratu pomoże; jak dostaniemy, to i im damy. Z resztą kto nie waży, ten nic nie ma. Za cekina nieraz życie narażamy, a dziś za tysiące balibyśmy się małego niebezpieczeństwa, Mahometby się z nas śmiał! Ja wam ręczę, prędzéj ta wieża w proch się rozsypie, jak więzień nam się wymknie.» — Wszyscy zawołali: «Chodźmy» — jeden poszedł do Kirdżalego: — «Kirdżali!» — a ten się nie odzywa. Pierwszy janczar rzekł: «Widzicie jak śpi, on ani myśli o wymknięciu się śmierci; alboście nie widzieli jak odrzucił życie — on szalony» — trącił go, Kirdżali się obrócił, ziewnął; — «Czego wy chcecie?»

— «Chodź z nami, pokaż gdzie skarb, i my i nasze dzieci błogosławić ciebie będziemy.»

— «Dajcie mnie pokoj. Chcecie; drugi raz wam opowiem o miejscu; słuchajcie.»

— «Nie. Chodź z nami.»

— «Jakże? W kajdanach? — ledwie ruszyć z miejsca mogę.»

— «My ci zdejmiemy kajdany, tylko sznurem ręce zwiążemy.»

— «Na co to się zda. Seraskier się dowie, a wasze głowy zlecieć mogą z karków przed czasem.»

— «To nasza rzecz, my ciebie prosiémy, chodź z nami.»

Kirdżali pomyślał: — «Pójdę.» — Jeden z janczarów wyszedł, dwóch kajdany rozkuwało na Kirdżalim, a reszta opatrywali oręże. — Wrócił janczar: — «Już czas, noc do połowy dobiega.»

Spadły kajdany z rąk i nóg Kirdżalego, lekko mu, ale wzrokiem obojętnie rzucił jakby na znak, że mu to wszystko jedno. Janczarowie związali mu ręce w tył sznurem, i wszyscy wyszli z więzienia. Zwolna, po cichu spuścili się ze schodów wieży, zeszli na doł, tam janczar straży połączył się z nimi, i dziedzińcem poszli ku bramie. W bramie przemówili słowo hasła do straży, ułudzili ją zmyślonym rozkazem Abdali, i wyszli z obrębu zamkowego. Idą mia-

stem, xiężyc świeci, gwiazdy błyszczą, wietrzyk powiewa, a rosa wychłodziła upał gorącem dnia naniesiony. Kirdżalemu ulżało na sercu, piersiami łakomie chwyta powietrze, a oczyma chciwie patrzy po obłokach. Jeszcze dwóch dob spełna w więzieniu nie przesiedział, a już tak wita i niebo i ziemię i wiatr, jak gdyby wieki się z niemi nie widział; a tak mu się chce żyć, nie dla siebie, ale dla Sary Michaeli, dla swego syna! — oni go kochają. Czy z gwiazd jaką przepowiednię wyczytał, czy wiatr mu do ucha świsnął słowa nadziei? bo twarz wypogodził i spójrzał po swojemu dumnie. Janczarowie to zajrzęli, ale każdy pogładził swoję broń i pomyślał sobie: nas siedmiu, a ty jeden. Wyszli za miasto na kotmarski szlak — Równina, daleko pojedyńcze drzewa majaczeją, a daléj jeszcze na krańcach obłoków góry i lasy rysują się czarną farbą. Cwierć mili uszli, — grusze już przed nimi, ścielą im pod nogi olbrzymi cień rozsochatych gałęzi. Od pierwszéj gruszy poszli na południe, jedna po drugiéj odliczyli piętnaście; ztamtąd przykro zwrócili się ku zachodowi, i jeszcze liczą dziesięć; patrzą na

jedenastą: bardziéj rozsochata od drugich, — spójrzeli na jéj północną stronę: łokieć od ziemi trzy sęki. Wiara wstąpiła w dusze janczarów. Liczą sto kroków na południe, — jest kamień czerwony, wielki jak cegła. Pomyślili sobie: prawdę powiedział, i zaraz poczęli kopać attaganami.

Kirdżali usiadł, i może po raz ostatni pływa okiem po tém niebie, po téj ziemi, z któremi tak dobrze się znał. Smutno mu się zrobiło, pierwsza chwila zachwytu przeszła, jak widmo straszne, śmierć stoi przed oczyma, a gorżki żal życia! Myśli i patrzy na janczarów, oni kopią jeden po drugim, i dokopać się nie mogą skarbu, niecierpliwią się; i Kirdżali z niecierpliwością zawołał: «Nikczemny narod! gotowe grabić umie, a gdzie potrzeba chwili pracy, to mu tam trudno.» —

Janczar spójrzał na niego: — «A tybyś dokazał?»

— «Dajcie, a zobaczycie.»

Oni przemówili do siebie: «nas siedmiu, a on jeden; dajmy mu atagan.» Sznur mu rozcięli i dali attagan w ręce. Kirdżali kopie silnie,

rozprostowuje skostniałe ręce; janczarowie stoją nad nim i dłoniami trzymają rękojeście attaganów. Coś zadzwoniło pod żelazem Kirdżalego, janczarowie ciekawie i chciwie schylili się ku dołowi, — wtenczas Kirdżali migiem błyskawicy pchnął w piersi janczara najbliżéj siebie stojącego, wyrwał mu z za pasa pistolet i odskoczył w tył kilka krokow. Gwizdnął: — «chodźcie tu wszyscy razem, jeśli chcecie śmierci podli niewolnicy!» W lewéj ręce miał odwiedziony pistolet, w prawéj miecz skrwawiony, błyszczał oczyma i postawą groził; strach objął serca janczarów, boją się Kirdżalego, boją się gwizdnięcia, myślą że to znak zwoływania zbójcow: odwrócili się i poczęli uciekać. Kirdżali zaśmiał się uśmiechem pogardy: — «Podły narod! i jemuż to więzić wolne plemiona! i gnieść wiarę Chrystusa!» — potém wzniosł oczy ku niebu: «Dzięki ci Boże wielki, wolny jestem» — i znanemi manowcami szybko poszedł w stronę gór i lasow.



XXI.

Hakim przyobiecał Zulmie dzisiejszéj nocy uratować Kirdżalego z więzienia, i Zulma marzyła tą nadzieją. Już poźno w noc przyszedł rzezaniec i powiedział: — «Wszystko stracone, jutro musi umrzeć» — Ani dojrzeć smutku na jego czarnéj twarzy, a w czarnéj duszy musi bydź uciecha, bo głos dzwięczy brzmieniem zadowolnienia. Odszedł prędko, by uniknąć nowych błagań, niesłyszeć nowych szlochow staréj piastunki. Zulma noc całą przepłakała, i dzień biały zastał ją we łzach. Ale rzecz dziwna, Sara Michaela obudziła się, wstała, krótko się pomodliła, i poszła pieszczotami swemi budzić syna. Widać jakaś wewnętrzna radość łechce jéj duszę, bo twarz się rozjaśnia, jak niebo kiedy chmury zaczną się rozpierzchać i

światło słońca powoli, nieznacznie przedziera się przez te obsłony. I synek się obudził, i oboje rozmawiają z sobą pocałunkami, pieszczotami. Zdało się że Bóg w swojéj dobrotliwości, wlał w ich serca słodkie przeczucie. Zulma łzy otarła, i mówi swoją myślą: on nie umrze dziś — Gmin święcie wierzy, i dobrze robi, że kiedy istotę ziemską obłąkanie napadnie, wtenczas jéj dusza daléj sięga jak zwyczajnie; są chwile w których wieszczym okiem widzi co do koła niéj się dzieje, a czego dusze innych ludzi nie widzą, często nawet przez usta wieszczemi słowami przemawia.

Mehemedowi dano znać o umknięciu więźnia i siedmiu janczarow. Seraskier kazał przywołać Abdalę, i polecił albańską jazdę rozesłać na wszystkie szlaki w pogoń. Widać że się nie mocno tém zagniewał, bo nie kazał udusić strażnika więzienia, ani janczarom będącym na straży u zamkowéj bramy łbów pościnać. Wkrótce znaleziono rannego janczara pod gruszami i przywieziono go do Jass. Sam Mehemed o wszystko pytał; skinął głową: — « Nikczemni wszyscy z Damaszku rodem, to najlichsze mu-

zułmańskie plemie. Ich było siedmiu zbrojnych, a on jeden bez broni» — pomyślał: — wart mego dziecka. O czemu on nie Muzułmanin! Niech przyjdzie, przebaczę mu wszystko; — a potém odprawił z odpowiedzią wezyrowego gońca.

Tymczasem Kirdżali wolny, jeszcze téj saméj nocy znalazł dawnego znajomego. Znał on wszystkie zakątki multańskiéj ziemi, wiedział gdzie kto mieszka; bo nie raz, nie dwa, tamtędy przehasał, już to jak ban zbójców, już to jak wódz chrześciańskiego hufca wolności. Wszędzie byli towarzysze i jednéj i drugiéj kolei życia. Zbójca sterawszy siły na włoczędze, zgromadziwszy jaki taki zasob grosza, na starość szukał spokojnéj chaty, i cichém życiem chronił głowę od zasłużonéj kary; syn wolności zgniecionéj chwilowém powodzeniem ciemiężycieli, pod zasłoną rodzinnéj strzechy czeka lepszych czasów. — Kirdżali u dawnego znajomego dostał dziarskiego rumaka, damasceńską szablę i bulgarską burkę, — i pojechał. Jakże mu rzeźwo, jak mu pohożo na tym koniu! Swiat martwy wypięknial, ożył w jego oczach,

słońce jaśnie świeci i za nim wzrokiem wiedzie, jak matka za lubém dziecięciem; pagórki te co przed nim, szybko odsłaniają swoje czoła aby go co prędzéj powitać, a te co już minął, leniwie się chowają, chcąc się napatrzyć na miłego sobie męża; równina się upstrzyła pstrem kwieciem i zda się podskakiwać w oczach z chluby, że po niéj bieży koń z bułgarskim rycerzem; wody się cieszą, rozelśkniły kryształowe powierzchnie, łamią się w karpią łuskę, jak gdyby się wdzięczyły uśmiechem; drzewa rozpuściły krasiwe warkocze, umaiły strojne wianki, i roskosznie ramiona wyciągają do jezdzca; wietrzyk mu w ucho szemrze: jak się masz? — Wszystko zdaje się witać Kirdżalego, i Kirdżali ich wita jak dawnych przyjaciół, i jedzie daléj. Słyszy jak w gaju ptaki świegocą, kukają zuzule, i na myśli mu stanęła Sara Michaela i synek; on ich tak kocha, a nadzieja z głosem zuzuli miesza swój głos i w ucho mu kładzie: wkrótce ich zobaczysz. — Z daleka doleciało brzmienie cerkiewnych dzwonow, Kirdżali pomodlił się i pomarzył o ojcu Pawle: co mnie tak do tego człowieka pociąga? — nie

sama to wdzięczność; jabym chciał z nim żyć zawsze. Spójrzał na mogiłę, aż tam płowy orzeł siedzi i kracze, — ptak wojny, wojenne uczucia wzbudził w sercu Kirdżalego; przypomniał sobie Sławiańskiego Miłosza: on orłem serbskiéj ziemi, a ja – niczém. Duma zadrasnęła jego duszę i boju zażądał; jedzie i myśli: ja chcę boju, bo bez niego nie będę miał żony i syna; a duma mu powiada: nie prawda, ty dla mnie chcesz boju, jeszcześ się nie wyłamał z pod mojego panowania, wiedz o tém że człowiek co mnie raz pokochał, nie zapomni o mnie nigdy, choćby i wieki żył na tym świecie. — Jak raz nasienie dumy wpadnie w duszę człowieka, to się zapleni w niéj jak pérz; ani zimno życia wymrozi, ani upał wysuszy mnogich jego korzeni. Choć miłość, pokora, albo inne jakie uczucie przytłumią go na chwilę, to znowu za lada wydarzeniem odrośnie i bujać zacznie całą siłą. — Kirdżali manowcami dnie i noce jechał, nieraz zdaleka zajrzał wałęsających się spahow, nieraz od dobrych ludzi usłyszał, że Jordaki ma silne hufce w monastérze Ardżysowego dworu. — Czwartego dnia nad rankiem,

przybył nad jakieś zwaliska — Czegoż tak nagle pobladł i czoło smutnie zwiesił ku dołowi? Przypomnienie, co ostrym rylcem znaczy w pamięci swoje slady, obudziło uspionego robaka sumienia, a ten zaczął toczyć serce, zmącił myśli, i daleko z nich wyrzucił mary przyszłego szczęścia. Te zwaliska, to szczątki dawnego sioła Hrazgrady. Kirdżali chciał się modlić, ale w oczach zaczęło mu migotać, myśli jak pjane szalały po głowie: widzi jak ogień w około niego bucha, koń kopytami we krwi brodzi, Bulgarowie i Bulgarki, z rozdartemi piersiami słaniają się po siole, a zbójcy jak piekielne szatany, z dobytemi mieczami latają po ulicach i wrzeszczą: Kirdżali! Kirdżali! — Kirdżalego po raz pierwszy strach opanował, boleśnie mu w sercu, włosy się zjeżyły na głowie, a zimny dreszcz po za skórą przebiegł. Scisnął konia nogami, koń bieży bitym szlakiem, a jemu się zdaje, że on we krwi broczy, że przez płomienie sadzi, a w uszach bezustannie mu brzmią krzyki: Kirdżali! Kirdżali! — to głośne wołania występku do zgryzoty sumienia. Spójrzy na bok, zda mu się że Michaj-

laki obok niego pędzi; żegna się krzyżem świętym, odgania od siebie upiora — w tém usłyszał huk strzałow. W mgnieniu oka ochłonął ze strachu, bo to krzyk opamiętania na wojennego męża; patrzy, — w lewo pod lasem harcują jezdzcy, końmi w skokach kreślą esy, to z pistoletów, to zjanczarek pukają. — Bystre oko Kirdżalego, rozpoznało pstro-barwe zawoje spahów i ich kaftany jaskrawe, rozpoznało białe zawoje Arnautów i sine ich dołmany; Arnauci ustępują pod las, spahowie nacierają, a ogniki strzałów co raz gęściéj pobłyskują w powietrzu. Pomyślił sobie: to musi bydź jazda Jordakiego, -- i jak ogar co zasłyszy strzał daleki, jak chart co zaoczy zwierza sadzącego stepem, rączo mknął rumakiem na przełaj po pod las. Widzą Arnauci, widzą spahowie czwałującego jezdzca, ale koń tak skokami szusta, kurz tak się koło niego miota, że ciężko rozeznać nietylko postawę ale nawet strój. Nadbiegł, palnął z pistoletu, i jeden spaha kulką z siodła spuścił się ku ziemi. Arnauci krzyknęli: to nasz. Drugi spaha zabiegł mu drogę, on koniem w lewo w miejscu młynka wywinął, płatnął szablą na odlew i

głowę spaha z karku jedném cięciem odmiotł, jakby w turniejowych igrzyskach głowę maniaka : niezapomniał Kirdżali swojéj sztuki. Spahowie lecą ku niemu, wrzeszczą Ałłach, Ałłach; ale on już między swoimi, Arnauci go poznali i witają krzykiem Kirdżali! Kirdżali! On ich odwitał głosem : za mną! — w miejscu zwinął koniem i pomknął na spahow. Arnautom krew zakipiała w żyłach, zapał męztwa zagorzał w głowach, kopnęli z kopyta za Kirdżalim. Już strzały ogniowe nie pukają, tylko dzwięczą stale, już spahowie nie wrzeszczą Ałłach, Ałłach, tylko wołają Aman, Aman! i uciekają po polu, a Arnauci gonią i sieką. Jeszcze słońce dziesięć cali w górę się nie podsunęło, a już spahowie pobici, ledwie kilku uniosło życie. Kirdżali powiedział: «Dać im pokoj, niech o mnie zawiozą wiadomość Mehemedowi» — uśmiechnął się uśmiechem dogodzonéj dumy, co mu szeptała do ucha : tak Kirdżali wita swoich przyjacioł, dawnych towarzyszy; — harde czoło wzniosł ku niebu, jak to bywało u niego zawsze, kazał konie spahów połapać, zebrać zdobycze i szykować się

do pochodu. Wszyscy słuchali rozkazów nowego wodza co się im sam narzucił; bo czynem wlał w ich dusze pewność, że on potrafi ich wodzić po zwycięztwa.

Nad wieczorem Kirdżali ze zwycięzkim hufcem dochodził do Ardżysowego dworu. Na wzniosłéj górze, odwieczne mury monastéru rysowały się dziwną łamaniną na tle czystego nieba, słońce złoci blaszane kopuły cerkwi; na lewo, parowem, jak srebrna lawa lskni się Oltaü i slizga wartkie wody po opoczystém korycie. Daléj za rzeką ku zachodowi, widać olbrzymie grzbiety Karpatów, przed niemi zajrzał mniejszą górę, jakby stopień do ich szczytów, całą osypaną kamieniami: to góra hospodarskiego grobu — tam niegdyś stał dwór bojara. Trochę w prawo jasna smuga między dwóma łancuchami gór zjeżonemi gęstym lasem: to przejście Czerwonéj wieży, brama wjazdu z multańskiéj do siedmiogrodzkiéj ziemi. — Swiat wspomnienia całém swojém bogactwem wcisnął się do pamięci Kirdżalego, i rozwijał w niéj szybko jedne obrazy po drugich, każdym mignął przed oczyma duszy, ale nie dał

się mu napatrzyć. — Tamtędy od Kampolungi wjeżdżał z Sarą Michaelą po raz pierwszy do monastéru po błogosławieństwo małżeńskie; tam na hospodarskim grobie niebiańskiego szczęścia kosztował — o bojaryni pomyślał, nad losem Tudora zabolał; — zwrócił wzrokiem w tył: tameśmy się kiedyś z Michajlakim rozstawali, on był moim najwierniejszym przyjacielem; a tam daléj, wracałem zwycięzko ze Slatiny i napotkałem hufce Mehemeda, — i znowu obrócił wzrokiem ku grobowi hospodarskiemu: tam o nieszczęściu się dowiedziałem, tam gdzieś spoczywają kości mego wronego konia, towarzysza, uczestnika pięknych chwil życia. Patrzy na monastér: tu Bóg zlał na mnie swoję łaskę, opamiętał serce, skołatanéj duszy rzucił nadzieję i powołał pokutą błagać o przebaczenie ciężkich grzechow. — Czytał po okolicy jakby w xiędze jakiéj całe pasmo swojego życia, to tęskno, to słodko mu na przemiany, i do nadziei się ucieka z marzeniami o przyszłem szczęściu. Tak przyjechał do Ardżysowego monastéru. Jordaki go powitał jak brata broni, ojciec Eugieni jak syna przy-

ciskał do łona i błogosławił, dawni znajomi przychodzili witać. Multańscy ludzie nie uciekali od niego, bo wiedzieli że on nie zabójca Tudora, kochanka ludu, że on chciał go zasłonić od śmierci; wszyscy biegli do niego ze szczerem sercem, z radośną duszą. Kirdżali dotąd myślał, że chcąc ludźmi władać, trzeba męztwa, dumy, i postrachu zarazem; po raz pierwszy uczuł, że można to wszystko zyskać braterską miłością, — rozczulony wszedł do kościoła, patrzy na ołtarz: to niemy ale wymówny świadek jego szczęścia — tu przed ołtarzem prawem Bożém zaprzysiągł wieczną miłość Sarze Michaeli. Na lewo od ołtarza we framudze, swieży marmur wzniesiony nad grobem; czyta: « Tu spoczywa Eudoxia z Brankowanów domu, żona Włodimireska, matka Tudora. Cześć jéj popiołom. Chrześcianinie módl się za nią » — Kirdżali padł na kolana i serdecznie odmawiał pacierze za duszę bojaryni, za duszę Tudora, i błagał u Twórcy o przyszłe szczęście dla Sary Michaeli, dla syna, a przy nich i dla siebie. Byłby się modlił noc całą, ale ojciec Eugieni przerwał modły i zaprowadził Kirdża-

lego na wojenną radę. Tam Kirdżali opowiedział wszystkie swoje przygody, Jordaki go na nowo uścisnął: — «Dzielę z tobą moję władzę, Bóg ciebie ochronił, Bóg ci da szczęście. Jutro pojdziemy ku Jassom, mam ztamtąd wieści, że seraskier porozsyłał swoje wojska i nie pilnie się strzeże.»

Kirdżali się podniosł: — «Jordaki, strzeż się zdrady. Wiesz co mnie obiecywano żebym ciebie wyprowadził z monastéru; Mehemed mógł znaleść usłużnego zdrajcę za złoto. Pozwol niech pójdę przodem; tam jest moja żona, mój syn. Ty się zachowaj dla chrześciańskiéj sprawy, dla sprawy ludow jęczących w muzułmańskiéj niewoli. Bóg mi dopomoże.»

Jordaki pomyślał: — «Dobrze, ty pójdziesz przodem, ja za tobą» — i rozeszła się rada. Dano rozkazy do jutrzejszego pochodu. Kirdżali kładąc się spać rzekł sam do siebie: Bóg da, za dni kilka połączę się z Sarą Michaelą, aby się już więcéj z nią nie rozstać; przeczucie szepnęło mu do ucha: zobaczysz, połączysz się, i nie rozstaniesz się z nią już więcéj, — usnął błogim snem nadziei.

XXII.

Piąta doba upłynęła od umknięcia Kirdżalego z więzienia, skarb wykopano i mnogie złoto rzucono nasypem między dostatki seraskiera, ranny janczar umarł, o reszcie ani słychu, ani wieści. Hadży Achmet i ataman Neczaj poszli w okolice dać uczuć multańskiemu ludowi że muzułmański Padyszach znowu mu panuje. Mehemed w Jassach pozostał z troską, ze smutkiem, oddawna nieodstępnémi towarzyszami swego życia, z obłąkaną córką i z malutkim wnukiem. Zajaśniał był promyk uzdrowienia Sary Michaeli, — płakała, pieściła się z synem; ale wszystko to nagle ustało, znowu jest taką jaką była przed przywiezieniem do Jass Kirdżalego, — nadzieja znikła, przepadła tak prędko jak ślad błyskawicy na niebiosach. Zulma

smutna, mały synek ciągle do niéj mówi: «ja nic złego nie zrobiłem, a mama znowu się gniewa.» Mehemed kazał zewsząd nazwozić lekarzy, garściami rzucał im złoto, żeby uleczyli jedyną pociechę jego życia. Na jego rozkaz muzułmańscy derwisze modlą się po meczetach do mekańskiego proroka o uzdrowienie Sary Michaeli, chrześcianki. Dowiedział się seraskier, że jakiś świątobliwy mnich z besarabskiéj ziemi przybył i jest na teraz w Jassach w monastérze; powiedziano że kapłani chrześciańscy i chrześciański lud temu mnichowi hołd i cześć oddają, jakby jakiemu świętemu; zabobonny wyznawca Íslamizmu, uczuciem ojcowskiéj miłości zatłumił na chwilę zawziętość wiary przeciw wierze, i zaprosił chrześciańskiego mnicha do swojego zamku. Ojciec Paweł — to był on — natychmiast przyszedł, bo go wzywano w imie ratunku ludzkości, a kapłan chrystusowéj wiary, do meczetu Mahometa, do Izraela bożnicy, i do pogańskiéj pagody z pośpiechem wejdzie, kiedy tylko idzie o pomoc, pociechę, albo zbawienie bliźniego. Nie taił przed seraskierem że z Kiszeniowa przybył, aby u niego, Muzułmanina,

błagać o życie Kirdżalego. Sara Michaela nigdy w życiu tego mnicha nie widziała, a jednak pilnie patrzy na niego, wymówiła: «takim był on» — przystąpiła: «nie takim» — odeszła, klękła i modli się. Zulmie zdaje się bydź znaną twarz mnicha, ale nie wie gdzie, kiedy i jak go widziała. Mały synek Sary Michaeli skoczył z węzgłowia: «to tato» — popatrzył i skrył się za Zulmę mrucząc: «to nie on.» — Ojciec Paweł takiego wzrostu jak Kirdżali, ale włos jego pobielał jakby w mléku ufarbowany, czoło zmarszczkami poorane, na twarzy skóra przyschła do kości, a za mgłą pokory nie widać blasku oczów. Mnich hymny do świętych pańskich w głos śpiewał, pacierze i modlitwy w głos odprawiał, i Sara Michaela z nim hymny śpiewała, z nim pacierze odmawiała. Zdaje się że rozumie mnicha i wyraźnie objawia swoje zadowolnienie kiedy on przychodzi. Kiaja Mehemed pod swoim bokiem na to wszystko pozwala, naraża swoję duszę na wieczne potępienie, dobrowolnie zapisuje się pod władztwo Iblisa, traci Eden, Huryski, i siódme niebo. Ale czegoż nie zrobi ojciec dla jedynego dziecię-

cia! — Co więcéj, uroczyście przyrzekł mnichowi przebaczyć Kirdżalemu, i dodał: — «Niech przyjdzie, niech uzna władzę Padyszacha; zabierze moje dziecko, swojego syna, i dostatków ile zechce.» — Można było zawierzyć przyrzeczeniu seraskiera, on jak raz słowem przyrzekł, to tego nigdy czynem nie zaparł.

Nadbiegli gońcy od Hadży Achmeta — niepomyślne ich wieści: buntownicy znowu głowę podnieśli, w kilku potyczkach porazili wierne wojsko Padyszacha, i szerzą bunt po kraju. Seraskier kazał ściągać się wojskom pod Jassy, postanowił jednym silnym razem zgnieść bunt, wyplenić buntowników. Niebawem przyciągnęli do Jass basza Widynia i ataman Nekrasowców; nową wieść przyniesiono, że buntownicy wyruszyli z Ardżysowego dworu i w wielkiéj sile ciągną ku Jassom. Mehemed polecił Abdali, wyjść z seraskierską przyboczną jazdą przeciw wrogowi na drogę, bitwy nie wydawać, ale porządném cofaniem się ściągnąć wroga pod miasto — «tu oni śmierć znajdą» — rzekł smutnie, bo z wieścią przywiezioną dowiedział

się że Kirdżali im przewodniczy, i w myśli dumał: jeśli go jeńcem zrobię, to mu przebaczę, dotrzymam wszystko com przyrzekł mnichowi. — W téj chwili wszedł ojciec Paweł, spostrzegłszy atamana zadrżał, i odwrócił twarz od niego. Neczaj na widok mnicha spuścił oczy w ziemię, wstyd mu, że on chrześcianin z Bisurmanami radzi o wytępieniu chrześciańskiego ludu. Mnich przystąpił do Mehemeda: — «Seraskierze, losy wojny w ręku Boga; Bóg tego błogosławi kto umie przebaczać, kto na złe zwycięztwa nie używa.»

Nie rozgniewał się seraskier — «Nie ja zaczynam, oni zaczęli, oni odpowiedzą przed Bogiem za nieszczęście. Co przyrzekłem, to dotrzymam» — i zwrócił się na znak, że więcéj o tém nie ma co mówić.

Mnich odszedł. Atamanowi zdało się że to głos jakiś znany, ale nie dobrze go zachwycił, bo myśl troskała się przyszłą walką z jednowiercami Chrystusowéj wiary; ale jakby chciał tę troskę odpędzić od siebie, musnął wąsy, pomyślał: oni sprzymierzeńcy naszych dawnych wrogów, — i poszedł mołodźcom oznajmić

bój, z taką skwapliwością, z jaką idzie czuły ojciec obwieszczać dzieciom miłą zabawę.

Piątek, świąteczny dzień Muzułmanów, spokojnie przeszedł, tylko rzęsny deszcz zmoczył ziemię. W sobotę bardzo rano, słońce z jaskrawego oblicza miliony złotych promieni cisnęło na dobry dzień ziemi. Błękit nieba jasny, przezroczysty, tylko gdzie niegdzie białawe chmurki po nim wędrują, zwolna, niepewnie, same nie wiedzą dokąd dążą, to się posuną, to staną i znowu wracają; nie masz wietrzyka aby im szepnął w ucho drogę ich wędrówki. Na ziemi cisza, liście drzew, kwiaty, trawy, wody, lsknią się ale nieruchomie; upał skwarny, ptaki, zwierzęta, w zarośle, w szuwary, w lasy poskrywały się : zda się że to dzień uroczysty oczekiwania czegoś. — Sara Michaela tą razą znowu syna pieściła, modliła się jak zwyczajnie, a potém długo rozmawiała z ojcem Pawłem o rzeczach wiary. Zulma w tych pieszczotach obłąkanéj niewiasty dobrą przepowiednię widzi, pobiegła z tém doniesieniem do seraskiera. Seraskier trochę się uśmiechnął, i z swobodniejszą myślą pojechał do obozu.

Za Jassami na równinie ku południowemu zachodowi, w prawo stoją kurenie zaporozkiéj jazdy. Wojenne ich postawy, wojenne wejrzenia, tak iż oczy się mamią ułudą że to Kozacy z czasów Batorego, z Zygmuntowskich czasów, a Neczaj zdaje się jak Konaszewicz, albo kniaź Rożyński. W lewo, spahowie z za Bosforu i albańscy jezdzcy, co Chrześcianom i Muzułmanom zarówno służą, byle im złoto sypać. Oni dziarsko i serdecznie się biją, choćby nawet przeciw sobie — to dla nich wszystko jedno. We środku piesze roty janczarów, stek swawoli i nieładu, a zarazem najdzielniejsze ramie bisurmańskiéj potęgi. Za nimi stoją harmaty pod nadzorem Kuluglich. — Mehemed spodziewa się zapewne ćmy wrogów, obiegł szeregi i patrzy w pole. Z początku nic nie widać, ale wkrótce kilku jezdzców zamajaczało : to gońcy od Abdali. Przybiegli i osadzili konie przed seraskierem : — « Wróg idzie. »

— « A liczny? »

— « Sama jazda. Naszą przednią straż wymordowali jeden uciekł i powiedział że Kirdżali nią dowodzi; Jordaki za nim idzie, ale daleko. »

— Seraskier krzyknął : — « Kto mi żywcem złapie Kirdżalego, temu dam sto kies cekinów i dwa dzielne dżamety z mojéj stajni ; a kto zabije... » nie słowami, ale w myśli domówił: « na tego przeklęstwo nieba, niech nie zobaczy Edenu. » — Obrócił się do gońców : — « Co tchu bieżcie, niech Abdala tu się cofa » — Kazał spahom i janczarom naprzód się posunąć na zakrycie odwrotu, sam został z Albańczykami w odwodzie. Ledwie wojsko się ruszyło, aż tu jazda Abdali bezładnie rozpierzchnięta pędzi, a Arnauci po karkach ich szablami krzeszą, i dziko wyją niesfornemi wrzaskami zwycięztwa. Widzi Mehemed jak z koni padają jego jezdzcy, poznał nawet wodza wrogów. Kirdżali na ciemnym koniu, na czele mnogiego hufca uderzył na spahow, skacze w lewo i w prawo, szablą jak błyskawicą migoce, i głowy, ramiona płata, a bulgarska burka po nad plecami mu ulatuje jak chorągiew — to sztandar, to niemy znak dla chrześciańskich żołnierzy : tu ja jestem, do mnie się dostawajcie. — Spahowie już złamani, rozbici, pierzchnęli, hufiec Arnautów pędzi na czelne roty

janczarów. Gęste strzały zahuczały, i już Arnautów konie mięszą kopytami janczarów. Kirdżali bije się i woła : — «do miasta co żywiéj, do miasta!» — Seraskier patrzy na szczupły hufiec Kirdżalego, patrzy na porażkę swoich i myśli : szalony, przepadnie! Dałby połowę skarbów, a nawet całe żeby go żywcem dostać. Kazał dać ognia z harmat, i Arnauci nie bardzo oswojeni z tym hukiem przytrzymali się trochę, a w téj saméj chwili kurenia Zaporoża wysunęły przeciw Arnautom.

Kirdżali poznał zwyciężcę skulańskiego i jego konia : teraz się poprobujemy! zebrał hufiec i natarł na Zaporożców. Oba wodzowie przodem sadzili i pierwsi się z sobą starli; i oba hufce jakby przez poszanowanie, na chwilkę się zatrzymały. Konie na zadzie przysiadły, szable zadzwięczały, a z prawéj ręki atamana krew trysnęła i szabla wyleciała. Złoto-gniady jak oparzony w bok odskoczył, Kirdżali tuż za nim zwrócił rumaka, ale ataman jeszcze prędzéj lewą ręką dobył pistolet z za pasa i strzelił — Kirdżali zesłaniał się na siodle i padł na ziemię, właśnie w chwili kiedy Zapo-

rożcy przeparli hufiec Arnautów i pognali go w pole.

Mehemed widział początek utarczki i piorunem tam skoczył, ale przybiegł kiedy już Kirdżali był na ziemi. Kirdżali podniosł czoło i poznał seraskiera : — « Mehemedzie, Jordaki w Monastérze, ze mną rób co zechcesz. »

Seraskier zsiadł z konia, sam go własną ręką podnosi, szuka rany, nie widzi. Kazał go nieść janczarom do zamku, i sam przy nim jedzie, jak przy najdroższym skarbie. Na polu bitwy niepotrzebna jego obecność, zwycięztwo nad Arnautami dokonane, obawa i nadzieja myśl jego opanowały, i nie dają się pocieszyć zwycięztwem, jak to zawsze należy się wojennemu mężowi, wodzowi zwycięzkiego wojska.

W zamku, w seraskiera komnacie, na wezgłowiu złożono rannego Kirdżalego. Ojciec Paweł sam chce ranę opatrywać, rozpiął kaftan : na szyi łańcuch złoty, na piersiach chusttka haftowana, — dary dziewicy Selimy, pod chustką obraz Najświętszéj Maryi Panny. Kirdżali był bez pamięci, oczy zamknięte. Mnich znalazł ranę pod piersią, cal wyżéj serca. Ssie

krew z rany — Kirdżali oczy otworzył, poznał ojca Pawła: — «Ojcze!» — patrzy na seraskiera stojącego koło siebie — «Mehemedzie, przebacz — Saro Michaelo... niech ją zobaczę» — I Mehemed w pierwszem uczuciu nierozwagi kazał przywołać córkę i jéj syna. Mnich tego rozkazu nie słyszał, on życiem swojém chciałby okupić życie Kirdżalego.

Zulma wprowadziła Sarę Michaelę, ale ta zaledwie weszła, zwróciła się w stronę rannego — patrzy: «to on, to on!» — Kirdżali cicho przemówił: — «Saro Michaelo przebacz» — Ona mu rzuciła się na szyję: — «Kirdżali, ty mój luby, ja ciebie tak kocham, tyś nic nie winien» — całowała go, i on ją całował: — «Nie, ja niewinien, moja droga — oh jak ja ciebie kocham.» —

Ojciec Paweł zaklinał: «uspokoj się» — a mały synek krzyczał «mój tatu, moja mamo» — i do nich się drapał. Kirdżali posłyszał jego głos: — «Moje dziecko — moja żono — ojcze, Mehemedzie, bądźcie zdrowi — przebaczcie mi — ja umieram — Boże!..» — i oddech skonania wydał ze słowem o Bogu.

Sara Michaela go ciśnie : — « Ty nie umrzesz mój luby, ty będziesz szczęśliwy ze mną. » Zulma ją odciąga od węzgłowia : — « On umarł » — Sara Michaela wyrwała się z rąk Zulmy, popatrzyła na Mehemeda : — « Ojcze mój, ojcze, i ty tutaj » — znowu cisnęła swe usta do ust męża : — « ty nie umrzesz, ty nie umrzesz ! » — Na jéj gorące pocałunki, usta Kirdżalego odpowiedziały lodem śmierci; złożyła ręce dłoniami jak do modłow, wydała jęk bolesny, przerazliwy, i z tym jękiem dusza uleciała do nieba, a ciało osunęło się na kolana przy śmiertelnych zwłokach męża.

Mehemed chce ją podnieść, a mały Kirdżali chwyta go za szaty : — « zostaw ich, oni się pogodzili z sobą. » — Ojciec Paweł załamał dłonie : — « Straciłem syna » — Zulma płacze, stary Hakim nawet skrzywił twarz. — Mehemed widzi że śmierć mu zabrała jedyne dziecko, wziął wnuka w objęcie, ciśnie do łona : « Tyś mnie pozostał... » — i łzy po łzach zrzadka padały z dumnych oczów.

Na ten rozruch weszli do komnaty Hadży Achmet, Neczaj i Abdala. Seraskier ani słowa

nie przemówił, tylko ręką wskazał atamanowi na trupa, i ręka mu zadrżała. Ataman spójrzał na trupa, zbladł, poczerwieniał, i także zadrżał: — «Pomściłem się! Na jego piersiach Matka Najświętsza Poczajowska; — przy śmierci zabójca wydarł Teterze, memu przyjacielowi, ten obraz.»

Ojciec Paweł jakby ze snu obudzony, postąpił na przód, gwałtownie rozdarł swój habit na piersiach. — «Neczaju, jam zabójca Tetery, ja jestem kniaź Ilwandży — Kirdżali to mój syn. Zabiłeś niewinnego, zamorduj winowajcę.»

Ataman spójrzał na niego dziko, lewą rękę ku trupom wyciągnął: — «Masz karę za twoję zbrodnię» — i odszedł.

Mnich padł na kolana, pokornym ale żałośnym głosem zawołał: — «Boże wielki! niech się święci twoja wola. Karz mnie zbrodniarza, a przyjm do twojéj łaski te dwie dusze zrodzone dla cnoty, a które ja moją zbrodnią pchnąłem na drogę występku. Panie nad Pany, wysłuchaj mnie!»

Mehemed patrzył na to z rozdartém sercem, i jakby na zagojenie wewnętrznéj rany, serde-

cznie ciśnął do swojego łona wnuka; a stary Achmet cieszy go słowami: «Taki koniec nieszczęścia zapisany był dla nich w xiędze przeznaczenia — Bóg Wielki!»



PRZYPISY.

Str. 3. *w.* 2. *Miłosz Obernowicz* czyli *Obrenowicz;* pisma niemieckie piszą imie tego Xiążęcia Serwii *Obernowicz* i ja poszedłem za tą pisownią. Już przy końcu druku mojéj powieści, znamienity tłumacz pieśni serbskich powiadał mi: że Serbowie mówią Obrenowicz, żałowałem że poszedłem za pisownią niemiecką. Xiąże Miłosz był niemajętnéj rodziny; wyniesienie się swoje winien męztwu i cnocie. Jemu Serwija dłużna swoję wolność i niepodległość. W opowiadaniach tyczących się Xięcia Miłosza i Serbskiego powstania, nie oddaliłem się bynajmniéj od podania historycznego. Miłosz miał dwóch braci Milana i Iwa. Pieśni ludu Serbskiego tak po mistrzowsku wytłómaczone na język polski przez Bohdana Zaleskiego, zajmują w sobie opis bitwy pod Kosowo przegranéj przez Serbskiego cara Łazarza przeciw Turkom; w tém opisie jest rzecz o trzech pobratymach (ludzi związanych ślubem rycerskiego braterstwa w kościele; zwyczaj ten ślubów pobratymu wiodący zapewnie swój początek z czasów pogańskich istniał w Serwii do najpoźniéjszych czasów) Miłoszu, Milanie i Iwie, z których pierwszy zabił sułtana Amurata; dla tych trzech mężów lud serbski żywi w sercach cześć jak dla błogosławionych pańskich. — Te trzy imiona przez zbieg

okoliczności znalazły się w rodzinie Obrenowiczów, i nie mało posłużyły Xięciu Miłoszowi do władania umysłami ludu.

Str. 3. *w.* 5. *Sabacz* miasteczko Serwii, sławne bitwą wygraną przez Serbów na Turkach. Przewodnikami wojska serbskiego byli Jerzy Czarny, Janko Kalicz, Wasyl Czarapicz, i Miłosz Obernowicz, po téj bitwie mianowany wojewodą przez Jerzego Czarnego. Pod Sabaczem był ranny Xiąże Józef Poniatowski w czasie swojéj służby w austrijackiém wojsku.

Str. 6. *w.* 4. *Biały Car.* Nietylko na Kozaczyznie, ale w całéj Sławiańszczyznie Cesarza Rossyjskiego zowią białym carem.

Str. 11. *w.* 13. *Hermansztad*, Stolica Siedmiogrodu.

Str. 11 *w.* 15. *Temeswar*, Stolica Serwii należącéj do Państwa Austrijackiego; obadwa te miasta, są przechrzczone niemieckiem mianem.

Str. 27. *w.* 6. *Drawa*, rzeka w Serwii; podróżni zwiedzający Serwiją dziwią się bardzo iż na brzegach téj rzeki, napotykali nieprzeliczoną liczbę jastrzębi — Turcy mieli to za wskazówkę i do dziś dnia ją mają: że jak zobaczą lecące jastrzębie od Drawy w którąkolwiek bądź stronę, pewni są że tam musi bydź wojna, albo stał się jakiś napad rozbojników górali — i rzecz takoż niepojęta iż ile razy pokaże się zaraza morowa, albo padnięcie bydła, jastrzębie z nad Drawy lecą w przeciwną stronę od okolicy pomorza pomorku. —

Str. 27. *w.* 14. *Pasarewacz* albo *Pasarzewiec* miasto w Serwii, w okolicach pięknych równin, które ciągną się smugami ku południowi. —

Str. 20. *w.* 5. *Czarnogórze* (Montenegro) sławne zakonem Czernców, mnichów zakonu świętego Bazylego, greckiego

wyznania. Czarnogórscy mnisi przysposabiali ciągle ludy sławiańskie do powstań przeciw tureckiéj władzy, wołając ich do broni w imie świętéj wiary i wolności. — Byli oni tak czynni w powstaniach Serwii, jak mnisi Ardżysowego dworu w czasie powstań Multań. — Czarnogórscy mnisi z krzyżem w ręku przewodniczyli hufcom powstańców uderzających na Muzułmanów; to postępowanie mnichów, jedna dla nich wielką cześć między sławiańskiemi ludami. —

Str. 29. *w.* 3. *Takow*, miasteczko w środkowéj Serwii, jest w niém cerkiew sławna cudownym obrazem Chrystusa. — Na wierzbną niedzielę do Takowa ściągają się tłumy ludu na odpust. — W tém to miasteczku Miłosz ogłosił powstanie Serwii. —

Str. 29. *w.* 8. *Cmentarz*, kościelny dziedziniec, kościelisko; zwany na Ukrainie cmentarzem. —

Str. 29. *w.* 18. *Majestat Pański*. Ściana przed przybytkiem Pańskim, w najuboższéj cerkwi, nawet, jest ozdobiona malowidłami świętych pańskich, jaskrawych kolorów, hojnie ubarwionych złotem i srebrem.

Str. 31 .*w.* 23. *Chorągiew Serbska* przechowywana była w Takowie. Miłosz ją z tamtąd wydobył (historyczne). Czyn Miłosza opisałem nie oddalając się bynajmniéj od opisu serbskiego powstania, napisanego przez naocznego świadka, niemca, wydrukowanego w Monachium.

Str. 34 *w.* 12. *Wrony koń*. Bulgarowie równie jak Kozacy, namiętnie kochają czarną maść swoich wojennych koni. — Serbowie zaś przekładają białą albo gniadą. W większéj części pieśni serbskich równie jak w węgierskich i siedmiogrodzkich, wojak albo kochanek, bohatér pieśni; siedzi na białym albo gniadym koniu. —

Str. 30. *w.* 14. *Perija* dziewica raju, podług powieści wschodnich zstępuje czasami na ziemię, i oczarowuje ludzi swoją krasą, swoim śpiewem i swoją dobrocią. —

Str. 42. *w.* 13. *Kruszewacz* czyli *Kruszewiec*, miasto w Serwii, niegdyś stolica serbskich Carów; tam car Duszan pisał swoje prawa, tam car Łazarz zostawił swoją żonę carycę Milicę odjeżdżając na bitwę pod Kosowo.

Str. 51. *w.* 14. *Grodyska* czyli *Horodyszcze* miasto serbskie, niezmiernie stare; koło tego miasta są mogiły, podług podania ludu sypane jeszcze w czasach pierwszego zajścia Sławian do téj ziemi.

Str. 73. *w.* 20. *Sarajow* czyli *Sarajowo*, miasto w Serwii, znamienite w pieśniach ludu.

Str. 80. *w.* 22. *Bojan* poeta, spiewak na wszystkich ucztach Serbów, Bulgarów, Czarnogórców, a nawet Bośniaków. Bojan opowiada wierszem dawne dzieje, bitwy, pomyślność i nieszczęścia kraju; opowiadania te są dosyć długie, pełne żywych obrazów, i dramatycznéj prawdy — jest w nich życie i natchnienie — albo li też śpiewa pieśni rycerskie lub miłośne, czasem zadumczywe podobne do kozaczych — czasem wesołe na lacką nótę — Osoba Bojana jest szanowaną i przez lud i przez możnych. —

Str. 104. *w.* 17. Poselstwo Jerzego Kantakuzena do Miłosza, i odprawa posła przez serbskiego Xięcia jest wiernie historyczna. —

Str. 117. *w.* 1. *Jassy*, powszechnie Rusini zowią kraśnemi Jassami, z przyczyny pięknego położenia miasta, i zamożności mieszkańców. —

Str. 117. *w.* 5. Kolory biały, czarny i czerwony, były

kolorami odradzającéj się Grecii. Na chorągwi greckiéj był złoty Fenix z popiołow odradzający się.

Str. 117. *w.* 16. *Falanga,* hufiec święty—młodzież grecka z uniwersytetów wiedeńskiego, berlińskiego, i z innych niemieckich, równie jak z Odessy i Rossii przybywała do Multan zaciągać się pod znaki Ipsylantego, i utworzyła *falangę.*

Str. 118. *w.* 1. *Jordaki* Albańczyk, ze slawiańskiego pochodzenia, bohatér tęgiego ramienia i dzielnéj duszy; on do ostatka bronił wolności greckiéj, na multańskiéj ziemi.

Str. 118. *w.* 8. *Alexander Ipsylanty* jenerał w służbie rossyjskiéj, w któréj stracił rękę — Wszystkie wypadki jakie o nim powiadam, wziąłem z opisu wojny greckiéj przez Pana pułkownika Reybaud, jednego ze znakomitszych cudzoziemców walczącego za sprawę grecką. Oszustostwo Ipsylantego które przypisywano nieuhamowanéj chęci władania, połączone z niedołężną wolą, dostrzeganém było przez wszystkich znajomych Ipsylantego. Piękna i niepospolitych zalet polka panna J.... W........... z którą miał się żenić Xiąże Ipsylanty, ubolewając nad losem tego Xięcia sama mu przyznawała te wady, dając im nazwanie dworszczyzny — Mówiąc o pannie J.. W.. nie mogę powstrzymać się abym nie powiedział kilka słów o jéj losie — W dzień zaręczyn panny J. W. z Xięciem Alexandrem Ipsylantym, dano znać o rewolucii greckiéj, a z tą wiadomością przyszło pismo z Petersburga aby Xiąże Ipsylanty natychmiast jechał, co też on spełnił — Opłakawszy stratę Ipsylantego panna J. W. miała iść za mąż za pułkownika Powałę Szwejkowskiego dowódzcę Alexopolskiego piechotnego pułku; w roku 1826 w sam dzień zaręczyn pułkownik Szwejkowski był wziętym od obiadu zaręczyn, zawiezionym do Petersburga i wskazanym, za należenie do Pestelowskiego spisku — Panna J. W. straciwszy nadzieję połączenia

ię z swoim narzeczonym, weszła do klasztoru Marijawitek w Berdyczowie, i w nim była w roku 1831.

Jerzy Kantakuzen Pułkownik austrijackich hułanów, współdowódzca Ipsylantego także był człowiek słabego ducha — podług opisu Pana Reybaud.

Str. 118. *w.* 22. Powstanie Bukarestkie, i znamienite postępowanie Tudora opisałem historycznie.

Str. 119. *w.* 3. *Kanimari-Sawa*, Bulgarczyk dowódzca albańskiéj straży hospodara Wołoszy Kalimachiego, połączył się z Tudorem, a poźniéj zagniewany na Ipsylantego wrócił do tureckiéj strony, i najsilniéj przyczynił się do zniszczenia sprawy greckiéj w Multanach.

Str. 119. *w.*6 *Czernecz,* małe miasteczko w małéj Wołoszczyznie, tam zawiązywał swoje powstanie Tudor Władimiresko.

Str. 119. *w.* 8. Tudor wchodząc do Bukarestu miał po prawéj ręce kapłana, na znak iż walczy za świętą wiarę Chrystusa; po lewéj zaś chłopa z małéj Wołoszczyzny jako świadectwo że bój idzie o wolność ludu. — Gdyby nie intrygi Ipsylantego, Władimiresko byłby wtenczas odzyskał niepodległość multańskich ziem.

Str. 120. *w.* 14. *Kolentyno*, letni zamek hospodarski o lekką milę od Bukarestu; tam założył swoje siedlisko Ipsylanty przyszedłszy pod Bukarest.

Str. 125. *w.* 24. Rabunki i rzeź jenerała greckiego Karawii w Galacu są wypadkiem historycznym.

Str. 127. *w.* 7. *Farnaki* Albańczyk dowódzca jazdy Tudora, po jego upadku złączył się z Jordakim.

Str. 128. *w.* 17. *Szlak Trajana,* za panowania tego cesa-

rza zrobiony w Dacii przez legije rzymskie, do dziś dnia istnieje i nosi miano *Trajanowego szlaku.*

Str. 137. *w.* 24. Ipsylanty zarzucał iż nadaniem swobód chłopom, i powołaniem ich jako głównéj sprężyny do powstania, sprawił : iż dwór Rossyjski i Austrijacki odmówiły wspieranie greckiéj sprawy.

Str. 141. *w.* 19. *Szyfut* po turecku Żyd, podły, nikczemny.

Str. 152. *w.* 5. Zabójstwo Tudora, przez fanariotę Maurosa, niemca Ozanbruka i odcięcie głowy i ręki jego, jest historyczném; tylko rzecz się stała nie w zamku Pitesztu, ale w lasku blisko multańskiego obozu pod Pitesziem — Tudor był związanym przez zbirów Ipsylantego, i na związanym dokonano te okrucieństwa — bitwa Tergowicka i Pitesztska są opisane podług podań historycznych. Po téj bitwie Ipsylanty i Kantakuzen schronili się do Austrii.

Str. 158. *w.* 5. Prawo Alkoranu wzbrania bić się po zachodzie słońca, i przed wschodem — Rossijanie korzystając z tego zakazu często korzyści odnosili nad Turkami, napadając na ich obozy w nocy.

Str. 178. *w.* 1. Bardzo się tém obrażali dawni Kozacy kiedy kto do ich kochanek się zalecał, albo najeżdżał ich konie bojowe.

Str. 178. *w.* 6 *Czupurny* dziarski.

Str. 179. *w.* 6. *Kureń*, Zaporozki pułk.

Str. 180. *w.* 10. Ukraińska gadka: « jak znajdziesz kobiecą albo kobylą czaszkę na śmietniku, to jeszcze kiełznaj, i dobrze się strzeż. »

Str. 193. *w.* 12. Zwyczaj turecki topienia w skórzanych worach, i duszenie sznurami.

-- Puszkin tak opowiada o Kirdżalim — umieszczam kilka perijodów z tego wspomnienia wielkiego poety. —

« Kirdżali był rodem Bulgar,— Kirdżali w tureckim języku znaczy włóczęga, zbieg — Prawdziwego imienia Kirdżalego nie znam. »

« Kirdżali swojémi rozbojami rzucił postrach na całą Mołdawiję. — Żeby dać o nim wyobrażenie, opowiem jeden z jego czynów — Jednego razu nocą, on i jego towarzysz Arnauta Michajlaki napadli we dwóch na bulgarską wieś — Zapalili ją na dwóch końcach i przechodzili od chaty do chaty — Kirdżali zabijał a Michajlaki zgromadzał zdobycze; obadwa krzyczeli : Kirdżali! Kirdżali! mieszkańce z całéj wsi uciekali. »

« Kiedy Alexander Ipsylanty wzniecił powstanie i zbierał sobie wojsko, Kirdżali przyprowadził jému starych swoich towarzyszów — prawdziwy cel Heterystów był im zle znanym, ale wojna nastręczała zręczność wzbogacić się na Turkach, a może i na Mołdawianach — i to było rzeczą jasną. »

« Alexander Ipsylanty musiał być odważnym osobiście, ale nie miał potrzebnych przymiotów do piastowania stopnia na jakim go postawiły okoliczności — On nie umiał obchodzić się z ludźmi, którymi przywodził. Ci ludzie nie mieli w nim ani wiary, ani zaufania — Po nieszczęśliwéj bitwie (Tergowicy) gdzie zginął kwiat greckiéj młodzieży, Jordaki i Olimbioti doradzili mu oddalić się, i sami jego miejsce zastąpili— Ipsylanty uciekł w granice Austryi, i z tamtąd przysłał przekléstwo ludziom, których nazywał tchórzami, płochemi, i niegodnémi — Ci tchórze i niegodziwce w większéj części polegli w murach monastéru Seky, albo po nad Prutem, walcząc odważnie przeciw nieprzyjacielowi dziesięć razy silniejszemu. »

« Kirdżali był w oddziele Jerzego Kantakuzena, o którym

można to samo powtórzyć co o Ipsylantym — Przed bitwą pod Skulanami, Kantakuzen skrył się do rossijskiéj karantany, a oddział został bez wodza — Kirdżali, Safianos, Kantagoni i inni stanęli na jego czele, i nie widzieli potrzeby innego naczelnika.»

«Bitwa pod Skulanami, dotąd nie jest znaną w całéj swojéj prawdzie. Wyobraźcie sobie 700 Arnautów, Albanczyków, Greków, Bulgarów i rozmaitego motłochu, nie mających żadnego pojęcia o porządnéj wojnie, cofających się przed piętnastu tysiącami tureckiéj jazdy — Ten oddział doszedł aż do brzegów Prutu, i postawił przed sobą dwie harmatki zabrane w Jassach i używane dawniéj do strzelania na wiwat. Turcy chcieli strzelać kartaczami, ale nie śmieli boby kule przelatywały na drugą stronę rzeki — Naczelnik karantany (dziś już nieboszczyk) służący od czterdziestu lat w wojsku, niesłyszał nigdy świstu kul a tu mu Bóg dał usłyszeć to dziwowisko — niektóre z nich przeleciały koło jego uszów — Staruszek mocno się rozgniewał, i rozgdyrał się na majora Ochockiego pieszego pułku, pełniącego służbę przy karantanie — Major niewiedząc co ma zrobić, pobiegł nad brzeg i pogroził palcem tureckim harcownikom — Harcownicy zobaczywszy to cofnęli się z pola bitwy — Major grożący palcem nazywał się Chorczewski, a co się z nim stało tego nie wiem.»

«Na drugi dzień wszyscy Turcy uderzyli na Heterystow — Nie mogąc użyć kartaczy i kul, w brew zwyczajowi postanowili rozprawić się chłodną bronią; — bój był krwawy, rznęli się attaganami — W tureckiém wojsku widziano spisy, te spisy były ruskie, Nekrasowce walczyli w tureckich szeregach — Za pozwoleniém cesarskiém mogli schronić się do rossijskiéj karantany — Zaczęli się przeprawiać, Safianos i Kantagoni ostatni zostali na tureckim brzegu, Kirdżali ranny leżał w karantanie — Safianos został zabitym, Kantagoni bardzo otyły

ranny był spisą w brzuch — On jedną ręką podniosł szablę, drugą chwycił za drzewce spisy, wsadził ją w siebie i tym sposobem mógł zbliżyć się i ciąć nieprzyjaciela z którym zarazem powalili się na ziemię—

. . . .

. . . .

«Kirdżali przywieziony do Jass, przedstawiony baszy wskazanym został na wbicie na pal — Kara odłożona była do kilku dni — a tym czasem osadzono go w więzieniu.

Jeńca strzegło siedmiu Turków (ludzie prości i w duszy tacy rozbojnicy jak i Kirdżali) — patrzyli na niego i słuchali jego powieści z chciwością właściwą ludziom wschodu— Między jeńcem a strażnikami zawiązała się ścisła przyjaźń; Jednego razu Kirdżali przemówił do nich — «Bracia, czas mój niedaleki — nikt nie ucieknie przed swoim wyrokiem — wkrótce ja z wami się rozstanę — chciałbym wam co zostawić na pamiątkę» — Turcy nadstawili uszy — Kirdżali dalej mówił — «Bracia, trzy lata temu, jakem rozbijał z nieboszczykiem Michajlakim; wtenczas z nim zakopaliśmy niedaleko Jass kocioł z halbinami (tak zowią pieniądze Arnauci). Widać że ani mnie, ani jemu przeznaczony ten skarb; weźcie go sobie i rozdzielcie się jak zechcecie» — Turcy mało nieposzaleli, zaczęli się naradzać jak ten skarb dostać, i uradzili aby Kirdżali zaprowadził ich do niego — Nadeszła noc, Turcy zdjęli okowy z Kirdżalego, związali mu ręce sznurem, i tak wyszli z miasta w step — Kirdżali ich poprowadził idąc od wzgórza do wzgórza, nakoniec stanęli przy szerokim kamieniu, odmierzył dwanaście kroków ku południowi, tupnął nogą mówiąc «tu»— Turcy rozdzielili się, cztérech zaczęło kopać attaganem, a trzech zostało na straży przy jeńcu — Kirdżali siadła na kamieniu i patrzył na ich pracę — Zapytał — «No a co, czy prędko dokopiecie się.» — Turcy odpowiedzieli — «nie»

i pracowali aż pot lał się z ich ciał. Kirdżali okazywał niecierpliwość mówiąc: « co za narod, i ziemi nie umie porządnie kopać — u mnie rzecz byłaby skończona w dwóch minutach; dzieci, rozwiążcie mi ręce a dajcie attagan » — Turcy poczęli się naradzać i uradzili żeby mu dać attagan, mówiąc: co za bieda, on jeden, nas siedmiu — Rozwiązali mu ręce i dali attagan. — Nakoniec Kirdżali był wolnym i uzbrojonym; cóż powinien był począć? — Zaczął żywo kopać, strażnicy mu pomagali — Migiem jednemu z nich utkwił attagan w piersiach a zostawując tam żelazo, wychwycił z za jego pasa dwa pistolety.

Pozostali sześciu ujrzawszy Kirdżalego zbrojnego dwóma pistoletami, rozbiegli się i uciekli. »

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.

	STR.
XIII.	1
XIV.	25
XV.	55
XVI.	89
XVII.	119
XVIII.	155
XIX.	189
XX.	215
XXI.	243
XXII.	257
PRZYPISY	273

OMYLKI.

Str.	*wiersz.*	*zamiast.*	*czytaj.*
33	14	husarz	harcarz
34	3	toczy się	taszczy się
34	14	alb	albo
38	14	Perigo	Perijo
40	4	po choragiew	pod choragiew
45	17	Krakowieckim	Krukowieckim
49	11	rodzinuego	rodzimego
93	4	szczęśliwem budowaniem	szczęśliwa budowaniem
125	21—22	dokładają	odkładają
126	14	doniesieniem	z doniesieniem
220	21	tatka	tata

W DRUKARNI BOURGOGNE ET MARTINET, RUE JACOB, 30.

